

MICHAEL GRANT

Nowa seria autora **GONE**



BZRK



Michael Grant

BZRK

Przekład Agnieszka Kabała

Katherine, Jake'owi i Julii

*(...) na tej drodze
Grozi szaleństwo: muszę jej unikać.*

Król Lir w przekładzie Józefa Paszkowskiego

1

Dziewczyna siedziała zaledwie trzy krzesła od Noaha i mówiła do własnej ręki. Do grzbietu dłoni – tale dokładnie – z szeroko rozłożonymi palcami. Czubki palców miała pomalowane na przemian na czerwono i złoto, ale nie lakierem do paznokci i nie tylko paznokcie. Wyglądało to raczej, jakby użyła farby w spreju.

Wyjaśniała grzbietowi dłoni, że jest „Absolutnie zdrowa. Absolutnie zdrowa”.

Noah pomyślał, że mogłaby być ładna, ale trudno mu było tak naprawdę ocenić jej twarz lub figurę, kiedy jego wzrok nieodparcie przyciągała szrama po sznurze na jej szyi.

Zaczęła krzyczeć, kiedy przyszli po nią pielęgniarze. Musieli podnieść ją siłą, trzymając za sztywne ramiona. Jej matka, a może starsza siostra, stała, zakrywając dłonią usta. Szlochała i jak echo powtarzała słowa dziewczyny.

– Będiesz zdrowa – powiedziała ta normalna.

– Jestem absolutnie zdrowa! – krzyknęła wariatka.

Kopnęła krzesło, aż szurnęło po podłodze, i spojrzała dziko na Noaha oczami w czerwonych obwódkach.

Noah Cotton. Lat szesnaście. Kasztanowate włosy, rozczochrane, jakby dopiero wstał z łóżka i w ogóle się nie uczesał. Wargi pełne, lekko wygięte w dół, gotowe na smutek. Nos mocny i ostry – cholernie niemal doskonały nos. Ale uwagę oczywiście przyciągały przede wszystkim te jego niebieskie oczy. Skąd on wziął tak niebieskie oczy? Wyglądały nienaturalnie. Jak u kogoś, kto nosi barwione szkła kontaktowe. A kiedy zwracał na ciebie te jasne niesamowite oczy, nie wiedziałeś, czy patrzysz w niezmierną głębię, czy może tylko w otchłań totalnego szaleństwa.

No cóż, gdyby odpowiedź brzmiała: „w otchłań totalnego szaleństwa”, doskonale pasowałaby do tego miejsca – poczekalni w głównym korytarzu Ceglaka.

Ten budynek go przytłaczał. Może przez swoją historię. W XVIII wieku nazywano go Azylem dla Nieuleczalnych Szaleńców imienia Lorda Japhetha LeMaya. W połowie XIX wieku trochę to złagodzone i przemianowano na Wschodniolondyński Azyl dla Obłąkanych.

Dziś oficjalnie nazywał się Wschodniolondyńskie Centrum Leczenia Chorób Psychiczych.

Ale nikt go tak nie nazywał, a przynajmniej poza jego murami. Dla świata na zewnątrz to był Ceglak.

To architektoniczne ceglane monstrum rozrastało się a raczej puchło – przez przeszło dwieście lat. Nie

było wyłącznie z cegły. Niektóre wieże i skrzydła wzniesiono z kamienia. Część zewnętrznych zabudowań to mur pruski pokryty obłazącym, malowanym tynkiem. Ale potężny centralny budynek z dwiema bliźniaczymi wieżami, zwanymi Laufrem i Wieżą, przez podobieństwo do figur szachowych – jedną wysoką i spiczastą, a drugą przysadzistą i groźną – zbudowano w całości z czerwonej okopconej cegły.

Noah robił, co mógł, żeby nie słyszeć echa krzyków obłąkanej dziewczyny, ale poczekalnia była prawie tak samo schizofreniczna jak wielu pacjentów: stare obrazy olejne, wyło żona płytkami posadzka w nieco rozjechaną, czarno-białą szachownicę, żółte ściany, które ktoś pewnie uznał za wesołe, i meble z wyprzedaży rupieci. A do tego wszystkiego żyrandol chyba zrabowany z jakiegoś kiczowatego pałacu podczas jednej z dawnych kolonialnych wojen. Dawał światło, które genialnie rzucało cienie, więc nawet miejsca pod krzesłami wyglądały jak potencjalne legowiska maleńkich potworów.

Noah przyszedł tu odwiedzić swojego brata Aleksa. Swojego dużo starszego brata Aleksa. Lat dwadzieścia pięć, weteran z Afganistanu, Królewski Regiment Szkockich Fizylierów (motto: *Nemo me impugn lacessit* – Nikt nie nęka mnie bezkarnie; czy też, w alternatywnym tłumaczeniu: Nie przypieprzaj

się do nas, bo zrobimy ci kuku). Bary, na których można by rozwalać pustaki. Zdyscyplinowany. Co rano wstawał, żeby przebiec dziesięć kilometrów przy każdej pogodzie, jaką miał do zaproponowania Londyn.

Alex Cotton dorobił się Krzyża Wybitnej Waleczności, bo miał takie jaja, że załatwił trzech talibów w gnieździe karabinu maszynowego, dosłownie niosąc na plecach ранego towarzysza.

A teraz...

Wywołano nazwisko Noaha. Salowy – nadęty bandzior o grubych nogach, z paralizatorem w jednej kieszeni i ze skórzaną pałką sterczącą z drugiej, poprowadził go ze sobą. Przez część biurową. Przez drzwi ze zbrojonego szkła i stali.

Przez drugie zbrojone drzwi.

Przez centrum ochrony, gdzie znudzeni ochroniarze gapili się na migające ekrany i z nogami na biurkach gadali o sporcie.

Przez trzecie drzwi. Te musiał im otworzyć na dzwonek salowy po drugiej stronie.

I tu zaczęły się wrzaski, zawodzenia i piski, narastające krzyki i rozdzierające szlochy. Dźwięki sączyły się przez stalowe drzwi poszczególnych pokoi. A właściwie ceł.

Noah nie chciał czuć tych krzyków w sobie, ale nie miał zbroi, nie był na nie odporny. Na każdy dziki tryl obłąkańczego śmiechu wzdrygał się jak

smagnięty batem.

Pielęgniarz i dwaj niechlujni salowi chodzili od drzwi do drzwi. Jeden pchał skrzypiący wózek wyładowany plastikowymi kubeczkami. Były oznaczone kodami cyfrowymi i każdy zawierał co najmniej kilka, a czasem i kilkanaście wesołych, kolorowych pigułek.

Pigułkowa załoga podeszła do drzwi, zapukała, nakazała osadzonemu cofnąć się, odczekała chwilę, po czym przekręciła zamek i otworzyła drzwi. Jeden z salowych – nie, powiedzmy otwarcie: to strażnicy, cerberzy, klawisze, ale na pewno nie salowi – wszedł do środka z pielęgniarem, a drugi został na zewnątrz z paralizatorem w pogotowiu.

Noah dotarł do celi Aleksa. Numer 91.

– Spoko, jest skuty – powiedział strażnik. – Tylko nie próbuj go dotykać. Nie lubi, kiedy się go dotyka. – Uśmiechnął się z żalem i pokręcił głową, jakby sugerował, że Noah wie, o co chodzi.

Za drzwiami ukazał się pokój: półtora metra szerokości, dwa i pół długości. Jedynym meblem było stalowe łóżko. Grube, metalowe nity mocowały tę pryczę do popękanych płytek podłogi. Na półce, tak wysoko, że żaden człowiek by nie sięgnął, stało radio. Nastawione na BBC, cichutko. Grillowano jakiegoś polityka.

Alex Cotton siedział na brzegu łóżka. Nadgarstki przykuto mu kajdankami do stalowych kółek

zamocowanych na obu końcach pryczy. W efekcie ręce miał wyciągnięte na boki i w zasadzie mógł poruszać tylko głową.

Duch Aleksa Cottona zwrócił zapadnięte, puste oczy na młodszego brata.

Noah na moment stracił mowę. Bo chciał powiedzieć: To nie ten pokój. To nie mój brat.

Potem rozległ się cichy warkot. W pierwszej chwili zdawało się, że dochodzi z radia. Głos zwierzęcia. Alex Cotton kłapnął zębami jak rekin, który nie zdołał chwycić zdobyczy.

– Alex – odezwał się Noah. – To ja. To tylko ja, Noah.

I znów ten gardłowy odgłos. Alex nagle skupił wzrok. Gapił się na Noaha i kręcił głową, jakby ta wizja sprawiła mu ból.

Noah minimalnie wychylił się, żeby dotknąć wyprężonego ramienia brata. Alex szarpnął się do przodu tak daleko, jak zdołał, czyli ledwie parę centymetrów. Napiął się mocno, aż pod kajdankami pokazała się krew.

Noah cofnął się i uspokajająco uniósł rękę.

– Mówiłem ci, nie próbuj go dotykać, bo zaczniesz wrzeszczeć o tych swoich pajęczkach i innych bzdetach – burknął strażnik.

– Alex, to tylko ja. Noah.

– Nano nano nano nano – zaintonował śpiewnie Alex i zachichotał. Szybko poruszył palcami, jakby

coś odgrywał.

– Nano? Co to jest, Alex? – wyszeptał Noah, jak gdyby przemawiał do wystraszonego dziecka. Łagodnie.

– He he he, nie. Nie. Nie nie nie nano nano nano. Nie.

Noah odczekał, aż Alex skończy. Nie odwrócił wzroku. To jego brat. To, co zostało z jego brata.

– Alex, nikt nie rozumie. Nikt nie wie, co ci się stało. No wiesz, że wylądowałaś tutaj.

Wyjaśnij swoje szaleństwo, szaleńcze. Powiedz mi, co się stało z moim bratem.

– Nano, makro, nano, makro – wymamrotał Alex.

– Często tak gada – podsunął strażnik. – Głównie „nano”.

– To przez wojnę? – spytał Noah, ignorując strażnika.

Chciał wyjaśnienia. Żaden lekarz nie był szczególnie przekonujący. Mówili, że to prawdopodobnie przez wojnę, ale jak Alex wrócił do domu, badano go pod kątem stresu pourazowego i wyglądało na to, że wszystko w porządku. On i Noah uprawiali razem sport, pojechali na wycieczkę na kornwalijskie wybrzeże, na plażę i do jakiejś znajomej Aleksa. Brat był trochę rozkojarzony, ale nic poza tym. Rozkojarzony.

Strażnik milczał.

– To przez wspomnienia? – naciskał Noah. – O to tu chodzi? O Afganistan?

Ku jego zaskoczeniu odpowiedział Alex.

– Talib? – Zaśmiał się krzywo, jakby pół twarzy miał sparaliżowane. – Nie talib. Bug Man. Człowiek rooobal. Raz, dwa, trzy. Wszystkie zabite. Puf!

– To i tak nieźle jak na niego – uznał strażnik.

I przez kilka sekund wydawało się, że obłąd ustąpił. A Alex stara się ze wszystkich sił zmusić usta do mówienia.

Zniżył głos do szeptu. Kiwał głową, jakby mówił: słuchaj pilnie, to ważne.

To. Ważne.

Po czym powiedział:

– Berserk.

Zadowolony z siebie kiwnął głową i kiwał dalej, coraz mocniej i mocniej, aż cały się trząsał jak w jakimś ataku. Kajdanki grzechotały o łóżko. Zdawało się, że cała cela wibruje współczująco.

– Berserk! – powtórzył, teraz już głośniej, i powtarzał coraz głośniej, aż zaczął krzyczeć. – Berserk! Berserk!

– Jezu. – Noah nienawidził się za to, że pokazał po sobie przerażenie.

– Jak już tak się rozkręci, to koniec na cały dzień – mruknął ze znużeniem strażnik. Chwycił Noaha za ramię, ale niezbyt szorstko. – Godzinami wrzeszczy o tym swoim zasranym „berserku”.

– Berserk! Berserk!

Kiedy Noah usłyszał, że drzwi zamykają się za nim, poczuł falę mdłości i ulgi. Ale drzwi nie stłumiły krzyków jego obłąkanego brata, które ścigały go korytarzem i wywiercały dziury w skołowanym mózgu.

– Berserk!

– BERSERK!

2

Stone McLure nie był przystojniakiem. Ani takim pięknym koleśkiem. Chociaż miał dopiero siedemnaście lat, nie interesowały go dziewczyny. Interesowały go kobiety.

Spoglądały na niego i przemykały wzrokiem po twarzy i tych barkach, no wiecie, kobiety nie gapią się tak jak faceci. Wystarczy im jedno spojrzenie. A potem, kiedy już tym jednym spojrzeniem zapisały go sobie w pamięci, zaczynały żałować swojego małżeństwa, żałować swojego wieku, żałować swoich dresów i spranych koszulek Abercrombie, żałować, że w jednej ręce targają plastikową siatkę ze spożywcza, a w drugiej dwudziestoczeropak pampersów.

Stone wyjął słuchawki z uszu.

– Gdzie lądujemy najpierw? – spytał ojca.

– Zatankujemy w San Francisco i weźmiemy drugiego pilota. Potem mam krótkie spotkanie na Hokkaido, a dalej już Singapur. – Ojciec nie odrywał oczu od pracy.

Słuchawki wróciły na miejsce.

Stone miał kręcone ciemne włosy i oczy jak polerowany zielony marmur ze złotymi żyłkami. A czoło jakby zaprojektowane przez Boga specjalnie po

to, by nadać mu wygląd uczciwego człowieka. Mocny nos, cerę, której nigdy nie skaził nawet pieg, a co dopiero pryszcz – bo jaki pryszcz by śmiał?

Był trochę podobny do ojca, Greya McLure'a. A prawie cały świat znał twarz Greya. Ale u niego widać było oznaki znużenia i nieufności – przychodziły po latach bycia miliarderem tego lepszego gatunku. Takiego, który zarobił pieniądze na nauce i innowacjach i wyłącznie sposobami, jakimi miliarderzy powinni zarabiać swoje fortuny.

Siedzieli ledwie parę kroków od siebie w kabinie pasażerskiej cessny citation X – Grey przodem do ogona, Stone do dziobu. To był prywatny odrzutowiec, owszem, ale wyposażony wyłącznie w to, co niezbędne w prywatnym odrzutowcu. Żadnej seksownej stewardesy w uwodzicielskim uniformie. Nie lał się szampan. Nic z tych rzeczy. Odrzutowiec Greya służył do załatwiania interesów. A Stone się tych interesów uczył.

Grey pił kawę z kubka z napisem „Całkiem niezły ojciec”. Bo widzicie, kubek z napisem „Najlepszy ojciec świata” kłóciłby się ze stylem rodziny Greya, która ceniła sobie krytyczne podejście do samego siebie, cierpki humor i absolutne oddanie.

Grey stukał w tablet, popijał kawę, znów stukał i od czasu do czasu lekko marszczył brwi.

Stone czytał książkę na własnym tablecie, być może nie tak uważnie, jak powinien, bo w uszach

miał słuchawki, a z nich płynął surowy, ochrypły głos Tony'ego Kovacsa.

*Jestem tu z tym, co wokół,
Widzę wszystko, na co patrzę,
Ewolucja mruga do mnie,
Moja twarz się uśmiecha.*

Słuchawki z uszu.

– Więc ten lot potrwa raczej dni, a nie godziny – zauważył Stone i wyciągnął nogi.

– To długi lot – przyznał ojciec. – Mogłeś spędzić ten czas u babci w Marylandzie.

Stone uniósł ręce na znak kapitulacji.

– A czy ja narzekam?

– Babcia cię kocha.

– Babcia kocha malować ceramiczne figurki pierwszych dam.

– Wiernie oddając szczegóły historyczne – odparł Grey i wyszczerzył się w uśmiechu. – Mógłbyś jej pomóc udekorować czepek Abigail Fillmore.

Stone udał, że rozważa opcje.

– Czepek Abigail... singapurskie dziewczyny w obcisłych sari. Hm. Trudny wybór.

Słuchawki w uszy.

Jestem tu, żyję w tym,

Jestem tu, we wszystkim.

Jego siostra Sadie zaraziła go punkiem. Uważała pewnie, że Stone potrzebuje czegoś mniej... hm, mdłego niż muzyka, której zwykle słucha, bo ściągał sobie z netu to, czego słuchali jego znajomi. Cała Sadie: nieskażona trendami czy modą. Z radością budowała własny świat z tego, co jej się podobało: muzyki, stylów i lektur, które czasem bywały tak stare, że zarastały pajęczynami, a czasem tak nowe, że ledwie zdążyły zaistnieć. Czasami wyglądało to wręcz tak, jakby własnymi wyobrażeniami powoływała coś do życia.

Potrafiła być wredną jedzą, ale mimo zaledwie szesnastu lat pozostawała sobą do bólu; Stone nigdy nie potrafił jej w tym dorównać. Nie żeby mu to przeszkadzało. On miał precyzyjnie określoną rolę do odegrania. Był dziedzicem, następcą, pierworodnym. Zdarzały się chwile, kiedy zazdrościł Sadie wolności no bo kto by nie zazdrościł? – ale pogodził się z przeznaczeniem. Ktoś musiał przejąć pałeczkę. Więc czemu nie on?

*Tyle czasu zmarnowałem na myślenie,
Czułem się jak pod ostrzałem.
Przegapiałem rzeczywistość przed sobą,
Błądziłem po tylu ścieżkach.*

Robił to też dla matki, której popioły spoczęły na dnie Atlantyku w połowie drogi między jej prawdziwą i przybraną ojczyzną: Londynem i Nowym Jorkiem.

Wyjrzał przez okno, żeby oderwać myśli od tego ostatniego obrazu. Nie teraz, nie teraz, nie to wspomnienie.

Stone i jego ojciec wystartowali z lotniska Teterboro i teraz lecieli nad stadionem Meadowlands. W dole trwał mecz. Futbol. Amerykański, oczywiście.

Stone mniej więcej po równo dzielił życie między Nowy Jork i Londyn, więc potrafił docenić obie odmiany sportowej obsesji: futbol i bejsbol w Stanach, piłka nożna i krykiet w Wielkiej Brytanii. Wciąż nie rozumiał, co ludzie widzą w hokeju, bo...

Nagle coś sobie przypomniał.

Słuchawki z uszu.

– Ej, Sadie chyba poszła na ten mecz, co?

Grey uniósł głowę i posłał synowi znaczące spojrzenie.

– I z pewnością świetnie się bawi.

Stone się roześmiał.

– Tak. Bo najbardziej na świecie uwielbia tkwić na zimnie w jakimś wielkim wiwatującym tłumie. – Pokręcił głową. – Mam nadzieję, że ten koleś jest tego wart. To ten Tony, którego poznałem?

Grey skinął głową.

– Bardzo cenię jego ojca. Ale sam Tony... cóż, chyba mógłbym udzielić Sadie jakiejś ojcowskiej rady na temat tego chłopaka.

Obydwaj wybuchnęli śmiechem. Sadie słuchająca czyjejkolwiek rady. Na jakikolwiek temat. A co dopiero na temat swojego życia miłosnego.

– Nie jesteś tak odważny – zażartował Stone.

– Nie jestem tak głupi – zripostował Grey z wyrazem udawanego przerażenia na twarzy. Po czym odwrócił oczy, spojrzął w dół i łagodniejszym tonem dodał: – Ależ ona podobna do matki.

To rzuciło Stone'a z powrotem w miejsce, w które nie chciał się zapuszczać. Skinął głową, ale nie odpowiedział, bo nie ufał własnemu głosowi. Nie zdobył się nawet na „tak”.

Nawet jedna sylaba mogła zabrzmieć płaczliwie. Słuchawki w uszy.

Shot Baker skończyli. Śpiewał już ktoś inny, leciał kolejny kawałek – Sadie wrzuciła to na jego playlistę. Jak się tak zastanowić, czy miał na niej cokolwiek, czego nie wybrałaby dla niego Sadie?

Stadion w dole przypominał gigantyczną owalną miskę wypełnioną osiemdziesięcioma tysiącami kibiców Jetsów. Jetsom naprawdę kibicowało w tym roku osiemdziesiąt tysięcy osób, bo już zaczął się grudzień, a oni jeszcze nie odpadli z rozgrywek.

Dach stadionu był ściągnięty, żeby fani mogli skorzystać z czystego, mizernego, niskiego słońca.

Lada dzień pojawi się mokry śnieg i zimny wiatr; nie można zmarnować ostatniej słonecznej niedzieli, nawet tak chłodnej.

Sterowiec nad stadionem wykonał leniwy zwrot. Z góry wyglądał jak jakaś spowolniona wersja plemnika nad jajeczkiem. Ta myśl przywołała uśmiech na wargi Stone'a. Koniecznie musiał to wkomponować w następny esej z angielskiego.

Przerazić nauczyciela taką niespodziewaną analogią. A może to się nazywa porównanie?

Słuchawki z uszu, choć niechętnie.

– Ej, widzę jej głowę. To ona, tam, po lewej! – zawołał. Przy ostatnim sektorze. – Ciągnął rozmowę, żeby ojciec nie pomyślał, że ruszyła go wzmianka o mamie. Z tej wysokości czubki głów były zaledwie sugestiami kropek.

– Nie – odparł Grey. – Jest bliżej środka.

Jakby dobrze wiedział, gdzie Sadie siedzi. Po prostu podjął grę, pomyślał Stone. Chociaż czasami miał wrażenie, że ojciec zna każdy ruch Sadie. Tych dwoje łączyło coś dziwnego.

Sadie i Grey kłócili się. Prowadzili słowne bitwy z całą masą podtekstów, które Stone wyczuwał, ale ich nie rozumiał.

Słowni ninja – oboje. Całe szczęście, że Stone zawsze zgadzał się z siostrą, bo przyznawał bez bicia, że nie dałby rady toczyć z nią takiej werbalnej walki. Dziewczyna potrafiła wbić nóż prosto w ego.

Czasami był zazdrosny, że Sadie i ojciec mogą na siebie wrzeszczyć. On i Gray nigdy tego nie robili.

Samolot ostro przechylił się w lewo. Jakby pilotka odczytała myśli Greya i chciała dać szefowi szansę, żeby popatrzył w dół i namierzył głowę córki. Albo jakby...

Skręt był za ostry.

O wiele za ostry, zbyt gwałtowny. Prawe skrzydło szło lukiem w dół.

Grawitacja przycisnęła Stone'a do ściany. Tablet spadł z kolan ojca. Kubek z napisem „Całkiem niezły ojciec”

przejechał po stoliku, spadł i poturlał się przejściem między fotelami.

– Co, do licha?! – krzyknął ostro Gray. Wcisnął guzik interkomu w podłokietniku fotela. – Kelly! Co się dzieje?

Kelly latała tym odrzutowcem od sześciu lat. Była jak członek rodziny.

Żadnej odpowiedzi.

– Zapnij pas – polecił Grey Stone'owi. Wstał, ale pod wpływem siły bezwładności stracił równowagę i wykonał coś jakby piruet wokół siedzenia. Padł na ściankę, ale odepchnął się i rzucił do drzwi kabiny. Poruszał się jak pijany na silnym wietrze.

Teraz samolot przechylał się już nie tylko na prawo, ale i dziobem w dół. Z całą pewnością nurkował. O wiele za ostro. Stone widział przez okno

boisko, tak niedaleko, przekrzywione po wariacku. Zdawało się, że wielcy faceci na zielonym prostokącie jakimś cudem biegną pod górę. Zobaczył, że telebimy pokazują powtórkę.

– Kelly! – Gray dotarł do drzwi kabiny. Ledwie trzymał się na nogach. – Co z tobą? Co się dzieje? – Zaczął szarpać za klamkę małych drzwiczek. Nie otworzyły się. Obejrzał się na syna. Ich oczy się spotkały.

Zdumiewające, ile może przekazać dwusekundowe spojrzenie. Strach. Smutek. Żal.

Poczucie porażki.

Grey załomotał w drzwi.

– Otwieraj, Kelly! Otwórz drzwi!

Stone rozpiął pas i zerwał się z fotela. Ale podłoga uciekała mu spod nóg. Jakby nie spadał dość szybko, żeby utrzymać stopy na podłożu. Jak wtedy, kiedy kolejka górską mija pierwsze wielkie wzniesienie i nagle stajesz się zabawką grawitacji.

Sufit zjechał w dół i uderzył go w głowę. Niezbyt mocno, ale i tak nie miał prawa.

Stone nie podszedł do drzwi kabiny; poleciał na nie. Próbował chwycić oparcia foteli, ale bez skutku, palce tylko uderzały w beżową skórę, stopy bezradnie ślizgały się po wykładzinie. Wpadł na ojca z impetem.

Grey z całej siły uderzał ciałem w drzwi kabiny. Wrzeszczał. Klął, czego Gray McLure nie robił

nigdy.

Samolot był już przechylony tak mocno, że leciał bardziej pionowo niż poziomo. Stone leżał na plecach na podłodze i kopał w drzwi pod sobą, a ojciec, przyciśnięty grawitacją do grodzi, rzucał się na nie całym ciałem.

– Tato! Co się dzieje?

Stone kopał i kopał.

Aż nagle coś pękło. Futryna. Jeszcze jeden kopniak i po sprawie.

Stone podciągnął się z powrotem do góry, używając foteli jak śliskiej drabiny, a potem opadł i z całej siły wyrzucił nogi przed siebie. Z odgłosem łamanej gałęzi drzwi ustąpiły.

Stone wpadł przez nie, splątany z ojcem. Obydwaj grzmotnęli o fotel Kelly, o deskę nawigacyjną, o przednią szybę. Ból przeszył kolana Stone'a, łokieć, bark. Ale to nie miało znaczenia, bo zielone boisko było tuż-tuż. Pędziło na niego.

Przebłysk twarzy Kelly – krew na ustach od uderzenia o deskę, krótkie siwe włosy rozczochrane, puste oczy, wpatrujące się w coś z przerażeniem. W coś, co być może widziała tylko ona.

Przebłysk trybun pełnych ludzi.

Szamoczący się ojciec, gmatwanina kończyn, coś złamanego, głowa przekrzywiona pod dziwnym kątem, zbyt duże zamieszanie, żeby...

– Tato! – Szloch, nie krzyk.

Stone odepchnął się od deski przyrządów, jakimś cudem prawą ręką odnalazł drążek i szarpnął go mocno.

Kelly odwróciła się i spojrzała na niego. Jakby zdziwiona tym, co on robi. Tym, że go tu widzi. Powoli, jak we śnie, sięgnęła do drążka.

Wszyscy troje byli splątani w jeden kłęb, a boisko pędziło na nich. Tak szybko. o wiele za szybko. i Stone już wiedział.

Ale ciągnął za drążek i krzyczał: „Tato!” Na próżno, bo Gray nie mógł odpowiedzieć. Tylko patrzył na syna oczami pełnymi przerażenia i takiego smutku; takiego smutku.

– Tato!

Odrzutowiec zareagował. Dziób zaczął się wznosić. Siedzenia stadionu oddalały się, jakby leciały w dół, i teraz było już widać szczyt stadionu, jego górną krawędź.

I jakaś samotna, wciąż funkcjonująca część umysłu Stone’a zarejestrowała, że są we wnętrzu stadionu. Odrzutowiec. We wnętrzu stadionu. Wznosi się ku bezpiecznej przestrzeni.

Twarze. Stone widział tysiące twarzy. Patrzyły na niego, z tak bliska, że dostrzegał grymasy przerażenia. Widział oczy i otwarte usta, i rozlewane napoje, i potykające się nogi, kiedy ludzie próbowali uciekać.

Widział klubowe bluzy.

Rudowłosego chłopca.
Matkę, która przyciska do siebie dziecko.
Starego człowieka – w zwolnionym tempie
żegnał się znakiem krzyża.

– Tato.

Nagle samolot przekoziółkował. Góra była na dole.

Odrzutowiec poruszał się bardzo szybko. Ale nie szybciej niż dźwięk, więc huk aluminiowego dziobu, jak uderza w ciała, siedzenia i beton, dotarł do uszu Stone'a.

Ale zanim mózg przetworzył ten odgłos, wysokie czoło, mocny nos, szerokie ramiona, mózg i same uszy Stone'a zmieniły się w galaretę.

Stone zginął natychmiast, więc nie widział, że ciało ojca zostało przecięte na pół, kiedy bezwładność wypchnęła je przez pęknięty bok kabiny.

Nie widział, że część rozłupanej jak melon głowy Greya wystrzeliła na zewnątrz, gubiąc strzępy szarej i różowej tkanki, zostawiając za sobą smugę mózgu.

Mały kawałek – nie większy niż piąstka niemowlęcia jednego z największych umysłów współczesności wylądował w papierowym kubku z piwem Coors i zatonął w pianie.

A potem wybuch.

3

Sadie McLure zobaczyła samolot grubo za późno.

Koleś, z którym przyszła – Tony – nie był jej chłopakiem.

Nie. Ale może. Gdyby trochę dorósł. Gdyby przestał się przejmować tym, że jego ojciec jest tylko szefem działu w McLure Industries. I że mieszka w domu wielkości połowy garażu McLure'ów.

– Przepraszam za te miejsca – powiedział Tony po raz...

och, chyba z dziesiąty. – Myślałem, że uda mi się dostać do łóży mojego kumpla, ale...

Tak, to największy problem dla Sadie: niebycie w łóży, skąd lepiej widać grę, której nie rozumie i nie lubi.

Dopóki Tony o tym nie wspomniał, nie wiedziała nawet, że na stadionie są łóże.

Ta dysproporcja dochodów była chyba najmniej istotną rzeczą na świecie. Gdyby Sadie ograniczała się do synów innych miliarderów, miałaby niewielki wybór.

– Lubię się bratać z prostym ludem – odparła.

Tony zrobił przestraszoną minę.

– To był żart – rzuciła. A kiedy Tony się nie

uśmiechnął, dodała: – Wkręcę cię.

Spróbuj być miła, nakazała sobie.

Spróbuj być bardziej elastyczna.

Jasne, czemu nie mecz futbolowy? Może będzie fajnie. No chyba że skądinąd atrakcyjny i inteligentny chłopak zacznie przeproszać za swoją pięcioletnią toyotę i za kurtkę marki...

Sadie nawet nie pamiętała, jakiej marki, ale on najwyraźniej myślał, że niewłaściwej.

Jeśli istniał jakiś minus bycia bogatą – a nie było ich dużo – to taki, że ludzie z góry zakładali, że na pewno jest snobką. I żadna dawka zwyczajnego zachowania nie skłoniłaby ich do zmiany zdania.

– Zjedz nachosa. – Sadie podsunęła mu tekturową tackę.

– Ohyda, co? To raczej nie kawior.

– Hm, no cóż, już zjadłam swoją porcję kawioru na dzisiaj – powiedziała Sadie. I tym razem nie chciało jej się wyjaśniać, że to żart. Nabrała sosu jalapeño, wrzuciła nachosa do ust i zaczęła przeżuwać ponuro.

Zapowiadała się długa randka.

Sadie można by opisać jako zbiór przeciętnych cech, które w sumie dają coś absolutnie nieprzeciętnego. Była przeciętnego wzrostu i przeciętnej wagi. Ale wydawała się o wiele większa, jeśli się na coś zacięła albo wkurzyła.

Była przeciętnej urody. Chyba że flirtowała albo

chciała być zauważona przez jakiegoś chłopaka. Wtedy z całą pewnością nie wyglądała przeciętnie. Miała zdolność przemiany z „owszem, całkiem niezła” w „o Boże, serce mi stanęło” wystarczyło, że postanowiła uruchomić tę drugą opcję. Jakby przełączała pstryczek. Jak już wycelowwała w kogoś te swoje brązowe oczy i rozchyliła pełne wargi, wtedy rzeczywiście mogła doprowadzić do zawału.

A pięć minut później potrafiła znowu być całkiem ładną, ale niezbyt rzucającą się w oczy dziewczyną.

W tej chwili nie była w trybie wywoływania zawałów. Ale zaczynała docierać do etapu, kiedy wydawała się większa niż w rzeczywistości. Inteligentni, spostrzegawczy ludzie wiedzieli, że to niebezpieczne. Tony był inteligentny – inaczej nigdy by się z nim nie umówiła – ale spostrzegawczością nie grzeszył.

Jezu, zastanawiała się, pewnie nawet mamrocząc pod nosem, jak długo trwają takie mecze? Odnosiła wrażenie, że właśnie rozpoczyna się siedemdziesiąta piąta godzina.

Nie mogła tak po prostu wyjść, złapać taksówki i pojechać do domu; Tony pomyślałby, że to dlatego, że on nie ma telefonu wysadzanego brylantami czy czegoś w tym rodzaju.

A może ukradkiem wsunęłaby słuchawkę w ucho, którego nie widział? Czy by to zauważył? Cała

ta przygoda byłaby o wiele znośniejsza z jakąś muzyką czy audiobookiem. Albo chociaż białym szumem. A może z piwem, żeby przytępić tępotę sytuacji.

– Ewidentnie potrzebuję fałszywych dokumentów – powiedziała zbyt cicho jednak, by Tony mógł to usłyszeć w głośnym chóralnym jęku, kiedy podanie przeleciało nad głową odbierającego.

Zauważyła odrzutowiec tuż po tym, jak zaczął wchodzić w zbyt ostry zakręt.

Nie poznała samolotu ojca. Nie od razu. Umieszczanie na samolocie logo firmy nie było w stylu Greya.

– Zobacz – trąciła Tony’ego w ramię.

– Co?

– Popatrz na ten samolot. Spójrz, co robi.

I warkot silnika był jakiś dziwny. Za głośny. Za bliski.

Chwila odrętwienia, zanim jej mózg zaakceptował niemożliwe jako nieuniknione.

Odrzutowiec uderzy w trybuny. Nie dało się temu zapobiec. Zaczynał się wznosić, ale o wiele za późno.

Sadie złapała Tony’ego za ramię. Nie żeby dodać mu otuchy, ale żeby go ruszyć z miejsca.

– Tony. Uciekaj!

Zaparł się, spojrział na nią ze zmarszczonymi brwiami.

Ale Sadie już się zerwała do biegu. Wpadła na niego, przewróciła go; potknęła się o niego i zdarła sobie kolano przez dzinsy, ale zdołała podciągnąć jedną nogę pod siebie, nadepnęła wspaniały kaloryfer na brzuchu Tony'ego, odepchnęła się i skoczyła.

Odrzutowiec ryczał nad jej głową, brzmiało to jak koniec świata, tyle że kolejny dźwięk był jeszcze głośniejszy.

Kolana jej się ugięły, kiedy zatrzęsła się ziemia pod trybunami.

Potem walnięcie. I nie cisza, zaledwie mała wyrwa w burzy dźwięków.

A potem nowy dźwięk, kiedy wybuchły tony paliwa lotniczego. Uderzenie gromu w chmurze oddalonej o piętnaście metrów.

Ogień.

Różne rzeczy w powietrzu. Wielkie piankowe paluchy i ręce, które nimi wymachiwały. Papierowe kubki i popcorn, i hot dogi, i części ciał, całe mnóstwo, rozpędzone pociski krwawej miazgi.

Fala uderzeniowa była tak potężna, tak niepohamowana, że Sadie przez kilka minut nawet nie zorientowała się, że została odrzucona dziesięć metrów dalej, zdmuchnięta jak wielkim odkurzaczem do liści. Wylądowała plecami na krzesełku.

Siłę uderzenia złagodziło ciało małej dziewczynki. Ciśnięta jak lalka, którą znudził się Bóg.

Poczuła żar, jakby ktoś otworzył piec do pizzy tuż przed jej twarzą. I odpalił granat w serze i pepperoni. Pierwsze centymetry jej włosów zajęły się ogniem, który natychmiast został zdmuchnięty, kiedy powietrze popędziło z powrotem w próżnię wytworzoną przez wybuch.

Kolejne minuty upłynęły w czymś, co można by nazwać głośną ciszą. Nie słyszała krzyków. Nie słyszała już odgłosu szczątków padających wokół niej. Docierał do niej tylko najgłośniejszy alarm samochodowy świata. Wył w jej mózgu. Syrena nie znajdowała się na zewnątrz, ale w środku jej głowy.

Sadie sturlała się ze zmiażdżonego ciała dziewczynki.

Stała na czworakach między rzędami siedzeń. Coś lepkiego przeciekło jej między palcami. Coś czerwono-białego: krwawy tłuszcz. Kawał wielkości szynki.

Zrób coś, zrób coś, powtarzał jej mózg. Ale co? Ma uciekać? Krzyczeć?

Dopiero teraz zauważyła, że jej lewa ręka jest wykręcona w stronę, w którą ręce się nie wykręcają. Nie było bólu, tylko widok kości – jej własnych kości. Sterczały ze skóry przedramienia. Cienkie, białe patyki wystawały z dziury pełnej mielonego mięsa.

Wrzasnęła. Prawdopodobnie. Nie słyszała, ale czuła szeroko otwarte usta.

Wstała.

Ogień płonął ponad nią na trybunach, może ze trzydzieści rzędów wyżej. Statecznik ogona nie rozbił się, ale szybko pożerały go oleiste płomienie. Słup gęstego tłustego dymu wił się i wirował, i wypełniał jej nozdrza smrodem stacji benzynowych i grillowanego mięsa, zanim znalazł drogę w górę.

Płomienie głównego pożaru były prawie bezbarwne.

Ciała paliły się żółto i pomarańczowo.

Tony też – jeśli go stamtąd nie zdmuchnęło.

Jakiś gruby facet czołgał się, a ogień wspinał mu się po nogach.

Chłopiec, może dziesięcioletni, kucał przy głowie matki.

Sadie zorientowała się, że za jej plecami rozgrywa się całkiem inna scena szaleństwa. Odwróciła się i zobaczyła spanikowany tłum. Ludzie popychali się i tłoczyli jak stado bawołów uciekające przed lwem.

Ale niektórzy nie uciekali – szli niepewnie w stronę tej jatki.

Jakiś mężczyzna dotarł do Sadie i poruszył ustami. Dotknęła ucha, i chyba zrozumiał. Spojrzał na jej złamaną rękę i zrobił coś zdumiewającego. Pocałował koniuszki własnych palców, dotknął nimi jej barku i poszedł dalej. Później wydawało jej się to dziwne. W tamtej chwili – nie.

Ogon samolotu zapadał się w ogień. Przez dym Sadie z trudem odczytała numer rejestracyjny. Wiedziała już wcześniej; ta wiedza tkwiła gdzieś w jej zszokowanym mózgu. Numer tylko to potwierdził.

Chciała wierzyć w coś innego. Chciała wierzyć, że jej ojciec i brat nie giną w tym piekle ognia i dymu. Chciała wierzyć, że nie wdycha smrodu ich smażących się ciał. Ale trudno było udawać. To wymagałoby wysiłku, na który nie mogła się zdobyć. Jeszcze nie w tej chwili.

Teraz łatwiej jej było wierzyć, że wszyscy wszędzie nie żyją. Że nawet ona sama jest martwa.

Spojrzała w dół. Krew spływała po całej nogawce spodni .

Nasiąknięty dzins. Gapiła się na to jak głupia, bo z jej mózgiem działo się coś bardzo niedobrego.

I nagle stadion zakręcił się jak bąk i upadła.

– Niezły tik – pogratulował sobie Bug Man po cichu. Miał satysfakcję ze zwycięstwa. Nie żeby odniósł jakieś wielkie zwycięstwo. Jakkolwiek dramatyczny był rezultat w makro, w nano to tylko mozolna robota z przewodami. Żadnej walki oko w oko. Po prostu manipulacja przewodami, łączenie obrazów z działaniem.

Każdy mógł to zrobić. Ale czy tak szybko? Czy okablowaliby mózg pilotki w trzy dni? I zaprogramowali ją do tak spektakularnego rozstania z

życiem?

O nie.

Wyjął lewą dłoń z rękawicy. Potem prawą. Wysunęły się z cichym mlaśnięciem. A kiedy miał już wolne ręce, uniósł je i ostrożnie uwolnił głowę z hełmu.

Musiał koniecznie dać do regulacji ten tylny pasek. Ciągłe wrzynał mu się w kark, w miejscu, gdzie szyja spotyka się z krótko ostrzyżoną czaszką.

Siedział sam. Tu, na pięćdziesiątym ósmym piętrze, były większe pokoje i inne stacje tikerów, nawet na cztery konsole.

Ale Bug Man zasłużył sobie na prywatną przestrzeń. Gdyby wcisnął guzik automatycznej żaluzji, zobaczyłby iglicę budynku Chryslera o kwartał na zachód. Żaden inny tiker nie miał takiego widoku. Co nie znaczyło, że Bug Man często na niego patrzył. Nie chodziło o widok, tylko o fakt, że miał do niego prawo.

Prosty pokój, prawie bez mebli, nie licząc konsoli. Światło przyćmione, jedynie blask świec do aromaterapii w eleganckiej kryształowej misie. I szara poświata śniegu na monitorze.

Bug Man odetchnął.

Zwycięstwo. Wygrać, odfajkować i dodać do kolekcji.

Wiedział, że już po sprawie, kiedy wszystkie nanoboty w głowie pilotki – dwaj żołnierze i

szesnastu zapracowanych tkaczy – straciły sygnał w tym samym momencie.

Czy ktokolwiek inny umiałby prowadzić osiemnaście robaczków naraz, choćby nawet zgrupowanych w zastępy?

Z czego szesnaście aktywnie kładących kable? Nie, nikt.

Niech spróbują.

Ale tak czy inaczej, to tylko okablowanie. O, gdyby zaatakował go Vincent, to owszem, byłoby to legendarne zwycięstwo. Czy wtedy udałby mu się ten numer? Może. Nic dobrego nie przysłoby z lekceważenia Vincenta. Vincent miał dryg.

Bug Man spojrział na wyświetlacz i sprawdził dane telemetryczne z samotnego nanobota „szpiega” na chłopaku Sadie McLure, ukrytego we włosach, gdzie nikt by go nie szukał.

Odczyt pokazywał nagły skok temperatury otoczenia z dwunastu do sześćdziesięciu trzech stopni Celsjusza.

Wybuch.

Ale nie dość silny, żeby zabić chłopaka. Nie dość silny, żeby zabić Sadie, chyba że była o wiele bliżej eksplozji albo dostała jakimś odłamkiem.

Sukces. Ale niecałkowity. Według wszelkiego prawdopodobieństwa na świecie wciąż żył członek rodziny McLure’ów.

Bug Man wiedział, że wszyscy zgromadzą się za

drzwiami pokoju, żeby mu pogratulować. Bał się tego, bo na pewno włączą telewizor i będą oglądać to wszystko w stereo i w kolorze, słuchać pełnych napięcia głosów reporterów w śmigłowcach.

Bug Man nie lubił tych pośmiertnych imprezek. Wystarczało mu, że odniósł sukces. Babranie się w szczegółach, przybijanie piątek i cała reszta nie miał sensu.

Wolałby w ogóle nie wychodzić. Ale koszmarnie chciało mu się sikać.

Wymacał w kieszeni telefon i wetknął słuchawki w uszy.

Znalazł muzykę, której szukał.

Nagle wrogowie udają przyjaciół, by do końca być przy tobie, brachu.

W pokoju czarno, wróg jest tuż.

W plecy wbija się kuchenny nóż.

Bug Man nie miał przyjaciół. Nie w tym życiu. Nie w tej pracy. I wiele osób chętnie wbiłoby mu nóż w plecy. Paranoja?

Ha. Paranoja to tutaj zdrowy rozsądek.

Naciągnął na głowę kaptur bluzy, wziął głęboki wdech, zbierając się w sobie, i otworzył drzwi.

I oczywiście Jindal czekał na niego z uniesioną dłonią, żeby mu przybić piątkę. Jindal był... hm, właściwie kim? Kimś w rodzaju zarządcy biura dla tikerów? Sam uważał się za gościa na stanowisku, obdarzonego jakąś władzą. Tikerzy uznawali go za

kogoś, kto pilnował, żeby w lodówce nigdy nie brakowało red bulla.

Trzydziestopięciolatek szczerzył się służalczo do szesnastolatka w bluzie. Usiłował się podlizać. Wykonał nawet jakiś dziwny taneczny ruch, jakby próbował zrobić wrażenie na Bug Manie, udając ziomala z getta. Bug Man pochodził z Knighstbridge, drogiej londyńskiej dzielnicy. Nie z Bronksu.

Ale co taki Jindal mógł wiedzieć? Dla niego każdy z czarną gębą musiał być z getta.

– Ten cholerny wzmacniacz sygnału na sterowcu znowu stracił moc, Jindal – powiedział Bug Man trochę za głośno, przekrzykując muzykę w słuchawkach. – Zjechał mi do osiemdziesięciu procent.

Ciekawe, czy Jindal zatańczy na cześć spieprzonego wzmacniacza. Bug Man przepchnął się obok niego.

Ale z Burnowskim to inna sprawa. Tego gościa nie mógł tak po prostu zbyć. Facet może i był sześćdziesięcioletnim wrakiem z tygodniowym siwym zarostem i z gąbczastym nosem pijaka, ale umiał grać. Nikt nie był lepszym tikerem niż Anthony Elder alias Bug Man, ale jeśli ktoś deptał mu po piętach w rankingu, to właśnie Burnowski.

W końcu to on stworzył grę.

Bug Man wyjął jedną słuchawkę. Kapela śpiewała coś o dobieraniu sobie odpowiedniego

towarzystwa. Burnowski robił tę swoją krzywą, drwiącą minę – to jego najmilszy wyraz twarzy.

– Sso jest, Bug? Nie obejrzysz nagrania?

– Odwal się, stary. Muszę się odlać.

Burnowski najwyraźniej już zaglądał do swojego termosu ze schłodzoną wódką. Złapał Bug Mana za ramię i obrócił w przeciwną stronę.

– No chodź, mały. Nie chcesz zobaczyć makro? To niemałe osiągnięcie. Wielka chwila dla nas wszystkich.

Bug Man odtrącił rękę pijaka, ale i tak zdążył go zaatakować obraz zniszczeń w wysokiej rozdzielczości. Wyglądało na to, że kamera jest na tym samym sterowcu, bo ze śmigłowca nie wyszłoby tak nieruchome ujęcie. Dym i trupy.

Bug Man się odwrócił. Nie dlatego, że widok go przerażał, ale dlatego, że nie miał nic do rzeczy.

– Ja tylko gram, staruszk.

– Bliźniacy będą chcieli ci podziękować – rzucił drwiąco Burnowski. – Im też każesz się odwalić? Zadałeś dzisiaj potężny cios, mały. Grey McLure i jego syn zmienili się w węglowe brykiety. Dołączyłeś do największych, Anthony: jesteś teraz masowym mordercą, i to w makro. To coś więcej niż strzelanie do pajęczków w bebechach. I wszyscy zbliżyliśmy się o krok do świata, gdzie panuje doskonały pokój, szczęśliwość i ogólnoludzkie braterstwo.

– A ja chcę tylko zbliżyć się o krok do klopa,

człowieku odparł Bug Man.

– W tym kraju to się nazywa toaleta, mały brytyjski gnojku.

³³

Bug Man ruszył, ale Burnowski nagle podszedł bliżej, położył swoje bezkrwiste, papierowe dłonie na jego szyi, przyciągnął go do siebie i zionął mu w ucho osiemdziesięcioprocentowymi oparami.

– Któregoś dnia dorośniesz, Anthony. I zrozumiesz, co zrobiłeś. – Ściszył głos do szeptu. – I to zeżre cię żywcem.

Bug Man odepchnął go, ale nie na tyle mocno, żeby zwalić gościa z nóg.

– Czy ty jesteś aż tak głupi, Burnowski? – Wyszczерzył się w uśmiechu i pokręcił głową. Wskazał palcem swoją skroń. Właśnie okablowałem mózg pilotki. Myślisz, że nie okabluję własnego? No wiesz, jeśli kiedykolwiek poczuję taką potrzebę?

To zamknęło Burnowskiemu gębę. Stary cofnął się, zmarszczył brwi i machnął ręką, jakby chciał odpędzić widok gładkiej twarzy Bug Mana.

– Makro jest mikro, kolego. Ty topisz sumienie w wódzie i tłumisz je tym czymś, co palisz i od czego cuchniesz jak padlina... – Zobaczył, że Burnowski zerknął nerwowo na Jindala. – Robisz, co musisz. To nie moja sprawa, okej? Ale ja mam lepszy sposób. Ciachu-ciachu, drutu-drutu. No wiesz, jeśli kiedykolwiek zrobię się stary i mózg mi się

rozmiękczy jak tobie. A teraz albo pójdę do toalety,
albo nasikam ci na nogę.

4

Sadie McLure straciła przytomność w karetce, w drodze na oddział ratunkowy.

Obudziła się w skrawkach i kawałkach, w błyskach światła, wśród wiszących nad nią twarzy, pod sufitem z kafelków i jarzeniówek przelatujących nad głową. Widok zielonych kitli, masek, rurek i lśniących stalowych narzędzi.

Jak sen. I to zły sen.

Ostry, zapierający dech ból ręki, kiedy ktoś ją potrącił.

A z kitlami pojawiły się czarne garnitury. Ochrona. Chronić ostatnią z McLure'ów. Bo tym właśnie teraz była: ostatnią z McLure'ów.

Przeszywający ból nie pochodził z zakończeń nerwowych;

to własna dusza dźgnęła ją lodowatym nożem.

Potem mgła ulgi popłynęła żyłami, kiedy podano jej opiaty, żeby wyciszyć to wszystko.

Sen. I przerażające koszmary, że zapada się w lepką masę płonącego ciała. Jak w zbyt długo pieczoną piankę. I to nie jej ojciec czy brat płonął, ale matka, która przecież się nie spaliła – umarła w łóżku takim jak to, z wnętrznościami przeżartymi przez raka.

Sadie się obudziła. Ile minęło czasu? Nie miała jak się zorientować. W pokoju nie było kalendarza ani zegara. Był za to mężczyzna w czarnym garniturze, białej koszuli, czarnym krawacie i ze słuchawką w uchu. Siedział na krześle, ze skrzyżowanymi nogami, i czytał komiks dla dorosłych.

Na pewno miał pistolet. I paralizator. I prawdopodobnie drugi pistolet w kaburze na kostce.

Ciało Sadie wydawało się jednym wielkim siniakiem. Dokonała szybkiego przeglądu i stwierdziła, że owszem, boli każdy centymetr. Wewnątrz i na zewnątrz.

Leżała na plecach, z lekko uniesioną głową, z wenflonem przyklejonym na prawym przedramieniu. Obok łóżka wisiał worek z przezroczystym płynem.

Lewą rękę miała usztywnioną twardą, plastikową łuską, zgiętą prawie pod kątem prostym i podwieszoną na drucie.

Coś jej wetknęli w cewkę moczową. Bolało, ale zarazem czuła, że to coś tkwi tam od dłuższego czasu.

– Kim pan jest? – spytała. W jej głowie zabrzmiało to całkiem wyraźnie, ale odniosła wrażenie, że wyszło z ust jako szept.

Mężczyzna poderwał wzrok znad książki.

– Wody – sapnęła, bo ogarnęło ją dzikie pragnienie.

Facet wstał szybko. Podszedł do łóżka i wcisnął guzik. Po paru sekundach otworzyły się drzwi i weszły dwie pielęgniarki. Nie, pielęgniarka i lekarka; jedna z nich miała stetoskop.

– Wody – powtórzyła Sadie prawie przytomnym głosem.

– Najpierw musimy... – zaczęła lekarka.

– Wody! – wypaliła Sadie. – Najpierw: wody.

Lekarka cofnęła się o krok. Nie ona pierwsza i nie ostatnia.

Pielęgniarka podała Sadie butelkę z zagiętą słomką i pozwoliła wziąć łyk wody. Co za błogosławieństwo.

Pielęgniarki, przypomniała sobie Sadie. To powiedziała matka, kiedy leżała umierająca. Wszyscy lekarze mogą sobie iść do diabła; pielęgniarki idą prosto do nieba. Choć oczywiście Birgid McLure nigdy nie traktowała dosłownie nieba i piekła.

Sama.

Sadie była sama.

Tylko ja, pomyślała.

Zdawało jej się, że płacze, ale nie czuła łez, tylko potrzebę ich wylania.

W pokoju stał drugi facet w czarnym garniturze. Starszy.

Firmowy szef ochrony. Sadie go znała. Powinna pamiętać jego nazwisko, ale nie pamiętała. I trzeci facet, elegancki, w bardzo drogim prążkowanym

garniturze, mógł równie dobrze mieć na czole wytatuowane „prawnik”.

Korporacja ruszała do akcji. Prawnicy, ochrona... i wszystko za późno, cholera.

Musiała zadać głupie pytanie. Głupie, bo już znała odpowiedź.

– Mój tata. I Stone.

– Nie czas teraz... – odezwała się łagodnie pielęgniarka.

– Nie żyją – odpowiedział szef ochrony.

Pielęgniarka posłała mu wściekłe spojrzenie.

– To moja szefowa – stwierdził głucho mężczyzna. Spadkobierczyni. Kiedy zadaje pytanie, odpowiadam.

Lekarka pilnie czytała kartę. Pielęgniarka popatrzyła na Sadie, jakby chciała ocenić jej odwagę. Była z Jamajki, sądząc po akcencie. Albo z jednej z tych wysp, gdzie tak fajnie przekręcają angielski.

Lekko wzruszyła ramionami i pozwoliła Sadie wypić jeszcze jeden błogosławiony, boski łyk wody.

– Muszę wiedzieć, jak szybko będę mógł ją przenieść oznajmił szef ochrony. Stern. Jakiś tam Stern. Miał twarz z rodzaju tych, które zawsze wyglądają, jakby przed chwilą zostały ogolone. Schludny krawat, ale kołnierzyk trochę przekręcony na szyi. I choć gość bardzo się starał wyglądać na niewzruszonego, kąciki jego ust ciągle zjeżdżały w dół. Czerwone oczy. Niedawno płakał.

– Przenieść ją?! – wrzasnęła lekarka. – O czym pan mówi? Ma skomplikowane złamanie kości łokciowej i promieniowej, wstrząśnienie mózgu, krwawienie wewnętrzne...

– Pani doktor, tu nie mogę jej zapewnić bezpieczeństwa wyjaśnił Stern. – Mamy odpowiednie miejsce. Własnych lekarzy, własne ośrodki. I ścisłą ochronę.

– Trzeba jej zrobić rezonans magnetyczny. Trzeba sprawdzić, czy są obrażenia mózgu.

– Dysponujemy aparatem do rezonansu – poinformował prawnik, buchający pewnością siebie. Miał głos po prawie na Harvardzie. Głos, który po prostu nie dopuszczał sprzeciwu. – Jestem tymczasowym opiekunem panny McLure i jej radcą prawnym. I sądzę, że panna McLure wolałaby naszych lekarzy. A pani i ten szpital raczej nie potrzebujecie reporterów koczujących całą dobę pod oknami.

Stern zerknął na Sadie. Starał się nie robić tego ostentacyjnie, ale przechwyciła to spojrzenie i natychmiast załapała.

Nie, obcy nie powinni zaglądać do jej czaszki. Mogliby zobaczyć coś, co bardzo trudno byłoby im zrozumieć. A więc Stern wie. Użyteczna informacja.

– Zabierzcie mnie do domu – poleciła.

Szef ochrony kiwnął głową.

– Tak, panno McLure. Do domu.

Niedaleko domu Noaha był park, ale mżyło i zanosiło się, że rozpada się na dobre, więc Noah i dwójka jego kumpli, Mohammed i Mała Cora, kopali piłkę pod częściową osłoną dwóch wysokich ścian.

Noah dryblował przez chwilę, wykonał zręczną *pedalada* i podał do tyłu, do Mohammeda.

– Ja też potrafię zrobić pieprzoną chilene – upierała się Mała Cora; miała na myśli trik zwany *bicycle kick*, który wymagał zrobienia salta, by przejąć piłkę w powietrzu. Mała Cora uważała, że żadne zdanie nie jest kompletne bez przymiotnika „pieprzony”.

– Może raz by ci się udało – odparł Mohammed.
– A potem walnęłabyś głową o ziemię i spędziła sześć tygodni w szpitalu.

Mała Cora ruszyła na niego, odebrała mu piłkę i kopnęła ją z imponującą siłą i bardzo mizerną precyzją w najbliższą ścianę. Piłka uderzyła w kraty okna zaplecza pizzerii i odbiła się dzikim rykoszetem w stronę motocykla przypiętego do ogrodzenia. Płot oddzielał zaułek od torów kolejowych i akurat kiedy Mohammed zaczął ochrzaniać Małą Corę, pociąg przejechał z rykiem, zagłuszając ich dogryzki.

Noah złapał kierownicę motoru, zanim ten zdążył się przewrócić, potem pobiegł za piłką, która odturlała się spory kawałek.

Młody mężczyzna dotarł do niej pierwszy. Zatrzymał piłkę, podryblował trochę, tak tylko, żeby

pokazać, że umie, i kopnął ją do przyjaciół Noaha.

Azjata – Chińczyk, według Noaha – i to uderzająco przystojny. Z całą pewnością nie z tej dzielnicy.

– Noah? – spytał nieznajomy.

Noaha wmurowało. Jego kumple powoli podeszli bliżej;

opiekuńczy, ale i nieufni.

W mężczyźnie nie było nic groźnego. Nie wyszczerzył zębów, nie rzucił się na Noaha. Swobodnie spojrzał mu w oczy.

– A kto pyta?

– Szukam Noaha Cottona.

Amerykański akcent, a przynajmniej tak sądził Noah.

– To ja – przyznał trochę buntowniczo, trochę obojętnie.

Miejski chłopak; ostrożność wyssał z mlekiem matki.

Amerykanin był po dwudziestce, wysoki, szczególnie jak na Azjatę, szczupły, idealnie zadbany. Miał na sobie długi granatowy płaszcz z kaszmiru, ciemny garnitur i drogą białą koszulę, ozdobioną pod szyją nie krawatem, ale czymś w rodzaju białej szpilki z kwiatowym wzorem.

– Nazywam się Niżyński – powiedział Amerykanin. – Jestem przyjacielem twojego brata.

– Niżyński. To chyba rosyjskie nazwisko.

Facet wzruszył ramionami i uśmiechnął się, błyskając zdumiewająco równymi białymi zębami.

– To dziwne nazwisko, fakt. Większość ludzi nazywa mnie Jin.

– Dlaczego mnie szukasz?

Niżyński spuścił wzrok, zbierając myśli. A przynajmniej odgrywał człowieka, który zbiera myśli.

– Jak by to powiedzieć, Noah – odezwał się w końcu. Alex poprosił mnie, żebym miał na ciebie oko, gdyby... gdyby coś mu się stało.

Noah poczuł nagle, że trudno mu oddychać.

– Tak?

– Tak. Twój brat wykonywał bardzo ważną, ale i bardzo niebezpieczną pracę. Miał pewien wyjątkowy talent.

– Wypisał się z armii. Skończył z tym wszystkim.

– Tu nie chodzi o armię.

Noah wybałuszył oczy, a mężczyzna odpowiedział mu baczным spojrzeniem czarnych oczu w kształcie migdałów, okolonych rzęsami długimi jak u dziewczyny. Jego twarz była otwarta i szczerą. Jakby niczego nie ukrywał.

Niżyński spojrzał znacząco na Mohammeda i Małą Coreę, którzy podchodzili coraz bliżej.

– W porządku – rzucił Noah do przyjaciół. – I tak za mokro na piłkę. Jutro, dobra? Po szkole.

Mała Cora nigdy nie rozumiała subtelnych aluzji, ale Mohammed owszem. Złapał ją za ramię.

– No to idziemy, Cora.

– Zabieram swoją piłkę – warknęła wojowniczo, ale ruszyła uliczką za Mohammedem i oboje zniknęli za rogiem.

– Co się stało Aleksowi? – wypalił Noah.

– Chodzi ci o...

– Do cholery, dobrze wiesz, o co mi chodzi, nie?
– przerwał mu chłopak.

Ten wybuch nie rozgniewał Niżyńskiego; na jego twarzy pojawiło się tylko współczucie.

– Wiem, że Alex nagle doznał całkowitego załamania psychicznego. Niemal w ciągu jednej nocy zmienił się z normalnego, może trochę porywczego człowieka w szalejącego wariata.

Serce łomotało w piersi Noaha. Dyszał ciężko, bo zbyt wiele emocji wyrywało się z miejsca, gdzie je zagrzebał.

– Widziałem Aleksa. Dwa razy poszedłem go odwiedzić.

Jasne? W tym strasznym szpitalu. Trzymają go na łańcuchu jak jakiegoś pieprzonego psa!

Niżyński kiwnął głową. I nic poza tym.

Deszcz uderzył falą, która popędziła na nich uliczką.

Azjata wyjął parasolkę z kieszeni płaszcza i otworzył ją, zanim spadły pierwsze grube krople.

Podszedł bliżej, żeby osłonić Noaha, ale chłopak nie życzył sobie takich gestów. Cofnął się, a deszcz zaczął tłuc go po głowie i barkach.

– Siedzi tam i ciągle bredzi, tylko, tylko...

– Co mówi? O czym bredzi?

– Nano nano nano. Wiem, śmiesznie brzmi.

– Nie. Nie brzmi śmiesznie. Co jeszcze?

Noah pokręcił głową.

– Coś o jakimś bugmanie.

I w tym momencie, wreszcie, to zmrużenie niewzruszonych oczu, to drgnienie górnej wargi. I ciepłe współczucie bijące od Niżyńskiego na moment zmieniło się w mroźny front.

Noah nie przegapił tego trwającego ułamek sekundy przeblysku czegoś mrocznego. Smutku? Nie, choć może smutek stanowił tego część.

Furii. To było to. Furia. Ale błyskawicznie zgaszona.

– Jeszcze coś? – spytał mężczyzna. I teraz już nie zawracał sobie głowy maską. Wiedział, że dzieciak dostrzegł w jego oczach jakiś strzęp prawdy. Koniec pieprzenia. Czas na prawdę.

– Tak. Takie jedno słowo. Zaczął je wykrzykiwać. Dosłownie wrzeszczał jak... jak... – Przez chwilę nie mógł mówić. Za dużo. Za szybko. Przyłgął plecami do muru, który częściowo chronił go przed ulewą.

– Berserk – podsunął cicho Niżyński.

Serce Noaha zamarło. Poderwał głowę.

– Co to znaczy, do diabła? Co to jest? I skąd wiesz?

Niżyński westchnął.

– Co to jest? Organizacja. Jestem jej członkiem. Alex też był.

Czekał i patrzył, jak Noah to przetrawia. Jak zaczyna mu świtać prawda.

– Przyszedłeś tu, żeby... – Nie dokończył pytania. Wydawało się absurdalne i gdyby je zadał, poczułby się zażenowany.

– Twój brat posiadał pewną bardzo niespotykaną umiejętność. Czasami to rodzinne. Jeśli też ją masz, to może będziemy rozmawiać dalej. Jeśli nie, odejdę i się z tobą skontaktujemy.

Chłopak zamrugał, żeby usunąć wodę z oczu.

– Co tu jest grane? – Kiedy Niżyński nie odpowiedział, pytał dalej. – Bug Man. To prawdziwy człowiek? Znaczy, to on to zrobił Aleksowi?

– Bug Man istnieje naprawdę.

– Skąd... no wiesz, jak się dowiem, czy... czy mam to coś, o czym mówisz?

Niżyński wyjął wizytówkę z wewnętrznej kieszeni płaszcza i podał ją chłopakowi. Był to dość dziwny zlepek ręcznie zapisanych wskazówek. Szybko nachylił się nad wizytówką, żeby osłonić ją od deszczu.

Mężczyzna odwrócił się i odszedł, ale w pewnej

odległości przystanął.

– Powiedz mi coś, Noah! – zawołał. – Co ważniejsze: wolność czy szczęście?

Co to, jakaś gra? Ale Niżyński się nie uśmiechał.

– Nie możesz być szczęśliwy, jeśli nie jesteś wolny – odparł Noah.

Amerikanin kiwnął głową.

– Odpuść sobie jutro szkołę.

ARTEFAKT Do: C i B Armstrongowie Od: S Lebowski AmericaStrong, spółka Armstrong Fancy Gifts Corporation Status: POUFNE KODOWANE
Przeczytać i skasować Szanowni Panowie, prosiliście o raporty na temat stanu umysłu obywatela Burnowskiego. Zdołaliśmy złamać zabezpieczenia jego plików komputerowych. Poniższy tekst to wyjątek z wideodziennika. Chociaż wydaje się, że Burnowski do kogoś się zwraca, nie ma dowodów, że ktokolwiek poza nim oglądał te nagrania.

Według naszej oceny są bezpieczne.

W danej chwili nie oceniamy stanu psychicznego obywatela Burnowskiego, ale proszę pamiętać, że to alkoholik i palacz opium.

Tekst poniżej to transkrypcja. Samo nagranie również jest dostępne do wglądu.

POCZĄTEK TRANSKRYPCJI:

Pozwól, że opowiem ci o nano. Tam, w głębinach, w nano, widzisz istne cuda, człowieku. Zdaje ci się, że dostrzegasz wspaniałość stworzenia

w zachodzie słońca czy kształcie drzewa?

Nie, mój drogi, cała geniusz, cała architektura, cała pieprzona złożoność, wszystkie kształty i wzory, i cała groza – o tak, bo jest i groza – są tam, w bebeczach.

Chcesz zobaczyć Boga Stwórcę, najwspanialszego artystę?

Spójrz w nano. Dojrzysz Boga i zesrasz się ze strachu na jego widok.

Bóg nie siedzi w wielkich rzeczach mierzonych kilometrami.

Jest właśnie tam, w głębi. W czułkach pchły, które wyglądają jak włochaty pień drzewa i drgają spragnione krwi. I w makrofagu czołgającym się przed siebie jak ślimak bez skorupy, który przyszedł cię pożreć. I w komórkach, które dzielą się u twoich stóp; w krajobrazach mnożących się bakterii; i tak, właśnie tam, chcesz zobaczyć Boga z bliska, na własne oczy?

Wejdziesz ze mną w nano, a ja ci pokażę, co się dzieje, kiedy opróżnisz worek pełny gronkowców, tych najgorszych, ulepszonych MRSA, fasciitis necroticans we własnej osobie, prawdziwego gówna w oczodole, za okiem człowieka. Och, nie znasz tego terminu, tej schludnie brzmiącej łaciny? Czy w takim razie mówi ci coś nazwa „martwicze zapalenie powięzi”?

Rozcinasz go – ten worek – i wywalasz

zawartość, która natychmiast bierze się do roboty. Wgryza się w oko, w nerwy i w mózg. Mówię ci, nie widziałeś prawdziwego dzieła Bożego, dopóki nie widziałeś tych małych kuleczek gronkowca, tam w głębi, w bebeczach – wydają się mniej więcej tak duże jak koty, wiesz?

I są puchate. Ale nie mają oczu ani pyszczków, są jak bezduszne pitki do rugby, pokryte grudkami. I, stary, jak pracują. Powinieneś to zobaczyć.

Powinieneś zobaczyć, jak zmieniają zdrowe komórki w maź.

Jak przegryzają się przez mięśnie, rozsadzają komórki, rosną; mnożą się, zdwajają wysiłki i wyrządzane szkody, i znów, i znów, i jedzą przez cały czas, te gruzłowate piłki, a kiedy facet poczuje ból, jest już o wiele za późno.

Taaak. Chcesz zobaczyć oblicze Boga Artysty? Zejdź do nano i popatrz na morze zdrowej tkanki napadniętej przez tę mikroskopijną horde jak przez morderczych Hunów.

W końcu wygryzą sobie drogę na światło dzienne. Przez nos, policzek, oko, czaszkę.

Chwalmy Pana: Wspaniałego i Szalonego Artystę.

KONIEC TRANSKRYPCJI Ifincet też był z wizytą w Londynie, ale wiele kilometrów od Noaha i Niżyńskiego.

Vincent – dwadzieścia parę lat, schludny gość

średniego wzrostu, starannie ostrzyżony szatyn o skrzywionych ustach i brązowych oczach, w których nie było śladu ciepła. Miał lekko garbaty nos z ruchliwymi nozdrzami i prawie niewidoczną bliznę – rozciągała się centymetr powyżej i centymetr poniżej ust.

Nosił się jak człowiek, który nie chce ściągać na siebie uwagi, ale nie miał daru znikania w tłumie. Zauważalność była jego przekleństwem; nieważne, jak bardzo starał się patrzeć w ziemię i zachowywać obojętną minę. Ludzie i tak zauważali Vincenta, bo otaczała go aura tłumionych emocji i wybuchowości, ledwie maskowanej przez ostrożne ruchy i cichy, niemal niesłyszalny głos.

Właśnie zamierzał zjeść kolację. Siedział przy zacienionym stoliku w miłej, niezbyt dusznej hinduskiej restauracji przy Charlotte Street i skubał poppadom.

Cel znajdował się po drugiej stronie sali przy jednym z większych, lepiej oświetlonych i bardziej hałaśliwych stołów.

W sumie siedziało tam pięć osób, a cel – Liselotte Osborne – nie była najbogatsza ani najważniejsza z nich, więc nie zajmowała miejsca u szczytu; siedziała w połowie jednego z boków, plecami do Vincenta.

Mimo to Vincent miał doskonały widok na jej oko. Lewe.

Część jego umysłu przebywała w sali – nieuważnie przysłuchiwała się rozmowie przerywanej nagłymi wybuchami śmiechu, widziała odbicia żółtych żyrandoli w kieliszkach restauracyjnego wina i zastanawiała się od niechcenia nad zestawem obrazów na tapetowanych ścianach.

Druga część umysłu była po drugiej stronie sali, na lewej dolnej powiece Liselotte Osborne. Z tego punktu obserwacyjnego Vincent widział drzewa o grubych pniach, wyrastające niewiarygodnie długimi tukami z gąbczastej, wilgotnej, różowej tkanki. Te drzewa nie miały gałęzi; przypominały brązowe palmy o szorstkiej korze, które wyginały się, by zniknąć mu z oczu za plecami. Korę oblepiały nierówne placki czarnej lepkiej substancji, jakby ktoś obrzucił ją potężnymi garściami smoły.

Rzęsy.

Rzęsy pomalowane tuszem.

Pajęczaste nogi Vincenta przestąpiły nad dwoma nużeńcami, które wyglądały jak krokodyle z obojętnymi pyskami jakichś bezdusznych kotowatych. Gadzie ogony nużeńcowych dzieci sterczały z podstawy rzęsy. I wiły się.

Ze swojego miejsca między dwoma szorstkimi, upačkanymi łukami rzęs Vincent widział ogromną mokrą połać bieli, ciągnęła się aż po horyzont – morze mleka pod napięta, wilgotną membraną. To morze mleka przecinały zygzakowate, czerwone

rzeki. Kiedy dostroił oczy i przyjrzał się uważniej, dostrzegł w nich przyspieszający i ustający, przyspieszający i ustający bieg czerwonych krwinek w kształcie frisbee. Od czasu do czasu trafiał się gąbczasty limfocyt.

Patrzył ponad gałką oczną Liselotte, z powodu niewyspania naznaczoną naczyniami włosowatymi, obrzeżoną czarną smołą zamieszkaną przez mikrofaunę, którą widział, i oczywiście przez całe mnóstwo form życia tak małych, że nawet biot nie mógł ich dostrzec.

Vincent poczuł podmuch wiatru i ujrzał barierę – pędziła na niego z przerażającą prędkością. Nieskończona, lekko wklęsła ściana różu i szarości; zdawało się, że ma trzy metry wysokości. Sunęła po gałce ocznej jak tsunami, szybka, niepowstrzymana. Z tej różowoszarej ściany wyrastało jeszcze więcej ciemnobrązowych palm, wygiętych do góry i ginących poza zasięgiem wzroku Vincenta. Jak mur twierdzy zakończony idiotycznie wygiętym częstokołem.

Liselotte mrugała.

– Gazowaną – odparł Vincent w odpowiedzi na pytanie kelnera, jaką woli wodę.

– Mogę już przyjąć zamówienie?

– A jaka jest wasza specjalność? Zresztą, nieważne, cokolwiek tam serwujecie, poproszę. Na ostro. – Oddał menu kelnerowi, który uparł się, że i

tak przedstawi mu specjalność restauracji.

To nie miało dla Vincenta znaczenia. Ogólnie jedzenie nie bardzo go obchodziło. To tylko jedna z wielu przyjemności, na które był obojętny. Choć bardzo ostre potrawy wywoływały odczucie może trochę zbliżone do przyjemności.

Vincent – naprawdę nazywał się Michael Ford – cierpiał na rzadkie zaburzenie zwane anhedonią. Objawia się ono niezdolnością do odczuwania przyjemności. Zwykle bywa wynikiem wieloletniego zażywania narkotyków. Albo schizofrenii.

Ale Vincent nie był ani ćpunem, ani szaleńcem.

W każdym razie nie w klinicznym sensie.

Jeszcze.

Biot, noszący funkcjonalne i niezbyt wymyślne imię V2, naprężył swoje sześć odnóży i obserwował ruch nadciągającej powieki. Kiedy znajdowała się ledwie kilkanaście metrów od niego w mikrosubiektywnej skali „msub” – czyli mniej niż parę milimetrów w skali makrorzeczywistej „mak” – biot skoczył.

Wystrzelił w powietrze. Rozłożył krótkie, tępe skrzydła, które pomogły mu uniknąć koziółkowania. Szeroko rozstawił też przygięte nogi, by złagodzić wstrząs. W locie otarł się o rzęsę, upaśćkał się w plamie tuszu, wylądował i wbił sześć ostrych odnóży w ciało. Ich końcówki rozszczepiły się jak kotwiczki, mocując biota na miejscu.

Użycie kotwiczek zawsze wiązało się z ryzykiem, bo jeśli miało się pecha i trafiło za blisko zakończenia nerwowego, cel czuł leciutkie podrażnienie. I mógł postanowić się podrapać.

Oczywiście nie zgniótłby biota, ale z całą pewnością by go przemieścił, co byłoby stratą cennego czasu.

Rozpędzona górna powieka uderzyła z impetem w dolną. Gigantyczne rzęsy zadrzały i zawibrowały nad biotem jak rzadki palmowy las. Powierzchnia powieki zafalowała jak przy trzęsieniu ziemi, ale z wbitymi kotwiczkami V2 trzymał się pewnie.

Lepka ciecz wysączyła się spomiędzy powiek, a potem, kiedy górna zaczęła się odsuwać, ciecz rozciągnęła się jak guma do żucia, aż pękła.

Łzy.

Vincent podczas jednej z misji przeżył wybuch płaczu i wylądował z biotem na samym dole twarzy, uwięziony w ciekących smarkach.

⁴⁹

Ale to nie były łzy płaczu; tylko nawilżenie.

Górna powieka cofnęła się; pomknęła po lodowej bieli, a potem po tęczówce. Vincent pewnie by się ucieszył, gdyby należał do ludzi, którzy się cieszą.

Wiele części ludzkiego ciała wyglądało z bliska bardzo niepokojąco. Ale, o dziwo, niewiele wytrącało z równowagi bardziej niż ludzka tęczówka. To, co z

daleka przypominało niebieski lód, z bliska było jak oko cyklonu na Jowiszu. Na samej granicy pola widzenia Vincent dostrzegał błękit, czy raczej szarość, która wydawała się błękitem. Ale nie była gładka; to pofałdowana, włóknista masa, tysiące pasemek nagiego mięśnia, wycelowanych promieniście do wewnątrz, w stronę źrenicy, a wszystkie miały za zadanie rozszerzać się i kurczyć, by wpuścić w źrenicę mniej lub więcej światła.

Z bliska – a nie dało się być już dużo bliżej niż V2, bo siedział na samym skraju powieki – tęczęwka wyglądała trochę jak warstwa na warstwie szarych i pomarańczowych dżdżownic, cieńszych przy zewnętrznym brzegu, grubszych przy krawędzi źrenicy.

A sama źrenica uciekała w głąb – straszliwa, bezdenna czarna dziura. Otchłań. Ale jeśli spojrzano się wprost w dół i złapało odpowiednie światło, można było jednak zobaczyć dno tej otchłani, bezładne naczynia krwionośne i zgrubienie z przyczepionym nerwem wzrokowym.

Tym razem – w świetle świec i miękkim żółtym blasku świetlówek – Vincent tego nie wychwytał. Widział źrenicę jako czarne okrągłe jezioro – rozszerzało się, kiedy wężowate mięśnie tęczęwki kurczyły się częściowo.

Biot miał czterysta mikronów – mniej niż pół milimetra wszerz i wzwyż. Ale w skali msub –

perspektywie odbieranej przez operatora biota – wydawał się długi mniej więcej na dwa metry i niemal tak samo wysoki. Dla tikera był mniej więcej wielkości suva.

Z kolei w skali mak to spora drobina kurzu. Ale kiedy jesteś drobiną kurzu, nie czujesz się maleńki. Czujesz się duży.

Kiedy powieka osiągnęła najwyższy punkt, V2 zeskoczył. Wylądował na mlecznym morzu i spłaszczył się przy powierzchni, kiedy powieka zatrzymała się, zawahała i znów poleciała w dół, nad jego głową, niczym gumowaty, różowy koc.

Vincent pomyślał: światło! – i stała się światłość. Bliźniacze organy fosforescencyjne na głowie biota zaświeciły ultrafioletem.

Odczekał, aż powieka znów się uniesie, zjadł kolejny kawałek poppadomu, wbił jedno odnóże w spód powieki i, popijając wodę, pozwolił się pociągnąć w górę po śliskiej gałce ocznej.

Nieźła przejażdżka. Patrzył, jak kelner dolewa mu wina do kieliszka, i poczuł lekki dreszcz, pewnego rodzaju echo tego, co czuł V2, gdy przejeżdżał grzbietem po gładkiej powierzchni oka.

Sztuczka z przedostaniem się do mózgu przez oko polegała na tym, że należało dotrzeć do otworu w tylnej części kości oczodołu. Biot potrafił przebić się przez kość, ale to nigdy nie było ani szybkie, ani bezpieczne. Takie działanie prowokowało burzę

reakcji obronnych organizmu.

Żeby dotrzeć do otworu – Vincent zapomniał jego oficjalnej nazwy – najlepiej obejść gałkę oczną. W skali msub to długi marsz. I cały czas trzeba walczyć ze spowalniającą ruchy wilgocią łez i z obrotowymi ruchami gałki ocznej, która spogląda to w jedną, to w drugą stronę.

Dwie inne drogi do mózgu – przez ucho i przez nos – są najeżone jeszcze większymi trudnościami. Pierwszą z nich utrudnia woskowina i spore prawdopodobieństwo wodnego zatoru, a drugą – niewyobrażalny syf: pyłki, śluz, wszelkie rodzaje mikrofauny i mikroflory.

Już oko lepsze. Po pierwsze można, jeśli się chce, zapuścić sondę w nerw wzrokowy i uzyskać choć trochę optyki makro – zobaczyć część tego, co widzi cel, choć zwykle w bardzo ziarnistej skali szarości.

Drugie na skali największych zagrożeń dla biota jest zgubienie się. Kiedy ma się rozmiary pyłku, długość ludzkiego ciała od końca do końca wynosi mniej więcej osiem kilometrów. Więc V2 grzecznie przewędrował po gałce ocznej, wcisnął się pod śluzówkę, trochę się pogubił, aż wreszcie dotarł do nerwu wzrokowego dokładnie w chwili, kiedy przed Vincentem stawiano kolację.

I nagle, całkiem niespodziewanie, natknął się nie na drugie, ale pierwsze z listy największych zagrożeń

dla biota.

Zaatakowały z oszłamiającą prędkością. Buksowały kołami, ale mimo wszystko zachowały przyczepność na powierzchni oka. Trzy z nich zobaczył natychmiast, kiedy tylko wypadły z za sekwoi nerwu wzrokowego.

Co odpowiadało na pytanie, czy profesor Liselotte Osborne – czołowy ekspert w dziedzinie nanotechnologii, konsultantka MI5, kobieta, która mogła popchnąć naprzód lub utracić dochodzenie Agencji Bezpieczeństwa na temat nanotechnologii – była czysta czy zainfekowana.

Dwa kolejne nanoboty pojawiły się za plecami V2.

Pięć na jednego. Ale gdyby został tu dłużej, z pewnością pojawiłoby się ich więcej.

Kto był tikerem? Vincent obserwował, jak poruszają się nanoboty. Zbyt brawurowo. Zgrupowane w dwa zastępy, złożone ze stosunkowo niegroźnych tkaczy i z żołnierzy. Nie prowadziła ich doświadczona ręka. Czyli nie Bug Man. Ani Burnowski. Nawet nie ta nowa – jak ona się nazywa? One-Up. Tak. Nie ona. Oni wszyscy potrafili prowadzić każdego z pięciu nanobotów osobno, nie musieli łączyć ich w zastępy.

Vincent spróbował curry. Bardzo ostre.

Zaczął starannie przeżuwać. Dokładne przeżuwanie to ważna sprawa. Wspomaga trawienie,

a trawienie często powodowało problemy podczas tych długich podróży przez wiele stref czasowych.

W tej samej chwili Vincent obrócił V2 w stronę dwóch nanobotów, których miał nie zauważyć.

Jedzenie nie sprawiało mu przyjemności, ale poczuł coś bardzo do niej zbliżonego, kiedy zatopił tnące szczypce w najbliższym nanobocie, prosto w jego łącze komunikacyjne, i wywlókł nanoprzewód.

Zawibrowała komórka.

Tylko jedna osoba mogła dzwonić do niego i zawsze się dodzwonić.

Wyjął telefon i spojrzął na SMS. Zdekoncentrował się i o mało nie stracił dwóch odnóży V2, gdy nanobot wykonał niskie, koszące cięcie.

„Grey i Stone nie żyją. Potwierdzone. Sadie ranna/OK”.

Vincent nie doświadczał przyjemności. Niestety doskonale odczuwał żal, wściekłość i stratę.

Pierwszą wiadomość o katastrofie odłożył na bok. Schował do odpowiedniej przegródki. Wypełniał misję, musiał się skupić, a z długiego doświadczenia wiedział, że nie wolno ufać telewizyjnym newsom. Może Grey McLure nie siedział w tym samolocie. Może.

Ale tę wiadomość przesłał Lear. A jeśli Lear coś powiedział, to była prawda.

Vincent odpisał. Zgubił kilka liter, bo akurat

wbijał ostre odnoże w niczym niechroniony staw nogi drugiego nanobota.

Patrzył, jak przeciwnik pada.

Ale nadciągało ich więcej. Nowy zastęp złożony z sześciu nanobotów.

„Cel LO zainf. Starcie. Wycofuj się”.

Gdyby miał na miejscu dwa bioty, mógłby powalczyć w tej bitwie i wygrać. Z trzema byłby pewien zwycięstwa. Ale tak, walkę musiał uznać za przegraną.

Odpowiedź od Leara:

„Kartagina”.

Vincent zagapił się na to słowo. Nie, nie, nie. To nie w jego stylu. On nie był od tego.

Laserowy promień ciachnął jedno z jego sześciu odnoży. Cięcie nie przeszło do końca, ale noga pękła. Wiedział, że to niezbyt go spowolni, ale z pewnością zaburzy równowagę biota.

To nieodpowiedni moment, żeby zostać i bawić się w „zathucz nanobota i być może przegraj”. To pora, żeby odzyskać biota, i to jak najszybciej.

Kartagina. Wielki wróg cesarstwa rzymskiego. Do czasu, kiedy Rzymianie podbili ją, zamordowali bądź wzięli w niewolę wszystkich mężczyzn, wszystkie kobiety i dzieci; spalili wszystkie budowle do gołej ziemi, a potem obsiali ją solą, żeby już nic nigdy tam nie wyrosło.

Carthago delenda est. To rzymski slogan:

Kartagina musi zostać zniszczona.

Vincent otarł usta serwetką.

Odsunął krzesło.

V2 odwrócił się i uciekł czterem deptającym mu po piętach nanobotom i tłumkowi tych, które były jeszcze dość daleko. Jeszcze więcej ich mknęło w dół po nerwie wzrokowym.

Nie stanowiły problemu: na czterech odnóżach poruszały się wolniej od biotów. Tylko kiedy miały do dyspozycji w miarę gładką powierzchnię, mogły się przełączyć na swoje pojedyncze koło i prześcignąć biota.

Niestety gałka oczna to bodaj najgładsza powierzchnia.

V2 przebierał odnóżami z maksymalną prędkością. Pędził z powrotem po oku.

Vincent powoli ruszył przez salę w stronę Liselotte Osborne.

V2 odczekał, aż dwa nanoboty podejną dość blisko. Dopiero wtedy otworzy ogień. Ich strzałki utraciły mu kolejne odnoże.

Vincent poczuł echo bólu we własnej nodze.

V2 rozpylił kwas siarkowy na prawo i lewo. Kwas nie zabija nanobotów, ale je spowolni – utworzy pod ich nogami bagniste kałuże rozkładającego się ciała. A on sam, nawet na czterech odnóżach i ciągnąc za sobą kikuty, miał szansę uciec pozostałym przeciwnikom.

– Och! Och! – krzyknęła nagle Liselotte Osborne i przycisnęła palce do oka.

– Co się stało? – spytał zaniepokojony jeden z mężczyzn.

Ucisk o mało nie przygniół V2, ale palce Osborne były teraz na północ od niego, blokowały nanoboty, a V2 miał przed sobą wolną drogę.

– Moje oko! Mam coś w oku. Strasznie boli.

Vincent podszedł do Osborne.

– Jestem lekarzem, to może być wylew – wtrącił się zrećcznie. – Musimy panią położyć.

Zabawne, jak skuteczne może być zdanie „jestem lekarzem”.

Pomógł Osborne wstać z krzesła i ułożył ją na plecach.

Kucnął nad kobietą, delikatnie odsunął jej dłoń od twarzy i dotknął własnym palcem.

Wzrokiem V2 ujrzał ogromną ścianę pobrużdżonego ciała, opuszczającą się z nieba, i pobiegł na jej spotkanie.

Wolna dłoń Vincenta powędrowała do kieszeni, po czym wysunęła się niepostrzeżenie, trzymając coś czarnego, co

mogło być drogim piórem. Przycisnął koniec tego przedmiotu do podstawy czaszki Osborne.

V2 wskoczył na palec w chwili, kiedy dwa nanoboty wynurzyły się na otwartą przestrzeń z chmury kwasu.

Vincent przycisnął zatrzask pióra i sprężyny wypchnęły siedmiocentymetrowe ostrze z wolframowej stali wprost w rdzeń przedłużony Osborne.

Vincent wykonał ostrzem pół obrotu, znów przycisnął zatrzask i schował narzędzie, które każdemu niewtajemniczonemu wydałoby się ładnym mont blankiem.

– Ta pani potrzebuje pomocy – oznajmił.

V2 przebiegł wyżej po palcu i wbił kotwiczki w ciało.

Vincent wstał gwałtownie – Wezwę karetkę. – Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Wiedział, że minie z dziesięć minut, zanim znajomi i współpracownicy Liselotte Osborne zorientują się, iż nie wezwał nikogo ani niczego. Przez ten czas kałuża krwi pod jej głową zrobi się całkiem spora i Liselotte nie będzie się już skarżyć na ból oka.

i Vincent był już w powietrzu w drodze do Stanów, Niżyński relaksował się przy drinku w swoim londyńskim hotelu, pewny, że Noah stawi się na test następnego dnia, a Burnowski wypił już pół butelki wódki i myślał o fajce, kiedy Bug Man dotarł do domu i zobaczył Jessicę. Czekala na niego pod drzwiami.

Stała na trzecim stopniu schodków przed wejściem i podskakiwała lekko, żeby się rozgrzać.

Osiemnastolatka – dwa lata starsza od niego. Pochodziła z północnej Afryki, z Etiopii czy Somalii, nigdy nie mógł zapamiętać skąd.

Miała chyba najdłuższe nogi, jakie widział w życiu. Była wyższa od niego. Doskonałe ciało w każdym calu. Oblędne pełne wargi i wielkie jasnobrązowe oczy, i skóra jak ciepły jedwab.

Włosy skręcone w luźne, falujące dredy zwisały jej z czoła i łaskotały twarz Bug Mana, kiedy była na górze i go całowała.

– Cześć, mała. Pewnie już zamarzasz.

– Ty mnie rozgrzejesz – rzuciła zalotnie, zeszła ze schodów i otworzyła ramiona na powitanie.

Całus. I to naprawdę niezły, od którego parowały ich wargi. A ciepło jej ciała wsiąkało wprost w jego ciało i rozgrzewało go do kości.

– Mogłaś wejść do środka, żeby na mnie poczekać.

– Twoja matka za mną nie przepada – odparła, ale bez pretensji.

Wzruszył ramionami.

Bug Man mieszkał z matką i jej siostrą, ciotką Benicią, w Park Slope, w tej części bliżej Flatbush. Dzielnica była głównie biała, zamożna, pełna ludzi z branży wydawniczej, o ile cokolwiek z niej jeszcze zostało. Pisarzy, wydawców i tak dalej. Stawali na rżęsach, żeby uśmiechnąć się do chłopaka o dziwnych azjatyckich oczach i szerokim uśmiechu.

Chcieli, żeby wiedział, że jest tu mile widziany No wiecie, on – czarny nastolatek w eleganckiej dzielnicy.

Bug Man nie mieszkał w jednej z tych dwupiętrowych kamienic, na których urządzenie ci amatorzy latte wydawali fortuny. Jego nieduża rodzina miała ładne mieszkanie na pierwszym piętrze, z trzema sypialniami, zbyt małą liczbą okien i, niestety, tylko jedną łazienką. Przeprowadzili się tam z Londynu przed ośmioma laty, kiedy ojciec Bug Mana zmarł na udar.

Ciotka Benicia odłożyła trochę grosza, a matka, Vallie Elder, ostrożnie inwestowała pieniądze z ubezpieczenia po ojcu.

No i oczywiście Bug Man też się dorzucał dzięki swojej dobrze płatnej pracy w centrum.

Testował gry komputerowe w Armstrong Fancy Gifts Corporation. Tak mówił ludziom. I dlaczego mieliby myśleć, że jest inaczej? Każdy mógł sobie wygooglować tę firmę. Działali w branży chyba od czasów wojny secesyjnej. Prowadzili sklepy z upominkami w centrach handlowych i na lotniskach. Bug Man potrafiłby wskazać niektóre z gier testowanych przez siebie. Były dostępne w sklepie internetowym.

Wprowadził Jessicę do mieszkania.

– To ja – zawołał.

Matka, zajęta czymś, odkrzyknęła coś z kuchni.

Jeśli ciotka Benicia siedziała w domu, nie odezwała się.

– Chcesz coś do jedzenia? – spytał Jessicę.

– Mhm – wydyszała mu w szyję.

O tak, to działało na Bug Mana. Ciągłe sprawiało, że jego serce gubiło kilka uderzeń. To była długa i skomplikowana robota, setki godzin kierowania tkaczami, identyfikowania i kauteryzowania jej ośrodków zahamowań. A potem wszczepianie obrazów Bug Mana w jej pamięć wzrokową i łączenie ich przewodami albo transponderami z ośrodkami przyjemności.

Strasznie męcząca sprawa, bo musiał zrobić to wszystko w wolnym czasie. Ale się opłacało, och, i to jak bardzo. Dziewczyna należała do niego. Jeśli chodzi o wygląd, Bug Man – tak szczerze – przyznałby sobie jakieś sześć czy siedem punktów.

Jessica wychodziła poza skalę. Ludziom na ulicy na ich widok opadały szczęki, na twarzach pojawiała się mina pod tytułem „życie jest niesprawiedliwe”, a w głowach pewnie zaczynało się formułować pytanie: Rany, co ten gość w sobie ma?

To dlatego jego mama nie lubiła Jessiki. Podejrzewała, że dziewczynie chodzi o jego pieniądze. Choć bardzo kochała syna, nie była na tyle głupia, by myśleć, że dziewczyna poleciała na jego urodę czy ciało.

Bug Man miał kodowany pilot w kieszeni, na

oko niewinny brelok do kluczy. Przycisnął guzik i otworzył zamek w drzwiach swojego pokoju.

Za taką kasę, jaką zarabiał, mógł urządzić sobie w pokoju technologiczny raj – plazmowe telewizory, najnowsze elektroniczne gadzety. Ale miał tego po dziurki w nosie w pracy. Jego pokój wyglądał jak sanktuarium zen. Proste, dwuosobowe łóżko z białą pościelą i białym zagłówkiem. Materac leżał na hebanowej platformie, która jakby unosiła się na środku pomieszczenia.

Był tu też wygodny kącik do siedzenia, z dwoma czarnymi skórzano-stalowymi fotelami przy małym stoliczku.

Biurko – proste, o eleganckich proporcjach – dźwigało trochę staroświecki komputer. Bug Man nie czułby się dobrze całkowicie odcięty od świata, ale to wszystko zasłonił mahoniowo-szklanym parawanem w japońskim stylu.

Prawdziwe cuda techniki pozostawały ukryte przed wzrokiem. W krawędzie drzwi wprawiona była belka z sensorami.

Skanowała podłogę i futrynę z bardzo dużą częstotliwością odświeżania. Szukała wszystkiego na poziomie nano. Takie same gadzety miał wbudowane w okno i w ściany wokół gniazdek elektrycznych.

Technologia nanoskanu nie jest najdoskonalsza – za dużo fałszywych alarmów. Ludzie, którzy całe życie przeżywają w makro, nie są świadomi istnienia

nawet jednej dziesiątej świństw, które łążą w kurzu na podłodze.

Tak czy inaczej, na poziomie nano ściany i listwy przypodłogowe wyglądają jak sito. Ale Bug Man wiedział z doświadczenia, że tiker, gdyby nadarzyła mu się taka możliwość, wybrałby łatwiejszą drogę – drzwi, okno albo biologiczny nośnik. Czyli człowieka, kota albo psa. To wyjaśniało, dlaczego nie wpuszczał hałaśliwego pieska ciotki Benicii do swojego pokoju.

Wielka słabość technologii nanobotów polegała na tym, że wymagały stosowania stacji sterującej. Biotami można było sterować bezpośrednio mózgiem, ale nanoboty potrzebowały komputerowej asysty i komunikacji na częstotliwości promieni gamma. Najlepiej z bliska i bezpośrednio. W razie konieczności przez wzmacniaki, ale te często się psuły.

Bug Man ponosił więc pewne ryzyko, przebywając tutaj, w niezabezpieczonym miejscu. Alternatywą była ochrona przez całą dobę przez innego tikera. W życiu. Ale prędzej go szlag trafi, niż pozwoli któremuś z tych gości podpiąć się do jego optyki i podglądać, jak się bzykają z Jessicą.

Już dość dużo poświęcił pracy. Nie poświęci Jessiki. Była najlepszą rzeczą, jaka spotkała go w życiu. Te nogi? Te usta?

Te cuda, które zrobiła?

Ta robota, którą w nią włożył?

Nie, jego poświęcenie dla Bliźniaków miało swoje granice. I to, czego mogli żądać, też miało granice, bo kiedy dochodziło do bitwy w jakiejś pulsującej arterii albo w czyimś mózgu, kiedy trzeba było stanąć oko w oko w desperackiej walce z Kerouakiem albo Vincentem... zaraz. Zapomniał: Kerouac wypadł z gry. W sumie szkoda. Grał jak trzeba.

Tak czy inaczej, dopóki Vincent jeszcze podrygiwał i był niepokonany, Bliźniacy mogli Bug Manowi gównu zrobić.

Więc nie, nie zamierzał pozwolić, żeby jakiś żółtodziób wbił mu się nanobotem w ciało, kiedy Jessica wije się na nim.

Sorry. Nic z tego.

Jessica trzęsa się trochę, ale zdjęła kurtkę.

Bug Man zamknął drzwi na klucz.

– Na co masz dzisiaj ochotę, mała? – Przyciągnął ją do siebie.

– Na to co zechcesz – szepnęła.

– Tak. Podejrzywałem, że to powiesz.

Miękki, śpiewny dźwięk rozległ się za parawanem. Bug Man się zawahał.

– Nie – powiedział.

Dźwięk powtórzył się, głośniejszy.

– Cholera, nie – warknął Bug Man.

– Nie idź – poprosiła Jessica.

– Uwierz mi, naprawdę nie chcę – odparł. –
Uwierz mi.

Nie ruszaj się. Znaczy, możesz się ruszać, ale głównie po to, żeby zrzucić ciuchy. Tylko sprawdzę, o co chodzi.

Trochę niezgrabnie przeszedł od łóżka do zasłoniętego komputera. W górnym prawym rogu monitora pulsował malutki czerwony wykrzyknik. Bug Man znów zaklął. Ale usiadł na krześle, wetknął słuchawki w uszy i wklepał hasło – trzydzieści dwa znaki.

Spodziewał się zobaczyć paskudną gębę Burnowskiego.

Ale to było gorsze. Dużo gorsze. Bo na monitorze widnieli Bliźniacy: wybryk natury w podwójnej osobie Charlesa i Benjamina Armstrongów.

Bug Man zamaskował wyraz obrzydzenia na twarzy. Dwa razy spotkał się z Bliźniakami na żywo. Teraz było ciut lepiej – nie widział tego trójnogiego ciała – ale niewiele lepiej.

Bo musiał patrzeć na te ich koszmarne głowy. Ledwie mieściły się na ekranie. Dwie głowy stopione czy też zrośnięte w jedną.

– Anthony – odezwał się Charles Armstrong. Ten z lewej.

Zwykle to on więcej mówił.

– No. Znaczy, dobry wieczór panom.

– Przykro nam, że przeszkadzamy. Zaslugujesz na wypoczynek i relaks po tak ważnym zadaniu, które dzisiaj wykonałeś. Naprawdę jesteśmy wdzięczni, a kiedyś będzie wdzięczna cała ludzkość.

Bug Manowi zaschło w ustach. Już od dawna przestał olewać Bliźniaków Armstrongów i ich wizję ludzkości, i to całe pieprzenie o Nexus Humanus. Był tikerem, nie idealistą.

Uwielbiał grę. Uwielbiał władzę. Uwielbiał piękne stworzenie w swoim łóżku. Reszta to tylko słowa. Ale nie mogłeś tego powiedzieć Charlesowi i Benjaminowi Armstrongom. Chyba że miałbyś o wiele większe jaja niż Anthony Elder, bo Dwugłowiec – jak nazywano Bliźniaków za plecami – był (czy byli, czy było, czy jak się to powinno prawidłowo mówić) dla Bug Mana najbardziej przerażającą rzeczą na świecie.

– Wygląda na to, że Vincent jest w Londynie – oznajmił Benjamin. – I przynajmniej jeszcze jeden oprócz niego. Nie wiemy kto.

– Okej – odparł ostrożnie Bug Man. W słuchawkach trzeszczało. Kiepski sygnał. Wyjął je i przełączył się na głośnik. Jessica i tak nic nie zrozumie, a w ogóle ma to gdzieś.

Charles się uśmiechnął. Kiedy to zrobił, środkowe oko to wspólne – gwałtownie obróciło się w stronę Bug Mana.

Jezu Chryste.

– Czas wykorzystać naszą przewagę – dodał Charles. Nasz wspaniały plan posuwa się naprzód, Anthony. Z najnowszych informacji wynika, że główny cel będzie w Nowym Jorku.

Bug Man nagroził swoich dziwolągowatych szefów ostrym wdechem. Nagle zapomniał o Jessice. Wszyscy byli zdołowani i sfrustrowani, kiedy rozeszła się wieść, że PeEsZet – prezydent Stanów Zjednoczonych – nie zjawi się na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ i wyśle tylko sekretarza stanu.

– Myślałem, że ona jest celem Burnowskiego – powiedział.

Aby pokręcić swoją połączoną głową, Dwugłowiec musiał (musieli? musiało?) poruszyć całym tułowiem. Efekt mógłby być komiczny. Ale nie był.

– Nie, Anthony. Burnowski ma inne obowiązki. A tak się składa, że chwilowo straciliśmy ścieżkę dostępu do twojego pierwotnego celu.

Ścieżki dostępu to środki makro do osiągnięcia celu nano.

Nanoboty nie mogły pokonywać dużych dystansów. Nie latały.

Nie poruszały się zbyt szybko, mierząc w skali mak. W nano pół metra to niemała odległość. Więc trzeba było szukać ścieżek dostępu – nosicieli, czyli ludzi, którzy, świadomie lub nie, przynosili nanobota na cel. Przy celach, o jakich oni myśleli, ścieżka

dostępu składała się z kilku etapów, a każda z tych etapów to człowiek przenoszący nanoboty o krok bliżej.

Bug Man gapił się na masywne niby-czoło. Starał się nie patrzeć na to oko, którego absolutnie nie powinno tam być.

Ale próbował wyobrazić sobie, co się dzieje w tej cholernie makabrycznej głowie. Ludzie szeptali, że Dwugłowiec nawet mózg ma po części wspólny, tak jak to trzecie oko i – jeśli legendy były prawdą – przynajmniej jeszcze jedną część ciała.

Twarze okalało nocne niebo, na którym widniała podświetlona na zielono iglica Empire State Building. Bliźniacy siedzieli w tak zwanym Tulipanie. To pięć najwyższych poziomów Armstrong Building – piętra od sześćdziesiątego drugiego do sześćdziesiątego szóstego. Tyle że nie wyglądały jak piętra, bo szczyt wieżowca był z nanokompozytu – od wewnątrz całkiem przejrzystego, a od zewnątrz jak mleczne szkło różanego koloru. Bliźniacy spędzali w tej przestrzeni całe życie, wysoko nad miastem. Pozostawali niewidzialni dla kogoś z zewnątrz, za to mieli otwarty widok na szczyty budynków i niebo.

Pierwotnym celem Bug Mana był premier Wielkiej Brytanii. Wydawało się to naturalne, bo Bug Man z pochodzenia to Brytyjczyk.

Ale co się stało ze ścieżką dostępu? Mieli czyste

dojście do premiera.

Anthony uczył się pilnie wszystkiego na temat Bowena, przeglądał jego dobrze udokumentowaną historię, szukał mechanizmów, dzięki którym mógłby sterować mózgiem tego starucha. Och, lubi pan konie, panie premierze? I przeżył pan traumę, kiedy utonęła pańska siostra? A ulubiony batonik to Flake? Wszystkie te dane były poupychane w pomarszczonej, ciapkowatej klusce zwanej mózgiem.

Mnóstwo wkuwania na marne, jeśli Bowena miał wziąć ktoś inny.

– Co się stało ze ścieżką?

– Jak wspomniał mój brat, Yincen był w Londynie.

– Nie zrobił tego w nano – dorzucił Benjamin, bo trafnie odgadł myśli Bug Mana. – Nasz przyjaciel Vincent posłużył się staroświeckim sposobem. Dźgnął ją w mózg, Anthony. Powinieneś o tym pamiętać. Bo ludzie, z którymi walczymy, to szaleńcy. Bliźniacy przysunęli się, przez co to trzecie oko znalazło się za blisko kamery. O wiele za blisko. Bug Man odchylił się na krześle.

– Są bezwzględni w dążeniu do swojego demonicznego celu. – Benjamin coraz bardziej się ekscytował i nakręcał. My chcemy zjednoczyć ludzkość! Stworzyć nowego człowieka, kolejny etap ewolucji: zjednoczoną rasę ludzką! A oni walczą, by ludzkość pozostała zniewolona przez podziały, przez

nienawiść, przez samotność fałszywej indywidualności!

Odgłos uderzającej pięści. Obraz się zakołysał.

– Zaczniemy, jak tylko się zjawisz – powiedział Charles. Spokojniejszy niż brat. – Przed domem czeka samochód.

Przyjedziesz? – Symultaniczny szeroki uśmiech Dwugłowca. – Wyświadczysz nam tę przysługę?

– Tak jest, panowie – odparł Bug Man. Bo wołał nawet nie zgadywać, co spotyka ludzi, którzy odmawiają wyświadczenia Dwugłowcowi „przysługi”.

Poważny, roztrzęsiony wyłonił się zza parawanu. Jessica czekała.

– Sam nie wierzę, że to mówię, ale muszę wyjść. Duży problem w pracy.

Jessica odęła wargi i to niemal wystarczyło, żeby złamać Bug Mana, ale nie, nie mógł pozwolić Bliźniakom czekać.

– Ale ja cię potrzebuję tylko na pięć minut.

Następne pięć minut i całą resztę rozmowy podsłuchiwał pojedynczy biot.

Ten biot – wyspecjalizowany model, przystosowany do odbierania długich fal dźwiękowych wytwarzanych przez struny głosowe większe niż całe jego ciało – spędził sześć tygodni w prawym uchu Jessiki. Sześć tygodni taplania się w woskowinie, uników przed patyczkami do uszu

wielkości sterowców i słuchawek wyrzucających muzykę w postaci dzikich wibracji.

Sześć tygodni... słabła z dnia na dzień, ale mimo wszystko się trzymała. A teraz czekała na śmierć, która nastąpiłaby za parę dni, gdyby nie udało się gładko usunąć biota.

W kawiarni po drugiej stronie ulicy Wilkes stukwała w laptopa ze słuchawkami w uszach. Udawała, że pisze powieść.

Nie była najlepszą tikerką – nie paliła się do bitwy z Bug Manem. Ale mały Buggy jej nie znalazł, prawda? Parę razy był blisko, tak blisko, że mogła odczytać numery seryjne jego nanobotów i wyraźnie widziała jego przerażające logo z wybuchającą głową. Ale się przyczaiła. Znieruchomiła. A nanoboty, które zabiłyby jej biota i doprowadziły ją do szaleństwa, przemknęły obok.

Wilkes nie potrafiła dobrze walczyć w nano. O wiele lepiej radziła sobie w makro, bo przyparta do muru zmieniała się w prawdziwą wściekliczną. Przyjęła styl twardzielki, który nie był tylko stylem. Nie nosiła tych wielkich martensów jedynie po to, żeby fajnie wyglądać. Nosiła je, żeby jej kopniaki wyrządzały odpowiednio duże szkody.

Miała kilka interesujących tatuaży. Pod prawym okiem ciemne płomienie do góry nogami – może bardziej przypominały zęby rekina albo stylizowane zęby piły. Po wewnętrznej stronie lewego

przedramienia wytatuowała sobie kod QR.

Wystarczyło pstryknąć mu zdjęcie telefonem i przenosił cię na stronę internetową. A tam widniało tylko zdjęcie uniesionego środkowego palca Wilkes i okrągłe logo – obrobione w Photoshopie zdjęcie Wilkus, która dźga nożem smoka w oko.

W pewnym... hm, powiedzmy, mniej publicznym miejscu miała drugi kod QR. Link do całkiem innej strony internetowej.

Wilkes była nastolatką z problemami, owszem. I też sprawiała problemy.

Ale kiedy musiała, potrafiła być cierpliwa. Sześć tygodni w tej kawiarni i w gównianym, maciupkim mieszkaniu w suterenie obok domu Bug Mana.

– Mam cię, Buggy – mruknęła znużonym głosem. – Trzymam cię za jaja.

ARTEFAKT Do: Lear Od: Vincent
Podsumowanie:

Inwigilacja dziewczyny Bug Mana przez Wilkes opłacała się.

1) Potwierdzone: Bug Man dokonał zamachu na McLure'ów.

2) Bug Manowi powierzono strategiczne, ale i taktyczne zadanie. To może wskazywać na poważny problem z Burnowskim.

3) Potwierdzone: AFGC zamierza uderzyć na Zgromadzeniu Generalnym ONZ. PeEsZet jest celem nr 1. Inne głowy państw również.

Zalecenia:

1) Ze względu na nasze zapotrzebowanie na bioty, szczególnie w obliczu inicjatywy AFGC i paraliżu w korporacji McLure'a, zalecam sfinalizowanie akcji „Violet”.

2) Przyspieszenie szkolenia nowych rekrutów.

PS: Nie jestem Scypionem.

7

W głowie Sadie McLure był bąbel. Trochę jak wodny balonik, "tyle że wielkości winogrona i wypełniony krwią.

Trzydzieści trzy milimetry długości. Tętniak. Całkiem spory. W tym miejscu ściana tętnicy osłabła i ciśnienie krwi utworzyło śmiertelny balon.

Bo gdyby pękł, krew zaczęłaby tryskać bez kontroli do otaczającej tkanki mózgowej. I Sadie niemal z całą pewnością umarłaby. A jeśli nawet nie, straciłaby część mózgu, może nawet zmieniła się w warzywo.

W pewnych przypadkach dało się przeprowadzić operację. Ale nie w tym. Bo balon w głowie Sadie był schowany bardzo głęboko.

Widziała swoje tomografie, rezonanse, a nawet bajecznie szczegółową, przypominającą dzieło sztuki cyfrową angiografię subtrakcyjną. To badanie polegało na wstrzyknięciu barwnika przez żyłę w pachwinie.

Ach, dobre czasy.

Gdyby została w szpitalu, zrobiliby jej tomografię, żeby sprawdzić, czy nie ma krwotoku. Potem rezonans magnetyczny, żeby lepiej przyjrzeć się tętniakowi.

I zauważyliby coś niezwykłego. Pewne zgrubienie tkanki wokół tętniaka.

Więc znów zrobiliby tę cyfrową angiografię, a wtedy, no właśnie – wtedy uzyskaliby całkiem niezły obraz czegoś, od czego włos by im się zjeżył.

Zobaczyliby dwa maleńkie stworzonka, nie większe od drobinek kurzu, jak pracowicie tkają cieniuteńkie teflonowe włókna i otaczają nimi wydęty, napięty balonik wielkości winogrona.

Zobaczyliby bioty Greya McLure'a, zajęte utrzymaniem jego córki przy życiu.

Sadie patrzyła na nie teraz, kiedy doktor Chattopadhyay dla swojej pacjentki doktor Chat – obróciła do niej monitor.

– To są bioty na pierwszym zdjęciu. – Postukała w klawiaturę, żeby wywołać inny obraz. – A tu pół godziny później.

– Nie ruszyły się.

– Tak, są nieruchome. Prawdopodobnie martwe. – Doktor Chat była po pięćdziesiątce, miała nadwagę, ciemną skórę, sceptyczne spojrzenie i nieskazitelny biały kitel włożony na sari. – Wiesz oczywiście, że ja i cała moja rodzina oplakujemy twojego ojca i brata Sadie skinęła głową. Nie chciała być szorstka czy nieuprzejma. Po prostu nie mogła już słuchać kondolencji. Dusila się od wyrazów współczucia i ludzkiej troski.

Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny

przyjęła śmierć ojca i brata do wiadomości. Przyjęła do wiadomości, co nie znaczy, że sobie z tym poradziła, pogodziła się czy opłakała ich jak należy. Po prostu przyjęła do wiadomości. I z jakiegoś powodu widok tych maleńkich martwych biotów to było trochę za wiele.

Stworzył je ojciec i tym samym dokonał rewolucji w medycynie. Zajęło mu to lata. Utopił w tym więcej niż miliard dolarów. Musiał wykupić własną firmę od akcjonariuszy, żeby móc wydać takie pieniądze bez konieczności tłumaczenia się.

Zapracowywał się prawie na śmierć. I on, i matka Sadie.

Potem przyszedł rak i ojciec z jeszcze większą desperacją starał się dokończyć badania, by wysłać swoich maleńkich podwładnych, pozabijać komórki rakowe i ocalić żonę.

Żył pod straszną presją.

Ale projekt hodowli biotów pojawił się za późno dla matki Sadie i Stone'a, żony Greya.

Przez trzy miesiące po śmierci Birgid McLure Grey był dosłownie niewidzialny. Mieszkał w pracy. Aż w końcu... cud.

Biot. Żywe stworzenie, nie maszyna. Istota zrobiona ze strzępów i kawałków DNA. Pająka, kobry, meduzy. Ale przede wszystkim, żeby uzyskać mechanizm kontroli, który pozwalał pojedynczemu umysłowi patrzeć oczami biota, biegać jego

odnóżami i ciąć jego ostrzami – z DNA człowieka.

Biot nie był robotem. Był odnogą. Miał bezpośrednie połączenie z mózgiem swojego stwórcy. Był częścią swojego stwórcy.

Bioty Greya McLure'a wstrzyknięto tak blisko tętniaka, jak tylko dało się to bezpiecznie zrobić. Utworzyły sobie drogę zaopatrzenia przez kanał słuchowy Sadie. Tamtędy znosiły do mózgu cieniutkie włókna teflonu. I zaczęły pleść wokół tętniaka coś w rodzaju kosza – maleńkiego w skali makrorzeczywistej, ale ogromnego w skali mikrosubiektywnej.

– Masz szczęście, że nie pękł przez nadciśnienie wywołane wybuchem – stwierdziła doktor Chat. – Jest jakieś drobne krwawienie, ale chyba już ustało. Szczęściara.

Sadie miała ochotę powiedzieć coś wrednego i sarkastycznego na temat swojego szczęścia, które zmieniło ją w sierotę, ale się powstrzymała.

– A w ogóle coś się stało z tętnikiem?

– Wygląda na to, że jest prawie nietknięty. Ale jak wiesz, plecionka wymaga nieustannych napraw, żeby pozostała mocna. A zresztą była gotowa zaledwie w sześćdziesięciu procentach. Więc muszę ci przepisać leki na obniżenie ciśnienia.

– Miałam na nie alergię – przypomniała Sadie.

– Możemy wypróbować inne preparaty. Jest cała gama różnych...

– Proszę bardzo – wypaliła Sadie. – Ale potrafię czytać Google równie dobrze, jak pani. Już mam książkowe ciśnienie i te leki niewiele dadzą. Tak naprawdę są tylko po to, żebym czuła, że coś robię. Nie potrzebuję placebo, pani doktor.

Lekarka westchnęła i spojrzała na nią spod zmarszczonych z dezaprobatą brwi.

– Wiesz, że spadła na ciebie teraz duża odpowiedzialność.

– Tak. Wiem.

– Ta firma zatrudnia prawie tysiąc osób w sześciu krajach.

– W siedmiu – poprawiła Sadie. – Tata otworzył laboratorium w Singapurze. Właśnie tam lecieli ze Stone'em.

Doktor Chat westchnęła.

– Jest ktoś, kogo moglibyśmy wezwać, żeby był z tobą?

Przyjaciele? Babcia?

Sadie posłała jej buntownicze spojrzenie.

– Nie, raczej nie. Nie mam przyjaciół, których chciałabym teraz widzieć.

Kobieta wyszła i Sadie została sama. Pokój był luksusowy.

Łóżko, owszem, w szpitalnym stylu, ale do tego czterdziestodwucalowa plazma, eleganckie krzesła od Jaspera Morrisona, sofa, śliczne orchidee w kryształowych wazonach, miękkie oświetlenie, widok

przez sięgające od podłogi do sufitu okno na kampus głównej siedziby McLure Industries w New Jersey.

A za drzwiami z boku łazienka w marmurach, która mogłaby zdobić apartament w Ritzu-Carltonie.

Jeśli już człowiek musiał chorować, to najlepiej właśnie w takim miejscu.

Spojrzenie Sadie automatycznie powędrowało do zdjęcia maleńkich martwych biotów. Ostatnich skrawków jej ojca.

Zastanawiała się, dlaczego nie płakała bardziej. No, trochę płakała, ale to tylko takie pociągnięcia nosem i pojedyncze szlochy. Tak długo, tak strasznie rozpaczała po matce. Może po prostu już pogodziła się z faktem, że życie to jedynie ból i strata.

A może, już odrętwiała, czekała ze spokojną akceptacją na własną śmierć. Śmierć ostatniej przedstawicielki rodziny McLure'ów.

Sturlała się z łóżka. Niełatwe zadanie. Za to bolesne. Jej ręka była jednym długim tępym bólem, przetykanym falami przeszywającego kłucia, kłucia, kłucia, od którego oddech wiązał jej w gardle.

Gips zastąpiono lżejszą wersją opatrunku, którą można podwiesić na temblaku.

Reszta ciała była jednym wielkim sińcem. Sadie poszła do toalety. Poruszała się jak stara kobieta. Wysikała trochę krwi, ale mniej niż ostatnim razem.

Zawahała się w kabinie prysznicowej. Strasznie chciała wziąć prysznic, ale w wannie łatwiej nie

zamoczyć gipsu. Pielęgniarki umyły ją gąbką, ale prawdę mówiąc, wolałyby sobie darować kolejne takie doświadczenie.

Krzywiąc się i poruszając powoli jak artretyczna staruszka, odkręciła kran. Oczywiście w łazience stała cała kolekcja olejków i perełek do kąpieli Bulgariego. Wsypała sól o zapachu zielonej herbaty.

Wydostanie się ze szpitalnej koszuli – bardzo ładnej, ale mimo wszystko to ciuch dla inwalidki – zajęło chwilę. Wreszcie weszła do wanny. Po czym poślizgnęła się i cała wpadła do wody.

Niewyobrażalny ból, kiedy złamana ręka uderzyła w brzeg wanny. Gorąca woda na każdym centymetrze zmalretowanego ciała. Szok.

Ale potem, wolno, gorąco wsiąkło w jej mięśnie, odnalazło siniaki i zaczęło wysysać z nich skrzepniętą krew, koić podrażnione zakończenia nerwowe, aż ukołysało mózg do stanu, który nie był do końca snem, ale niewiele brakowało.

Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi, jakby dobiegał z bardzo, bardzo daleka. Za to głos odezwał się tuż przy wannie.

– Przepraszam za to najście.

Szeroko otworzyła oczy i zobaczyła młodego mężczyznę, chyba tuż po dwudziestce, ale miał bardzo poważną minę i brązowe oczy pozbawione emocji.

– Co jest, do diabła?! – krzyknęła. Szarpnęła się

zbyt gwałtownie, ręka jej podskoczyła na brzegu wanny i piekielny ból przeszył ją od łokcia do barku.

– Cholera! Wynoś się stąd!

– Nie. Jeszcze nie. Musimy porozmawiać.

– Że co? Nie znam cię. Won stąd, zanim wezwę ochronę i każę im cię stłuc na papkę.

Zacięte usta niemal drgnęły. Jakby chłopak myślał o czymś w rodzaju uśmiechu, ale nie planował wprowadzić tej myśli w życie.

Sadie z kolei opanowała odruch, żeby się zasłonić. To by oznaczało, że jest słaba i bezbronna. A choć goła, po szyję w wodzie i na wpół kaleka, ani trochę nie czuła się słaba i bezbronna.

– Mam na imię Vincent.

– Świetnie. A teraz spieprzaj.

– Jestem... jestem przyjacielem... twojego ojca.

– Więc zakradasz się tu, żeby się pogapić na jego gołą córkę?

Drgnął i cofnął się odrobinę. Zamrugął.

– Rzeczywiście, nie masz nic na sobie. – Jakby dopiero teraz zauważył. A pełna konsternacji zmarszczka na czole i to, jak szarpnął się do tyłu, niemal przekonały Sadie, że to prawda.

– Czego chcesz? – spytała ze złością.

– Twój ojciec i brat nie zginęli w wypadku. Zostali zamordowani. Ty też byłaś celem tego zamachu. I tamci nie zrezygnowali. Zamordują cię albo zniewolą.

Sadie gapiła się na niego. Przez dobrą minutę. Docierało do niej, że słówko „zamordowani” wcale jej nie zaskoczyło.

Nikt nie powiedział jej czegoś takiego. Nikt nawet nie sugerował tego w zasięgu jej słuchu. Ale przez półtora dnia od katastrofy nikt też nie powiedział: „awaria silnika”, „zderzenie z ptakiem” czy nawet „błąd pilota”.

– Tam jest szlafrok. – Brodą wskazała wieszak z grubym ciężkim szlafrokiem frotte. Vincent przyniósł go, przytrzymał dla niej i odwrócił twarz.

Sadie ostrożnie, z bólem stanęła na nogi. Morderstwo.

Tak, to wcale nie wydawało się takie szalone. Matka nauczyła ją słuchać tego, co nie zostało powiedziane. Luki w rozmowie były często jej najciekawszą częścią.

Oczywiście jeśli jest w niebezpieczeństwie, to może właśnie ten facet stanowi zagrożenie.

Vincent nie odwracał oczu, dopóki powoli, powolutku, delikatnie nie naciągnęła szlafroka na złamaną rękę i nie zawiązała paska zdrową.

Wtedy – wystarczył jeden szybki, płynny ruch – w dłoni Vincenta pojawiło się pióro. Przycisnął je do serca Sadie, tuż pod mostkiem.

Znieruchomiała.

– Co ty wyprawiasz? Dajesz mi autograf?

Pokręcił głową.

– Dowodzę swoich intencji. – Odsunął pióro, wycelował w drugą stronę i przycisnął zatrzask. Wyskoczyło lśniące ostrze. – Udowadniam, że gdybym przyszedł cię zabić, już dawno byś nie żyła.

Sadie zaczęła oddychać. Spokojniej, niż miała do tego prawo.

– Niech zgadnę: przyszedłeś uratować mi życie. A dokładnie jak zamierzasz to zrobić?

– Na przykład tak, na początek. – Dotknął jej twarzy i przytrzymał palce przez kilka sekund. W jego dotyku nie było nic erotycznego.

– Ach tak – powiedziała głucho.

Skinął głową.

– Jak mówiłem, znałem twojego ojca.

8

Instrukcje, które otrzymał Noah, zawierały wskazówki, jak dotrzeć do domu towarowego Selfridge's. Sam wiedział, jak tam dojechać. Selfridge's jest przy Oxford Street: ogromny, elegancki, jasnożółty i pełen takich rzeczy jak designerskie torebki, egzotyczne kosmetyki i dziwnie ubrane manekiny. Lśni, świeci i błyszczy.

To miejsce, gdzie Noah natychmiast poczuł się mały, obdarty, skrępowany, niezgrabny, szokująco brzydki i potencjalnie zdolny do przestępstwa. Tu wszystko było wypolerowane i czyste, włącznie z pracownikami, którzy bardzo dzielnie ukrywali swoje zaniepokojenie, że taka kreatura jak ten obskurny nastolatek znajduje się we wnętrzu – dosłownie, fizycznie we wnętrzu – ich sklepu.

Z drugiej strony, całkiem spora liczba tych pracowników nosiła buty na wysokich obcasach, wąskie spódnice i obcisłe bluzki. Więc otoczenie nie było tak do końca nieatrakcyjne dla Noaha.

Polecono mu pójść do działu spożywczego i kupić słoik sorbetowych cukierków, za które musiał wydać oszałamiającą sumę – pięć funtów, czyli prawie wszystkie pieniądze, jakie miał. No cóż, nadadzą się na prezent dla mamy, chociaż na pewno

uzna go za kretyna.

Miał zanieść sorbetowe cukierki w żółtej reklamówce Selfridge's do humidoru z cygarami, takiej jakby dużej sauny z setkami bardzo drogich cygar na półkach i za szkłem.

To było idiotyczne i Noah o mało nie zdecydował, że sobie stąd pójdzie. Oczywiście najpierw spróbuje oddać cukierki.

Ale kiedy tak sterczał niezdecydowany przed stoiskiem z cygarami, jakiś mężczyzna z ekstrawaganckim wąsem Hindus albo Pakistańczyk, sądząc po wyglądzie – posłał mu spojrzenie. Dość znaczące. Wprowadził Noaha do humidoru.

– Lubi pan dobre cygara? – spytał.

Noah wypełnił instrukcje.

– Mam pańskie cukierki – podał odzew i przekazał słoik.

Mężczyzna popatrzył na cukierki i kiwnął głową.

– Tak, zaiste. – Wąs rozciągnął się w uśmiechu.

– Nie byłeś śledzony. – Widząc pytające spojrzenie Noaha, facet dodał: – Oczywiście obserwowaliśmy cię przez kamery przemysłowe, od kiedy wyszedłeś z domu, a potem przez kamery ochrony w sklepie.

Kłamał. Noah w to nie wątpił. Kimkolwiek są ci ludzie, nie mają aż takich możliwości. To nie policja ani żadna organizacja, która może po prostu podpiąć się do kamer przemysłowych albo nawet do kamer w sklepie. Z takimi wpływami nie bawiliby się w ten

teatrzyk w stylu płaszcza i szpady.

Mężczyzna przyjrzał się Noahowi bardzo uważnie i w kącikach jego oczu pojawiły się kurze łapki, kiedy dostrzegł podejrzliwość chłopaka.

– Świetne. Przynajmniej nie jesteś głupcem.

– A pan tu nie pracuje.

– Bystrzak. Spotkamy się na ulicy za pięć minut.

Na dworze było zimno i ciemno w porównaniu z jasnożółtą, chromowaną wspaniałością wnętrza domu towarowego.

Dopiero minęło południe, ale deszczowe chmury wisały tak nisko, że Noah zdołałby ich dotknąć, gdyby wyciągnął rękę.

Mężczyzna zmaterializował się u jego boku.

– Idź ze mną – polecił. – Nie możesz mi zdradzić swojego imienia; jak dla mnie jeszcze go nie masz, ale ja jestem doktor Pound.

Noah w to nie uwierzył. Może Chaudhry, może Singh, czy jakkolwiek inaczej, ale akcent tego człowieka nie wskazywał na miejsce, gdzie byłoby popularne nazwisko Pound.

Wyszli z Oxford Street i teraz szli brzegiem Cavendish Square, jednego z wielu małych, ciasnych, melancholijnych parków w Londynie. Zaczęło padać, na ulicach zakwitły parasolki i przez chwilę nie mogli rozmawiać.

W końcu przeszli kawałek Harley Street, do jednej z bram w niekończącym się szeregu niemal

identycznych trzypiętrowych kamienic.

Nie było windy, więc Noah pokonał z doktorem Poundem całkiem sporo schodów, aż stanęli pod pomalowanymi na brązowo drewnianymi drzwiami bez numeru czy wizytówki.

Doktor Pound teatralnie wyciągnął klucz i wyszczerzył się, jakby dokonał jakiegoś wyczynu. Facetowi brakowało dwóch zębów: trójki i czwórki z prawej strony. Coś w linii dziąsła sugerowało bardziej traumatyczną przyczynę utraty uzębienia niż zwykła wizyta u dentysty.

– Idź przodem – nakazał.

Noah usłyszał psst! i poczuł ukłucie na karku. Po czym uznał, że pora się położyć na dywaniku, właśnie tu i teraz. Był świadom, że ręka doktora chwyciła go za koszulę, by złagodzić lądowanie twarzą naprzód.

Obudził się natychmiast – a przynajmniej tak mu się wydawało. Siedział na krześle. Niewygodnym, ale bardzo solidnym, jakby zostało prowizorycznie zmontowane z kantówek 18 na 18. Szerokie rzepy przypinały nogi Noaha do nóg krzesła, ramiona do podłokietników i plecy do oparcia.

Pewnie nie utrzymałyby Hulka, ale po kilku eksperymentach, kiedy napręzał mięśnie, Noah uznał, że jego trzymają całkiem skutecznie.

Na obu dłoniach miał czarne rękawice, z których sterczała płatanina kabli. Czerwonych, niebieskich,

zielonych, białych, czarnych. Cienkie przewody spadały bezładnie i prowadziły do jakiegoś urządzenia ustawionego po prostu na podłodze.

Nie wyglądało to zbyt elegancko.

Urządzenie było połączone z laptopem na małym karcianym stoliku.

Dwa średnio duże monitory stały prosto przed Noahem, na wysokości oczu. Widniało na nich tylko jakieś paskudne logo, jakby mechaniczny owad, i słowo „BZRK”.

To wszystko ktoś przyniósł tu niedawno. Sofa, fotele i stoliki odsunięte na bok. Dywan zwinięty. Noah był pewien, że mieszkanie zostało chwilowo przywłaszczzone. Właściciele pewnie siedzieli w jakimś miejscu suchszym i cieplejszym niż Londyn i nie mieli bladego pojęcia, co się dzieje w tym domu.

– Co jest, do cholery? – powiedział Noah. Nie bełkotał.

Szczerze mówiąc, czuł się całkowicie przytomny. Przeszedł od nieprzytomności do przytomności w rekordowym tempie. Zastanawiał się, czy to ma cokolwiek wspólnego z opaską, którą założono mu na głowę. Z niej, zdaje się, też zwisały kable.

Łaskotały go w kark.

Pojawił się doktor Pound.

– Obudziłeś się?

– Co jest, kurwa?! – zawołał Noah. Uznał, że

sytuacja wymaga czegoś mocniejszego niż zwykłe „cholera”.

– Przepraszam, że pozbawiłem cię przytomności, ale musiałem cię sprawdzić na poziomie nano. Nie martw się, wygląda na to, że jesteś czysty. – Doktor Pound lekceważąco machnął ręką. Trzymał w niej zapalone cygaro, za którym ciągnął się cuchnący dym. A w ustach najwyraźniej miał sorbetowy cukierek. Różowy. – Od tej chwili to zajmie już tylko piętnaście minut – dodał Pound.

– Wypuść mnie stąd – zażądał Noah. Ale nie spodziewał się, że zostanie uwolniony. Właściwie tak naprawdę nawet tego nie chciał. Bo zgodził się przejść jakiś test. I jego brat też przez to przeszedł, prawda?

Chyba że to jakiś wyrafinowany podstęp. Spróbował szarpnąć rzep na prawym bicepsie. Cóż, opaska wciąż trzymała, a on wciąż nie był Hulkiem.

– Zagrasz w grę komputerową – poinformował Pound. A właściwie w dwie gry. Tę na lewym ekranie kontrolujesz prawą ręką. Tę na prawym, lewą.

– Gry?

– Gry. Ale nie grasz na punkty. Punkty to abstrakcja. Za to ból jest rzeczywisty. – Po czym, jakby mimowolnie, opuścił rękę z cygarem, a rozżarzony koniec znalazł się tuż przy ramieniu Noaha. – Strach przed urazem fizycznym,

powiedzmy utratą kończyny, też jest bardzo rzeczywisty.

Noah gapił się na porywacza. W wilgotnych brązowych oczach szukał dowodu, że facet żartuje, przesadza, wygłupia się – robi cokolwiek, tylko nie mówi prawdy.

– Znasz poetę Ezrę Pounda? – zagadnął doktor Pound.

– Co pan tam robi? – spytał Noah. Żałował, że jego głos tak ewidentnie się trzęsie.

Doktor przyturlał jakiś wózek i ustawił go tuż przy prawej nodze chłopaka. Wózek – niewysoki, niecałe pół metra – wyglądał na jakiś awaryjny generator. Tyle że ktoś przymocował do niego piłę łańcuchową.

– Zaraz. Nie, zaraz. Chwila.

Znów przetestował rzepy. I znów nie miał supersiły. Rzepy wydały kilka trzeszczących, rzepowych odgłosów, ale to wszystko.

– Pound był uznawany za bodaj największego poetę XX wieku. – Doktor zablokował kółka i przekręcił górną, ruchomą część wózka tak, że błyszczący łańcuch piły znalazł się pół centymetra od tylnej nogi krzesła.

– Okej, zmieniłem zdanie – powiedział Noah.

– Ale ja zadałem sobie tyle trudu. – Mężczyzna puścił do niego oko. – Niestety, Pound był szaleńcem. Zajadłym antysemitą. I wspierał Hitlera.

Doktor przeszedł na lewą stronę Noaha. Wziął drut grubszy niż pozostałe, całkiem pokaźny kabel – zakończony dwoma krokodylkami. Jeden klips przyczepił do ucha chłopaka.

– Jezu! – krzyknął Noah. – Boli, do cholery!

– Tak, a później będzie bolało dużo bardziej. Teraz tylko przypnę ci uziemienie do nosa. – Drugi klips uszczypnął Noaha w nozdrze. – No dobrze – mruknął Pound. – Im szybciej zaczniemy, tym szybciej skończymy.

– Co mam robić? – Klipsy ścisnęły jak diabli. Piła łańcuchowa była przerażająca. I Noah nie chciał słuchać o obłąkanych nazistowskich poetach.

– Dwie gry. Jedna to znana pierwszoosobowa strzelanka.

Druga jest inna. Trzeba poruszać się po skomplikowanej trójwymiarowej strukturze. I w tej występujesz jako uroczy mały robocik o imieniu Nano.

Oczy Noaha zabłysły na to słowo. Jego brat bełkotał je szaleńczo.

Nano nano nano.

A więc to doprowadziło Aleksa do obłądu.

– To nie gra! – wrzasnął, gdy nagle dotarła do niego prawda. – Zrobisz mi to samo co mojemu bratu!

Doktor uniósł brwi i uśmiechnął się obleśnie.

– Wiesz, co było najzabawniejsze w historii Ezry

Pounda? Większość swoich najlepszych rzeczy napisał w szpitalu psychiatrycznym. Masz trzydzieści sekund, żeby się nauczyć grać. – Podszedł do laptopa. – Potem zaczniemy.

Obydwa monitory włączyły się.

Na prawym Noaha reprezentował pistolet. W dole jakieś symbole. Wybór broni? Lokacja: londyńska ulica. Nie, nie Londyn, żółte taksówki. Może Nowy Jork. Mijali go animowani piesi, przejeżdżały taksówki, zwykłe auta, ciężarówki.

Świetna grafika. Dźwięk realistyczny.

Sceneria na lewym monitorze była niezrozumiała. Gracz występował jako pajak. Stał na pofalowanej powierzchni jakiejś wielkiej kuli, u stóp katedry ze strzelistych przypór, jak z obrazu Dalego.

Kiedy Noah poruszył lewą rękawicą – nie, nie, są zamienione miejscami, no tak. Więc prawa rękawica, lewy monitor.

Kiedy wyprostował palce, pajak się poruszył. Pistolet też. Ręce odwrotnie, musiał o tym pamiętać.

Okej, gra. Skupić się na grze. Aleksowi nie odcięli nogi.

Panikuje bez powodu, musi zachować spokój, to tylko test tego amerykańskiego Chińczyka, i koniec. Więc koncen...

– Aach! – Krokodylki wysłały szpilę niewiarygodnie silnego nagłego bólu, który przeleciał od ucha do nosa. Noahowi skurczyła się cała połowa

twarzy. Oczy napełniły się łzami.

– To tylko tak, żebyś rozumiał, jaka jest stawka.

A teraz:

start!

Kobieta w strzelance, zwykła gospodyni domowa, wyciągnęła nóż i zamachnęła się nim prosto w twarz Noaha. Przekręcił rękawicę – awatar zrobił unik. Na próbę kiwnął prawym palcem wskazującym. Pistolet wypalił. Pocisk trafił w przejeżdżający samochód i rozbił szybę.

I nagle odgłos, którego nie dało się z niczym pomylić. Rozdzierający uszy warkot piły łańcuchowej. W realu. Nie w grze.

Zerknął w dół i... Jezu, łańcuch się obracał i już zahaczał zębami o drewnianą nogę krzesła; latały drzazgi, sypały się wióry.

Lewy! Trzy prymitywne, mechaniczne roboty, dość podobne do jego awatara, pędziły po kuli. Ale to nie było tak ważne jak fakt, że szyba taksówki opuściła się, a z okna wysunął się pistolet. Noah przekręcił rękawicę i strzelił. Na bardzo, bardzo realistycznej twarzy Strzelca pojawiła się schludna okrągła dziurka pośrodku czoła.

A te robale w drugiej grze, w tej z lewej, pakowały z małych ślicznych działek laserowych do...

– Szlag! – Znów wstrząs elektryczny, tym razem silniejszy.

Robociki znów wypaliły i twarz Noaha znów skurczyła się konwulsyjnie, ale teraz przegapił wielkiego faceta. Gość wypadł z zaułka i wymachiwał siekierą. Awatar Noaha kucnął, a piła z jazgotem wgryzała się w nogę krzesła.

– Przestań! – zawył Noah, ale nie miał czasu na wrzaski, bo musiał ruszyć swojego Nano naprzód, jednocześnie cofając się przed siekierą. Ostrze spadało raz po raz, a te małe robale czymś go spryskały i... – Rany! – Wstrząs elektryczny rozerwał mu świadomość na kawałki; piła ryczała i coraz głębiej rżnęła twarde dąb. Noah czuł już drzazgi i podmuch od pędzącego łańcucha.

I nagle zapanował spokój.

Zdawało się, że piskliwy odgłos piły dobiegał teraz z bardzo daleka.

Noah nie widział niczego poza ramkami monitorów.

Nie czuł strachu.

Oddzielił się od krzesła, rzepów i bólu w nosie i uchu, i od wspomnienia brata. Przestał czuć i myśleć...

Dał susa, wylądował za najbliższym robocikiem i dźgnął go nogą ostrą jak szydło, i strzelił w twarz mężczyzny z siekierą, pędząc po kuli, i wyprostował pajęczę nogi, i poleciał, i przekoziółkował, by wylądować na grudkowatej szarej ścianie, która natychmiast zaatakowała go lepкими puchatymi

kulkami, i kolejny elektrowstrząs, i odbił się od pobazgranej, nowojorskiej ściany, i wystrzelił w powietrzu, i biznesmen z pistoletem maszynowym nawet nie zdążył wycelować i zginął z kulą w szyi, sikając krwią z tętnicy.

Kolejny elektrowstrząs! Ale to się działo komuś innemu.

Policzek jakiegoś innego Noaha wykręcały skurcze, oko kogoś innego oślepiły łzy.

A piła łańcuchowa przedarła się już przez całą grubość nogi krzesła; pokonywała ostatni centymetr, ale to też był problem kogoś innego.

Noah tłukł te puchate kulki i parł naprzód przez ich tłum i przez deszcz kwasu, i nagle oba monitory zgasły. I pokazało się to niepokojące logo.

Najpierw stwierdził, że ledwie widzi cokolwiek przez pot łązy.

Potem uszczypnięcie klipsów zdejmowanych przez doktora Pounda.

I cisza, bo piła już została wyłączona.

Zrobił drżący wdech. Spojrzał w dół. Piła przeszła przez całą grubość nogi krzesła, jego ciężar podtrzymywały trzy pozostałe. A na rozdygotanym mięśniu łydki widniała czerwona kreska, nie głęboka, ale już pokazała się w niej krew.

Doktor Pound spokojnie, statecznie zdejmował Noahowi opaskę z głowy, rozpinał rzepy.

– Wyobrażam sobie, że masz wielką ochotę dać

mi w zęby – powiedział.

Nawet nie masz pojęcia, pomyślał Noah.

Ale emocje opadły, zepchnięte przez silniejsze uczucia i potrzeby. Dumę. Ciekawość. Gorączkową radość z przetrwania.

– Jak się spisałem? – spytał.

Pound westchnął. Ku zdumieniu Noaha łagodnie położył dłoń na jego zlepionych od potu włosach.

– Młody człowieku. Nie powinienem znać twojej tożsamości. Ale rodzinne podobieństwo jest uderzające.

– Znał pan Aleksa?

Doktor uśmiechnął się tęsknie.

– Znałem chłopaka, który przybrał imię Kerouac. Który jest podobny do ciebie, tyle że starszy i lepiej zbudowany.

Alex.

– Był bardzo, bardzo dobry – dodał Pound.

– Tak?

– Ale ty, młody bezimienny chłopcze, jeśli masz przeżyć, musisz być jeszcze lepszy niż on.

9

Ręka wciąż bolała. Teraz na dodatek swędziała. I piekła od otarć. Pięć dni po złamaniu Sadie ciągle nie mogła się nią posługiwać. Ale goiła się o wiele szybciej niż u kogokolwiek innego.

Klinika McLure Industries dysponowała środkami, których nie posiadał nikt inny. A konkretnie lekarzami przeszkolonymi w używaniu terapeutycznych biotów. Trzy bioty niemal natychmiast zaczęły pracować nad złamanymi kośćmi. Przetransportowały pęcherzyki z komórkami macierzystymi, które wszczepiono w pobliżu dwóch największych złamań.

Bioty zostały wyjęte i zabrały drugi, potem trzeci ładunek.

Później donosiły włókna tytanu i układały je w mikroskopijnych przestrzeniach między dwoma brzegami złamań, jak zbrojenie w betonie. Następnie mozolnie dźwigały pęcherzyki z czymś, co można by uznać za superklej. Użyły go do stabilizacji złamania, żeby kość łatwiej obrastała tytanem i zalewała się bez powtórnych mikrozłamań.

Za parę dni ręka Sadie miała być w pełni sprawna. Za dwa tygodnie tak silna jak wcześniej.

Operatorzy medycznych biotów siedzieli w

fotelach w oddzielnych pokojach, żeby nic ich nie rozpraszało. Mimo to pracowali tylko po trzy godziny z rzędu, aby zminimalizować stres.

Stres. Jego poziom wydaje się zależny od wieku – tak brzmiała wstępna konkluzja. Dziwaczność świata nano przytłacza mniej elastyczne umysły. Krótsza wersja: Przebywanie w bebechach jest przerażające.

Gdyby Sadie została w klinice, zabraliby się do pracy w głębinach jej mózgu. Robiliby to, co kiedyś robił jej ojciec.

Utrzymywaliby ją przy życiu.

Ale teraz była zupełnie gdzie indziej. Już nie w kampusie w New Jersey. Rozkazała Sternowi, żeby ją wypuścił. Ociągał się chwilę, ale to zrobił.

Poleciała firmowemu szoferowi, żeby podwiózł ją do mieszkania przy Park Avenue. Weszła tam tylko po to, żeby się przebrać i spakować niedużą torbę.

Dostała wiadomość od Vincenta.

Więc teraz stała na rogu Madison i Dwudziestej Szóstej.

Nie było to najbardziej egzotyczne ani najbardziej interesujące skrzyżowanie w Nowym Jorku. Znajdował się tu skwer – Madison Square Park. Ten mały kawałek ziemi ani nie przypominał kwadratu, ani parku. Ale mogłeś tu być w nocy – a nawet o północy, żeby było bardziej melodramatycznie – i nie martwić się zbytnio o swoje

bezpieczeństwo.

Czekała sama. Szalik zasłaniał jej dolną część twarzy, a czapkę naciągnęła nisko na czoło.

W sieci nie krążyło zbyt wiele zdjęć Sadie – Google wypluwało zaledwie trzy. Ale teraz stała się jeśli nie sławna, to przynajmniej znana. Ostatnia żywa McLure. Potencjalny obiekt zainteresowania mediów, które wciąż jeszcze obsesyjnie maglowały tragedię na stadionie. Nie chciała zostać rozpoznana.

I nikt jej nie rozpoznał, kiedy tak stała w nocy w pustym parku. Oddech parował jej przez szalik.

Marzła. Od wiatru bolała ją złamana ręka i łzawiły oczy.

Jedną dłoń trzymała wepchniętą głęboko do kieszeni kurtki.

Druga – bez rękawiczki, bo Sadie nie pomyślała, że będzie potrzebować rękawiczek – sterczała z temblaka.

Pojawił się chłopak. Przystojny. Nie, piękny. I starszy od niej – miał może osiemnaście, dziewiętnaście lat. Wysoki i smukły, o urodzie południowca, ale jego nos, usta i czoło nie mówiły: „Jestem potomkiem hiszpańskich rybaków”. Mówiły raczej: „Jestem potomkiem ludzi, którzy dawno temu jeździli na koniach pełnej krwi i tratowali wieśniaków”.

Podszedł do niej. Uniósł brew i spojrzał na Sadie z góry z zawiedzioną miną.

– Jesteś znajomą Vincenta?

Natychmiast poczuła do niego niechęć. Ale nie taką, która z czasem mogła ustąpić miejsca pożądanemu. Raczej przy pewnym wysiłku mogła pozostać tylko niechęcią, nie przeradzając się w pogardę.

I rzeczywiście, to był Luis Aragon, średni z trzech synów hiszpańskiego dewelopera – kiedyś szokująco bogatego, teraz tylko bogatego. Ale Luis wymienił swoje nazwisko na imię Renfield.

– Chyba tak – odparła Sadie.

– Za mną.

Nie ruszyła się, kiedy obrócił się na pięcie i zaczął iść.

Dopiero po piętnastu krokach zorientował się, że idzie sam.

Wrócił dwa razy szybciej. I jakby wahał się między osłupieniem a gniewem.

– Bo widzisz – powiedziała Sadie – ja nie słucham rozkazów. Czasami słucham próśb.

Zamrugnął. Wyprostował się i odchylił, żeby skuteczniej zmienić swój nos w coś w rodzaju celownika i posługując się nim, spojrzeć na nią z góry.

– Masz samochód, czy idziemy pieszo? – spytała.

Oczy Renfielda odruchowo pobiegły do czarnego audi A8; stał na luzie; z rury wydechowej

sącył się dym. Sadie ruszyła.

Chłopak podbiegł, żeby ją dogonić.

– Jak ci na imię?

– Mów mi Renfield. W samochodzie zawiążę ci oczy. I nie pozwolę zdjąć opaski. Jeśli odmówisz, zostaniesz tutaj. To nie są sugestie, to fakty.

Miał akcent. O tak. Wykształcony bogacz traktujący wieśniaków. Gubił głoski i mówił z nadmiarem miękkich dźwięków. I warkotliwym rrr w słowie Renfield. Poza tymi spostrzeżeniami Sadie nie miała pojęcia, skąd jest ten akcent – wiedziała tyle tylko, że chłopak nie urodził się w Stanach.

O jak chętnie powiedziała mu „pieprz się”. Nie miała ani nastroju, ani cierpliwości. Przebrnęła przez przerażenie i poczucie straty, przez rozpacz i ból, aż dotarła do tego parku i tego aroganckiego gnojka. A gdyby Renfield na nią patrzył, zobaczyłby to wszystko w jej oczach, łącznie z tym niewypowiedzianym „pieprz się”.

Z audi wysiadł szofer w uniformie, żeby otworzyć drzwi.

Sadie dotarła do nich przed Renfieldem, uśmiechnęła się i wskoczyła do środka.

Dwadzieścia czarnych minut później samochód zatrzymał się, silnik zgasł, opaska została zdjęta i oczom Sadie ukazał się pobazgrany graffiti śmietnik. W wąskim podwórku na końcu zaułka, gdzie ktoś mógłby wcisnąć dwa samochody, jeśli nie kochał ich

zanadto.

Pozwoliła kierowcy otworzyć drzwi. Wysiadła. Ciągle zimno. Ciągle Nowy Jork. Usmolona czerwona cegła i zardzewiałe schody pożarowe wszędzie dookoła i powyżej, i zapach mocno dojrzałych śmieci.

Renfield napisał SMS.

– Gdzie jesteśmy? – spytała.

Nie odpowiedział. Otworzyły się jakieś drzwi. Nie wypuściły zbyt wiele światła.

– Chodź – rzucił.

Weszła za Renfieldem do cieplejszego wnętrza. Drzwi się zamknęły. Ktoś stał za jej plecami; włoski na karku stanęły jej dęba.

Otworzyły się kolejne drzwi i wkroczyła w jasne światło, białe ściany i przestrzeń nie większą niż mała garderoba. Renfielda z nią nie było. Nikogo nie było. W jednej ze ścian tkwiła stalowa, przepychana na drugą stronę szuflada.

– Witaj – odezwał się bezcielesny głos. – Obawiam się, że najbliższa godzina nie będzie dla ciebie zbyt przyjemna. Ale to konieczne.

Noah siedział w żółtej taksówce. Wiozła go z międzynarodowego lotniska JFK pod adres na dolnym Manhattanie.

Nigdy nie był w Ameryce. Właściwie nigdy nie był poza Wielką Brytanią.

Czuł się zmęczony i podekscytowany. I

przerażony. I zastanawiał się, czy to nie jakiś wyrafinowany dowcip.

Dostał iPada z instruktażem wideo, który obejrzał w samolocie. A teraz głowę miał pełną koszmarów. Ale i podniecenia. Bo do tej pory jego życie to szkoła, byle jaki pokój niewiele większy od szafy, obłąkany brat bohater, smutna, szara matka zjawa, prawie niewidzialny i beznadziejny ojciec. A na horyzoncie tej beznadziejnej egzystencji – nic oprócz pracy, której będzie nienawidził, a potem znów pracy, teraz zawsze i na wieki.

Więc może i głupiec z niego, że bez pytania dał się zwerbować do jakiegoś szalonego przedsięwzięcia, które miało powstrzymać jeszcze bardziej szalone przedsięwzięcie. Ale alternatywą był kierat. Kręciłby się w nim w nieskończoność, aż zakręciłby się na śmierć.

To dlatego Alex poszedł na wojnę. Bo dlaczego nie, do diabła? To jego własne słowa, kiedy tłumaczył Noahowi, dlaczego się zaciągnął. „A dlaczego nie, do diabła? Powinienem znaleźć sobie robotę w pubie czy w biurze i mieć takie samo gówniane życie jak rodzice? Więc dlaczego się nie zaciągnąć?”

Teraz zaciągnął się też Noah. Bo dlaczego nie, do diabła?

I dlatego, że gdzieś w tym absurdalnie wysokim mieście żyje ktoś, kto nazywa się Bug Man. Noah

widział w wyobraźni, jak któregoś dnia idzie odwiedzić Aleksa i mówi mu:

„Załatwiłem Bug Mana, bracie”.

Wiedział, że ta fantazja jest żalosna. Rzadko się oszukiwał. Był dla siebie surowy i szczery z samym sobą. Nigdy nie wmawiał sobie historyjek jak inne chłopaki, jakichś bredni, że jak dorośnie, zostanie zawodowym sportowcem albo że wygra *Mam talent*, że będzie miał pieniądze, dziewczyny i służących.

Wiedział, że nie pójdzie na studia, że nie zostanie bogatym bankierem czy kimś takim. Miał swoje przeznaczenie; był wycelowany, nakierowany jak inteligentny pocisk na życie pełne harówki w ogłupiającej pracy – i naprawdę dopisze mu szczęście, jeśli zdoła zdobyć i utrzymać choćby taką robotę.

Przeszedł test i widział chciwy błysk w oku Pounda. Po raz pierwszy w życiu, i pewnie po raz ostatni, Noah miał coś wartościowego.

Pięćset ślicznych nowiutkich dolarów w kieszeni – plik banknotów z ich tajemniczymi, mistycznymi symbolami. Miał adres na kartce. I miał misję. Odziedziczył ją po bracie.

– Pierwszy raz u nas, mały? – zawołał taksjarsz przez ramię.

– Pierwszy – odparł Noah.

– Muszę się zatrzymać, żeby się odpryskać. – Taksówka przystanęła pod marnie oświetlonym

sklepem z neonowymi reklamami piwa i z plakatami w brudnej zakratowanej witrynie.

Kierowca wysiadł. Nie wyłączył taksometru. Kilka sekund później drzwi samochodu otworzyły się i na siedzenie obok Noaha wślizgnęła się dziewczyna. Dziwaczne stworzenie, ubrane w jakimś postgotyckim stylu; elegantka z lumpeksu.

Pod jednym okiem tatuaż przedstawiający kapiące płomienie.

Rysy dość niewyszukane. Zwykła laska, jaką Noah mógłby spotkać w swojej dzielnicy. Nie wiedzieć czemu wyobrażał sobie, że wszystkie nowojorskie dziewczyny to modelki.

– Ta taksówka jest zajęta – powiedział. – To nie koniec kursu, kierowca tylko...

– Tak, wziął stówencję, żeby mnie wpuścić. Wszystko ustalone z góry, niebieskooki. A skoro już o tym mowa, masz jakiś faflun w oku. – Przyjrzała mu się z bliska, wyciągnęła rękę i jednym palcem wytarła mu coś z kącika oka.

– Stówencję?

– Franklina. Studolarowy banknot. Stówencję. – Czekala, najwyraźniej spodziewała się kolejnych pytań. – A wiesz, co to faflun?

– Domyślam się, że paproch czy coś takiego.

– Brawo, mały Angolu.

Noah zmarszczył brwi. Dziewczyna nie wydawała się groźna, ale z całą pewnością budziła w

nim niepokój. Podejrzewał – biorąc pod uwagę jej prowokacyjny strój i bezczelność – że to prostytutka.

– Wybacz, że pytam, ale jesteś panienką?

– Znaczy dziwką? Niee. Chociaż... gdybym była, zapłaciłbyś? – Wyszczrzyła się. Mocniej jedną stroną ust. Ten grymas zahaczał o szaleństwo. A potem się roześmiała: „he-he”.

To nie brzmiało wesoło, raczej jak słowny zastępnik prawdziwego śmiechu.

Noah nie wiedział, co odpowiedzieć, i to jeszcze poszerzyło uśmiech dziewczyny.

– Wyluzuj, Angolu. Siedzę teraz w twoim oku i cię sprawdzam. Szukam robali, szukam robali. Prawdopodobnie jesteś czysty, od przedwczoraj byłeś obserwowany, a później zostaniesz sprawdzony dokładnie. To tylko taki szybki rekonesans.

– Już totalnie się pogubiłem – jęknął Noah.

Kierowca wrócił. Starannie unikał patrzenia na dziewczynę. Taksówka odbiła od krawężnika. Dziewczyna fachowo rozejrzała się po chodniku i pustej ulicy.

– Tylko ci się zdaje, że się pogubiłeś, Angolu. – Znów ten sardoniczny nieśmiej. – Niedługo tak się pogubisz, że nawet nie będziesz wiedział, w jakim jesteś wszechświecie.

Sadie zmrużyła oczy w jaskrawym świetle.

– Vincent? – zapytała. Głos nie do końca brzmiał jak jego głos. Ale nie był to też głos Renfielda.

Wydawał się kobiecy, ale na tyle niski, że mógł mówić chłopak.

– Poproszę cię, żebyś się rozebrała. I włożyła rzeczy do szuflady. Potem, z łaski swojej, stój nieruchomo, żebyśmy mogli cię przeskanować.

– Vincent już mnie sprawdził. Umieścił we mnie biota odparła Sadie.

– Usunął go i od tej pory minęło parę dni.

Ktoś mówił irytująco rozsądnie. To ją wkurzało. Wzruszyła ramionami i zdjęła szalik, kurtkę i buty. Przepchnęła to przez szufladę.

– Jak dużo mam zdjąć, bezcielesny głosie?

– Wszystko, poproszę.

– Lepiej, żebym nie znalazła fotek w necie, bezcielesny głosie – mruknęła.

– Możesz mi mówić Ofelia.

– Jesteś dziewczyną?

– Tak. Wyłączę zniekształcanie głosu. – Po chwili: – Lepiej?

Głos nie brzmiał już bezosobowo. Z całą pewnością należał do kobiety.

– Prawdę mówiąc, tak. Nie jestem wstydliva, ale to światło takie nietwarzowe...

– Zaczynam skanować – poinformowała Ofelia.

– Zobaczysz światło w różnych kolorach. I usłyszysz różne dźwięki, niektóre dość głośne. Po prostu się nie ruszaj.

– Okej, Ofelio.

Trwało to dłużej, niż się spodziewała. Na tyle długo, że stało się nudne. I na tyle długo, że zdążyła się zniechęcić.

Problem polegał na tym, że choć Sadie nie miała snobistycznych zapędów i nie traktowała ludzi arogancko, doświadczyła w życiu bardzo niewiele niewygód. Wszelkie nieprzyjemne sytuacje, jakie musiała znosić, były natury medycznej – diagnozowanie i pierwsze próby leczenia tętniaka i ten fakt tylko zdwajał jej zniecierpliwienie. Bo to wszystko przypominało jakąś procedurę medyczną, i to taką, jakby cię porwali kosmici i przeprowadzali badania.

Wreszcie znów zapłonął biały blask. Sadie się wzdrygnęła.

– Przepraszam, powinnam stopniowo włączać światło.

– Co teraz?

Otworzyły się drzwi. Weszła młoda kobieta. Po dwudziestce. Czarne włosy, długie, ale spięte z tyłu w interesujący węzeł, i dopiero dalej opadające na plecy. Skóra ciemna, ale nie od afrykańskiego słońca. Między oczami coś, co wyglądało jak maleńka szafirowa broszka – ale to nie piercing, tylko naklejka. Miała ładne oczy, ale poza tym pospolita. W ręce trzymała torbę na zakupy. Wyciągnęła ją do Sadie.

– Twoje ubranie. Uważaj, część może być

gorąca. Wyjęłam je z mikrofalówki. Możesz się już ubrać.

Ofelia. To imię z czymś się Sadie kojarzyło. Z czymś fikcyjnym. Klasycznym, nie nowoczesnym. Miała to na końcu języka, ale postanowiła, że później poszuka w Google.

– Z mikrofalówki?

– Mikrofałe nie szkodzą biotom takim jak te, które znasz.

Ale nanoboty zawierają małe ilości metalu, przez co są podatne na działanie starej dobrej mikrofalówki.

Sadie zaczęła się ubierać.

– Nanoboty?

Ofelia się uśmiechnęła. Natychmiast zrobiła się ładniejsza. Takie uśmiechy potrafią „rozświetlić pokój”. Sadie też by chciała to umieć.

– Dostałam zadanie przygotować cię. Więc odpowiem na wszystkie pytania. Oczywiście oprócz osobistych.

– Szekspir. To stąd Ofelia. – Sadie dopięła stanik.

– Tak. – Ofelia skinęła głową. – *Z Hamleta*. Jego szalona dziewczyna. – Uśmiech zgasł. – Przykro mi z powodu twojego ojca i brata.

– Okej – odparła szorstko Sadie. Dość kondolencji.

– Więc nanoboty... Są dwie gałęzie

nanotechnologii: biologiczna i mechaniczna. Kawy?
Sadie już się ubrała.

– Podejrzewam, że szkocka nie wchodzi w grę?

Pojawił się inny uśmiech, nie ten świetlisty, ale bardziej pytający, wyzywający. Ofelia potrafiła zrobić z uśmiechem wiele rzeczy.

– Przepraszam. Jasne. Jestem nieletnia – przyznała Sadie.

I znów nowy uśmiech, tym razem smutny, pełen troski.

– Wśród nas nie ma dzieci i dorosłych. Ale chyba nie dysponujemy szkocką.

– Mój tata pijał szkocką – wyjaśniła Sadie. – Mówił, że pozwala mu to wyłączyć myślenie pod koniec dnia. Kiedyś weszłam do jego laboratorium... tak sobie nazwał ten pokój, bo trzymał tam tylko książki i mikroskop... i... – zamilkła.

Wdepnęła. Wdepnęła we wspomnienia i uczucia i teraz nadchodziły cholerne łzy. Nie pamiętaj tego wszystkiego, nakazała sobie. Nie pamiętaj taty w jego idiotycznym laboratorium, jak siedzi wyciągnięty w starym skórzanym fotelu, z nogami w górze i kryształową szklaneczką w dłoni i patrzy ze zmarszczonym czołem na zakurzoną szkolną tablicę zapisaną niezrozumiałymi bazgrołami.

Przerywała jego koncentrację. Żeby pograć na pianinie, które też stało w laboratorium. Albo pokazać rysunek. Albo po prostu postać, potem łapał ją,

zaczynali się szamotać na niby i kończyło się na tym, że pozwalała się uściskać.

Roztrzaskał się o beton stadionu. Spalił w tłustym ogniu.

A Stone z nim. Jej przyzwoity, zabawny, miły brat.

– Chętnie napiję się kawy – powiedziała.

Ofelia zaprowadziła ją do kuchni. I Sadie od razu się zorientowała, że to kuchnia bez gospodyni czy gospodarza.

Kuchnia osobników, którym wszystko jedno. Byle gdzie odstawiali swoją herbatę, ciastka albo chipsy. Dzbanek ekspresu do kawy był pełny, ale nikt go nie mył chyba od dnia zakupu.

Usiadły przy okrągłym stole. Sadie piła czarną kawę. Ofelia z mlekiem i cukrem. Kubki niczyje. Kawa gorzka.

– To się nazywa *bindi* – wyjaśniła Ofelia. – To, czemu się przyglądasz.

– Okej. – Nie zamierzała zaprzeczać, że gapi się na klejnocik błyszczący na czole Ofelii. – Z Indii, tak?

– Tak. Coś między tradycją a modą. Prezent.

– Bardzo ładny.

Ofelia nie wydawała się przekonana, że Sadie mówi szczerze.

– No dobrze. Wiesz o biotach. Wiesz, że tę technologię stworzył Grey McLure. I dał nam do niej

dostęp.

– Dlaczego?

– Bo jej potrzebowaliśmy. Od dawna istniał zatarg między twoim tatą i... cóż, między Greyem McLure'em i Bliźniakami Armstrongami.

Łyk kawy.

– Słyszałam o nich. Z nimi jest coś nie tak, zgadza się?

– Jak na razie czysto – poinformował Renfield, który właśnie wszedł do kuchni. Wysunął sobie krzesło i usiadł parę kroków od dziewczyn.

Tym razem w uśmiechu Ofelii było trochę bólu i zażenowania.

– Renfield umieścił w tobie dwa bioty.

Kiedy wiązał opaskę. Oczywiście.

– Miałaś już przedtem bioty na pokładzie. Jeden z nich upuścił włókno teflonu w twoim ślimaku. – Wzruszył ramionami. – Nie spowodowałoby żadnych kłopotów, ale i tak je wyjmę.

⁹⁷

Sadie przyzwyczaiła się już do świadomości, że mikroskopijne quasi-pajęczki podróżują po jej ciele. Bioty ojca, a ostatnio bioty lekarzy. Ale myśl, że oczy i uszy tego chłopaka spacerują po jej mózgu, nie była przyjemna. Irytację odrobinę złagodził fakt, że z nosa zwisał mu kawałek gila. To dawało Sadie przewagę nad tym pewnym siebie eurośmieciem.

– Skany wykryłyby nanoboty na twojej skórze –

dodała Ofelia. – Ale z łatwością mogą się schować w tobie. Musimy się przyjrzeć uważniej, wtedy je znajdziemy.

– Albo i nie, jeśli się ukrywają – skwitował Renfield. Nagle zrobił coś bardzo dziwnego. Szybkim ruchem odczepił wiszącą z nosa kożę.

Sadie gapiła się na niego. Uciekł wzrokiem.

Winny.

– Widzisz to co ja – powiedziała. Wstała ogarnięta nagłą wściekłością. – Patrzyłam na twój nos i ty to zobaczyłeś.

– Biot może zapuścić sondę w nerw wzrokowy, a nawet do kory wzrokowej – odparła Ofelia. – Wszystko zależy od szczęścia. Czasem uzyskuje się dość kompletny obraz. Czasem...

Sadie huknęła zdrową ręką w blat stołu. Głośno i mocno, aż kubek podskoczył. Potem wycelowwała palec w zadowoloną twarz Renfielda.

– Wynoś się z mojej głowy.

– Nie będziesz mi...

– A lubisz mieć gorącą kawę na...

– Spokój! – krzyknęła Ofelia. – Spokój. Spokój. Renfield?

Odczep się od jej zmysłów. To nie jest konieczne przy twojej pracy.

Dwie rzeczy natychmiast stały się jasne: ci ludzie mają określone rangi i Ofelia, choć tak łagodna, stała wyżej od Renfielda.

A Renfield baaardzo nie lubił Sadie. To też było jasne.

– Co jeszcze może zrobić w mojej głowie? Odczytać wspomnienia?

– Nie – odparła Ofelia wciąż tym swoim spokojnym głosem. – Wspomnień nie możemy czytać. Ale jesteśmy w stanie je zlokalizować. To jak... Hm, cóż, potrafimy je odnaleźć, tak jak się da odnaleźć w książce konkretne słowo. Ale już całej książki nie przeczytamy. Możemy ustalić, gdzie znajduje się jakaś myśl. Potem przeciągamy przewód i po prostu układamy go na powierzchni, albo przyczepiamy do szpilki wbitej w mózg, albo wstawiamy transponder.

– I co dalej? – spytała ze złością Sadie i zgromiła wzrokiem Renfielda.

– Przewód albo transponder spaja ze sobą dwa różne wspomnienia czy dwie myśli. Łączy je w taki sposób, w jaki do tej pory nie robił tego mózg. Na przykład odnajdujemy wspomnienia twojego ulubionego zwierzaka. Powiedzmy kota. I łączymy to wspomnienie z czymś, czego się bałaś albo czego nienawidziłaś.

Renfield przygładził włosy do tyłu.

– I za każdym razem, kiedy pomyślisz, kiciuś, kiciuś, pomyślisz też: strach, strach.

– Jeśli utworzy się wystarczającą liczbą takich połączeń, można zmienić sposób myślenia człowieka.

Generować fałszywe lęki. Pisać wspomnienia na nowo. Tworzyć miłość albo nienawiść.

Sadie wciąż nie chciała usiąść.

– Mój ojciec nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. To ohydne.

– Nie jesteśmy w McLure Industries – zauważył Renfield. – Twój ojciec dał nam technologię. Nie on tu rządził.

– A kto?

– Lear.

– Kto to Lear, do diabła?

Obecny uśmiech Ofelii był najbardziej subtelny z jej wielu uśmiechów. Składały się na niego szacunek, lęk i uległość.

– Lear to Lear. I nikt z nas nie dowie się niczego więcej.

ARTEFAKT Odezwa Charlesa i Benjamina Armstrongów Nie jesteśmy zii.

Nie pragniemy władzy. Nie pragniemy ujarzmić innych. Naszym celem jest wolność rasy ludzkiej.

Ilu ludzi głoduje, bo odwracamy oczy? Ilu umiera na wyleczalne choroby, bo ich ignorujemy? Ilu naszych ludzkich braci gnije w więzieniach politycznych albo w więzieniu własnych nałogów? Ilu żyje bez nadziei, choć moglibyśmy dać im nadzieję?

Jesteśmy wybrykiem natury: dwóch ludzi połączonych przez naturalny przypadek w łonie

matki. Nasze mózgi są indywidualne, ale połączone. Nie możemy zostać rozdzieleni, bo wtedy jeden z nas umrze.

I czy nie tak powinien wyglądać cały rodzaj ludzki? Czy nie powinno być tak, że nasze przetrwanie będzie zależało od przetrwania innych? Czy nie powinniśmy wszyscy być częścią jednej wielkiej rasy ludzkiej, która nie zna nienawiści, wojen, okrucieństwa?

My nigdy nie jesteśmy samotni, bo my to my, a nie tylko ja.

Wielu spogląda na nas z litością albo przerażeniem. Uwierzcie, my czujemy to samo do was wszystkich, uwięzionych w pułapce wiecznej samotności.

Od początku istnienia istotom ludzkim została dana możliwość kochania się nawzajem. I niemal przez całe to istnienie nie korzystaliśmy z tego daru. Ale nie musi dłużej tak być. Technika wskazuje nam drogę wyjścia z tej surowej, zimnej, wrogiej separacji.

Słyszemy, jak myślicie: Przecież taka jest natura człowieka.

Ale dlaczego nie mielibyśmy starać się poprawić ludzkiej natury? Czy od niepamiętnych czasów nie zwracaliśmy się ku technologii, by zapewnić sobie moce, których nie posiadamy z natury? Czy nie używaliśmy ognia, żeby się ogrzać i ugotować

pożywienie? Czy nie używaliśmy światła elektrycznego, żeby przegnać noc? Czy nie unieśliśmy się w powietrze w balonach, aeroplanach, odrzutowcach, a potem nawet w przestrzeń kosmiczną w raketach?

Teraz mamy technologię, która pozwoli przegnać nie tylko dosłowną noc, ale i długą ciemną noc ludzkiej duszy. Dzięki nanobotom możemy połączyć wszystkich ludzi, wszędzie, w jedną, wspaniałą rasę: rasę ludzką. I nikt już nie będzie chodził głodny, kiedy inni się objadają. Nikt nie będzie przymykał oczu na okrucieństwo, bo wszelkie okrucieństwa będziemy odczuwać na własnej skórze.

Tylko ignorancja oddziela nas od celu zjednoczenia ludzkiej rasy w twór o wiele głębszy niż zwykła struktura społeczna. Możemy stworzyć nexus obejmujący całą ludzkość.

Początki prawdziwej utopii są w naszych rękach.

Niektórzy wybiorą drogę zła i będą się opierać tej świetlanej przyszłości.

Będziemy ich opłakiwać.

Charles i Benjamin Armstrongowie ARTEFAKT
KRÓL LIR Czy mię znasz?

KENT Nie znam was, panie, ale macie coś w sobie, co mię do służenia wam pociąga.

KRÓL LIR Cóż to takiego?

KENT Wyższość.

Król Lir, William Szekspir

10

Vincent obserwował China Bone z azjatyckich delikatesów po drugiej stronie ulicy Patrzył, jak Karl Burnowski, powłócząc nogami, wchodzi do środka.

Burnowskiemu w dyskretnej odległości towarzyszyło dwóch TZD – Turystów z Denver. Dwóch typowych ochroniarzy z AmericaStrong, jednej ze spółek zrzeszanych przez Armstrong Fancy Gifts Corporation. Właściwie jeden z nich był kobietą, ale to bez znaczenia.

AFGC mogła być prowadzona przez szaloną, chorą kreaturę, ale jej fasada zawsze pozostawała dyskretna do bólu.

Ludzie z AmericaStrong nie chodzili po ulicy poubierani jak agenci Secret Service czy statyści z filmu gangsterskiego klasy B. Ubierali się w ciuchy LL Bean i Land's End. Nosili bawełniane koszulki polo i puchowe kurtki. Więc w Nowym Jorku zawsze wyglądali jak najbardziej nijakie i niezapadające w pamięć stworzenia: turyści.

TZD – Turyści z Denver.

Burnowski wszedł do środka i wszedł do windy. Dwójka TZD została na zewnątrz. Czekali i gawędzili i przytupywali z zimna, aż podjechał samochód, w którym znaleźli schronienie.

China Bone – oczywiście bez żadnego szyldu: dyskrecja ponad wszystko. Lokal istniał w Chinatown od roku 1880, choć w samym obrębie tej dzielnicy przenosił się chyba z sześć razy. Ludzie, którzy chcieli go znaleźć, znajdowali. W dawnych czasach była to tylko sama śmietanka palaczy opium.

Z początku wyłącznie Chińczycy, głównie marynarze. Potem, w czasach wiktoriańskich, również co odważniejsi biali z kręgów artystycznej bohemy.

W latach dwudziestych palarnia China Bone stała się bardziej wyrafinowana, bardziej ekskluzywna. W okresie prohibicji rozszerzyła działalność i oprócz marihuany i opium zaczęła sprzedawać także alkohol. Wnętrze, które Vincent widział kiedyś przez prawe oko kelnera, było bardzo eleganckie. Ritz-Carlton dla bogatych ćpunów: tak właśnie wyglądała nowoczesna China Bone. Trochę za dużo złocień i aksamitu jak na surowy gust Vincenta, ale jeśli już miało się być nałogowym palaczem opium – a Burnowski z pewnością nie zamierzał przestać – to odpowiednie miejsce, by folgować nałogowi.

Wtedy, okiem kelnera, Vincent przez moment widział Burnowskiego, kiedy ten genialny pijak i ćpun – i Bóg wie, kto jeszcze – wsunął się do łoży i czekał na fajkę.

Ta sprawa fascynowała Vincenta. Burnowski był

geniuszem. Nie wydawał się człowiekiem, który marnowałby całe godziny, nurzając się w narkotycznych, gorączkowych snach.

A poza tym – co chyba nieuniknione – Vincent sam zastanawiał się, czy narkotyk mógłby mu dać to, czego nigdy nie doświadczył: przyjemność.

Wtedy nie zbliżył się bardziej do Burnowskiego. I o mało nie stracił biota, kiedy kelner zdecydował się na niespodziewaną wycieczkę do Meksyku z kolegami.

Bioty miały sporą wadę: w przeciwieństwie do nanobotów trzeba było je odzyskać.

Vincent zapłaci! za organiczną tajską marynatę i zielone chili. Wybrał kilka ostrych rzeczy – nie po to, żeby się cieszyć jedzeniem, ale żeby je przynajmniej zauważyć.

Zawsze coś.

Miał dwanaście lat, kiedy zdiagnozowano u niego anhedonię. To zaburzenie miało zwykle przyczynę psychiczną, najczęściej chodziło o narkotyki. A przynajmniej tak sądzono w tamtych czasach i tak zakładali jego przerażeni rodzice.

Mały Michael zażywa tyle narkotyków, że stracił zdolność odczuwania przyjemności, o Boże, co myśmy zrobili, że doprowadziliśmy go do takiego stanu?

Minęły dwa długie lata domowego aresztu, zanim przyszło im do głowy poszukać fizycznych

przyczyn. Wtedy lekarze odkryli zmiany w jego jądrze pólleżącym mózgu i niedostateczną produkcję dopaminy.

Vincent wyszedł z neonowego i jarzeniowego światła w zimną noc ze swoją plastikową torebką. Trafił na ten sklep, kiedy śledził Burnowskiego wiele miesięcy temu.

I wciąż robił tu zakupy; to bardzo dobrze zaopatrzone delikatesy. Ale China Bone zafascynowała go też tym, co reprezentowała: potrzebę przyjemności tak wielką, że prowadzi ludzi do samozniszczenia.

Jego prawdziwym celem był hotelowy bar przy następnej przecznicy. Tam miał się spotkać z kobietą.

Anya Violet. To nie było jej rodowe nazwisko. Urodziła się jako Ania Uljanow. Rosjanka. Kiedy jej ojciec przeprowadził się z rodziną z Samary do Nowego Jorku, zmienił nazwisko na trochę mniej... problematyczne. Uljanow – tak brzmiało oryginalne nazwisko Lenina. To spory ciężar dźwigać takie nazwisko.

Więc baj-baj Uljanow, witaj Violet. Z początku wymawiano je Wijolet. Teraz Wajolet. Jak fiołek. Bardziej z amerykańska.

Matka Anyi zawsze lubiła kwiaty. Fiołki.

Doktor Anya Violet, aktualnie zatrudniona w tajnym dziale badawczym McLure Industries. Nawet jej przyjaciele i rodzina nie wiedzieli, że pracuje z

biotami. Vincent wiedział tylko dlatego, że BZRK od dawna miał pełny dostęp do zabezpieczonych baz danych korporacji.

Kim, do diabła, jest Lear, że zdołał uzyskać tak bezwarunkowe wsparcie Greya McLure'a? I ile razy Vincent zadawał sobie to pytanie? I ile razy powstrzymywał się przed rozpoczęciem śledztwa? Bo choć Lear mógł być kimkolwiek i stał się niemal mityczną postacią, to Kaligula był bardzo rzeczywisty. Vincent odnosił wrażenie, że gdyby kiedykolwiek zdołał przeniknąć sekret Leara, Kaligula zakończyłby jego życie za pomocą noża, kuli, garoty czy czegokolwiek innego.

Właśnie na tym polegał jego... wkład... w ich misję.

Vincent pomyślał o postscriptum ze swojego raportu.

„Nie jestem Scypionem”.

Scypion to rzymski generał, który wreszcie zniszczył Kartaginę.

Czy Lear zaakceptuje ten mały bunt? Czy pozwoli mu w przyszłości odmówić wykonania komendy „Kartagina”?

Czy może będzie wiedział (albo wiedziała), że ostatecznie Vincent zrobi to, co trzeba?

Już trzy razy Vincent „przypadkowo” natknął się na Anyę. Mieszkała niedaleko, Vincent nie, ale kwartał stąd miał lokum, które wyglądało, jakby w

nim mieszkał. Na wszelki wypadek.

To nie był modny hotel. Ciemny, zalatywał sosem sojowym i olejem z fistaszków. Bar jeszcze ciemniejszy, ale tu pachniało piwem i smażonymi wontonami. Tylko cztery małe stoliki, tyle samo stołków przy barze i nikogo prócz Anyi.

Vincent zobaczył ją, zanim ona zauważyła jego. Stwierdził z cichą satysfakcją, że ubrała się na tę okazję. To ich pierwsze zaplanowane spotkanie. A przynajmniej pierwsze, o którym Anya wie. Randka. Wcześniej widywał ją w wygodnych, luźnych ciuchach, które nosiła w laboratorium. Wcześniej przychodziła tu po pracy właśnie dlatego, że istniały zerowe szanse, że ktoś ją będzie podrywał, i mogła sobie wypić owocowego drinka czy dwa i ochłonąć, zrelaksować się, wyluzować, rozleniwic mózg po wyczerpującej aktywności umysłowej.

To się zmieniło, kiedy poznała Vincenta – atrakcyjnego mężczyznę, młodszego od siebie o dziesięć lat. Anya była śliczna. Wysoka, miała niemal idealne nogi i maleńką oponkę w talii, której nikt by nie zauważył. Jej skóra wciąż wyglądała bardzo dobrze, tak jak rudobrązowe – czy mówi się kasztanowe? – włosy.

Niezła twarz. Z charakterem. W tym przypadku to oznaczało, że odbijało się w niej echo wschodnich inwazji ze stepów.

I Vincent. Ach, kiedy już przyznał się do tej całej

anhedonii, nie było takiej kobiety na świecie, wartej swojej ciasnej spódniczki, hojnego dekoltu i drogich perfum parujących z szyi, która by się nim nie zainteresowała.

Niezdolny doświadczać przyjemności.

A to się jeszcze okaże.

Właśnie tak myślały. A on znajdował sposób, by udowodnić, że mimo wszystko potrafi dawać przyjemność. Gem, set, mecz, jak można by powiedzieć, gdyby chodziło o tenisa.

Anya przyjęła roboczą teorię, że Vincent prawdopodobnie zadaje się wyłącznie z ciziami w swoim wieku albo młodszymi. A wszystkie są bardzo ładne, ale co może wiedzieć kobieta w tym wieku?

– Vincent! – Zawołała radośnie Anya i obróciła się na stołku barowym, żeby pokazać mu trochę większy kawałek uda niż to konieczne.

Cmok-cmok, buzi-buzi, wszystko bardzo nowojorskie.

Ale Vincent odsunął się odrobinę wolniej, niż mógłby, i jego policzek został przy jej policzku ułamek sekundy za długo.

I owszem, zareagowała.

Ale teraz oprócz tego, że widział jej zaróżowioną twarz, widział ją też przez dwa zestawy oczu biotów.

V1 ruszył w stronę oka. Pędził przez głęboką dolinę zasypaną rumowiskiem krystalicznych gładów makijażu. Drogie kosmetyki – bardziej

drobnoziarniste – przylepiały się do odnóży biota, trochę jak błoto.

V3 trafił w pejzaż, którego w pierwszej chwili Vincent nie umiał rozpoznać. Stał na długiej, lekko wygiętej równinie pełnej dołków, gąbczastej tkanki. Ale w oddali, z pół centymetra w skali mak, widniał ogromny filar, gruby w obwodzie jak sekwoja. Sterczał prostopadle do tej mięsistej równiny. V3 stał przechylony, co oznaczało, że tak naprawdę filar jest ustawiony z grubsza w poziomie.

Oczy Vincenta, te duże, brązowe, prawdziwe, zerknęły na ucho Anyi. Oczywiście: kolczyk. Białe złoto albo platyna.

Oczami biota widział łuszczącą się, nierówną powierzchnię, jak lufa starej armaty. A kiedy biot podszedł bliżej, Vincent zyskał widok na dziurkę, nakłucie, przez które przechodził metal.

W makro widział diament zwisający poniżej małżowiny.

Nigdy nie oglądał tak szlachetnego kamienia z poziomu biota.

To mogło być ciekawe. Ale nie czas na wycieczkę krajoznawczą.

Jeden w oku, jeden w uchu.

– Wpadłem kupić parę rzeczy. – Na dowód Vincent uniósł torebkę z delikatesów. – Przyszedłem za wcześnie. Ale nie chciałem być niegrzeczny i zjawiać się przed tobą.

Być może wystarczyłoby jej po prostu zaufać. Powiedzieć, czego od niej potrzebuje. Wprowadzić ją do BZRK. To właśnie na początku planował: zwerbować ją, żeby zyskać potajemne dojście do laboratoriów McLure'a.

Ale już nie mógł sobie pozwolić na „być może”. Musiał mieć „tak”. Musiał mieć to, co Anya może dać sprawie, i musiał to mieć natychmiast.

Zegar tykał. To wyższa konieczność, a czy wyższa konieczność nie usprawiedliwia wszystkiego?

– Nic by się nie stało. Ja też przyszedłam za wcześnie.

Posłali sobie nawzajem konspiracyjny uśmiech, który mówił „lubimy się”. Vincent zakładał, że Anya zamierza się z nim przespać. I miał na to wielką nadzieję. Potrzebował czasu, żeby zrobić swoje.

Potrzebował czasu z Anyą. A oprócz tego, oczywiście, pociągała go. Owszem, cierpiał na anhedonię, ale nie był aseksualny. Potrzeba to jedna sprawa, a przyjemność płynąca z jej zaspokojenia to co innego.

Do diabła. Była na basenie. A może tylko brała prysznic.

Tak czy inaczej V3 w jej uchu natknął się na ścianę wody.

Pewnie zaledwie parę mililitrów, ale trzymało ją napięcie powierzchniowe, więc zamiast rozlać się w

jeziorko, przez które zdołałyby przebiec, tworzyła gigantyczny wodny balon – a ten musiałby przepłynąć.

Chyba że niechcący przerwie napięcie powierzchniowe.

W takim przypadku V3 przejedzie się na fali, trochę jak na zjeżdźalni w parku wodnym, prawdopodobnie nie dalej niż do ucha zewnętrznego. Ale równie dobrze może skończyć na pospiesznie uniesionej serwetce, a z nią na kolanach albo na barze.

– Napiję się tego samego co moja znajoma – zwrócił się Vincent do barmana.

Anya położyła dłoń na jego ramieniu i się roześmiała.

– Nie, nie, to okropne, naprawdę. Żaden szanujący się mężczyzna nie powinien tego pić. Za słodkie. – Zaingerowała z taką pewnością siebie. Zauważył to. Starsza kobieta, spełniona zawodowo, ze stopniami naukowymi i na odpowiedzialnym stanowisku. – Poprosimy dwa kieliszki wódki, bardzo zimnej, czystej – powiedziała Anya. Puściła oczko. – No wiesz, moja rosyjska krew.

– Próbujesz mnie upić? – zaczął flirtować Vincent.

– Jeśli będzie trzeba – odparła seksowym głosem.

W tej samej chwili Vincent ostrożnie

przeprowadzał V1 przez linię tuszu do rzęs, nad nużeńcem, który chyba niedawno umarł – interesujące – do oka i dalej, pod dolną powiekę.

Wycofał V3 z ucha. Już kiedyś dał się złapać w złożoną serwetkę. Wtedy cholernie trudno się wydostać. Pewnie szybciej znalazłby drogę wyjścia z krtani niż z serwetki.

Napili się wódki.

Godzinę i dziesięć minut później wylądowali w mieszkaniu Anyi.

Jeszcze trochę później zasnęła w jego ramionach.

Teraz Vincent był już niemal na sto procent pewien, że Anya jest wolna od nanobotów.

I zaczął przy pomocy V1 i V3, wspieranych przez V2 jeszcze dochodził do siebie po stracie dwóch odnóży podczas ostatniej misji – rozciągać neuronalne włókna od jej ośrodków przyjemności do obrazów jego samego. Na tym etapie pewnie tylko go lubi. Ale przez kilka najbliższych godzin, które ona prześpi, a on nie, jej uczucie do niego nabierze mocy.

Już niedługo sama myśl o nim uwolni endorfiny do jej krwiobiegu. A jej naturalna ostrożność i rezerwa znikną. Będzie go uwielbiała. Będzie mu ufała.

Vincent przysiągł sobie, że usunie te połączenia, kiedy już zdobędzie to, czego potrzebuje. Właśnie tym, mówił sobie, BZRK różni się od Bliźniaków. Vincent robił tylko to co konieczne. I zminimalizuje

tę zdradę. Na tyle, na ile się uda.

– Bo my jesteśmy ci dobrzy – szepnął do siebie, choć nieproszone wspomnienie morderstwa w małej londyńskiej restauracji wykopiało na powierzchnię jego umysłu.

Burnowski nie miał takiej forsy ani takich wpływów (i anturażu) jak producent muzyczny (który pozostanie bezimienny) czy hołubiony przez media przemysłowiec (który też pozostanie incognito), więc nie dostał jednej z tych większych, głębszych łóż w China Bone.

Nie znali tu prawdziwego nazwiska Burnowskiego. A on przedstawił się jako John Musselwhite. Czy zarząd wie, że to fałszywe dane? Zapewne. Najprawdopodobniej ostro by się przerazili, gdyby podał prawdziwe nazwisko.

Lokal urządzono w lofcie, dużym, ale niecałkowicie otwartym. Dookoła biegł pomost, bardzo ładnie wykonany.

Owszem, w industrialnym stylu, jednak dobrze oświetlony, niemal jak dekoracja sceniczna. Byli też ochroniarze, ale niezwykle dyskretni, ubrani w luźne czarne spodnie i białe koszule, jak zwykle Jackie Chan w filmach. Typowy azjatycki sznyt. Jeśli mieli broń, to nieźle ukrytą, i się uśmiechali. Wszędzie uśmiechy. W dwóch kątach znajdowały się wysokie platformy taneczne – windy hydrauliczne z odsłoniętym mechanizmem. Na przemian to unosiły,

to opuszczały tancerki, jak pracujące w zwolnionym tempie tłoki. Dziewczyny – przeróżne – zmieniały się na tyle często, żeby ani one, ani klienci nie zdążyli się znudzić.

Muzyka grała ciszej, niż można się spodziewać w jaskini nieprawości. Burnowski dziękował Bogu, że to nie bębnienie starzejącego się rockmana, którego przed chwilą widział w głębi. Szczerze mówiąc, nigdzie indziej nie słyszał podobnej muzyki. Miękką pulsacją z powtarzalną melodią, jakby zapętloną bez końca. Trochę jak house albo dance, choć nikt oprócz zawodowych tancerek nie przychodził tu tańczyć.

Poniżej pomostu rozmieszczono łoże, urządzone coś na wzór wschodniego bazaru, jakby były namiotami. Więc kiedy patrzyło się na drugą stronę sali, widziało się klapy namiotów albo zasłony z paciorkami. Albo też, jeśli ktoś lubił się chwalić swoją słabostką, płótna podciągnięte na bok, by odsłaniać i zapraszać.

Pośrodku sali stał prostokątny bar z lakierowanego hebanu z gustownymi czerwonymi i złotymi zdobieniami. Oczywiście serwowano tu alkohol, a nawet jedzenie, choć niewielu gości jadło chińskie pierożki. Chodziło raczej o to, że niektórzy nie chcieli siedzieć w łożach, woleli kręcić się między ludźmi i gawędzić, często z barmanami. A inni lubili się napić wódki do fajki.

Burnowski wszedł do swojej ciasnej łoży, nie większej niż przyzwoita przebieralnia w centrum handlowym, z dwoma fotelami i małym stolikiem, przyćmioną lampką i staroświeckim telefonem z obrotową tarczą. Wiedział, co ma robić. Podniósł słuchawkę i poczekał, aż ktoś się odezwie.

– Tak, proszę pana. Czym mogę służyć? – Męski głos, miły, wyrozumiały, neutralny.

– *Ah-pen-yen* – powiedział Burnowski, posługując się terminem preferowanym w China Bone.

– Oczywiście, proszę pana. Mamy przygotować, czy woli pan sam?

– Wy przygotujcie. – Burnowski się uśmiechnął.
– Ufam wam.

Odłożył słuchawkę i wyciągnął się w fotelu. Z łoży po lewej docierał korzenno-słodki zapach – uwielbiał ten aromat.

Z drugiej strony nagły wybuch śmiechu, szybko stłumiony.

Nie mógł się tego doczekać przez cały dzień. Dzień, w którym miał długie spotkanie twarzą w twarz z Bliźniakami. To nigdy nie było miłe doświadczenie. A na tym spotkaniu na dodatek został poinformowany, że Bug Man przejmie główne zadanie na zgromadzeniu ONZ.

Nie protestował zbyt stanowczo. Bug Man ma dobrą technikę. Ale jest arogancki i może popełnić

dużo błędów. Burnowskiemu nie podobał się ten pośpiech. Przecież za rok odbędzie się kolejne Zgromadzenie Ogólne ONZ. Jeszcze rok planowania i znacznie wzmocniliby swoją pozycję.

W tej chwili AFGC miała w sumie dwudziestu siedmiu wykwalifikowanych tikerów, łącznie z nim. Dwudziestu siedmiu. Aby zainfekować i kontrolować sześć głów państw, jednocześnie utrzymując wszystkie aktualne projekty? Karkołomna logistyka.

Opanować premierów Wielkiej Brytanii, Indii i Japonii, kanclerza Niemiec, przewodniczącego Chin i prezydenta Stanów Zjednoczonych? To sześć zespołów w sześciu miastach, tkających w mózgach czterech mężczyzn i dwóch kobiet, bodajże najlepiej pilnowanych, najuważniej obserwowanych osób na świecie?

Czasami wadliwe okablowanie powodowało napad padaczki. Z takimi atakami u przeciętnego człowieka można sobie poradzić, ale u głowy państwa? U PeEsZet wystarczył jeden tik, żeby elitarny zespół lekarzy zaczął ją badać na dwadzieścia różnych sposobów. I co wtedy? Co będzie, kiedy lekarze z Bethesdy znajdą w głowie pełno nanobotów?

Panika, ot, co będzie. Telefony do FBI, CIA, NSA, każdej agencji wywiadu. Już teraz krążyły plotki. Poszukiwania w Internecie ujawniłyby paranoików, a niektórzy z nich mają zadziwiająco

trafne informacje.

Więc jeśli FBI nagle zdobędzie dowód?
Fizyczny dowód?

AFGC kontrolowała wicedyrektora FBI, ale on sam nie zdoła wyciszyć takiej afery.

Dwudziestu siedmiu tikerów. A wśród nich może z pięciu, którzy potrafią walczyć równie dobrze jak tkać. Właśnie tego nie rozumiał ten dzieciak. Bug Man nie łapał, że dwudziestu siedmiu równa się najwyżej siedmiu, którzy umieją walczyć.

I może trzem, co mogą walczyć i wygrać z najlepszymi.

Pojawiła się kelnerka. Niosła srebrną tacę. Ukłoniła się lekko, postawiła tacę na stoliku i wycofała się z łoży.

Na tacy, na grubej białej serwecie stała wąska szklana tacka z długimi zapalkami i ozdobna, emaliowana fajka wodna z długim wygiętym cybuchem z brązu i z maleńką główką.

Burnowski zamknął oczy i się uśmiechnął. Kiedy znów je otworzył, jego zmartwienia i kłopoty już zaczynały się oddalać, bo ratunek był w zasięgu ręki.

Niepokojące wizje porażki, wykrycia, uwięzienia i dwudziestu lat odwyku w więzieniu federalnym za chwilę znikną.

Ale jeszcze nie w tym momencie. W wejściu stał spocony nerwowy mężczyzna; niepewnie trzymał odsłoniętą kotarę i kiwał się, jakby nie wiedział, czy

się ukłonić.

Burnowski zapomniał. Zanim zacznie się rozkoszować przyjemnością, musi coś załatwić. Nie wstał. Ale wyciągnął rękę.

– Lord Elfangor? – szepnął mężczyzna; jeszcze trochę a zmoczy sobie spodnie. – Jestem Aidan Bailey. – Akcent australijski albo nowozelandzki. Pracownik ONZ, naturalnie.

Burnowski westchnął. Oczywiście. Robota One-Up. I jak zwykle wybrała najbardziej teatralne podejście. Spod zmrużonych powiek przyglądał się facetowi. Próbował sobie przypomnieć, co dokładnie zrobiono z mózgiem tego człowieka.

Gość był scjentologiem, czyli już został przygotowany do przełknięcia kosmicznej mitologii. Drobne zmiany w zwykłych mrzonkach roztrzepanego idealisty, do tego kropla ideologii Nexus Humanus i AFGC miało go na tacy.

Ciekawe, jak One-Up wprowadziła tę bujdę z lordem Elfangorem. Czy naprawdę zadała sobie trud i podpięła się do fonemów, żeby wymyślić to imię? Mało prawdopodobne. Raczej trochę skauteryzowała krytyczne myślenie – pewnie od początku nie było go wiele – spięła kablem jego religijną indoktrynację z jakąś bzdurką z telewizji czy kina, gdzie pojawiała się to imię, a potem powiązała je z obrazem Burnowskiego.

Ta One-up za bardzo się stara. Brzytwa Okhama:

zawsze szukaj najprostszego rozwiązania.

– Lord Elfangor to ja – odparł Burnowski. –
Dziękuję, że pan przyszedł.

– Ja... – Mężczyzna wybuchnął nagłym śmiechem pełnym zaskoczenia. – Ja właściwie nawet nie mam pojęcia, dlaczego tu jestem. Po prostu wiedziałem...

– Wiedział pan, że musi tu być – dopowiedział Burnowski. Robił, co mógł, żeby nie zerkać na fajkę. Zmuszał się do grania roli. – Jakby moc potężniejsza niż pan, umysł głębszy niż pański...

– Tak! Właśnie tak!

– Panie Bailey, bardzo niewielu potrafi usłyszeć wezwanie. A jeszcze mniej licznym mądrość podpowiada, by zważali na słowa Panów.

Wymyślał na bieżąco. Widział raport One-Up, przejrzał go pobieżnie, ale nie uczył się szczegółów na pamięć.

– Pańska obecność tutaj ocali rasę ludzką – oznajmił z powagą. – Ma pan coś dla mnie.

Bailey skinął głową. Wierzył. Ale niepokoiło go to, że wierzy. Wyczuwał, że coś jest nie tak. Coś w nim znało prawdę.

Coś w nim walczyło z tym, co się dzieje – ale jego dłoń i tak powoli powędrowała do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Czuje się pan zaleźniony. Martwi się pan, że traci kontakt ze swoją etyką. – Burnowski wstrzymał

oddech. Dobrze to powiedział? Miał niemal niezawodną pamięć i czytał o scjentologii...

– Tak – odparł Bailey i roześmiał się z ulgą.

Burnowski puścił do niego oko.

– Kiedy skończymy, poczuje się pan czysty. – Przyglądał mu się uważnie. Bawienie się terminologią nieznanego kultu było niebezpieczne. Zbyt łatwo popełnić błąd i się zdradzić.

Bailey wyjął rękę z kieszeni i położył pendrive na dłoni lorda Elfangora.

– Dziękuję. Postąpił pan słusznie.

Otumaniony mężczyzna potężnie westchnął z ulgą.

– Może pan odejść – powiedział Burnowski. – A, ehm, jeśli pan przypadkiem spotka młodą kobietę o niezwykłym imieniu One-Up, proszę jej przekazać wiadomość ode mnie. – Spojrzał mu w oko. Był pewien, że nanoboty One-Up podpięły się do nerwu wzrokowego, a może nawet słuchają. Napisał kilka słów w notesie, wydarł kartkę i przytrzymał ją tak, żeby gość widział.

– Posprzątaj, byle nie tutaj – przeczytał Bailey na głos. Nie rozumiem.

Burnowski machnął ręką i wygonił skazańca. Nie mógł sobie pozwolić, żeby ten dureń porozmawiał ze swoim scjentologicznym spowiednikiem i zaalarmował tych obłąkańców.

Więc w bezpiecznej odległości od China Bone w

głowie Bailey'a pęknie tętnica.

Burnowski zastanawiał się, dlaczego wydał One-Up rozkaz, żeby zabiła. Nie potrzebowała go. Wiedziała, że człowiek okablowany tak prymitywnie i pospiesznie, tak marnie, musi zostać wyeliminowany.

Dotarło do niego, że chciał wziąć brzemień winy na siebie.

Że często to robił. Może gdyby One-Up była starsza... Ale

siedemnastolatka powinna mieć jakieś opory przed morderstwem.

Do diabła, jak do tego doszło?

Przypomniawszy sobie – ile to lat minęło? – jak on i młody Grey McLure pracowali razem. Dawno temu. Teraz Grey nie żyje. A Burnowski do tego doprowadził, nawet jeśli to Bug Man dokonał samego czynu.

Wsunął do kieszeni pendrive z kodami zabezpieczającymi – dostęp do kamer ochrony, do komputerów, do drzwi siedziby ONZ.

Uniósł fajkę i zapalił zapałkę.

Dwudziestu siedmiu tikerów, żeby przejąć panowanie nad światem. A połowa z nich to nieznaczące gnojki.

Tak. No cóż. Co...

Och! Och, tak.

Och taaak...

Rozłożył się w fotelu, zapominając o fajce, która wciąż dyndała mu w dłoni, i cicho, radośnie zaśmiał się sam do siebie.

11

A ty kto jesteś? – spytała Sadie.

Noah wzruszył ramionami.

– Powiedzieli, że mam się nikomu nie przedstawiać.

Patrzyli na siebie z dwóch końców nędznego pokoju. Zielone ściany z plamami od wilgoci. Sufit z aluminiowych wytłoczek. Wzorek w kształcie warkocza otaczał miejsce, gdzie pewnie kiedyś wisiał żyrandol. Kanapa obita popękana brązową skórą, a przed nią prostokątny, szklany stolik udekorowany kólkami po filiżankach i kubkach. Rozczarowująco pusta paczka po ostrych doritos obok równie pustej puszki po napoju gazowanym.

Telewizor. Nastawiony na CNN, ale ściszony.

Komputer. Ktoś zostawił go na stronie z grami.

I kamery, ale tych nie widziała ani Sadie, ani Noah, bo wyglądały jak dziury po gwoździach w gzymsie pod sufitem.

Sadie siedziała w głębokim fotelu z fatalną tapicerką i drewnianymi poręczami. Noah właśnie wszedł i wydawał się trochę zagubiony. Trzymał kubek zielonej herbaty. Plecak w panterkę podsunął pod ścianę, żeby nikt się nie potknął.

Sadie była całkowicie przytomna, chociaż wcale

nie spała, a Noah za często mrugał i oddychał zbyt głęboko, bo spał za mało.

Poranek sączył szare światło zza zaciągniętych rolet w wysokich oknach.

Sadie obrzuciła wzrokiem niedrogi bagaż, kurtkę, która z pewnością nie została kupiona przy Piątej Alei, sportowe buty, dość urocze i z całą pewnością naturalnie rozczochrane włosy, nieśmiałe usta, niepokojąco niebieskie oczy.

Zauważyła brytyjski akcent. Wiedziała – od matki, od jej brytyjskich przyjaciół, z kilku wizyt w Londynie – że brytyjski akcent ma bardzo wiele odmian, od „moi przodkowie sprząтали stajnie”, przez wszystkie stany pośrednie, aż po „twoi przodkowie sprząтали stajnie moich przodków”. Noah z pewnością znajdował się na sprzątającym końcu tego spektrum.

To sprawiło, że była skłonna go polubić. A przynajmniej myśleć, że mogłaby go polubić.

Noah z kolei zobaczył dziewczynę, która bardzo się stara nie wyglądać na szczeniarkę i dobrze się czuje, rozkazując dorosłym. Dziewczyna ze służbą, pomyślał; to widać w jej spojrzeniu. Nie była wredna. Ani sukowata. Ale też w ogóle się nie wstydziła patrzeć mu prosto w oczy, i nie ukrywała, że go ocenia.

Uznała, że Noah może mieć potencjał. Ale spodziewała się też, że się rozczaruje.

Stwierdził, że nigdy by się z nim nie umówiła.

Jej podobały się jego oczy.

Jemu podobały się jej piegi.

Sadie pomyślała, że on chyba myśli, że wygląda na trochę zaskoczoną.

Noah pomyślał, że ona pewnie przez cały pokój czuje jego „samolotowy” oddech.

Niżyński i Ofelia weszli razem. Renfield tuż za nimi. I staną! w kącie.

Noah spojrział na Niżyńskiego z pewnym zdziwieniem.

Ostatni raz widział go w Londynie i jakoś utożsamiał go z tym miastem, choć facet z pewnością był Amerykaninem.

Niżyński uśmiechnął się ciepło. Noah przypuszczał, a raczej miał nadzieję, że facet nie jest złym człowiekiem.

Obserwował, jak Niżyński rozgląda się po otoczeniu.

Znużenie, brak zdziwienia i pogarda. Taki człowiek jak on nie aprobeje poplamionych, zielonych ścian czy brudnych kółek na stołach. Miał na sobie sportową marynarkę, spodnie w kant i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Wszystko razem musiało kosztować – według wyceny Noaha – cholernie dużo.

Noah nie poznał wcześniej Ofelii, Sadie nie poznała Niżyńskiego, ale oczywiście nikt tu nie życzył sobie prawdziwych imion, więc ani Noah, ani

Sadie nie zostali przedstawieni.

To zaczynało irytować Sadie. Była całkowicie pewna, że Niżyński wie, kim ona jest. Wszyscy wiedzieli. Może z wyjątkiem tego chłopaka. Tego z przestraszoną miną i z oczami, które ciągle zbaczają w jej stronę.

Jeśli chodzi o Noaha, to wiedział, że Niżyński wie, kim on jest, ale poza tym nie było żadnego powodu, dla którego ktokolwiek inny miałby to wiedzieć.

Ofelia przycupnęła na kanapie blisko Sadie, poklepała miejsce obok siebie i uśmiechnęła się do Noaha. Usiadł posłusznie.

Niżyński się rozejrzył. Trochę rozpaczliwie szukał jakiegoś miejsca dla siebie. W końcu, żeby zminimalizować kontakt fizyczny, wybrał zwykłe krzesło. Fachowo podrzucił poły marynarki, żeby się ułożyła. Nogawki spodni pozostały tam, gdzie powinny, i nie odsłoniły ciała nad skarpetkami.

– Nigdy wcześniej nie przyjmowaliśmy dwójki nowych jednocześnie, więc procedura jest trochę ad hoc – powiedział.

– Ale bardzo się cieszymy, że mamy tu was oboje – dodała Ofelia. Posłała im dwa uśmiechy, jeden tuż po drugim.

Dla Sadie siostrzany. Dla Noaha serdeczny, ale zawierał też informację, że jest dla niego za stara, to nic osobistego, ale ma z nią nie flirtować.

Noahowi nawet przez myśl nie przeszło, żeby podrywać Ofelię. Szczerze mówiąc, desperacko starał się nie patrzeć na garść piegów na nosie i policzkach Sadie i nie czuć smutku, który przebijał spod jej miny twardzielki, bo... no cóż, właściwie nie było żadnego „bo”. Po prostu chciał na nią patrzeć.

A zdawał sobie sprawę, że nie powinien. Mimo to spoglądał na nią, potem odwracał wzrok. Zrobił to chyba ze dwadzieścia razy. Przygryzał wargę, ale nie pomagało.

– Oboje otrzymaliście podstawowe informacje – odezwał się znów Niżyński. – Wiecie, dlaczego tu jesteście. Każde z was ma swoje powody. Musicie tylko pamiętać, że przekroczyliście granicę. Przepraszam, jeśli to nie było oczywiste, ale już w to weszliście. Na całego. I żadne z was nie może wyjść. Nie uśmiechał się, więc nie żartował. Pochylił się i oparł łokcie na kolanach, żeby podkreślić powagę swoich słów. – Teraz jesteście z nami. Będziecie dostawać rozkazy. I będziecie je wypełniać. – Jego oczy prześlizgnęły się po Noahu i z całym rozmysłem spoczęły na Sadie.

Chłopak wykorzystał okazję, żeby też sobie zerknąć, i rany, wolałby nie być człowiekiem, na którym skupiłby się ten bunt widoczny w spojrzeniu Sadie. To nie była maska; to wychodziło z głębi. Z gadziego mózgu, z kręgosłupa i pięści.

Odwrócił wzrok i popatrzył na Niżyńskiego. Czy

to rasistowskie, myśleć, że azjatyckie oczy są mniej wyraziste? Tak czy inaczej, z oczu tego gościa trudno cokolwiek wyczytać. Aż nagle pojawił się błysk rozbawienia. Sadie mu się podoba. Nie w taki sposób, jak dziewczyna chłopakowi, ale się podobała.

– Wszyscy dostajemy rozkazy – wtrąciła się Ofelia.

– To prawda – przyznał Niżyński.

– I wszyscy to rozumiemy.

– Tak.

– Naprawdę liczy się to... – Ofelia wzruszyła ramionami.

– Ze każdy z nas kogoś stracił – dokończył Niżyński.

Dziewczyna skinęła głową. Bez uśmiechu. Skóra jej twarzy – krucha, naciągnięta – ukrywała wspomnienia. W tej chwili trudno było sobie wyobrazić, że ta twarz potrafi się uśmiechać. A przecież to robiła, prawda?

– Nie chcemy stracić nikogo więcej – ciągnął Niżyński. Ryzykujemy życie. A ci, którzy obsługują bioty, ryzykują zdrowie umysłowe. Robimy to z własnej woli. I robimy to, żebyśmy my i cała reszta ludzkiej rasy zachowali wolną wolę. Żeby ludzie mogli wybierać między słusznym i niesłusznym, złem i dobrem. Druga strona twierdzi, że pragnie powszechnej szczęśliwości. I cóż mogę powiedzieć? Nie kłamią. – Lekko skrepowany zrobił teatralną

pauzę, pozwalając im przetrwać to przez chwilę. – Za pomocą techniki zamierzają zmienić ludzkość w coś w rodzaju społeczności owadów. Sprawić, że staniemy się jednym zjednoczonym umysłem. Żadnego cierpienia, żadnego stresu, żadnego gniewu czy zazdrości. Ale my wybieramy inny świat. Wybieramy prawo do cierpienia.

– Walczymy o cierpienie? – spytał sceptycznie Noah. – To brzmi trochę szaleńczo, kiedy tak to ujmujesz.

Niżyński roześmiał się zachwycony.

– O, bo to jest szaleństwo. – Po czym znów poważny kontynuował: – Walczymy o prawo do bycia tym, kim chcemy, do odczuwania tego, co chcemy. Nawet jeśli to, czego chcemy, wydaje się innym szalone.

– Jeśli wam to nie sprawi różnicy, ja będę walczyć dla zemsty – powiedziała Sadie.

Skośne oczy Amerykanina zalśniły.

– Ależ tak. Ja nie mam nic przeciwko.

Niżyński i Ofelia wymienili spojrzenie. Dziewczyna wyraźnie się ucieszyła, niemal jakby chciała powiedzieć: A nie mówiłam? Oboje byli usatysfakcjonowani. Zadowoleni ze swoich nowych rekrutów.

– Nasze dotychczasowe imiona zostawiamy za sobą i wybieramy nowe – mówił dalej Niżyński. – Od samego początku stało się... no, naszym

obyczajem... wybierać imię jakiejś prawdziwej bądź fikcyjnej postaci, która wyrwała się z ciasnych oków zdrowych zmysłów. – Uśmiechnął się cierpko.

Ofelia wyjaśniła:

– Vincent od Vincenta van Gogha, Niżyński, Ofelia z *Hamleta*, Annie Wilkes ze Stephen Kinga, Kaligula... – Zamrugła. – Kerouac, nasz drogi Renfield, postać z *Drakuli*, no i oczywiście Lear.

– Kto to jest Kaligula? – spytała Sadie, jak zwykle czujna.

Niewiele w życiu przegapiała. – To dość mocne imię.

Ofelia oczami przekierowała pytanie do Niżyńskiego. Ten ściągnął poły marynarki i ją zapiął.

– To nie jest drużyna skautek. Nie możemy sobie pozwolić na zdradę.

Sadie uśmiechnęła się drwiąco.

– Kaligula to wasz likwidator.

– Co to ma być? – spytał Noah. Dźwięk własnego głosu zaskoczył go. Nie zamierzał się odzywać. – To wy przyszliście do mnie. Powiedzieliście mnie i... – Spojrzał na Sadie, przypomniał sobie, że nie powinien być niedyskretny, zaczerwienił się i podjął zgubiony wątek. – Wy przyszliście do mnie. Potem ten pieprzony test. I założymy, że się na to zgodziłem. A teraz mówicie, że co? No co? – Jego usta już nie wyglądały jak u nieśmiałego chłopaka. Górna warga

była ściągnięta, jakby świadczyła, że pod tymi niebieskimi oczami Bambiego i pod tą nieśmiałością kryje się twardy charakter.

Niżyński skinął głową sam do siebie.

– Mówię ci, że jeśli zdradzisz BZRK, odwiedzi cię Kaligula. I chcę, żebyś to zrozumiał, chłopcze. – Wycelował zadbany palec w Noaha, nie z gniewem, ale z niewypowiedzianą radą: Wysłuchaj mnie i zapamiętaj, bo inaczej niech cię Bóg ma w opiece. – Ktokolwiek ci powie, że zdoła cię ochronić przed Kaligulą, będzie kłamał. Nikt nie ochroni cię przed Kaligulą.

Sadie spojrzała na niebieskookiego. Nie mrugnęła. Nie drgnęła.

– Pisałam pracę o poetce Sylvii Plath. Kiedy miała trzydzieści lat, wsadziła głowę do piekarnika. Odkręciła gaz.

I wdychała go, aż umarła. Jej dzieci były w pokoju obok. Mrugnęła raz, powoli, z rozmysłem. – Taka wariatka wam wystarczy?

Niżyński cofnął się, niemal jakby obawiał się skażenia.

Noah spojrzał na nią absolutnie zadziwiony: ona już jest stuknięta. A jednocześnie wiedział, że tej nocy długo nie zaśnie, bo będzie o niej myślał.

– Więc Sylvia? – odezwał się w końcu Niżyński. Zaprzeczenie lekkim ruchem głowy.

– Plath.

Ta chwila miała w sobie jakąś religijną podniosłość. Nikt się nie uśmiechnął, nie roześmiał, nie puścił oka, ani – Noah był pewien – nawet nie rozważał czegoś takiego.

– A ty, młody? – spytał Nizyński, wciąż patrząc na Sadie.

Na Plath.

– No... nie wiem... – Znaczy... pisałem kiedyś pracę o Nelsonie Mandeli. Ale to nie wariat.

Zarobił tym sobie uśmiech Ofelii, jednoznacznie słodki.

Renfield wyglądał na skołowanego i trochę urażonego, że jest skołowany. Nie miał pojęcia, kim jest Nelson Mandela.

Noah nie potrafił odczytać spojrzenia Plath. Taksujące.

Precyzyjniej nie umiał tego zdefiniować. Nie osądzała go, po prostu taksowała. Mierzyła wzrokiem, jakby wybierała śrubokręt odpowiedniej wielkości.

– Jeśli mamy Plath, to powinniśmy mieć i Keatsa – podsunęła Ofelia. – To też wielki poeta. Plath Amerykanka, Keats Brytyjczyk. Miał depresję i był uzależniony od opium. I podobnie jak Plath, zmarł bardzo młodo. Przed trzydziestką.

– Dwoje poetów w jeden dzień. – Nizyński wstał z odrobiną mniejszą gracją, niż siadał. – To może się wydawać głupie. Wymyślanie wam nowych imion.

Ale to czemuś służy.

– To nie jest... – zaczął nowo nazwany Keats.

– Służy temu – ciągnął Niżyński, spoglądając im kolejno w oczy – żebyście teraz, tutaj, bez dalszego wnikania i bez żałowania później zaakceptowali, że stanęliście do walki ze śmiertelnym wrogiem. Od tej chwili waszemu życiu grozi niebezpieczeństwo. Od tej chwili zrzekacie się wszelkiego prawa do prywatności. Od tej chwili istnieją dla was tylko dwa rozwiązania: śmierć albo szaleństwo.

Zadzwonił jego telefon.

Wyjął go, spojrzął na wyświetlacz, odwrócił się nagle i wyszedł.

– Albo zwycięstwo – dodała cicho Ofelia, kiedy już się upewniła, że Niżyński nie usłyszy.

12

Są z nami – powiedział Niżyński do telefonu. – Plath i Keats.

– Doktor Vilolet jest okablowana – poinformował z kolei Vincent. – Da nam to, czego potrzebujemy. Dzisiaj w nocy.

Myślę, że możemy w miarę bezpiecznie przywieźć tu naszych młodych poetów.

– Wyposażysz ich oboje? Plath nie przeszła nawet testu.

Vincent się zawahał.

– Wierzysz w instynkt, Niżyński?

– Twój? Zawsze.

– Wyposażę oboje. Instynkt. I konieczność. Mamy mało czasu. Plath się nada.

W tym samym momencie, wiele kilometrów dalej, Burnowski rzucił Bug Manowi pendrive z China Bone.

A Ofelia napisała e-mail do brata w Bombaju. Opowiedziała mu o swoich studiach na Uniwersytecie Columbia. Wymyśliła jakiś problem z wykładowcą. Dołączyła zdjęcie, na którym ona i jakaś nieznajoma dziewczyna stoją przed biblioteką Low Memoriał i pokazują do obiektywu znak pokoju.

A Renfield zaprowadził Plath i Keatsa do ich

pokojów. Sąsiadowały ze sobą, ale nie były połączone.

Lokum Plath wyglądało jak żalosny, zapuszczony pokój hotelowy, w którym jakiś pijak mógłby spędzić swoje ostatnie dni. Pokój Keatsa bardzo przypominał ten w jego domu, tyle że przydałby się do ozdoby plakat z mapą Anglii. Pomieszczenia były identyczne.

– Jak długo tu zostaniemy? – zapytała Plath.

– Zwykle jest okres obserwacji i treningu – odparł Renfield. Mierzył ją wzrokiem z góry na dół tak, jakby sugerował, że nie musi być przez ten czas samotna.

– A co tu obserwować? Na pewno macie we mnie bioty.

Renfield arystokratycznie skinął głową; taki nie całkiem ukłon, ale wyraz uznania.

– Ja akurat teraz nie mam.

– Mogą czytać moje myśli? – spytała i odpowiedziała jednocześnie, choć nie do końca przekonana.

– Nie.

– Widzieć to co ja?

– Tak. I słyszeć to, co słyszysz, zależnie od tego, gdzie są umieszczone i czy zostały dostosowane do odbierania długich fal dźwiękowych.

Plath przez kilka sekund mocowała się z tą wizją. Keats się zaczerwienił.

Renfield przez moment doświadczał chyba czegoś w rodzaju współczucia.

– Przyzwyczajcie się.

Dokładnie w tej chwili obserwował ziarniste szare obrazy, które uzyskiwał przez dość fatalne połączenie z oczami Keatsa. Jego bioty przeprowadzały jeszcze jeden rekonesans w poszukiwaniu nanobotów. Ostrożności nigdy za wiele.

Widział własną dumną minę, kiedy chłopak patrzył na niego. Potem Keats szybko zerknął na biust Plath. Skupił się na jej twarzy. Błyskawiczny unik, kiedy Plath spojrzała na Keatsa. A potem trochę dłuższe niż potrzeba spojrzenia na jej szyję, policzek, ucho.

Tak. Nowy cudowny nabytek był zauroczony dziewczyną.

A przynajmniej sprawdzał możliwości. Renfield przez chwilę zastanawiał się, czy powinien czuć do niego niechęć. Ostatecznie jeśli już ktoś ma spędzać miłe chwile z tym drażliwym stworzeniem, to on sam. Ze swoją drugą przyjaciółką nie umawiał się na wyłączność.

Ale nagle przypomniał sobie, że Keats to brat Kerouaca.

A wobec Kerouaca miał ogromny dług wdzięczności. Zamierzał spłacić ten dług, opiekując się dzieciakiem. Ale w taki sposób, który nie pozwoli

Keatsowi spędzać... miłych chwil...

z Plath.

Nawet długi wdzięczności mają swoje granice.

Kilka minut później Keats leżał w łóżku i gapił się w sufit.

Powinien się bać. Ale zamiast strachu przytłaczała go myśl o niej. Dzieliła ich tylko ściana.

Czy oni mogą czytać jego myśli?

Może nie. Ale niewykluczone, że patrzą przez jego oczy, a to prawie jak czytanie myśli. A jak pójdzie do toalety? Jezu.

Czy Alex przechodził to wszystko?

I jeszcze więcej, najwyraźniej.

Tylko że Alex był żołnierzem, twardzielem całą gębą, a Noah nie. Jedyne co trenował to granie w gry komputerowe, kopanie piły i zawiłą sztukę prześlizgiwania się ledwo ledwo przez szkołę. Bił się w życiu trzy razy. Pierwszy raz, kiedy miał dziewięć lat i jeden starszy chłopak nazwał jego matkę MDP. Mamuszką do Posuwania. To kosztowało Noaha podbite

oko i naderwane ucho. Kolejne dwie bójki stoczył na boisku.

Po prostu eksplozja testosteronu. Skończyło się tym, że koledzy z drużyny go odciągnęli.

Wojna? To broszka Aleksa, nie Noaha.

To znaczy Keatsa. Hm, musi sprawdzić tego poetę. W jego życiu nagle pojawiło się troje poetów:

Pound, Plath i Keats.

Czyżby poezja doprowadzała ludzi do obłądu? O to chodziło?

I Kerouac. Nie poeta, ale też pisał.

Cóż za dziwny sposób, żeby pójść w ślady Aleksa.

Czy brat zauważy, kiedy Noah opuści zaplanowaną wizytę? Czy coś w nim domyśli się, gdzie Noah się podział?

Czy poczuje dumę? Czy tylko będzie szarpał łańcuchy i wykrzykiwał szaleńcze ostrzeżenie przed nano, Bug Manem i BZRK?

Zmęczenie lotem wreszcie upomniało się o niego i wciągnęło go bezlitośnie, szybko pod powierzchnię. Zasnął.

Plath nie spała. Spacerowała po pokoju.

Czy mogą czytać jej myśli? Była skłonna wierzyć, że jednak nie. Ale to nie oznaczało, że nie obserwują, jak kręci się po pokoju.

Gdyby czytali jej myśli jak profil na Facebooku, tak wyglądałyby kolejne wpisy:

Jestem całkiem sama. Jestem przerażona, ale czuję się wolna.

Renfield to dupek.

Ofelia i Renfield bawią się w dobrego i złego glinę, żeby zyskać moje zaufanie.

Wybrałam dla siebie „Plath”, więc oni dla

niebieskookiego chłopaka wybrali „Keats”. Celowo. Chcą, żebyśmy stanowili zespół.

Ręka boli jak cholera. Mogę dostać przeciwbólowy albo sześć?

Co dalej?

Po drugiej stronie miasta, w Tulipanie, Charles i Benjamin Armstrongowie korzystali z bardzo staroświeckich narzędzi do porządkowania myśli: kartek 8 na 13.

Koordinacja, precyzyjne ruchy – te mniej precyzyjne zresztą też – zawsze sprawiały im trudność. Cóż, pojedyncze oko nie daje głębi obrazu.

Każdy miał jedną rękę. Ale pisanie czasem wymaga dwóch rąk – jedna pisze, druga przytrzymuje kartkę.

Bliźniacy z trudem opanowali sztukę odręcznego pisania.

Klawiatury i ekrany dotykowe łatwiej obsługiwać. Ale Charles i Benjamin cenili sobie ból przezwycięzania przeszkód. Życie nigdy ich nie rozpieszczało. Wszelkie działania fizyczne były trudne, a czasem upokarzające. Pewnego dnia wiele lat temu, kiedy siedemnastoletni Bliźniacy dusili dziadka poduszką, mieli ogromny problem ze skoordynowaniem ruchów.

Stary Arthur Armstrong trzymał chłopców na diecie kazał im wystrzegać się paranoi i lekkomyślnego folgowania zachciankom. Kochali go

na swój sposób, a on był z nich dumny.

Poprosił ich, żeby zakończyli jego udęczone cierpieniem życie. Zgodzili się, ale tylko pod warunkiem że natychmiast odziedziczą Armstrong Fancy Gifts Corporation.

Arthur promieniał z dumy. Dobrze ich wychował. Skoro mają go zabić, na Boga, ich prawo żądać zapłaty.

Mimo to, kiedy nadszedł czas, pojawiły się kłopoty. Jakiś paniczny instynkt kazał tak bliskiemu śmierci staruszkowi zużyć resztki energii na szarpaninę. A z dwiema nieskoordynowanymi rękami trudno przytrzymać poduszkę na tyle długo, na tyle mocno, żeby skutecznie udusić.

Teraz kartki leżące przed nimi zawierały staranne, odręczne notatki wypisane mazakiem dużymi literami:

PeEsZet Premier Wielkiej Brytanii Premier Japonii Kanclerz Niemiec Przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej Premier Indii To będzie globalne uderzenie. Sześcioro najpotężniejszych przywódców politycznych na świecie. Razem wzięci władają połową ludzkiej populacji. Trzema czwartymi światowych bogactw. I praktycznie całą światową technologią.

Można by się zastanawiać nad włączeniem do tego Rosji, Francji i Korei Południowej. I rzeczywiście, te trzy kartki leżały odłożone, do

wykorzystania później.

– Ambitne – mruknął Charles.

– Zbyt ambitne? – spytał Benjamin.

– Burnowski przedstawił słuszne argumenty za bardziej stopniowym podejściem – powiedział Charles. – I skoro McLure nie żyje, stary wyjadacz może mieć rację. BZRK pewnie jest mniej sprawne bez dostępu do pieniędzy i laboratoriów McLure’a. Może mamy więcej czasu.

Dwa identyczne monitory poruszyły się na mechanicznych wysięgnikach, zestrojone z ruchami Bliźniaków. Każdy monitor miał własną kamerę i każda skupiała się na jednej stronie zbyt szerokiej twarzy. To pozwalało Bliźniakom widzieć się nawzajem, mówić nie obok siebie, ale do siebie oko w oko.

Powierzchnia biurka była ekranem dotykowym z takim samym menu z lewej i z prawej. Mogli na nim wywoływać obraz z kamer umieszczonych dosłownie wszędzie. Na pięćdziesiątym ósmym piętrze, gdzie pracowali tikerzy. Na dwunastu piętrach laboratoriów, w zakładach testowych na dziewiętnastym i dwudziestym, w biurach firmy na niższych kondygnacjach, w modelowym sklepie z upominkami na parterze, w garażu podziemnym, w windach, które obsługiwały Tulipana.

Mogli też włączać obraz i dźwięk z głównych biur Nexus Humanus w Hollywood, z satelickich

siedzib w Waszyngtonie, Londynie, Berlinie, Moskwie, Buenos Aires i ledwie parę przecznic stąd, na Manhattanie.

Mogli także podglądać setki sklepów Armstrong Fancy Gifts na lotniskach i dworcach kolejowych, na turystycznych ulicach większej części świata.

Mogli zaglądać do domów najważniejszych pracowników, patrzeć, kto przychodzi z wizytą; przyglądali się członkom rodziny, jak się kłóca, biorą prysznic, gotują kolację albo się kochają.

Imperium Armstrongów przychodziło do nich przez tysiące ukrytych kamer, system stworzony wyłącznie dla nich.

Charles i Benjamin, którzy nie mogli wyjść na świat, obserwowali wszystko, niewidziani i o nic niepodejrzewani.

Ale teraz patrzyli na siebie nawzajem. Obserwując oko bliźniaka, Benjamin widział, że Charles nie mówi do końca poważnie, że bawi się w adwokata diabła. Uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Im dłużej czekamy, tym większe ryzyko, że zostaniemy wykryci. – Cofnął się myślą przez cały proces decyzyjny. Przepowiadał go sobie w głowie jak liturgię. To go uspokajało. Już parę razy niewiele brakowało.

– Mogą odkryć naszą technologię w każdej chwili – przyznał Charles.

– Wiemy, że FBI przechwyciło nanobota. Co by

było, gdybyśmy nie zdołali go odzyskać?

– Wiemy też, że MI5 prowadzi intensywne śledztwo.

– Ruch Anonymous kilka razy próbował włamać się do sieci komputerowej AFGC i Nexus Humanus – dodał Benjamin.

– O tak, hakerzy się na nas zawzięli.

– FBI jest chwilowo unieszkodliwione. Ale MI5 nie daje za wygraną.

– Są oznaki zainteresowania ze strony Mossadu.

– Była próba infiltrowania Nexusa przez szwedzki wywiad.

– Za dużo par oczu zwraca się ku nam, bracie.

Ta myśl niepokoiła obydwu Bliźniaków. Podglądali, ale sami nie życzyli sobie być podglądani.

– BZRK jest osłabione przez śmierć McLure’a, ale nie pokonane – ostrzegł Benjamin.

– Pieprzyć BZRK – wypalił Charles.

– Fanatycy.

– Kult śmierci.

Nastąpiła długa cisza. Obaj bracia patrzyli na kartki, a trzecie oko wędrowało leniwie. Ekran w stole pod papierami pokazywał, jak laborant wprowadza dane.

– Mało czasu.

– Trzeba działać teraz.

– Jeśli mamy odnieść sukces, bracie.

Kolejna długa pauza.

– Sześć celów. – Benjamin westchnął głęboko, a skóra między ich głowami rozciągnęła się, lekko wykrzywając usta Charlesa. – Czterech mężczyzn, dwie kobiety. Wszyscy obserwowani i pilnowani. Na każdego potrzeba w pełni wyposażonego zespołu: głównego tintera, zmiennika, obsługi, ochrony... minimum dziesięciu osób. I każdy z zespołów jest potencjalnym celem, każdy może być wykryty.

Charles westchnął.

– Bug Man. Kim. One-Up. Alfredo. Dietrich. – Zaciśnął usta. – Burnowski. Sześcioro na najwyższym poziomie.

– A średnia wieku ile, siedemnaście lat, jeśli nie liczyć Burnowskiego?

– Tikerzy. – Charles prychnął pogardliwie. – Młodzi i aroganccy, inteligentni, ale niestabilni z definicji.

– Kolejne dwadzieścia dwie osoby na drugim szczeblu.

Siedemdziesiąt jeden na trzecim.

– Stanowiących ryzyko i bezużytecznych przy takiej pracy.

Spojrzeli w dół, skupiając wszystkich troje oczu na kartkach.

Benjamin położył palec na tej z napisem „Kancelarz Niemiec”. I przesunął ją na bok.

– Najprawdopodobniej przegra kolejne wybory.

Marnowanie środków.

– A więc pięcioro – zgodził się Charles. – Stany, Chiny, Japonia, Indie i Wielka Brytania.

– Pięcioro.

– Nie później. Teraz.

– Teraz – przytaknął Benjamin stanowczym tonem.

Ich pies, beagle, przytruchtał po wyfroterowanej podłodze i połasił się do nogi Benjamina. Charles wyjął psi przysmak ze słoja na biurku i wrzucił go do pyska zwierzaka.

– Proszę, Maisie – powiedział czule. – Dobra suczka.

– To twój pies – mruknął Benjamin. – Dlaczego zawsze łasi się do mnie?

Potem postanowili wziąć prysznic, ale przeszkodziła im nowina. Przyniósł ją ich służący Hardy. Staruszek posiadał cudowną umiejętność: potrafił się nie wzdrygać, kiedy patrzył na swoich podopiecznych.

Podał im tabletkę z otwartą wiadomością. Przeczytali, gdy Hardy pomagał im wydostać się z szytego na miarę ubrania pełnego nietypowych suwaków i otworów.

– Nasza pułapka – powiedział Benjamin.

– Nasz lep na Vincenta – dorzucił Charles i to powiedzonko sprawiło, że obaj uśmiechali się serdecznie.

ARTEFAKT Do: Vincent Od: Lear
Kontynuować ekwipowanie Plath i Keatsa.

PS: Atak na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ musi zostać odparty. Ta misja jest ważniejsza niż czyjekolwiek życie czy opory moralne.

Wypełniaj rozkazy, Vincent. To twoje zbawienie.

ARTEFAKT Do: C i B Armstrongowie Od: AmericaStrong, spółka Armstrong Fancy Gifts Corporation Status: POUFNE KODOWANE
Przeczytać i skasować Najnowszy wpis do Wikipedii zawierał informacje szkodzące naszym interesom (patrz niżej: pkt 3). Punkt ten został już usunięty i był dostępny onliine zaledwie przez dwanaście minut.

Podejrzewamy, że to materiał źródłowy KSI, szwedzkiego wywiadu.

Projekt MKULTRA za: Wikipedia, wolna encyklopedia MKULTRA (czasem MK-ULTRA) to kryptonim kontrowersyjnego, początkowo ściśle tajnego projektu badawczego prowadzonego w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych przez Centralną Agencję Wywiadowczą Stanów Zjednoczonych. Projekt został ujawniony i oprotestowany przez dziennikarzy i komisje śledcze prezydenta i Kongresu USA (Komisję Rockefellera i Komitet Churcha).

Na podstawie ustaleń śledztwa, celem projektu MKULTRA było zbadanie możliwości sterowania pracą ludzkiego mózgu i kontroli umysłu z

wykorzystaniem substancji chemicznych (w tym środków psychodelicznych, m. in. LSD), bodźców elektrycznych, analizy fal mózgowych i form percepcji podprogowej. Według wielu relacji, badania były często brutalne i odbywały się także na nieświadomych ich celu obywatelach USA, czasem z tragicznymi skutkami.

Najnowsze dowody sugerują, że w ramach projektu MK-ULTRA eksperymentowano również z wczesnymi wytworami nanotechnologii. Kiedy plany te zostały pokrzyżowane przez zarządzone przez Kongres Stanów Zjednoczonych cięcia budżetowe, prowadzenie dalszych badań zlecono Armstrong Fancy Gifts Corporation, a konkretnie jej działowi badań nad bronią. Wszelkie dokumenty świadczące o udziale AFGC zostały zniszczone. Pewna liczba osób zaangażowanych w badania zmarła w tajemniczych okolicznościach.

13

Pukanie.

– Kto tam? – spytała Sadie. Ona nie zaczęła jeszcze myśleć o sobie Plath.

– Vincent.

Vincent. Nie widziała go od dnia, kiedy pojawił się zniecka w jej łazience. Nic się nie zmienił. Dwudziestoparolatek z twarzą starca.

Był z nim niebieskooki chłopak, Keats. Wyglądał, jakby zerwano go z łóżka. Oczywiście, sama pewnie też tak wyglądała, bo właśnie została zerwana z łóżka.

Renfield trzymał się kilka kroków z tyłu, w cieniu. Stał z rękami na' biodrach, sztywno jak żołnierz na warcie. Sadie zauważyła, że Renfield patrzy na Vincenta z nieufnością. Vincent raczej nie robił niczego, żeby wywołać taką reakcję, nie był rozgniewany ani władczy. Zachowywał się cicho, z rezerwą i wydawał się trochę smutny w swoim ciemnym płaszczu przeciwdeszczowym. Ale musiała przyznać, że i w niej budzi trochę lęku: pamiętała ostrze z jego pióra.

Na dworze noc. Sadie wykończona przespala cały dzień.

– Sprawy posuwają się naprzód trochę szybciej,

niżbyśmy chcieli – oznajmił Vincent. – W zwykłych okolicznościach mielibyśmy czas, żeby was uczyć. Przygotować. Ale dziś nadarzyła się okazja.

Dlaczego Sadie nie potrafiła nawet sobie wyobrazić, że mogłaby mu odmówić?

Otworzyła szeroko oczy. Czyżby coś jej zrobili? W mózgu?

Vincent, jakby odczytał jej myśli.

– Obydwoje jesteście sami – wyjaśnił. – Keats, Renfield zabrał swoje bioty, kiedy spałeś. Ofelia też ma swoje bioty przy sobie, Plath.

Plath.

– Skąd mogę mieć pewność? – spytała ze złością.

Renfield jakby chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się i zrobił pół kroku do tyłu.

– Posłuchaj mnie, Plath – odezwał się znów Vincent. – Ty też, Keats.

Znał jej prawdziwe imię. Ale go nie używał. Jakoś czuła, że nigdy się nie przejęzyczy i nie nazwie jej Sadie. Może nawet w myślach.

Plath. To temat do przemyślenia.

– Musicie mi zaufać – ciągnął Vincent. – I nie chodzi o to, że chciałbym, żebyście mi ufali. Wy musicie mi ufać. I dlatego nie będę was okłamywał. Gdybyście kiedykolwiek przyłapali mnie na kłamstwie, już nigdy nie zaufalibyście mi do końca.

Sadie spojrzała na Keatsa. W jego oczach

zobaczyła echo własnej podejrzliwości.

– Dobra – powiedziała. – I co dalej?

– Jedziemy zrobić wam bioty.

Oddech utknął jej w gardle.

– Teraz?

Renfield ruszył przodem. Nie tą samą drogą, którą weszli do budynku, nie tym samym zaułkiem, ale po stromych, wąskich schodach, potem po szerszych, potem przez drzwi i przez pomieszczenie, które było najwyraźniej magazynem jakiejś restauracji. Puszki sosu chili. Wielkie plastikowe wiaderka majonezu. Pikli. Keczupu. Zaskakująco wysoka wieża z pudeł z zupą w puszkach. Puszki napojów gazowanych, butelki wody.

Sadie czuła zapach tłuszczu, octu i uryny.

Renfield otworzył drugie drzwi. Wyszli do ciemnego i fatalnie pachnącego korytarzyka z drzwiami oznaczonymi „Mężczyźni” i „Kobiety”. Na otwartym końcu tego przejścia widać było bok lady chłodniczej.

Wąski bar. Typowo nowojorski. Uciapane lustro. Po jednej stronie długi blat o szerokości piętnastu centymetrów, po drugiej pięć stołków z popękkanymi plastikowymi siedziskami, niska lada przyozdobiona chromowanymi stojakami na serwetki i poplamionymi plastikowymi kartami dań. Za ladą miszmasz chłodziarek różnej marki, grill, lodówka na napoje, a całość wieńczyła kasa oblepiona

zwijającymi się ze starości postaciami z kreskówek, wyciętymi z kolorowych gazet.

Bardzo stary mężczyzna z siwymi wąsami siedział skulony w za dużej kurtce i jadł grillowaną kanapkę z serem. Z obsługi tylko jeden facet – na oko przed trzydziestką, z bliskowschodnią cerą, sennymi oczami i w fartuchu. Skrobał grill.

Nie podniósł wzroku, kiedy ich czwórka wyłoniła się jak wyczarowana z korytarza z toaletami.

– To jedyny raz, kiedy tak wspólnie się przemieszczamy oznajmił Vincent, gdy wydostali się na zimną, wietrzną ulicę.

Przeszli w milczeniu dwa kwartały pod hotel z postojem taksówek. Jazda zajęła dziesięć minut – przy Szóstej Alei prowadzono roboty drogowe.

Vincent kazał taksówkarzowi wysadzić ich dwa kwartały od miejsca, które, jak podejrzewała Sadie, było ich celem. Nowojorska siedziba McLure Industries. Kwaterna główna, przynajmniej w teorii, choć główny kampus znajdował się w Jersey.

– Rozpoznają mnie – rzuciła szorstko do Vincenta. – No i są kamery.

Z aprobatą skinął głową.

– Słuszna uwaga. Ale nie martw się.

Stanęli przed budynkiem. Światło w holu było przygaszone, ale mimo późnej godziny Sadie wyraźnie widziała dwóch ochroniarzy przy biurku.

Przebiegli ulicę, minęli wejście i przeszli za róg, do rampy rozładunkowej. Vincent wyciągnął komórkę i wstukał kod.

Sadie zerknęła mu przez ramię i dostrzegła ziarnisty obraz z kamery nad rampą. Obraz się zmienił. I znowu. Vincent miał dostęp do kamer ochrony.

Potem wysłał kolejny SMS. Stalowa żaluzja zaczęła z klekotem podjeżdżać do góry. Kiedy tylko jej brzeg znalazł się na wysokości ich głów, wprowadził ich do środka i żaluzja opadła z powrotem.

W hali rozładunkowej było pusto i równie zimno, jak na dworze.

Sadie zauważyła kamerę na suficie. Czerwona lampka się nie świeciła. Vincent spojrzał znacząco na Renfielda, a ten krótko skinął głową. Przez jedną przerażającą chwilę Sadie myślała, że Renfield ma pistolet. Ale on uśmiechnął się drwiąco i pokazał jej paralizator.

– Spokojnie, to nie powinno być konieczne – wyjaśnił Vincent. – Byłem tu wiele razy. Ale nie nagrała mnie żadna kamera i nie widział mnie nikt oprócz... – Zawahał się. – Oprócz jednego człowieka. Kontaktowałem się tylko z nim. Niestety, jego nie ma już wśród nas, a ja muszę się dostać do laboratorium.

– Tak. – Jakimś cudem to jedno słowo wycisnęło Sadie całe powietrze z płuc. Jej ojciec. To on był tym

człowiekiem, z którym widywał się Vincent. To jego „nie ma już wśród nas”.

Winda towarowa zawiozła ich dwanaście pięter w górę.

– Spotkamy się z kobietą o imieniu Anya – poinformował w kabinie Vincent. – Jest naukowcem. Moją przyjaciółką.

Najprawdopodobniej zrobi to, o co ją poprosimy. Ale istnieje ryzyko, że odmówi. Nie miałem czasu przygotować jej tak dokładnie, jak bym chciał.

Przygotować jej.

To zmroziło krew w żyłach Sadie. Spotka kobietę, która została „przygotowana”. Zauważyła reakcję Keatsa, minę pełną obrzydzenia – pojawiła się na moment, ale szybko ją zamaskował.

Tak. Interesujące. Może w niebieskookim było coś więcej, niż sądziła z początku. I wyglądało na to, że pod tymi licznymi warstwami ma niezłe ciało. I z całą pewnością wpadła mu w oko; zauważyła to od razu. Nie zachowywał się zbyt subtelnie.

Na litość boską, dlaczego myśli o takich rzeczach? Poczwała niesmak. Do siebie. Ale jakaś część jej mózgu знаła odpowiedź: bo ze wszystkich rzeczy, o których musisz myśleć, moja droga Sadie, tylko Keats nie jest potwornie smutny ani potwornie przerażający. Więc myśl o tym, jak wyglądałyby jego nagie ramiona i barki, bo alternatywy... och, Sadie, nie chcesz myśleć o żadnej z alternatyw.

Vincent miał kartę magnetyczną, dzięki niej przechodzili przez różne zamknięte drzwi. Kamery były wszędzie. I wszędzie małe czerwone lampki gasły, gdy się pojawiali.

Ostatnie drzwi.

Vincent zawahał się, jakby zbierał się w sobie, i zapukał.

Drzwi otworzyła bardzo atrakcyjna kobieta, przynajmniej z dziesięć lat starsza od Vincenta. Zrobili cmok-cmok w policzki, ale z trochę większym zaangażowaniem niż zwykli znajomi.

Sadie natychmiast nabrała pewności, że ta babka i Vincent sypiają ze sobą. I pomyślała, że teraz podczas tego krótkiego kontaktu Vincent prawdopodobnie przeniósł na swoją kochankę bioty.

Paranoja wsysała ją jak królicza nora Alicję w Krainie Czarów.

– Dziękuję, Anyu, że nam pomagasz – powiedział Vincent, trzymając jej obie dłonie. – To John, Sylvia i R. M.

Powitania. Sylvia, pomyślała Sadie. Okej. A John to pewnie imię poety Keatsa. Co do Renfielda, musi to wygooglować.

R. M. Renfield?

– Ta tragedia pokrzyżowała nasze plany – podjął Vincent. – Twoja pomoc jest najistotniejsza, Anyu. John i Sylvia mają bardzo poważne schorzenia. Ogromnie pomożesz i im, i mnie.

Oczy laborantki patrzyły na Sadie odrobinę za długo. Rozpoznała ją, a przynajmniej tak jej się zdawało. I tuż nad mostkiem jej nosa pojawiła się zmarszczka, wątpliwość.

– Przywróć mi sygnał tego cholernego wzmacniaka! krzyknął Bug Man. – Niech to szlag! Niech to szlag!

Sygnał pojawiał się i ginął. W jednej chwili Bug Man miał czysty obraz ludzi w pomieszczeniu, niemal HD, a w następnej patrzył na śnieg.

Jedno było pewne: facet, który pochylił się do pocałunku, to Vincent. AFCC posiadała jedno marne nagranie Vincenta – w zasadzie śmieć – ale Bug Man i tak oglądał je całymi godzinami, zapętłone, próbując rozgryźć przeciwnika. Starając się dostrzec, o co chodzi w tym gościu. Wideo pokazywało, jak koleś wsiada do taksówki. Tylko tyle, ale Bug Man obejrzał to chyba z pięćdziesiąt razy.

Teraz wychylił się w fotelu tikera, z napiętymi mięśniami, zaciśniętymi zębami. Vincent. Tu i teraz. Prawdziwy i naturalnej wielkości. I Bug Man z głównianym wzmacniakiem, który zrywa sygnał.

Burnowski stał za jego łokciem.

– Pracują nad tym, Anthony.

– Samo wstawienie zamiennika zajmie trzy minuty wkurzał się Bug Man. – Lepiej módlcie się, żeby Vincent się nie spieszył.

– Znów masz wizję – zauważył Burnowski.

Obserwował ekran nad ramieniem chłopaka. Widział to co on, więc nikt nie musiał mu mówić, że obraz jest niskiej rozdzielczości, totalnie do niczego.

– Tak, z czymś takim na pewno przechwyce Vincenta rzucił Bug Man z wściekłą frustracją. – Wycofuję się poza zasięg.

– Najpierw sprawdzi swoje okablowanie – przewidział Burnowski.

– I nie znajdzie niczego złego – odparł Bug Man. Ale w głowie przepowiadał sobie wszystko jeszcze raz. Jego nanoboty trzymały się z daleka od eleganckiej sieci przewodów i transponderów. Przeciwnik posiadał jednak niesamowite, niemal parapsychiczne zdolności wyczuwania wroga. Nie trzeba było wiele, żeby go zaalarmować.

Bug Man wykonał odwrót w szyku. Wszystkie jego dwadzieścia cztery nanoboty – wyłącznie żołnierze, bez tkaczy precyzyjnie cofały swoje ruchy. Po własnych śladach wracały

w głąb mózgu kobiety. Niezbyt idealne rozwiązanie, ale przy tak fatalnej łączności najlepsze z możliwych.

Ekran podzielił się na dwadzieścia cztery mniejsze. Trzy z nich były całkowicie czarne – prawdopodobnie komórki grzybicze zablokowały optykę. Grzybica to zawsze kłopot małe grzybki, strasznie lepkie. A może któryś z nanobotów zebrał po drodze makrofaga.

Bug Man powiększył obraz najlepszej jakości. Zobaczył, jak dwanaście nanobotów idzie tyłem. Wzdłuż nerwu wzrokowego, niczym domowe pająki w tunelu. Przełączył na widok do tyłu. Jeszcze gorsza rozdzielczość, a nie miał odwagi marnować baterii i włączać wszystkich dwudziestu czterech zestawów oświetleniowych, żeby lepiej widzieć.

W tej chwili Vincent mógł roznieść jego upośledzoną armię w pył. Trzeba było rozwiązać ten problem ze wzmacniakiem. Za dwa dni Bug Man miał być w mózgu prezydent cholernych Stanów Zjednoczonych i nie chciał mieć obrazu gorszego niż na wytłuczonym game boyu.

– Właśnie się odezwali. To chwilę potrwa – oznajmił Burnowski. – Nie mają zapasu na miejscu. Już jedzie, ale to zajmie dwadzieścia minut. Nie trzy minuty.

– Dwadzieścia? – Bug Manowi krew odpłynęła z twarzy.

Nie, to niemożliwe. Nie pozwoli, żeby Vincent skopał mu tyłek. – Ściągnijcie tam jakieś siły makro – powiedział.

– Do głównej siedziby McLure’a? – Burnowski roześmiał się. – Jeśli stracisz parę nanobotów, to stracisz, Anthony. To nie koniec świata.

Bug Man ściągnął rękawice, zdjął hełm i wyplątał się z fotela. Wiedział, że nanoboty będą automatycznie kontynuować odwrót do punktu

wyjścia. Nie potrzebowały go do tego.

– Och, ten twój temperament, Anthony – powiedział Burnowski. Śmiał się.

– Jeśli chcesz, żeby Vincent urwał ci jaja, to proszę bardzo. – Bug Man dźgnął starego palcem. – Ja nie gram w to po to, żeby przegrywać. Kiedy wróci łączność, przynajmniej w dziewięćdziesięciu procentach, zadzwoń do mnie. Może jeszcze będę w okolicy.

– Muszę pobrać parę komórek – poinformowała Anya.

Znajdowali się w laboratorium, a przynajmniej Noah – nie, Keats, trzeba to zapamiętać – podejrzewał, że to laboratorium. Nigdy wcześniej w żadnym nie był i nie wiedział, jak wyglądają. Tyle co z filmów. Ale doktor Violet miała biały kitel. I większość sprzętów była biała albo chromowana. A podłoga ze stali nierdzewnej. Ściany zresztą też.

Więc laboratorium. A może tylko stalowy pokój z jakimś wyposażeniem niewiadomego przeznaczenia. Jedyne znajome element to strzykawka w dłoni doktor Violet.

Na końcu igły maleńki haczyk. Zaraz, coś tu jest nie tak.

Strzykawka nie ma tłoczka, właściwie to sama igła, i...

– Au!

Ukłuła go w blady spód przedramienia i teraz na

końcu igły wisiał nieduży farfocel jego mięsa, a na ręce pojawił się mały, ale żwawy strumyk krwi.

– To jedyna część procesu, która nie jest zautomatyzowana – powiedziała doktor Violet z nieobecny uśmiechem. I jedyna, która boli. – Podała Keatsowi plaster.

Odłożyła strzykawkę na stalowy stojak, wyciągnęła z szuflady plastikową torebkę z okienkiem, rozdarła ją i wyjęła coś prostokątnego, wielkości komórki albo trochę mniejsze. Białe, gładkie, zgrabne, z zaokrąglonymi krawędziami. Wyglądało jak jakiś sprzęt ze sklepu Apple.

Przycisnęła jedyny guzik i prostokąt otworzył się jak rozkwitający kwiat. Ze środka zaświeciło światełko.

– To się nazywa żłobek – oznajmił Vincent. – W każdym żłobku są dwa bioty. Czy też będą, kiedy już urosną.

Pani doktor włożyła kawałek ludzkiego mięsa między płatki urządzenia, znów przycisnęła guzik i żłobek się zamknął.

Plath nie krzyknęła z bólu, kiedy przyszła na nią kolej. Ale ją uprzedzili, w odróżnieniu od Keatsa.

Zastanawiał się, jak ona ma naprawdę na imię. Czy kiedykolwiek je pozna? Susan? Jennifer? Alison? Czuł, że znają je wszyscy oprócz niego.

Rozglądała się po pomieszczeniu z miną, która nie wyrażała ani strachu, ani zdenerwowania. Może

raczej żal czy poczucie straty.

Keats potrafił nieźle czytać w twarzach. Koleżanki zawsze mu mówiły, że je rozumie. I ta umiejętność autentycznego zwracania uwagi na emocje dziewczyn działała na jego korzyść. Wyglądało na to, że patrzenie od czasu do czasu na ich twarze, a nie tylko na cycki, tyłki czy nogi, czyniło cuda.

Zerknięcie na oczy, usta i czoło – to klucz do sukcesu.

Co oczywiście nie oznaczało, że nie zauważał piersi Plath, kiedy pochyliła się, żeby wziąć plaster.

Złobki zostały wsunięte w coś, co bardzo przypominało stare napędy CD.

– Proces tworzenia biotów jest unikalny pod wieloma względami – wyjaśniła Anya. – Łączenie genów, oczywiście.

Podstawy tego cyklu są dobrze poznane. Ale międzygatunkowe łączenie z taką prędkością to nowa technologia, znana tylko McLure Industries. I bardzo pilnie strzeżona.

– Dlaczego tego nie rozpowszechnicie? – spytał Keats. Przecież ta tajemnica to właśnie problem, nie? Gdyby wszyscy wiedzieli, że to możliwe...

Uciszyły go identyczne spojrzenia doktor Violet i Vincenta.

– To nielegalne – powiedziała Plath. Nie jakby się domyślała albo dopiero co na to wpadła. Ale

jakby ten fakt był jej wiadomy od dawna. – Gdyby rząd się dowiedział, że nasze...

że ich laboratoria łączą DNA, żeby stworzyć całkowicie nowe formy życia, to miejsce zaroiłoby się od FBI. Wszyscy, którzy biorą w tym udział, wylądowaliby w więzieniu, a firma by zbankrutowała.

Keats otworzył usta, ale drobny błysk oczu Vincenta, jedno niewypowiedziane „nie” sprawiły, że je zamknął.

A chciał zapytać: Dlaczego ta druga strona, ci źli, nie powiedzą FBI?

Kiedy jednak się zastanowił, odpowiedź była całkowicie jasna. Zmowa milczenia. Obie strony miały dowody pogrążające przeciwnika. Gdyby jedna strona je upubliczniła, druga zrobiłaby to samo. A gdyby do tego doszło, obie zostałyby wpakowane do więzienia. I technologia by przepadła.

Ale nie.

To nie tak. Nie przepadłaby. Zostałaby przejęta przez rząd i jeszcze bardziej zmilitaryzowana.

A jaki rząd oparłby się pokusie i nie wypowiedziałby nanowojny każdemu wrogowi, jaki by się napatoczył? Nawet gdyby tym wrogiem okazał się własny naród?

Keats zauważył, że Plath go obserwuje. Ona wiedziała to wszystko. Śledziła myśli, które pojawiały się na jego twarzy.

Liczyła mu czas. Była ciekawa, jak szybko on poskłada elementy tej układanki w całość.

I chyba była pod niejakim wrażeniem tego, co zobaczyła.

I właśnie do mnie dotarło, kim jesteś, pomyślał Keats. Boże, ty jesteś córką. Ostatnią z McLure'ów.

Wyprostował się na krześle. Kurczę, ślinił się do miliardarki. Z tego nie mogło wyjść nic dobrego.

A jednak dzieliła ich tylko ściana w tym... jak to się tam nazywało? Główna kwatera BZRK? To chyba trochę zbyt szumna nazwa dla nory nad śmierdzącym barem.

I nie wyglądała na snobistyczną...

Keats przyłożył dłoń do czoła, bo pokój zaczął nagle wirować. Drugą dłonią chwycił krzesło, bojąc się, że z niego spadnie.

– Masz tu jakąś nerkę czy coś takiego? – spytał Vincent doktor Violet.

Skinęła głową, wstała, wyjęła z szuflady dwie nerkowate emaliowane miski i wręczyła po jednej Keatsowi i Plath.

Dziewczyna zwymiotowała pierwsza.

To było dość obrzydliwe, ale Keats uznał to za małe zwycięstwo. Bardzo małe, bo sam rzygnął dziesięć sekund później.

Świat wirował, a on był strzępkim niczego schwytanym w ten wir.

– To normalne – stwierdził Vincent.

Nie wydawało się normalne. Keats znów puścił pawia i tym razem nie trafił w nerkę. Poleciał do przodu. Vincent złapał chłopaka, zanim ten grzmotnął o podłogę.

Renfield przysunął się, żeby przytrzymać Plath, która na przemian klęła i wydawała rzygliwe odgłosy; w tej chwili była bardzo nieszczęśliwą dziewczyną.

– Nazywamy to porodem – wyjaśnił Vincent rzeczowo, spokojnie; nie żeby specjalnie chciał uspokajać spanikowanego Noaha, ale i tak to robił. – To taki nasz branżowy żart.

Bo w tej chwili wasze bioty zaczynają się poruszać. Ożywają. Czujecie dezorientację, bo jesteście we własnych ciałach, a jednocześnie gdzie indziej.

Keats zobaczył nagły przebłysk ciemnej, płaskiej równiny.

Rozciągała się poza zasięg wzroku.

Błysk światła.

Jak seria pękających żarówek. Pyk! Pyk! Pyk!

Słoń. Kaleki.

Nie, pajak. Z nieuformowanymi nogami. Ale wielki jak słoń.

Tworzył się na jego oczach. Wiercił się. Niemal jakby cierpiał męki. Krzyczał tymi drganiem formujących się kończyn, bo nie miał ust, żeby naprawdę krzyczeć.

Promienie jaskrawego zielonego blasku.

Rozpylona mgła.

I nagle inny widok. Zbliżenie w przeblasku ziarnistego światła: drugie stworzenie, takie jak to pierwsze, drgające ruchy, nogi zakończone szczypcami kraba – wierzgają.

Potem:

– O Boże! – wrzasnęła Plath. – Widziałam jego twarz.

Próbowała zerwać się z krzesła, ale Renfield przytrzymał ją, przyciskając barki.

– Bioty często wykazują trochę makabryczne podobieństwo do dawcy ludzkiego DNA – odezwała się doktor Violet. – Każdemu z was rosną dwa bioty. Widzicie jednego przez nieuformowane do końca oczy drugiego.

– Dobra, dobra, ja nie... – zaczął Keats, ale to, co chciał powiedzieć, zostało zmiecione przez obraz widocznego w stroboskopowym świetle, monstrualnego pająka; odwracał się, odwracał, i o Boże, o Boże, nagle widział przez oba zestawy oczu, widział siebie widzącego siebie widzącego siebie jako coś na kształt potwornego pająka z... nie, nie, nieeee! Oczami! Niebieskimi oczami, jak jego własne, o Boże.

– To może być niepokojące – dobiegł głos Vincenta z odległości miliona kilometrów.

Co oni mu robili?

Keats widział swojego brata, jak siedzi skuty i wrzeszczy, wrzeszczy, a teraz jego głowa była pełna obłąkańczych halucynacji.

Zaskomlił. I miał gdzieś, że skomli.

Miał gdzieś, że płacze na głos, wyje jak wariat. Wyje. Jak jego biedny, szalony brat.

Vincent poczuł mdłości. Wyciął im paskudny numer. Oni nie byli przygotowani. Nie byli przeszkoleni. On przynajmniej widział mikrofilmy. Uprzedzono go, czego ma się spodziewać.

Pokazał mu to ten zimny drań Kaligula, ale jednak pokazał. To lepsze niż koszmar, w który wkraczali Keats i Plath.

Dwójka nastolatków szamotała się, wrzeszczała, szlochała – przyjmowała na siebie to wszystko naraz jak straszną, dezorientującą lawinę.

On nie wrzucił ich na głęboką wodę i nie kazał pływać.

On ich wrzucił do oceanu i kazał prześcignąć rekiny.

Zamknął oczy i uderzyła go fala wspomnień. Gwałtowne mdłości. Uczucie, że został wyrwany z rzeczywistości, jakby ręka jakiegoś złośliwego boga sięgnęła w dół i wydarła go z tkanki czasu i przestrzeni.

A oni ciągle nie mieli pojęcia. Żadnego pojęcia. Nie mogli rozumieć, że ta przemiana jest permanentna. Nie mieli jak rozumieć, że właśnie

postawili na szali swoje zdrowe zmysły.

Swoje życie.

Ale Lear ich potrzebował. I miał rację. Nie było czasu na zwyczajowe uprzejmostki. Oto, co was czeka, dzieciaki: witajcie w wariatkowie.

A co dopiero się stanie, jak dojrzą swojego pierwszego nużeńca. Swoje pierwsze roztocze. Jak zobaczą komórki krwi pędzące wokół nich jak frisbee.

Jak popatrzą na świat okiem innego człowieka.

I jak... Vincent znieruchomiał.

Przez cały czas V1 i V2 wędrowały po nerwie wzrokowym doktor Viołęt.

Coś. Co to było? Zobaczył coś, coś, od czego włosy zjeżyły mu się na głowie, uniesione przez drobne mięśnie, sygnalizując strach. Czego miał się bać?

Cofnął V1.

V2 ostrożnie posłał do przodu.

Co takiego zobaczył i nie zauważył?

Jest. Ledwie kilka komórek wyrwanych z nerwu wzrokowego, od którego ktoś odłączył się zbyt pośpiesznie.

Pułapka.

Nowy wzmacniak jest już na miejscu, Anthony.

Bug Man spojrzał ze złością na Burnowskiego. Fajnie, że gość się poci. Cholerny pierdziel. Wygląda jak ten podstarzały rockman, który właśnie umarł. Ten zdiadziały ćpun. Bug Man czułby obrzydzenie, gdyby miał kiedykolwiek zainfekować Burnowskiego, zobaczyć z bliska tę starczą pergaminową skórę, prawdopodobnie rojącą się od pasożytów, bo jego naturalne mechanizmy obronne były osłabione. Te krzaczaste brwi pełne robactwa.

– Podłączony?

– Do diabła. Bug, wracaj tam, albo dokończę tę robotę za ciebie – wypalił Burnowski.

– Mam pozwolić, żebyś zmarnował dwa tuziny moich oznakowanych nanobotów? Żeby Vincent myślał, że mnie pokonał? – Bug Man wściekłym krokiem odmaszerował z powrotem do sali gier.

Założył rękawice i wsunął się w fotel. Burnowski patrzył chłopakowi przez ramię, kiedy ten sprawdzał łączność. Zapaliło się dwadzieścia jeden z dwudziestu czterech ekranów.

Większość ukazywała inne nanoboty. Część miała widok na fałdę mózgu, w której się ukryły. Głęboko w bebeczach. Mapowanie mózgu było w tej

chwili wyłączone.

– A teraz odwal się, stary, możesz patrzeć z drugiego pokoju.

– Makro już jest w drodze.

– Że co, kurwa? – krzyknął Bug Man. – Mówiłeś, że się nie da!

Burnowski wzruszył ramionami.

– Skonsultowałem twoją sugestię z Bliźniakami. Zgodzili się z tobą. Uznali, że warto zaryzykować równoczesną akcję w makro. Więc jeśli chcesz zapisać to na swoje konto, lepiej się pospiesz, bo może się okazać, że sprawę załatwi kula, a nie nanobot.

Bug Man szybko zgrupował nanoboty w cztery zastępy po sześć. Nawet on nie dałby rady prowadzić dwudziestu czterech nanobotów osobno. Członkowie zastępu zachowywali się identycznie, dlatego czasem wślizli sobie nawzajem w drogę, ale istniały techniki, które pozwalały to ogarnąć. Jeśli posiadało się odpowiednie umiejętności.

Zamierzał posyłać je falami, po jednym zastępie. Pierwsza grupa zlokalizuje bioty Vincenta. Jeśli Vincent je zauważy, natychmiast go zaatakują. Jeśli nie, odczekają, aż reszta sił zostanie podciągnięta na miejsce. A potem łubudu! Fale po cztery nanoboty, w dziesięciosekundowych, może dwudziestosekundowych odstępach. Bum, bum, bum, i po Vincencie.

Bug Man miał pewną fantazję: chciał wziąć jednego z biotów Vincenta żywcem i wywlec go do makro. Utrzymać przy życiu i pobawić się nim przez jakiś czas. Powoli doprowadzając Vincenta do obłądu.

Plath odepchnęła dłonie Renfielda z barków. Nie zamierzała świrować i nie chciała być dotykana.

Ból zrastającej się ręki pomagał jej zachować przytomność. I być może kojący ton Vincenta, ale nie dotyk. Osunęła się na kolana, pochyliła i jeszcze raz wymiotowała na podłogę.

Co właściwie widziała? Jakąś bestię z koszmarów i drugą obok tamtej. Stały na wysokich, przezroczystych, członowatych nogach pająka na wielkim polu nierównego, ziarnistego materiału, który kojarzył jej się ze skórą.

Głos Vincenta – nagłący, już nie kojący.

– Pułapka.

Zerwał się na nogi i chwycił Anyę Violet, bo odwróciła się, żeby zwiać. O mało się nie wymknęła, wyplątując rękę z kitla. Ale Vincent brutalnie pociągnął ją do siebie i złapał za szyję.

Szamotała się, ale nie mogła uciec.

– Czy ona... – wypalił Renfield.

– Ślad nanobota – powiedział Vincent. – Jeszcze nie było kontaktu, ale lada sekunda. Zawiadom Kaligulę. Mamy problem.

Renfield zaczął stukać w telefon.

– Powinieneś ją zabić. – Nie spoglądał na Vincenta, nikomu nie patrzył w oczy. – Skreć jej kark i zabierz bioty.

Niech AFGC przyjdzie tu sobie posprzątać. Plath i Keats wezmą swoje dzieci... już przeżyją w żłobkach. I wynośmy się stąd.

Plath gapiała się na Vincenta. Ona i Keats stali jak kołki, bezradni, dezorientowani, niepewni, szarpani mdłościami w żołądkach i w sercach, oszołomieni.

Czy zaraz dojdzie do morderstwa? Tu, na jej oczach? Czy zobaczy, jak Vincent przetrąca tej kobiecie kark?

– Bierz ich bioty – rzucił Vincent do Renfielda. – Znikamy. Doktor Yiolet zabieramy ze sobą.

– Puść mnie! – krzyczała Anya. – Wynoś się ze mnie!

– I pozwolimy, żeby śledzili swoje nanoboty? – Renfield wyciągnął pistolet zza paska na plecach. Nie paralizator, który pokazał wcześniej. To była prawdziwa, bardzo prawdziwa broń.

Vincent powiedział coś, co brzmiało jak: „Nie jestem Scypionem”. To nic nie mówiło Sadie. Ani Renfieldowi i Keatsowi, sądząc po ich głupich minach.

– Bierz ich żłobki, Renfield, chyba że chcesz przejąć panią doktor.

Renfield wydawał się przerażony sugestią, że miałby coś przejąć. Nerwowo oblizał wargi.

Odepchnął Keatsa na bok, żeby wklepać komendy w konsolę. Szufladki, które wcześniej połknęły żłobki, otworzyły się.

Spojrzał na żłobki, przeczytał etykiety i podał odpowiedni Plath i Keatsowi.

– Trzymałbym je bardzo ostrożnie na waszym...

– Jestem atakowany – zaalarmował Vincent.

I oto one wpadały w podzielone pole widzenia Vincenta;

cztery... pięć...

W tej chwili widział trzy różne rzeczywistości.

W jednej byli Keats i Plath – chwiali się na nogach, bo ożywające bioty wypaczyły im świadomość. I Renfield z pistoletem dyndającym w dłoni – podawał żłobki dwójce nastolatków. I włosy Anyi, tuż przy twarzy, i jej zapach, i puls – krew napierała, żeby przepchnąć się przez tętnice ściskane jego silnymi dłońmi.

I dwa obrazy w msub: V1 i V2. Wybarwione na maksa.

Prawdziwy widok w nano był szary – komórki miały barwę tylko w dużych skupiskach i widziane z daleka. Ale wzbogacone o kolor nano stawało się żywe: zielenie, czerwienie, niesamowite żółcienie i rażące róże.

Walczyć dało się tylko w technikołorze.

Tiker nanobotów musiał się zorientować, że został zauważony przez bioty Vincenta. Nanoboty

wypuściły koła i pędziły ku niemu po linie nerwu, ciągnąc za sobą pajęczne nogi jako stabilizatory.

Vincent odepchnął Anyę, odwrócił ją, wbił nogi biotów w podłogę i uderzył ją pięścią w oko. Na tyle mocno, że osunęła się na kolana.

W nano nastąpiły dwa wstrząsy. Pierwszy, uderzenie, o wiele silniejszy. Tak silny, że nawet zamortyzowany przez kości czaszki i gigantyczną galaretowatą gałkę oczną był jak trzęsienie ziemi dziewiątego stopnia.

Nieprzygotowane nanoboty powywracały się na swoich niestabilnych pojedynczych kołach. Dwa zderzyły się ze sobą.

Poleciała noga. Jednemu przekręciła się wieżyczka sensoryczna.

V1 i V2 wystrzeliły do przodu, na sześciu nogach każdy, i pognały, licząc sekundy do drugiego wstrząsu.

Nanobota najłatwiej unieszkodliwić, niszcząc wieżyczkę sensoryczną; bez oczu małe roboty do niego się nie nadawały.

Wieżyczka składała się z dwóch trójkątnych sensorów optycznych, dwóch emiterów UV i czegoś, co uważano za mikrofalowy sonar.

Wszystko to siedziało lekko uniesione na krótkim, grubym maszcie. Złamanie tego masztu to niemal abstrakcja. Ale miał jeden słaby punkt; dało się go przekręcić.

Drugi najłatwiejszy cel to podwozie. Tylko jeden silnik napędzał wszystkie funkcje nanobota, ale był dobrze chroniony. Z każdej jego strony sterczały trzy przegubowe nogi przyczepione do jednej piasty.

Pojedyncze koło znajdowało się pośrodku. Wysuwało się poniżej brzucha robota i łąpało kontakt z podłożem, kiedy nogi opuszczały ciało.

W skali msub nanoboty oczywiście wydawały się duże;

wielkie jak czołgi. Gigantyczne pająki z dziwnej, jakby młotkowanej stali. Kiedy pędziły na kole, przypominały samochody śmigające autostradą.

Z wciągniętym kołem i na nogach też były bardzo szybkie, ale wolniejsze od biota.

Wewnętrzne oko Vincenta widziało dwa oddzielne ekrany; pierwszy ukazywał atak z pozycji celu, drugi z boku, pod ostrym kątem.

Vincent miał sekundę, może dwie, zanim kolana Anyi uderzą o podłogę i nastąpi drugi wstrząs.

Obydwa bioty gnały przed siebie, przebierały nogami jak szalone. Wpadły na dwa przewrócone nanoboty.

V1 wbił tnące ostrze w staw odnóża jednego z nich.

Skok! I V2, ze złączonymi nogami, by uderzyć w jeden punkt, wylądował na drugim.

Ha! Błysk koloru ukazał prymitywnie narysowane logo na bocznym panelu jednego z

nanobotów. Wyszczierzona w uśmiechu twarz z insektami wybuchającymi z czaszki: Bug Man.

Bioty Vincenta znów chwyciły się nerwu. Drugi wstrząs, łagodniejszy niż poprzedni, ale na tyle mocny, że atakujący nanobot zboczył z drogi.

Śmignął obok i Vincent podstawił nogę pod jego ciągnące się odnóża. Nanobot obrócił się, a wtedy Vincent wystrzelił z laserowego działka na łuku. Trafiło w jedyną rzecz, którą mogło zniszczyć: wieżyczkę sensoryczną.

Trzy załatwione, dwa do...

W tej chwili cały rój pojawił się z obu stron – istna rzeka nanobotów.

– Przydałaby się pomoc – powiedział Vincent.

– Lewe czy prawe? – spytał Renfield i dotknął palcem ucha, żeby podnieść swoje bioty.

– Prawe – rzucił Vincent.

Renfield chwycił Anyę za twarz. Wetknął jej palec w prawe oko, choć krzyczała, kopła go i przeklinała z furją.

Ale doktor Violet już się nie liczyła. Teraz nie była osobą była polem bitwy.

– Mam cię, Vincent, wreszcie cię dopadłem – mruknął Bug Man.

Wstrząs – sprytne posunięcie, Vincent musiał chyba walnąć pięścią ciało gospodarza, grając jednocześnie w nano i w makro – kosztował Bug Mana trzy nanoboty.

Więc należało zapomnieć o ataku falami; lepiej rzucić cały rój i zabić przeciwnika jak najszybciej. Posłał trzy nienaruszone zastępy w dół po bocznej powierzchni nerwu, w pionie grawitacja nie miała żadnego znaczenia w bebeczach.

Teraz Bug Man widział dziewiętnaście ekranów i wszystkie wypełniał obraz dwóch wrogich stworzeń. Jeden z nanobotów dawał mu ładne, czyste zbliżenie jednego z biotów.

Zdawało się, że ten jest niemal na wyciągnięcie ręki. Tak blisko, że widział twarz z jej owadzimi złożonymi oczami, ogromnymi nad rozmazaną, brązową plamą pseudoludzkich oczu.

To zbliżenie sporo go kosztowało. Biot z nadludzką szybkością odskoczył, zaszarżował i rozpruł nanobota.

Kolejny ekran zgasł. Ale to nic. Może nanobot zginął, może został tylko oślepiony, ale Bug Man grał teraz czterema zastępami, a nawet ślepy nanobot mógł wypełniać polecenia.

Rój, pomyślał Bug Man i na jego ekranie pojawiły się zdesperowane bioty, kiedy jego cała armia zaatakowała, wykonując cztery wariacje bazowego polecenia.

Widział, jak bioty kręcą się, dźgają, skaczą. Do diabła, Vincent był niezły. Cholerny ninja! Kolejne dwa nanoboty zostały okaleczone.

Ale szybki!

Jednak nie dość szybki. Nie tym razem.

Nanoboty wyrwały ramię biotowi. Odlatując, pomachało do Bug Mana na ekranie; roześmiał się.

Jedno z dzieci Vincenta straciło dwa odnóża, więc teraz nie poruszało się już tak błyskawicznie. Strzelało z tego śmiesznego laserka, pudłowało i wypalało szramy w tkance nerwu.

Nagle Bug Man zrozumiał: Vincent chce sprowokować reakcję immunologiczną. Organizm wyczuje uszkodzenia i wyśle makrofagi, które wysączą się z tkanek, by zabić najeźdźców.

Głupia, rozpaczliwa taktyka. Makrofagi były utrapieniem dla nanobotów, ale biota mogły zabić, gdyby jakimś cudem zdołały się do niego przyssać.

W co ten Vincent gra?

Co takiego wie?

Bug Man zawahał się na kilka sekund.

– Moje oczy! – wrzasnęła Anya Violet.

– Wprowadziłem dwa! – krzyknął Renfield.

Buum!

Drzwi laboratorium poleciały do środka.

Nie od uderzenia taranem, ale od wybuchu.

Fala uderzeniowa przewróciła wszystkich.

Dzwoniło im w uszach.

Plath darta się jak opętana. Nikt jej nie słyszał.

Keats krzyknął, ścisnął głowę rękami; z nosa popłynęła mu krew.

Ludzie w spodniach i koszulkach Land's End i

puchowych kurtkach LL Bean wpadli do laboratorium z pistoletami w rękach – banda oprychów wystrojonych w żonkilowe żółcienie, wiosenne zielenie i lawendowe róże.

W bebechach rój nanobotów i dwa bioty też poczuły wstrząs. Nie był tak silny jak ten po uderzeniu pięścią, ale tym razem Vincent nie miał szansy się na to przygotować. V2 złamał dwie nogi, potknął się i zaczął wykręcać od pierwszych nadciągających makrofagów.

Limfocyty – białe krwinki – występowały w różnych kształtach i rozmiarach, i te akurat nazywały się makrofagami. Wyglądały jak wyciśnięte morskie gąbki, szorstkie i gruzłowate. Były wielkości rozjechanego przez samochód szopa pracza. Sączyły się i pełzły autostradą nerwu jak powolne, głupie psy bojowe.

Okaleczony V2 usiłował się uwolnić, ale dwa fagi przyssały się i już pokrywały kikut nogi, niemal uniemożliwiając biotowi wszelkie celowe ruchy.

V1 poleciał w stertę poprzewracanych nanobotów.

Zgrupowane, zrozumiał Vincent, kiedy zareagowały jednocześnie – sześć działa jak jeden. Z tak bliska miał przewagę nad nieprzygotowanymi nanobotami, więc dźgał i ciął jak szalony, chociaż czuł makrofagi, jakby oblepiały jego nogi. A teraz na dodatek ludzie z pistoletami.

– Nie ruszać się! Nie ruszać się! Na podłogę! – wrzeszczeli.

Nagle jeden z ochroniarzy McLure’a, w szarym uniformie zakrwawionym na piersi, z bronią w ręku, skoczył w drzwi i Bam! Bam! Bam! Jeden z TZD padł. W następnej chwili tył głowy ochroniarza eksplodował.

Makrofagi docierały do tułowia – plastelinowe macki, które usiłowały wchłonąć Vincenta, jakby był gigantyczną bakterią.

Czuł sztychy i cięcia zgrupowanych nanobotów. Leżały bezładnie, działały na oślep, w panice dźgały i cięły również siebie nawzajem. Ale też trafiały w niego raz po raz i powoli wzrok mu się zaćmiewał. Anya wrzeszczała, Keats szedł chwiejnie przed siebie, a Renfield uniósł pistolet, wycelował w TZD i Bam! Bam!

Wszędzie dookoła huk, jakby siedzieli w bębnie, strzały słyszane z bliska, i nagle Renfield padł niczym kłoda, krew siknęła jak z fontanny z dziury na jego piersi. TZD klęczał na kolanie i zakrwawionymi rękami macał własne krocze, i Plath – znikąd – z pistoletem Renfielda, i Bam!

Bam!

Więcej ochroniarzy McLure’a, z całą pewnością lepszych niż ci zwykli sklepowi, bo nie cofnęli się przed bronią palną i odpłacali pięknym za nadobne. Klęli, wydzierali się, strzelali, w smrodzie prochu i

krwi, wśród podziurawionego sprzętu.

Vincent leżał twarzą do podłogi, głuchy na wszystko prócz najgłośniejszych dźwięków.

I nagle w tym całym szaleństwie zobaczył Keatsa. Chłopakowi trzęsły się ręce, a jednak robił dokładnie to, co trzeba. Jakimś cudem wiedział. Podniósł paralizator, który wypadł z dłoni poległego Renfieldda i teraz patrzył prosto w oczy Vincenta. Ten kiwnął głową i elektryczny wstrząs szarpnął ciałem Anyi.

Gdy tylko oczy dostrzegły światło buchające z elektrod paralizatora, Vincent wystrzelił bioty w górę, żeby niczego nie dotykały, i ułamek sekundy później ładunek elektryczny poraził nerw poniżej jego nóg.

Włókna nerwowe zadrgały spazmatycznie – wyrywały odnóża kilku nanobotom, kilka innych cisnęły na ściany z tkanki. To, co w skali msub wydawało się metrami, zmieniło się w centymetry, kiedy elektrowstrząs skurczył nerw i mięśnie dookoła.

Vincent posłał oba bioty – okaleczone, ale jeszcze nie martwe, o nie, z całą pewnością nie martwe – prosto w masę oszołomionych nanobotów. Dosłownie przeorał ją z maksymalną prędkością, jaką mógł uzyskać, i parł dalej. Włókł za sobą makrofagi, zdrapywał je z siebie w płątaniu drgającego tytanu.

Bioty przebiły się przez zastępy nanobotów,

którym teraz makrofagi dodatkowo utrudniały zadanie rozplątania kończyn.

Wstrząsy wtórne, spazmy – nerwy Anyi próbowały odzyskać kontrolę nad ciałem.

V1 padł. Nie miał już odnóży. Był unieruchomiony.

Vincent zobaczył go, odwrócił V2, chwycił V1 szczypcami i ruszył tyłem, wlokąc go za sobą, wciąż pożeranego przez makrofagi.

Bug Man ze zgrozą gapił się na monitor. Zostało mu dwanaście aktywnych ekranów. Może trzy albo cztery z oślepionych nanobotów wciąż działały, ale teraz miał już tylko dwie opcje: poświęcić parę sekund, żeby je przegrupować, albo posłać na łeb, na szyję za uciekającym Vincentem.

Trzęsienie ziemi – Bug Man wciąż nie miał pojęcia, co je spowodowało – zmieniło jego armię w kupę złomu.

– Dość kiepsko to wygląda, Anthony – wycedził Burnowski. – Może pora na trochę pomocy w makro, co?

To zadecydowało. Nie ma mowy, żeby Bug Man pozwolił Vincentowi uciec. Zaczął z przewagą dwadzieścia cztery na dwa. Nie przeżyłby tego, gdyby teraz przegrał.

Zmasowany atak, rozkazał. Szarża banzai. Zwarta ściana nanobotów. Wyrwały za wycofującymi się biotami.

Ale musiały zasuwać pieszko. Tak, że wezwanie makrofagów było sprytne: gąbczaste, bezmózgie monstra nie pozwalały przełączyć się na koła.

Wyścig rozpoczęty: ranny biot ciągnący swojego bliźniaka kontra nanoboty.

Bug Man wiedział, że wygra ten wyścig, że w końcu dogoni Vincenta, nawet bez kół. Ale ile jego nanobotów będzie jeszcze działało? Ile potknie się po drodze? Czy to szarża banzai czy atak kamikaze?

– Każ im odstrzelić Vincenta – wypluł Bug Man polecenie.

– Sam im każ, mały geniuszu. Sam wydaj rozkaz. – Przyłożył telefon do ucha chłopaka.

Makrofagi wsysały się w ciało biota Vincenta, który parł do tyłu z drugim biotem na plecach. Wiedział, że nanoboty go dogonią. Poruszał się zbyt wolno. Gdyby porzucił V1...

A jeśli nie porzuci...

Bioty Renfielda przechyłą szalę. Gdzie się podziewają? Co go zatrzymało, u diabła?

Vincent odwrócił się i zobaczył Renfielda – leżał na plecach, z rozrzuconymi rękami, z głową przekreśloną na bok. Vincent widział jego twarz. Ten człowiek już nikogo nie uratuje.

Pole widzenia ograniczał mu czyjś but.

Nagle pistolet dźgnął go w ucho. Zimna stal.

– Ani drgnij, sukinsynu – rozkazał spięty głos. – I mam na myśli wszystko, tu i bebechy. Albo

zginiesz.

Plath ciągle miała pistolet w ręce. Nigdy wcześniej nie strzelała. Huk – o wiele głośniejszy niż na filmach – i odrzut – o wiele bardziej satysfakcjonujący, niż przypuszczała – zaskoczyły ją.

I przerażający fakt, że to zadziało.

Wycelowwała, nacisnęła spust i wysłała przez powietrze ołowiany pocisk, który rozwalił mięso i kości.

Postrzelony mężczyzna siedział teraz w kałuży krwi płynącej z podbrzusza. Ona tego dokonała.

A mimo to, choć patrzyła z przerażeniem na swoje dzieło, jej głowę wypełniała koszmarna wizja strasznych, szamoczących się, pajęczastych potworów, ziarnistych i szarych, ciskanych obłąkańczo po równinie, która niespodziewanie się przechylała.

Vincent leżał twarzą do podłogi. Facet w zakrwawionej puchowej kurtce przystawiał mu pistolet do głowy.

Keats chwycił ją za ramię, ścisnął mocno i pchnął do drzwi.

Renfield leżał w ciemnoczerwonym jeziorze.

Martwi i umierający ludzie wisieli na sprzętach. Wszędzie pełno dymu. Anya Violet czołgała się na czworakach przez bajoro krwi.

Nagle w drzwiach stanął mężczyzna.

Niewysoki, może z metr siedemdziesiąt.

Napakowany, ale nie gruby, i ubrany bardzo starannie w ciemnofioletową aksamitną marynarkę, koszulę, szalwiowe spodnie, czarne, wysokie buty. Na głowie cylinder. W kolorze marynarki, tylko w bledszym odcieniu, z szeroką, złotą wstążką i z zawadiackim piórkiem.

Wyrazista, opalona, drwiąca twarz – do tego ubawiona mina. A jego oczy – jak czerń na dnie głębokich dolin. Mógł mieć czterdzieści lat, a mógł mieć też sześćdziesiąt, i niósł w sobie coś, jakieś wrażenie, jakąś aurę, mroczną prawdę, która otaczała go niewidzialna, ale odczuwalna i niezaprzeczalna.

Sadie wiedziała, choć nikt jej nie powiedział.

Kaligula.

15

W lewej dłoni trzymał pistolet. W prawej toporek na krótkim trzonku. Toporek dziwnie przypominał dziecięce wyobrażenia o indiańskim tomahawku: miał malowane stylisko, przy którym dyndało coś, co wyglądało na frędzle z rzemyków. Ostrze jaskrawoczerwone.

Kiedy Kaligula wszedł, w laboratorium było trzech żywych TZD.

Pierwszy obrócił się, uniósł broń i padł do tyłu z dziurą w czole. Dźwięk rozległ się już po fakcie. Głośny huk.

Drugi zbir z AFGC dostał kulkę w krtań. A trzeci, który próbował spóźnionej i daremnej ucieczki, zatrzymał się, kiedy toporek wyrósł w jego plecach jak za sprawą czarów. Puch i ortalion wydeły się wokół ostrza.

Kaligula stanął przed Anyą, żeby nie mogła poczołgać się dalej.

– Nie – sapnął Vincent. – Ona nie.

Kaligula się rozejrzył.

– Jeszcze ktoś? – spytał i pchnął Anyę stopą, aż padła na bok. Podszedł, żeby spojrzeć na Renfielda. – Szkoda – powiedział. – Lubiłem go. – Wyciągnął toporek z kręgosłupa bełkoczącego, przerażonego,

całkowicie nieruchomego TZD i strzelił mu w głowę. Po czym czterema potężnymi ciosami odrąbał głowę Renfielda. Nie można zostawić żadnego śladu biotów.

Plath znów by zwymiotowała, tyle że jej żołądek był pusty.

Kaligula wyciągnął z kieszeni plastikowy worek na śmieci, wrzucił do niego głowę Renfielda, zawiązał rogi i podał go Keatsowi.

– Nieś to. Tylko nie upuść.

– Co, do cholery... – rzucił ze złością Keats.

Kaligula spojrzał na niego z rozbawieniem i niedowierzaniem.

– Nowy, co? No więc, nowy, nie kwestionuj decyzji człowieka, który ratuje ci życie. – Ukląkł przed Vincentem. – A co z tobą?

– Dwa w jej głowie. – Wskazał Violet. – Pułapka. Mam kłopoty. Renfield...

– Renfield nie pomoże. – Kaligula wstał, odwrócił się do Plath, spojrzał na mężczyznę postrzelonego w krocze, który wciąż jęczał z potwornego bólu. – Nigdy nie celuj w jaja. Celuj w środek ciała. Chyba że będziesz dość dobra, żeby trafić w łeb.

– Ja nie... ja nie chciałam tam, tam celować, po prostu...

– Cóż, w sumie mogłabyś go wykończyć.

Plath gwałtownie pokręciła głową. Odsunęła od

siebie pistolet i złapała w dwa palce, jakby chciała upuścić go na podłogę. Ale nie upuściła. Broń ściągnęła jej spojrzenie. Uniosła ją i patrzyła.

Kaligula się roześmiał.

– Są uwodzicielskie, co? – Nawet nie spoglądając, wycelował swój pistolet w rannego i wystrzelił. – Widzisz? I po wszystkim. Możesz sobie teraz powiedzieć, że nie ty go zabiłaś. – Przeszedł się po zadymionym pokoju i zebrał pogubione pistolety. Sprawdził każdy. Wysuwał puste magazynki i wyjmował zapas z zakrwawionych ubrań. Jeden podał Keatsowi, drugi Vincentowi. – Pewnie będziemy musieli trochę powalczyć, wycofując się stąd. – Ukląkł, żeby spojrzeć na Anyę. A teraz posłuchaj mnie, kimkolwiek jesteś, do cholery. Nasz drogi Vincent nie chce, żebym cię zabił. Ale jeśli sprawisz mi najmniejszy kłopot, jakikolwiek, zignoruję prośbę Vincenta i cię zastrzelę. Nie wiem, czy jesteś okablowana, czy nie. Jeśli tak, to będzie od ciebie wymagało całej uwagi i koncentracji.

Postaraj się. Postaraj z całych sił. – Wstał i wytarł zakrwawiony toporek o trupa. – No dobra. Za mną.

Winda grała cover *Poker Face* Lady Gagi.

Przyciski jasno świeciły. Ściany były z luster. Plath zobaczyła samą siebie. Błądą. Z piegami na nosie. Z włosami zlepionymi od potu.

Była sama z Keatsem. Kaligula ściągnął

pierwszą windę i wsiadł do niej z Vincentem i Anyą.

– Przy wysiadaniu bądźcie gotowi do walki – poradził im. – Tylko nie postrzelcie mnie przypadkiem. Dobra? To by mi się nie spodobało.

Trwało chwilę, zanim przyjechała druga winda. Plath i Keats czekali, gapiąc się na guzik przywołania, oboje skrępowani tym, że mają pistolety, oboje z głowami pełnymi obrazów turlających się potworów.

– O kurde! – krzyknął Keats w pewnej chwili. – Zobaczyłem kolor. To coś. Jakby przebłysk koloru.

– U mnie ciągle czarno-biało – mruknęła Plath.

Keats spojrział na żłobek, który wciąż trzymał w dłoni, pokręcił głową, zirytowany własną głupotą, i wsunął pudełeczko do tylnej kieszeni dżinsów, gdzie powinno być bezpieczne, byle na nim nie usiadł. Albo nie dostał kulki w tyłek.

Winda przyjechała i Plath wcisnęła „hol”.

– Co robimy, kiedy otworzą się drzwi? – zastanawiał się na głos Keats.

Nie miała dla niego odpowiedzi. A właściwie miała, tylko nie chciała tego mówić. Pistolet ważył z pięćdziesiąt kilo. Kolba była śliska od potu.

Minęli dziesiąte piętro. Siódme.

– Ja biorę tę stronę, ty bierz tamtą – powiedział Keats. Idę pierwszy. Jak tylko drzwi się uchylą.

Kiwnęła głową. Nie ufała własnemu głosowi. I ten jeden raz w życiu nie miała pretensji, że ktoś jej

mówi, co ma robić.

Drugie piętro.

Winda zwolniła.

Szarpnęła lekko.

Z zewnątrz dobiegł odgłos strzału.

Plath zastanawiała się, czy nie zmoczyła spodni. Zastanawiała się, dlaczego ją to obchodzi, i nagle drzwi się otworzyły.

Keats przepchnął się przez nie i Bam!

Poleciała za nim.

Na zewnątrz stał Kaligula; Vincent i Anya opierali się o potężny marmurowy filar.

– W co' strzelasz, do diabła? – spytał Kaligula. Nie rozgniewany, po prostu ciekawy.

– Ja... – wymamrotał Keats.

Lampy w holu, choć przygaszone, dawały wystarczająco światła, żeby zobaczyć dwóch martwych ochroniarzy McLure'a. Ktoś ich zastrzelił i odciągnął w miejsce, gdzie nikt nie zauważyłby ciał z ulicy. Leżeli za tablicą z reklamą wystawy w Muzeum Sztuki Nowoczesnej, sponsorowanej przez McLure Industries.

Plath zobaczyła jeszcze dwa ciała w windzie, którą jechał Kaligula.

– Gliny już jadą. Czarne charaktery są przed budynkiem.

– To oni? – Plath wskazała głową suwa i kompaktowy samochód.auta stały przy krawężniku i

dymiły z rur wydechowych.

– Tak. Pójdziemy tam i zabierzemy to małe autko. – Kaligula płynnym ruchem złapał Vincenta, przytrzymał go przed sobą na odległość wyciągniętej ręki i przyłożył mu pistolet do ucha. – Idziemy.

Przeprowadził Vincenta jak zakładnika przez szklane drzwi, na chodnik. Plath i Keatsa zostawił w środku z dyszącą, przerażoną Anyą. Pani doktor rozglądała się dziko w poszukiwaniu jakiegokolwiek drogi ucieczki.

Plath przyszło do głowy, że Violet ma tyle lat, że prawie mogłaby być jej matką. A ona i chłopak, którego wcześniej nie знаła, nagle stanęli przed koniecznością zastrzelenia tej kobiety, gdyby próbowała zwać.

Bioty Vincenta wlokły się ostatkiem sił.

Nanoboty Bug Mana kontynuowały pościg.

Gonitwa była długa, ale teraz osiągnęła punkt krytyczny. V1 i V2 przedostawały się do oka. Vincent trzymał się na włóknie mięśnia tak długo, jak się dało, bo na nim miał szanse prześcignąć nanoboty.

Ale czas się skończył. Teraz musiał już wrócić na gałkę oczną i wiedział, że kiedy nanoboty też tu dotrą, wydostaną się spośród makrofagów na śliską, gładką powierzchnię – tak gładką, jak żadna inna część ludzkiego ciała. Opuszczą koła, ustabilizują się odnóżami i dogonią go w kilka sekund.

Czuł pistolet Kaliguli przyciśnięty do ucha.

– Przegram – szepnął.

– Nie pomogę ci w bebechach – odparł Kaligula szorstkim głosem, po czym krzyknął: – Hej! Dupki! To jest Vincent. Chcecie go? Wymienię go za możliwość ulotnienia się stąd!

Szyba suva się opuściła.

Vincent zobaczył jakiegoś człowieka. Rozmawiał przez telefon. Spięty. Czekał na odpowiedź.

W małym samochodzie też otworzyło się okno. Wysunęła się lufa, wycelowana w nich.

Coś pojawiło się w powietrzu. Przedmiot wielkości piłki bejsbolowej, ale z ciemnej stali. Wyfrunął z dłoni Kaliguli i wpadł przez okno do suva.

Kaligula obrócił się, otworzył ogień, Bambambam!

Wrzask z wnętrza małego auta.

Ryk paniki z dużego.

Kaligula szarpnął Vincenta za sobą, padając na chodnik.

W suwie eksplodował granat.

Nanoboty złapały już kołami powierzchnię oka, odnóża V2 ślizgały się, z suva wypadły szyby, drzwi poleciały wyrwane wybuchem, trzy nanoboty siedziały już na rannym biocie, dźgały i dźgały, a Vincent czuł każde pęknięcie we własnych

wnętrznosciach.

Zawył, *d* Kaligula znów strzelił w mały samochód.

– Wynosić się, już! – wrzasnął i machnął ręką.

Vincent dostrzegł, jak Keats i Plath i Anya biegną do auta.

I jeszcze ktoś czwarty.

Ktoś czwarty.

Gotycka twardzielka z dziwnym tatuażem pod okiem.

Keats aż się potknął, kiedy ją rozpoznał: dziewczyna z taksówki.

– Kobieta! – krzyknął Kaligula do nowo przybyłej.

W tej chwili Vincent poczuł straszliwy ból głęboko w ciele.

– Prawe oko! Prawe oko! – wrzeszczał Keats.

Dziewczyna, Wilkes, wpakowała palec w prawe oko Anyi Violet. Laborantka wydzierała się z bólu i usiłowała odepchnąć od siebie napastniczkę.

V2 przeskoczył przez rozdarte i rozczłonkowane ciało V1, na oślep, brawurowo. Miał już to gdzieś, bo to koniec, więc wszystko na jedną kartę. Vincent to wiedział, wszystko na jedną kartę.

Biot zabił dwa nanoboty, zanim stracił odnóża. Teraz już obydwa bioty Vincenta były praktycznie nieruchome. Z ich dwunastu nóg pozostały na miejscu jeszcze tylko dwie.

Nie miały nic oprócz żądań w ogonach i małych pistoleczków laserowych. Ale bez nóg to nie było zbyt użyteczne.

Osiem nanobotów otoczyło dwa umierające bioty.

– Mogę się ewakuować? Mogę się ewakuować?!
– wrzeszczał Bug Man. – Co się dzieje w makro?!

– Sterta trupów, to się dzieje – zaraportował Burnowski.

– Gadaj! – Gdyby miał drogę odwrotu, gdyby ktoś, ktokolwiek, dał mu możliwość wydostania się z kobiety, to wyciągnąłby ze sobą biota Vincenta. Może nawet obydwu.

To by była niezrównana rozgrywka.

Niezrównana!

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – Do pokoju wpadł Jindal. – Bliźniacy na to patrzą! Przestań się opieprzać. Wykończ go! Wykończ go!

Bug Man poczuł się, jakby dostał kopa w brzuch. Przez cały ten czas nie przyszło mu do głowy, że jego grę oglądają na żywo Bliźniacy Armstrongowie.

Zwrócił przerażone oczy na Burnowskiego.

Stary się roześmiał.

– No, nieźle.

Bug Man zagryzł zęby i popędził nanoboty naprzód.

– Kaligula – powiedział Vincent skulony na tylnej kanapie. Wyglądał, jakby miał rzygnąć.

Plath siedziała między nim a tą dziewczyną, której przedtem nie widziała. Z przodu upchnęli się Anya i Keats. Szóstka ludzi w samochodzie na maksimum pięć. Z wytłuczoną szybą i deską ochlapaną krwią.

Kaligula prowadził z taką samą zwięzłą precyzją, z jaką robił wszystko inne. Radiowozy mijaly ich z rykiem syren. Kierowały się na miejsce masakry w głównej siedzibie McLure Industries.

– Kaligula – powtórzył Vincent.

Zabójca za kierownicą westchnął i spytał, o co chodzi.

– Szaleństwo albo śmierć – powiedział Vincent.
– Niech to będzie śmierć.

– Nie ty wydajesz taki rozkaz – odparł spokojnie Kaligula. – Tylko Lear może go wydać.

– Zamknijcie się, do cholery. Nikt nie wyda takiego rozkazu – warknęła Wilkes. – Oto ja, kawaleria. Jiii-haa.

Duch uśmiechu na twarzy Vincenta.

16

Nic mu nie będzie. Znaczący, Vincentowi. Nic mu nie będzie. Niżyński wyglądał trochę gorzej niż zwykle. Włosy nie tak idealne, kołnierzyk rozluźniony. Kłapnął na krzesło niemal bezwładnie.

Plath wzięła prysznic. Płynęła z niej czerwona woda. Nie wychodziła z kabiny dość długo. Tu nikt nie mógł zobaczyć, że płacze.

Teraz siedziała obok poważnego, oszołomionego Keatsa.

Wciąż miał twarz pochłapaną krwią. Wciąż śmierdzał prochem.

Anya była... gdzieś... z Ofelią. Kaligula zniknął. Wilkes trochę z boku hałaśliwie pożerała paczkę doritosów.

Głowę Renfieldda w plastikowej torbie zabrali; zamierzali ją spopielić, żeby zatrzeć wszelkie ślady nanotechnologii.

– Dwa z czterech biotów Vincenta są ranne i przez jakiś czas będą do niczego – oznajmił Niżyński. – Wróciły do żłobka i najprawdopodobniej wyzdrowieją.

Bioty Wilkes też zostały poturbowane. Ale walczyła dwa na osiem z Bug Manem. Uratowała Vincenta i wyszła z tego żywa.

Niżyński jej zasalutował. Zauważyła to, ale nie odpowiedziała. Mechanicznie wpychała chipsy do ust, z oczami wbitymi w nicość.

– Wy dwoje zostaliście dzisiaj wrzuceni na głęboką wodę – powiedział Niżyński, nie do końca przepraszająco. – To musiało być ciężkie przeżycie.

– To był pieprzony koszmar – wypalił Keats. Zamrugął.

Cofnął się trochę dalej w tę swoją obojętność i dodał już ciszej: – Ciągłe jest.

– Tak i będzie tego więcej – odparł Niżyński.

– Nie dzisiaj – warknęła Plath i stwierdziła z satysfakcją, że Keats poparł ją skinieniem głowy.

– Absolutnie – dodał.

Niżyński odczekał chwilę, aż cisza uspokoi ich oboje.

Plath czuła się, jakby ktoś wyszorował jej całe ciało papierem ściernym. Jakby dostała zastrzyk speeda. Jakby wściekła tyrada tylko czekała na końcu języka, aż zostanie uwolniona.

Weszła Ofelia.

– Jest pod kontrolą. – Tyle. Nie rozwinęła tematu. Niosła butelkę i tacę pełną niejednakowych i niezbyt czystych szklanek. Postawiła to wszystko przed Niżyńskim.

Nalał whisky dla siebie i Ofelii. Spojrzał pytająco na Wilkes, Plath i Keatsa.

Plath przyjęła szklankę. Keats też, jakby

wzorował się na niej. Wilkes przyłączyła się ostatnia. Ze złością chwyciła swoją szklankę.

– Za Renfielda – wzniósł toast Niżyński.

Pięć szklanek stuknęło o siebie i pięć łyków spłynęło do gardeł przy akompaniamencie sapania i kasłania o różnym nasileniu. Płynny ogień rozlał się po żołądku Sadie i zaczął rozprzestrzeniać się na całe ciało.

– Mam nadzieję, że jest z Bogiem – odezwała się Ofelia.

Wilkes pokręciła głową, ale i tak powiedziała:

– Nie był taki zły. Tylko trochę palant.

Ale w tym cynizmie brzmiała fałszywa nuta. Plath zobaczyła, że Wilkes odwróciła się szybko, żeby ukryć jakieś emocje.

– No dobra! – zawołał zrywem Niżyński. – Wiem, że to było straszne, ale mamy poważne problemy na głowie. Vincent nie jest w pełni sprawny, więc wy dwoje musicie być przeszkoleni i gotowi. Trzymamy wasze bioty w ciemności i chłodzie. Poniżej pewnej temperatury zapadają w letarg. Sądzę, że ciągle widzicie przebłyski, ale powinno wam się udać zasnąć.

Więc idźcie do łóżek. Prześpijcie się parę godzin. A potem zaczynamy szkolenie.

– A jeśli my nie chcemy się szkolić? – spytała gniewnie Plath. – Jeśli chcemy tylko wynieść się w diabły z tego wariatkova?

Wilkes prychnęła drwiąco.

– Kotku, tkwicie w tym już po uszy. Nie macie żadnego wyjścia.

Niżyński nie polemizował. Powiedział tylko:

– Idźcie spać.

Plath chciała spać. W pokoju było ciemno. Przez koszmarnie brudne okno nic nie widziała. Tylko domyślała się, że gdzieś tam na zewnątrz jest ranek, bo mizerne szare światło przenikało przez szybę i rozjaśniało łuszczącą się farbę na suficie.

Wciąż czuła bioty jako dręczącą obecność w mózgu. Jak dziecko płaczące w sąsiednim pokoju. Ale przynajmniej nie patrzyła już ich oczami.

¹⁷⁷

Była odrętwiała, niemal jak martwa wewnątrz, a poraniona i wściekła na zewnątrz. Chciała walić pięścią w ścianę. Chciała spać. Chciała otworzyć drzwi i uciekać, uciekać, uciekać gdzie pieprz rośnie z tego straszego miejsca. I chciała więcej whisky.

Chciała mamy. I ojca. I brata.

I chciała tego chłopaka w pokoju obok, bo nawet gdyby rodzice i brat żyli, nie zrozumieliby, co przeżyła.

Ale on by zrozumiał. Może. Keats.

Vincent i Jin oczywiście specjalnie tak to ustawili. Może to nie był jakiś wielki, konspiracyjny plan. Po prostu wiedzieli, że dwójka przerażonych nastolatków, którym dano imiona poetów, przyłgnie

do siebie nawzajem.

Ciekawe, czy jego drzwi są zamknięte na klucz.

Ciekawe, czy jeśli cicho zapuka w ścianę, on usłyszy? Tak cicho, że to nie będzie nawet pukanie? Tak cicho, żeby mogła się tego wyprzeć?

Ledwie dotknęła ściany kostkami palców.

Głośniejsze, ale i tak cichutkie pukanie w jej drzwi.

Przyszedł. Natychmiast. On też leżał i nie spał. Czekał na jej wezwanie.

Ale mimo wszystko po prostu... nie mogła. Po prostu nie mogła odpowiedzieć. A on sobie pójdzie, bo nie jest facetem, który by ją naciskał, prawda? A niby skąd to wie? Znała go kilka godzin i zamieniła z nim ledwie parę słów.

Ale wiedziała.

Wstała i podeszła do drzwi. Opanowała twarz i otworzyła.

Keats stał w spodniach od dresu, bosy i w koszulce.

– Chciałem z kimś porozmawiać – powiedział. – Znaczący, chciałem porozmawiać z tobą.

Znów jej się spodobał, bo właśnie udał, że wcale nie zapukała w ścianę. Dawał jej możliwość wyparcia się swojej potrzeby.

– Wejdz. Oprowadziłabym cię, ale nie ma tu wiele do oglądania.

Zajął jedyny fotel. Ona usiadła na brzegu łóżka.

Była w długiej męskiej koszulce, miała gołe nogi i tylko skarpetki na stopach. Prawdopodobnie odsłaniała za dużo. Koszulka była biała. Z wyblakłym logo. I zauważał to, ale miała to gdzieś.

– W co myśmy się wpakowali? – spytał.

My.

Myśmy.

Nie знаła odpowiedzi. Słowa wydawały się za małe.

– Zdaje się, że nie powinniśmy zdradzać prawdziwych imion – ciągnął Keats.

Pokręciła głową. Nie.

– Jestem z Londynu.

– Uwielbiam Londyn.

– Byłaś tam? – Uśmiechnął się wstydliwie, zachwycony, że jednak coś ich łączy.

– Moja mama pochodziła z Anglii. – Ciekawe, czy zauważy czas przeszły. Zauważył.

– Chciałabyś, żebyśmy tam teraz byli, co? – spytał.

Wybuchnęła krótkim, gwałtownym śmiechem.

– Boże, tak. Albo gdziekolwiek indziej.

– W Eurodisneylandzie?

Doskonale absurdalna sugestia. Sadie zaczęła chichotać.

I to wywołało na jego usta uśmiech, prawdziwy. A niebieskie oczy zabłysły jeszcze jaśniej niż przedtem.

– W jakimkolwiek dużym parku rozrywki – odparła, śmiejąc się. – I chciałabym zobaczyć gigantyczną kulę włóczki w Kansas.

– To naprawdę istnieje? – spytał.

Nagle spoważniała.

– Koleś, nie czuję się już upoważniona, żeby osądzać, co istnieje, a co nie.

Spuści! wzrok.

– Koleś. No więc, moja wizyta w Ameryce jest kompletna. Zostałem nazwany „kolesiem”.

Podjęta ten żartobliwy tok rozmowy.

– I jak ci się podoba Ameryka?

– Och, jest taka, jak się spodziewałem.

To sprowokowało ich oboje do niemal histerycznego śmiechu.

– Myślisz, że nas obserwują? – Keats rozejrzył się po suficie.

– Mam nadzieję. Bo jeśli tak, to zobaczą to. – Wystawiła środkowe palce obu rąk.

– To jak, umówiłabyś się ze mną kiedyś? – zagadnął, jękając się lekko – Zależy. A co byśmy robili?

– Poszlibyśmy coś zjeść. I do kina.

– Strzeliłam do człowieka. – Te słowa wyszły z jej ust, zanim się zorientowała, że się zbliżają. Tuż za nimi wyrwał się szloch. I poleciały ciche łzy.

– Tak.

Po tym przez długą chwilę żadne nie miało nic

do powiedzenia. Oboje siedzieli w ciemności, przycupnięci niezręcznie na brzegu łóżka i fotela.

Wreszcie Plath ziewnęła.

– Gdybym cię poprosiła, żebyś tu ze mną został na noc...

znaczy, gdybym chciała, żebyś położył się koło mnie spać. Czy to mogłoby być tylko to? Czy moglibyśmy tylko... – Głos jej się załamał. Nie dała rady mówić dalej.

– Chodzi ci o to, czy moglibyśmy po prostu być razem, bo oboje jesteśmy śmiertelnie przerażeni? I cierpimy? I nie mamy nikogo innego?

Skinęła głową.

– Tak. Właśnie o to.

Położyła się na plecach na wąskim łóżku. Keats podszedł i położył się obok niej. Dotykali się tylko barkami i udami.

Przez chwilę gapili się na obłazącą farbę. Aż wreszcie sen zabrał ich oboje. Przyniósł koszmarne sny, ale i jakąś dozę zapomnienia.

W Brooklynie odegrała się podobna scena.

Choć Jessica zrobiła, co w jej zaprogramowanej mocy, Bug Man tylko leżał i wpatrywał się w sufit.

Pokonał Vincenta. I nikt mu tego nie odbierze. Burnowski mógł sobie szydzić do woli. Bliźniacy mogli się wściekać do upadłego – przynajmniej w wyobraźni Bug Mana, bo nie zadzwonili.

Pokonał Vincenta.

Pokonał.

I wykończyły go, gdyby nie to, co się działo w makro.

A to już nie wina Bug Mana.

W raporcie złożonym przez jedyne ocalałego z masakry w budynku McLure Industries była wzmianka o paralizatorze. To przez to Bug Man nie zdołał wykończyć przeciwnika.

Sprawy makro. Gdzieś tam. Nie w bebechach. W bebechach Bug Man przyszpilił Vincenta.

Jeszcze jak.

Cokolwiek mówił Burnowski.

Tylko milimetr, a wywłóklby żywego biota z pola walki.

Rany, Burnowski chyba się pochlastał z rozpaczy. A Bliźniacy? Całowałiby go w tyłek tymi swoimi ohydnyimi ustami odmieńca.

Mógłby się zabawiać schwytanym biotem, aż Vincent by przyznał, że Bug Man rządzi w nano.

Bug Man rządzi w nano.

Super.

To by było...

Usłyszał jakieś odgłosy spoza drzwi pokoju. Matka zbiera się do pracy. Ciotka pośpi jeszcze z godzinę.

Wstał z łóżka i się ubrał.

– Co jest, kotku? – spytała Jessica.

– Nic.

– Chodź, skarbie, mogę...
– Zamknij się – warknął. I dodał łagodniej: –
Posłuchaj, daj mi spokój, okej? Po prostu... –
Zostawił ją i poszedł do kuchni.

Matka Bug Mana wyglądała bardzo po matczynemu. Miała nadwagę, nie ubierała się zbyt elegancko, włosy układała raz na tydzień w salonie prowadzonym przez inną czarną kobietę z Wielkiej Brytanii, tyle że gdzieś z północy, z Newcastle czy skądś tam.

Patrzyła, jak parzy się kawa. Po prostu stała i patrzyła.

– Cześć, mamo.

Spojrzała na syna karcąco.

– Późno wczoraj wróciłeś.

W małym telewizorze na szafce leciały wiadomości.

Dźwięk był ściszony. Na ekranie mrugał jakiś nowy filmik ze stadionu. Samolot uderza w trybuny. Ciągle. Nawet teraz.

– Taak. Mieliśmy... no, awarię. Czasem się zdarza.

– Ale chyba cię nie wylali, co?

– Nie, nie, no coś ty. – Sięgnął obok niej po kubek i nalał sobie kawy, chociaż dzbanek nie był jeszcze pełny. Dolał mleka i nasypał cukru. Dużo cukru. – Kochają mnie w tej robocie. Jestem ich najlepszym człowiekiem. Najlepszym testerem.

Wiesz?

Matka powoli pokręciła głową, nie na to, co mówił, ale na to, co pokazywali w telewizji.

– Kto mógł zrobić coś takiego? Bydlak.

Przez moment – ale tylko przez ulotne mgnienie – Bug Man niemal połączył słowo „bydlak” ze sobą. Niemal skojarzył horror na ekranie z własnymi czynami. Ale to minęło i nie zostawiło śladu.

– Kochają mnie w tej robocie – powtórzył w nadziei, że matka tym razem usłyszy.

– Tylko nie zapominaj, jakie to szczęście, że dostałeś tę posadę. Tyle ludzi nie ma teraz pracy.

– Tak. Ale ja jestem dobry. Dlatego mnie trzymają. Bo jestem najlepszy.

Z opiekacza wyskoczyła grzanka.

Na ekranie jakiś człowiek biegł, ciągnąc za sobą ogień i dym, potknął się, padł i umarł.

– Jak chcesz grzankę, to ci nastawię.

Bug Man napił się kawy.

Pokonał Vincenta. Nikt mu tego nie zabierze.

Następnym razem to dokończy.

Zabrał swoją słodką kawę do pokoju, odesłał Jessicę do domu i mimo kofeiny zasnął.

Obudził się nagle, wiedząc, że nie jest sam.

Wokół łóżka stało czterech mężczyzn. Silni faceci, wszyscy ubrani w sportowe ciuchy – niegroźne róże, beże i błękity.

– Co? – Zerwał się, ale nie dał rady całkiem

usiąść, bo mocne ręce chwyciły go za bicepsy i kostki. Przewrócili go na brzuch. – Co jest, do cholery?! – krzyknął.

– Nikogo nie ma w domu – powiedział jeden z mężczyzn. – Wrzeszcz sobie do woli.

Podetknięto mu telefon pod twarz. Na wyświetlaczu pojawił się obraz. Bug Man, ku swojemu przerażeniu, zobaczył twarz Charlesa i Benjamina Armstrongów.

– Anthony – odezwał się Charles spokojnym, stonowanym tonem. – Nam nie chodzi o ego. Nam chodzi o pokój i jedność, o zbliżenie istot ludzkich, żeby wszyscy mężczyźni byli braćmi i mężami, wszystkie kobiety siostrami i żonami.

– Posłuchajcie, przepraszam za...

Ale film leciał dalej. To nie było na żywo. To nagranie.

Wiadomość.

Wyrok.

– Twoja duma kosztowała nas zwycięstwo w tej bitwie, Anthony. Twoja duma.

– Puszczajcie mnie!

– Kochamy cię, Anthony – powiedział Benjamin.

Przytrzymali go; dwie potężne dłonie za każdą kończynę, ale facet, który trzymał go za lewą kostkę, jakimś cudem musiał mieć wolną jedną rękę, prawda? Bo ścisnął w niej pałkę.

Bug Man widział ją, zerkając gorączkowo przez ramię – gruby, okrągły, polerowany kawał ciemnego drewna.

– Ale kara musi być – ciągnął Benjamin.

– Choć bardzo tego żałujemy.

– Co jest, do cholery?! – krzyknął Bug Man; pałka grzmotnęła w tył jego ud.

Ból był niewiarygodny. Niewyobrażalny.

– Kochamy cię, Anthony.

Drugi cios. Chłopak wrzasnął z bólu i strachu.

Trzeci cios i każdy mięsień ciała wibrował naprężony, kiedy Bug Man wrzeszczał w poduszkę, jeden z facetów trzymających go za ręce pochylił się i zbliżył paskudne oczy o pożółkłych białkach do mokrej od łez, stężalej twarzy.

– To od szefów – syknął. – Ale wczoraj straciliśmy dobrych ludzi, ty żałosny gnoju. Więc ten ostatni jest od nas.

Pałka spadła z impetem i mózg Bug Mana po prostu wyłączył się na chwilę.

Poczuł, że ręce puszczają.

Usłyszał, że sprawcy wychodzą z pokoju i zamykają drzwi.

Plath nie śniła o aktach przemocy, w których uczestniczyła. Śniła o bracie. W jej śnie był dorosły. Miał rodzinę. Dwie małe córeczki. I Sadie – nie Plath, Sadie – przyszła na kolację. Wszystko było jakieś telewizyjne, nieprawdziwe. Idealnie śliczne dziewczynki jadły płatki z kolorowego pudła: nanoboty Kellogg's.

Z początku to nie wydawało się dziwne Sadie ze snu, kiedy szła przez tę scenerię.

Kuchnia jak u typowej amerykańskiej rodziny klasy średniej, z lodówką oblepioną dziecięcymi rysunkami i zdjęciami, i cenzurkami, a na nich same płatki wypisane czerwonym długopisem.

Zupełnie nie tak wyobrażała sobie dom Stone'a. We śnie brat miał bardziej prozaiczne życie, niż miałyby, gdyby nie zginął i przejął McLure Industries.

Płatki zaczęły wyłazić z pudełka, wędrowały całym rojem w stronę misek, napełniały je na nowo, kiedy dziewczynki szufłowały łyżkami i chrupały kulki.

– Niczego nie czułem – powiedział Stone.

– Na pewno się bałeś – odparła Sadie ze snu.

A za jego plecami – Stone tego nie widział, ale Sadie owszem – nanoboty wspinały się po białych

rączkach dzieci, obłaziły ich kolorowe sukienki, ich szyje, a dziewczynki cały czas się uśmiechały.

– Bam i po wszystkim. – Stone pokiwał głową, jakby mówił prawdę i jakby to pamiętał, i jakby nie było zupełnie nic dziwnego w tym, że komentuje okoliczności własnej śmierci.

Płatki-nanoboty znikwały w małych, różowych uszach, w nosach i oczach.

Obudziła się.

Pukanie do drzwi.

Ktoś był w jej łóżku; jej głowa leżała na czyjejs piersi.

Szarpnęła się do tyłu.

– Ja otworzę – mruknął Keats. Zaczął poruszać ręką, tą, na której spała Plath. Pewnie mu zdrętwiała. Otworzył drzwi.

W progu stała Ofelia. Jeśli nawet zaskoczyło ją, że zastała ich oboje w tym samym pokoju, nie okazała tego. Przyniosła dwie kawy ze Starbucksa, dwie butelki wody i papierową torbę z jakimś słodkim pieczywem; wszystko razem w zmiętej reklamówce.

– Potrzebujemy was za jakieś dwadzieścia minut – oznajmiła. Miała nawet uśmiech, który mówił: to rozkaz, nie prośba.

W torbie znaleźli muffinki. Jedna chyba z jagodami, druga malinowa.

– Ja biorę jagodową – powiedziała Plath.

W obu kubkach była latte. Wypili wodę, kawę i pożarli muffinki. Nie tracili czasu na gadanie.

Keats wyciągnął rękę i strzepnął okruszek z ust Plath.

– Raczej nie powinniśmy... – zaczęła. Chodziło jej o to, że raczej nie powinni sobie na to pozwalać. Na takie dotykane, które jest wstępem do czegoś więcej. Mówiła to jej rozsądna część, choć jednocześnie całkiem inna jej część zadawała sobie pytanie, dlaczego on jej nie dotknął, kiedy leżeli obok siebie.

Keats gwałtownie uniósł głowę. Kiwnął nią ze skruszoną miną.

– Jak sądzisz, co zaplanowali na dzisiaj?

– Coś niepokojącego – odparła.

Uśmiechnął się.

– Dzięki, że zaopiekowałaś się mną wczoraj wieczorem.

– Myślałam, że to ty mną się zaopiekowałeś.

Pokręcił głową i spojrzał w podłogę.

– Byłem totalnie rozwalony.

– Tak, masz rację. Za to ja czułam się doskonale.

Cichy śmiech.

– Wolałbym nie musieć nazywać cię Plath. Nie chcę myśleć o tobie jako o poetce, która się zagazowała.

Tak niewiele brakowało, żeby mu powiedziała. Sadie.

Mam na imię Sadie. Z trudem, ale się powstrzymała.

– Chcą, żebyśmy byli ze sobą blisko. Ale nie chcą, żebyśmy zapomnieli choć na chwilę.

Ofelia zaprowadziła ich do pokoju, którego nie widzieli wcześniej. Szło się do niego po nedorzecznie wąskich wewnętrznych schodach. Wyglądał jak marna parodia laboratorium w siedzibie McLure Industries. Sklecony naprędce stół ze sklejki, upchnięty pod wąskie, zatłuszczone okna, przez które wpadało bure nowojorskie światło. Na stole dwa różne mikroskopy, coś, co wyglądało jak bardzo drogi kombiwar, mała zamrażarka z nierdzewnej stali.

Ale główny element wystroju stanowiła potężna błyszcząca, biała maszyna. To Plath znała aż za dobrze.

– Aparat do rezonansu magnetycznego?

Ofelia skinęła głową.

– Z paroma bardzo nietypowymi ulepszeniami. Tak. Podobno jest wart około pięciu milionów dolarów. Więc nie stawiajcie na nim kawy.

Przedziwne zjawisko. Człowiek mógł zaakceptować zagracone laboratorium na strychu albo potężny cud technologii, ale odnosił wrażenie, że jedno i drugie nie powinno egzystować w tej samej rzeczywistości.

– Zwykle poświęcamy więcej czasu na szkolenie

– ciągnęła Ofelia. – Ale nam się spieszy. Nasi wrogowie planują wielką operację. Jeśli im się uda, wygrają. Więc musimy ich powstrzymać.

– Co to za plan? – spytał Keats.

– Zgromadzenie Ogólne ONZ. Większość światowych głów państw, w tym nasza prezydent Morales, wasz premier Brown. AFGC spróbuje umieścić nanoboty w nich i w paru innych. Chiny. Japonia. Indie. Być może jeszcze więcej.

Keats zerknął na Plath.

– AFGC. Co to w ogóle jest?

– Armstrong Fancy Gifts Corporation.

– Nie brzmi jak nazwa złowrogiej organizacji, która zamierza opanować świat – zauważyła Plath.

– I właśnie o to chodzi – odparła Ofelia. – Jeśli komuś powiesz, że Armstrong Fancy Gifts Corporation chce opanować świat, uznają cię za wariatkę.

– A będą w błędzie? – mruknął Keats pod nosem.

Ofelia pochyliła się do niego. Na tę okazję też miała specjalny uśmiech, z czystej stali.

– Poczucie humoru to fajna rzecz, Keats. Ale nie bądź błaznem. Nie popełnij błędu, myśląc, że to wszystko tylko gra.

– Nie, proszę pani – powiedział, bo Ofelia nagle wydała mu się dużo starsza od niego.

Postukała w wydłużoną plastikową szkatułkę na

zagraconym stole.

– Wasze dzieci są tutaj. Ogrzewają się do temperatury pokojowej. Kiedy otworzę wieczko, zobaczą światło, a to oznacza, że wy zaczniecie widzieć ich oczami.

Plath i Keats zerknęli nerwowo na pudełko.

– Macie po dwa bioty. I każdy z nich ma dwa rodzaje oczu. Złożone oko owadzie, doskonałe w wykrywaniu ruchu, iquasi-ludzkie, które trochę lepiej sobie radzi z rozróżnianiem kolorów. Ale ludzki mózg nie jest dobrze przystosowany do rozumienia tych oddzielnych obrazów. Więc zostaliście zmienieni.

– Ze co? – wypalił Keats.

– Kiedy wysłaliśmy w was nasze bioty, zabrały ładunek zmienionych komórek macierzystych i wszczepiły je w waszą korę wzrokową. To nie jest absolutnie konieczne, operator biota widzi i bez nich, ale tylko rzeczywisty obraz, nie wzbogacony. Na poziomie nano tak naprawdę nie ma barw.

Pigmentacja jest zbyt rozproszona, za mało skoncentrowana, żeby była dostrzegalna. Więc dysponując tylko naturalnym obrazem, widzielibyście kształty i krawędzie, ale w skali szarości. Z ulepszonym wzrokiem zobaczycie również kolory.

– A to, co tam jest, na pewno chcemy oglądać w kolorze? – spytała Plath – Podczas bitwy to bardzo

pomocne.

– Więc po prostu pominiemy fakt, że nie macie prawa wszczepiać niczego do naszych mózgów – warknęła Plath.

– Właśnie tak. Dobra, czas goni, więc zabierzmy się do roboty. Aktywujemy po jednym z waszych biotów i umieścimy je, gdzie trzeba. W bebechach, jak my to mówimy. Jeden z moich biotów będzie towarzyszył twojemu, Keats. Jako przewodnik.

– Chwila. Co? Teraz? – zaprotestował Keats.

– Plath, ty masz prostsze zadanie. Będiesz tylko zwiedzać. Ale nasz przyjaciel Keats musi niemal natychmiast podjąć bardzo ważne zadanie.

– Ważne zadanie? Jakie zadanie? – spytał spanikowany Keats, a tymczasem Plath starała się walczyć z poczuciem, że została znieważona.

– Plath – ciągnęła Ofelia. – Trzy moje bioty pracują przy twoim tętniaku. Teflonowa siatka została niebezpiecznie osłabiona przez liczne urazy wczoraj wieczorem. Jestem jak ten holenderski chłopiec z legendy, który zatykał palcem dziurę w grobli. Panuję nad wszystkim, ale mam inne obowiązki.

I potrzebujemy kogoś, kto będzie mógł pozostawać blisko ciebie.

Plath wściekła się, widząc szok i niepokój na twarzy Keatsa. To za bardzo przypominało litość.

– Na wycieczkę zabierze cię Wilkes – dodała

Ofelia. – Jeśli tu w ogóle dotrze.

– Ja tu jestem. – Wilkes wylazła z ciemnego kąta, przetarła zaspane oczy, jednocześnie uśmiechnęła się i ziewnęła, przeciągnęła się i powiedziała: – Tylko najpierw muszę siku. Usłyszeli, jak z tupotem zbiega po schodach.

– A teraz posłuchajcie. – Ofelia pochyliła się do nich i złożyła ręce, jakby chciała odmówić modlitwę. – Wchodzicie w bardzo, bardzo dziwny świat. To, co zobaczycie, może was wytrącić z równowagi.

– Ja już jestem wytrącona – prychnęła Plath. – Czuję znowu to... to coś... w głowie. – Widząc, że Keats źle ją zrozumiał, wypaliła: – Nie, nie tętniaka, do cholery. Biota. Mojego.

Mojego biota.

Ofelia mówiła dalej, jakby Plath w ogóle się nie odezwała.

– Każdy z nas ma pewien obraz siebie jako ciała i umysłu.

Postrzegamy umysł jako coś poniekąd poza nami, jako duszę, esencję jaźni. Tak naprawdę to po prostu komputer zbudowany z synaps. Oszalamiająco skomplikowany komputer, ale mimo wszystko to tylko około półtora kilo oślizgłej, różowoszarej tkanki utrzymywanej przy życiu przez tlen i azot transportowane autostradami pełnymi krwi.

– Nie wierzysz w duszę? – spytał Keats.

– Wierzę, że nauka jest w tej dłoni. –

Wyciągnęła prawą rękę wnętrzem do góry. – A religia w tej. – Wysunęła lewą rękę, ale zwinęła dłoń w pięść, ukrywając wnętrze.

– Ja widziałam za dużo rezonansów swojego mózgu, by wątpić, że to tylko organ – skwitowała Plath.

– Większą niespodzianką jest reszta ciała – mówiła dalej Ofelia. – Myślmy o nim jako o ciele. Czymś pojedynczym.

Worku ze skóry, który okrywa organy i kości, ale to wszystko nasze. Ludzkie. – Powoli pokręciła głową; jej brązowe oczy błyszcząły. – Ale nie jesteśmy wyłącznie człowiekiem. Bardziej przypominamy ekosystem. Jak las deszczowy. Jesteśmy domem dla tysięcy form życia. Mieszkają w nas i na nas. Jak jaguary i żaby w dżungli. W ludzkim ekosystemie są wirusy, bakterie, grzyby, pasożyty. A nawet nasze elementy, te wszystkie, które są nami, często wydają się oddzielnymi żywymi istotami. I są nimi. Każda komórka krwi jest żywa, oddzielna od reszty ekosystemu, przynajmniej w pewnym stopniu. Zrozumiecie to, kiedy zobaczycie, jak komórka dzieli się u waszych stóp. Albo jeśli któregoś dnia wylądujecie w tętnicy, Boże uchroni, i zobaczycie przeciwciała, nie większe w waszych oczach niż kawałki żwiru, pędzące, by zaatakować bakterię.

– Urocze – powiedział Keats.

– Szczerze mówiąc, to jest urocze. Wasze ciało

nieustannie atakują mikroskopijni wrogowie i wasze...

– Powiedz im o roztoczach – rzuciła Wilkes. Nie słyszeli, kiedy weszła. Zwróciła się do Plath i Keatsa konspiracyjnym

tonem: – Ofelia uwielbia komórki. Kocha niektóre enzymy. Ale to nie one śnią się po nocach. – Usiadła po turecku na stole aparatu do rezonansu. Ukazałaby im dość krępujący widok, gdyby nie fakt, że pod spódnicą miała jasnozielone legginsy. Bo widzicie, w tętnicy znajdziecie się tylko wtedy, jeśli coś spieprzycie na maksa. Jeśli, założmy, uciekacie przed nanobotami i znajdziecie sobie jakąś malutką kapilarę, żeby się w nią wkręcić.

Dostać się do żyły czy tętnicy to jakby dać nura w jakieś wariackie osuwisko. W kamienną lawinę. I nigdy nie wiadomo, kiedy uda się wydostać. Ale to nie jest nasz chleb powszedni.

– Wilkes ma rację – przyznała Ofelia. – Większość czasu spędzamy w oczach i uszach, i w samym mózgu. Żeby dotrzeć do tych miejsc, przemieszczamy się wśród włosów, po twarzy, brwiach i rzęsach. A po drodze...

– To jak przejście przez pustynię namalowaną przez doktora Seussa albo Salvadora Dalego – przerwała jej Wilkes. Zmarszczki i kratery, i włosy wielkości drzew.

– I pasożyty. Dwa rodzaje, które spotykają się

dość często, to roztocza z kurzu i nużeńce. Roztocza są mniej więcej wielkości biotów, tylko wyższe. W skali msub, mikrosubiektywnej, wydają się dość duże. Nużeńce są mniejsze. Wyglądają jak pełzające aligatory.

– Jezu. A są niebezpieczne? – spytał Keats.

– Nee. – Wilkes zbyła jego sugestię machnięciem ręki. Zjadają martwe komórki naskórka. To nie lwy. Ani tygrysy.

Ani niedźwiedzie. Ale są, kurwa, straszne. – Zdawało się, że ten fakt ją bardzo cieszy.

Musicie zrozumieć, że w zasadzie zwiedzacie obcą planetę. – Ofelia spróbowała się zdobyć na uśmiech dodający otuchy. Nie udało się. Więc westchnęła. – Plath, razem z Wilkes idziesz na spacer po twarzy i oku Keatsa i może zajrzycie do ucha.

– Mam uszu powyżej uszu. – Wilkes odeła wargi.

– Keats, my też trochę pozwiedzamy, a potem wejdziemy aż do mózgu.

– Nie rozumiem, dlaczego sama nie mogę się zająć swoim mózgiem – obruszyła się Plath. – Dlaczego robią to inni? Dlaczego on musi to robić?

– Zastanów się. Jeśli tętniak mimo wszystko pęknie i twój mózg zacznie umierać, przyjdą potworne bóle głowy, a może i halucynacje, co

bardzo prawdopodobne, to kto poprowadzi bioty, żeby załatać przeciek? – Pochyliła się, chwyciła jej dłoń i przytrzymała, aż Plath rozluźniła się i przestała bronić przed tym dotykiem. – Jesteś dla nas ważna. Masz środki, których będziemy potrzebować, kiedy już uzyskasz do nich dostęp.

A ten chłopak... ten młody człowiek... utrzyma cię przy życiu.

18

Plath wsunęła palec do otwartego kwiatka żłobka.

Był jak palec Boga opadający z nieba. Gigantyczny. Jakby ktoś wylądował różowym sterowcem na różowawej glebie pożywki.

Widziała swój palec jednocześnie mały i wielki, jednocześnie jako część dłoni i jako ogromną kolumnę znikającą w niebie.

Obydwa obrazy były w jej głowie.

Zachłysnęła się powietrzem.

– Teraz rusz biotem w jego stronę – poleciała Wilkes.

– Jak?

Siedziały na krzesłach. Na dwóch rozklekotanych krzesłach, ustawionych bok przy boku, ale w przeciwnych kierunkach, tak że Plath i Wilkes były zwrócone twarzami do siebie.

Po drugiej stronie aparatu do rezonansu znajdowały się dwa kolejne krzesła w podobnym ustawieniu. Plath widziała oczy Keatsa. Jej cel podróży. Obłąd.

– Rusz go myślą – odparła Wilkes, wzruszając ramionami.

Plath pomyślała: naprzód. I rzeczywiście,

zobaczyła, jak nierówna, gąbczasta powierzchnia pożywki zaczyna przelatywać pod nią. Pobiegła. Haha! Udało się.

– Masz sześć nóg – przypomniała Wilkes. – A do tego dwa ramiona.

– Mhm. – Plath nie bardzo słuchała. Koncentrowała się na zawrotnej szybkości, z jaką okienko obrazu w jej mózgu zbliżało się do palca. Zoom.

Widziała już wzór linii papilarnych. Obiekt wielkości wieżowca, ale zakrzywiony i pokryty niesamowitymi zawijasami, które strzelały w niebo i ginęły poza zasięgiem wzroku. Dziwnie przypominało to ścianę wykończoną tynkiem nałożonym zębatą pacą.

Ale w miarę jak biegła – jak jej biot biegł – gigant stawał się coraz bardziej szczegółowy i z bliska odciski palców zaczęły przypominać pola widziane z samolotu, linie papilarne były jak zaorana ziemia, tyle że każda bruzda miała półtora, dwa metry wysokości. I tam, na szczytach tych bruzd – o dziwo, nie w dolinach – było coś, co przypominało dziurki wywiercone w regularnych odstępach.

Ciało stawało się coraz mniej gładkie i teraz bardziej przypominało suchą, spieczoną ziemię pustyni.

Niepokój dopadł ją jak fala. Miała się wspiąć na tę kosmiczną powierzchnię. Palec drgnął, przejechał

po odżywcę i o mało nie zmiażdżył biota.

– Aaaa! – krzyknęła.

– Nie bój się, nie zgnieciesz go. Jest za mały. Wiesz, jak trudno zgnieść pchłę?

– On... on cieknie! Mój... ten... mój palec!

I rzeczywiście, z dziur zaczęła się sączyć połyskująca ciecz. Pozostawała na szczytach bruzd, ale nie zmiękczała spieczonej ziemi. Małe kropelki trzymały się w miejscu.

– Pot. Jesteś zdenerwowana, więc skóra ci się poci.

Plath się zatrzymała. Krzywizna opuszki palca sprawiała, że to, co wyglądało jak pionowa kolumna, zmieniło się teraz w skośny sufit z suchej, popękanej ziemi, z której miejscami wyciekały kropelki płynu. Powinny padać jak deszcz, ale nie spadały. Trzymały się tej spękanej, nierównej powierzchni.

– Niesamowite, co? – zagadnęła Wilkes z drwiącym uśmiechem.

– Mam tam wejść?

– Tak. Podskocz. Możesz wykonać skok mniej więcej dziesięciokrotnie dłuższy niż twoje ciało. Po prostu podskocz i złap się. Nie przejmuj się grawitacją. Jest niczym dla takich jak my!

Plath wstrzymała oddech, żeby uspokoić serce. Zamknęła oczy – te makro – i skoczyła.

Biot zręcznie odwrócił się w powietrzu i wylądował do góry nogami. Odnóża chwyciły

powierzchnię i zawisała jak mucha na suficie, tyle że to już nie był sufit; przed nią rozpościerało się ogromne orne pole. Pion i poziom straciły swoje zwykłe znaczenie.

– Ha! – krzyknęła Plath.

– No, ha! – zgodziła się Wilkes. – Z całą pewnością ha.

– Jestem na własnym palcu.

– He-he-he – zarechotała Wilkes. – Lepiej niż po grzybkach.

Plath nie bardzo wiedziała, co to znaczy, ale teraz czuła już zew przygody. Była cholernym Spidermanem.

– Co dalej? – spytała.

– Teraz w nano siedz na miejscu, a w makro podejdź tam i wsadź swojemu chłopakowi palec w oko.

– On nie jest moim chłopakiem – odparła automatycznie Plath.

– To dobrze, bo to, jak go teraz zobaczysz, prawdopodobnie zamrozi ci na kość wszystkie babskie urządzenia. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

Wilkes to dziwna dziewczyna z tym swoim paskudnym, spływającym z oka tatuażem i w ciuchach, które zmieniały ją w skrzyżowanie dominatriksa i emo z lumpeksu. Ale Wilkes to Yoda w tej podróży, więc Plath zamierzała być tolerancyjna.

Skupiła się na zadaniu. Zaczęła podchodzić do Keatsa.

Na jego twarzy malowało się osłupienie pomieszane z lękiem;

sama pewnie miała identyczną minę.

Spotkali się u stóp maszyny do rezonansu. Obok Keatsa stała Ofelia. Teraz z uśmiechem pełnym tajemnic i wspomnień. Przypominała sobie, jak to było, kiedy robiła to co oni, czuła te same lęki.

– Ty pierwszy, Keats – poleciła. – Po prostu przysuń czubek palca tak blisko gałki ocznej, jak możesz, ale nie dotykaj.

A potem zeskocz.

Palec Keatsa drżał tuż przy oku Plath. Nie mogła powstrzymać mrugnięcia, kiedy jej dotknął.

– Aaaa! – wrzasnął i szarpnął rękę do tyłu.

– Oczy! – Wilkes znów wydała z siebie to swoje he-he-he. – To dopiero jazda.

Przyszła kolej Plath. Spróbowała dotknąć jego oka. Zobaczyła pod sobą ogromną białą kulę; jakby siedziała na orbicie na jakiejś obcej, rolniczej planecie, nad ziemią pełną lodu poprzecinanego czerwonymi rzekami i odległych...

Skoczyła.

Ale oko, ta wypełniająca niebo planeta, odsunęło się nagle.

– Sorry! – rzucił Keats.

Pod nogami biota Plath nie było nic. Spadała.

– Nie ruszaj się, kretynie! – krzyknęła Wilkes na Keatsa.

Plath spadała, kręcąc się w powietrzu. „Ziemia” przeleciała pod nią. Czuła się, jakby śmignęła w naddźwiękowym odrzutowcu ledwie centymetry od powierzchni. Nie widziała szczegółów; leciała zbyt szybko, kręciła się zbyt obłąkańczo.

Wezbrał w niej mdlący strach.

– Złap się czegokolwiek! – wydzieriała się Wilkes. – Cholera!

Ziemia odsuwała się jak pod samolotem, który wleciał nad dolinę.

Nagle zobaczyła coś gigantycznego na horyzoncie. Z początku wyglądało jak łańcuch górski, wyniesienie gruntu z powtykanymi bezlistnymi pniami drzew, brutalnie zrąbanymi jakimś tępym narzędziem. Jakby ktoś wyrznął rzadki las sekwoi.

W następnej chwili przemknęła nad tymi drzewami i ujrzała potężną przepaść, jak Wielki Kanion, pod swoim pikującym biotem, a może obok. A w tym przerażającym, ciemnym kanionie stały potężne bloki z nierównego, perłowego...

– Mijam jego usta! – zawołała.

I uderzyła w coś, czego nawet nie zauważyła. Niesamowicie wysokie drzewo. Wyrastało z łuszczącego się podłoża, wznosiło się wysoko, wysoko, a potem skręcało gdzieś – nie wiedziała, czy

w dół, czy naprzód.

Biot odbił się od tego drzewa i teraz leciał przez cały ich las, między niemożliwie wysokimi pniami palm. Jeden z nich pędził prosto na nią, więc wykręciła się, wyciągnęła sześć odnóży, uderzyła w przeszkodę – ze zdumiewająco słabym impetem – i chwyciła się mocno.

W makro sapała, niemal zgięta wpół przez mdłości wywołane wrażeniem, że spada całe kilometry.

– Jestem w... jakby między drzewami.

– Krótkimi ściętymi pniakami czy wielkimi i długimi?

– Wielkimi i długimi! – Krzyczała bez powodu. Wilkes, Keats i Ofelia stali przecież tuż przy niej. – Są różowe.

– To tylko barwny retusz. Jeśli o tym pomyślisz, możesz zmienić kolor. – Wilkes wyrzuciła z siebie swoje he-he-he i dodała: – Ale może następnym razem. Najpierw doprowadźmy cię tam, gdzie powinnaś być.

– Trzymam się tego drzewa. Na ziemi leży pełno jakby suchych liści.

– Martwe komórki skóry. Niektórym przypominają suche liście. Innym pociętą teksturę. Ale to bez znaczenia. Siedzisz w tej głupiej pseudobródce swojego chłopaka. Bez urazy, Keats.

Keats odruchowo pogładził rzadkie włosy na

podbródka.

– Ciemno! – wrzasnęła Plath. – Przestań – szczerknęła do Keatsa.

– Okej, no cóż, tego się nie spodziewaliśmy – powiedziała Wilkes. – Będziemy potrzebować jakiejś kawy, herbaty czy czego tam chcesz.

– Kawy?

– Tak, kotku, czeka cię długi marsz. Po podbródka, wokół ust, obok nozdrzy, bo do środka nie chcesz wchodzić, aż spotkamy się przy oku. Nie pójdzie ci szybko, więc pewnie minie z pół godziny, zanim przejdziemy do oczopłasu. – Wilkes czekała, szczerząc się radośnie. Ale jak zobaczyła, że Plath tylko gapi się na nią i nic nie rozumie, dodała: – Oczopłas. Płasanie po oku. Kumasz? – Westchnęła. – Jesteśmy BZRK, ale to nie znaczy, że nie możemy mieć poczucia humoru.

Więc popijały kawę.

Keats i Ofelia też się napili.

Od czasu do czasu Keats spoglądał na Plath jak na jakiegoś potwora. Był w jej wnętrzu. Ofelia wprowadziła go przez jej oko do mózgu.

Od czasu do czasu Plath spoglądała na Keatsa, żeby się upewnić, że to naprawdę ciągle jest istota ludzka.

W pewnej chwili Wilkes wzięła potężną lupę i obejrzała twarz chłopaka. Światło, którego użyła, było jak słońce, które przebija się przez dziurę w

chmurach.

– A, tu jesteś. Ty albo zabłąkane roztocze. Nie, to ty. Tuż pod jego lewym okiem.

Plath słyszała o nużeńcach. Ostrzegano ją przed nimi. Ale i tak wrzasnęła.

To jakiś koszmarny krokodyl skrzyżowany z dinozaurem, mniejszy od niej, ale i tak za duży. Długi, zwęzał się od przedniego końca, z którego sterczało sześć odnóży, krótkich, bardziej przypominających wiosła niż nogi.

Wstrzymała oddech.

A potem znów zaczęła oddychać, zbyt głęboko, zbyt szybko. Nużeniec się poruszał. Zdawało się, że maleńki owadzi pysk jej szuka.

Cofnęła się gwałtownie.

– Czy on na pewno nie... bo wygląda jak... – Nie dopowiedziała, ponieważ nie przypominał niczego, co do tej pory widziała czy doświadczyła. To żywa istota, która przemieszcza się za pomocą niedorozwiniętych, nieskutecznych nóg.

Teraz przeżuwała suchy liść. Nie, martwą komórkę naskórka.

Wcinała ją z zadowoleniem.

A jednak nie sposób nie wyobrazić sobie tego stwora jako drapieżnika. Jako gada, monstrum z innej planety.

Był zbyt mały dla nieuzbrojonego ludzkiego oka. Zbyt mały nawet dla lupy, mniejszy niż drobinka

kurzu, mniejszy niż jej biot.

Ale sam rozmiar nie uspokajał. Dziki odyniec jest mały, wściekły pies jest mały.

– Ooch, słodziak, co?

Usłyszała głos Wilkes i zrozumiała, że ta laska jakimś cudem widzi to co ona. A to mogło oznaczać tylko...

Biot Plath uniósł oczy i ujrzał istotę o wiele bardziej przerażającą niż nużeniec.

Górowała nad pożerającym skórę monstrem. Ostro zakończone czułki na gładkiej zielonej głowie. Długi, wąski tułów z trzema wysokimi nogami po każdej stronie. Głowę zdobiło dwoje złożonych oczu, przylepionych z boku, jak obwarzanki księżniczki Lei.

W miejscu, gdzie powinny być usta, znajdowała się jakby trąbka czy rurka, pusta w środku, z czymś kleistym kapiącym z końca, jak u człowieka z potężnym katarem.

Ramiona jak u modliszki. Niebezpieczne i potężne. Kończyły się małymi, asymetrycznymi szczypcami z krótszym i dłuższym „palcem”.

Ale oczy...

Ludzkie oczy rozsmarowane na tej owadziej twarzy gapiły się bezdusznie spod fasetkowatych oczu insekta. To one unicestwiły staranną samokontrolę Plath i kazały jej krzyczeć.

I krzyczeć.

I nagle dłoń na jej ramieniu. Nizyński stojący za jej plecami.

Spojrzał na Wilkes.

– Widzi cię?

Dziewczyna kiwnęła głową.

– Powinnaś ją ostrzec.

– Mój biot też tak wygląda? – wysapała Plath. – Ma... ma moje oczy?

Wilkes wyszczerzyła zęby.

– Strzeż się, Plath – powiedziała drwiąco; nie żartobliwie jak przedtem, ale z nutą agresji i gniewu.

– Bebechy to dziwny świat. A najdziwniejsza rzecz w tym świecie to my.

– To nie byłem ja – powiedział Burnowski; to pierwsze słowa, jakie wyszły z jego ust, kiedy zobaczył Bug Mana. Złapał go i wciągnął do pokoju na uboczu, poza zasięg wzroku i słuchu innych. Spojrzał mu w oczy. – Nie lubię cię, Anthony, ale to nie ja.

Śmierdział wódką. Źrenice miał wielkości szpilek. Więc i pijany, i naćpany. Wstrętny stary pierdziel.

– Mały, dla Bliźniaków to nie jest gra – wybełkotał.

– A tobie wszystko jedno, dopóki zaopatrują cię w dragi, co?

Burnowski zaśmiał się krótko. Pochylił się, o wiele za blisko.

– Tak. Właśnie. To moja cena. A twoja to

przekonanie, że jesteś wielki. I ta dupa, z którą wracasz do domu co wieczór.

A Jindal? On jest prawdziwym wyznawcą, stuprocentowym stadnym zwierzęciem, frajerem, który nabrał się na Nexus Humanus. A One-Up? Bardziej przypomina ciebie. Leci na ego. Każdy ma swój narkotyk.

– A Dwugłowiec? Oni pewnie są dilerami.

– Widzisz, nie jesteś głupi – stwierdził Burnowski.

Bug Mana bolały nogi z tyłu. Siniaki sprawiały, że z trudem chodził bez kuśtykania. Płakał po raz pierwszy od... jak dawna? Od dawna. Och, płakał, i to jak. Anthony Elder ryczał w poduszkę i kazał Jessice trzymać się z daleka.

Położyli go jak jakiegoś gówniarza i sprali mu tyłek.

Teraz przyszedł tu planować przejęcie najważniejszego celu na świecie. Ostatnia odprawa. Ostatnie instrukcje. I zamiast dostawać to, co mu się należy, zamiast wejść tu dumny jak cholerny paw, całowany przez wszystkich po dupie, musiał kuśtykać jak kaleka.

– Od tej pory masz tylko dwie drogi, Anthony – ciągnął Burnowski. – Zbuntować się albo być najlepszym.

– Co ty pieprzysz?

– Możesz zwrócić się przeciwko nim. Albo

pokazać, ile naprawdę jesteś wart.

– Zbuntować się? Chciałbyś, co? Wtedy zbiry z AmericaStrong naprawdę by mnie sponiewierały. Może nawet zabiły.

– Żadne może, Anthony.

Powiedział to z takim przekonaniem, że Bug Man cofnął się o krok. To była prawda. Dostrzegł ją w kaprawych oczach starego. Bliźniacy starliby go na proch. I Burnowski miał co do tego absolutną pewność.

Bo.

Bo już to widział.

– Kogo kropnęli? – zaczął naciskać. – Ktoś im się postawił? Kto? Powiedz mi. Powiedz kto.

– Była tak dobra jak ty.

– Kto? Jaka ona?

– Nasz talent jest rodzinny, Anthony. Ta dziewczyna, Carla... taak, paskudne imię dla dziewczyny. Dostała je po ojcu.

Burnowski – blady, zarośnięty – wyglądał niemal jak widmo. I w tej chwili, kiedy twarz naukowca była tak blisko, kiedy Anthony'ego owiewał smród przesyconego wodą potu, kiedy te źrenice jak szpilki wwiercały się w niego – tak, w tej chwili Bug Man przypomniał sobie, że Burnowski ma na imię Karl.

– Postawiła im się, kiedy zrozumiała, co się dzieje, o co tak naprawdę idzie gra. – Z oczu starego

pijaka płynęły łzy. Była mniej więcej w twoim wieku. Jak większość tikerów.

Dzieciak wychowany na grach. Kazali jej zasiać jakąś jadowitą bakterię. Bo widzisz, Bliźniacy na kogoś się obrazili. Na niejaką Heidi Zulle, psychiatrzcę. Słyszałeś plotki o Statku Lalek?

– To był jakiś... – Bug Man nie znał nawet odpowiedniego słowa.

– Pływający dom horrorów, a Zulle nadzorowała tam stosowanie leków i tak zwaną terapię, żeby utrzymać ofiary w ryzach. Zmieniła front, jakimś dziwnym przypadkiem zaraz po tym, jak Bliźniacy kazali ją... no cóż, powiem tylko, że zrobili jej coś dużo gorszego niż tobie, mały. Próbowwała zdradzić lokalizację Statku Lalek agentowi wywiadu. Nie udało jej się, a potem uciekła, więc baj baj, Heidi Zulle.

– Bliźniacy ją zlikwidowali?

– Kazali Carli wykonać to zadanie. Ale nie powiedzieli jej, co robi, co tak naprawdę dostarcza. Ja też przy tym byłem i nie wiedziałem. Cały worek bakterii rozkładających ciało.

No i... Carla wymiękła.

– Chryste.

– Myślisz, że widziałeś najgorsze gówno w bebeczach, Bug Man? Nigdy nie widziałeś czegoś takiego ani niczego zbliżonego. – Burnowski zadrzał.
– Carla pracowała jako tikerka. Jak ty.

Ale ona, Anthony, ciągle jeszcze była człowiekiem. W odróżnieniu od ciebie. Ty nawet nie wiesz, ile ludzi zginęło na stadionie, co? To nie ma dla ciebie znaczenia, bo jesteś bezdusznym, amoralnym gnojkiem. Ciebie obchodzi tylko to, że dostałeś po tyłku.

Prawda zaświtała Bug Manowi. Prawda na temat tego, co mówił mu Burnowski. I dlaczego to robił.

– Oni chcieli, żebyś mi to powiedział – wymamrotał łamiącym się głosem. – Ty mi grozisz.

Naukowiec roześmiał się z zadowoleniem.

– Tak jak wspomniałem, bystry z ciebie dzieciak.

– Zabili ci córkę, a ty ciągle jesteś ich dziwką?

– Każdy kiedyś umiera. Niektórzy umierają, orząc z bólu własne oczy pazurami, kiedy bakterie wyżerają im mózgi od środka. Inni... inni odchodzą szczęśliwi, unosząc się na falach łagodnej, ciepłej przyjemności. Carla miała tę drugą śmierć.

To była moja cena. Właśnie to kupił dla niej kochający ojciec.

– I ty mi walisz wykład o śmierci. Powinieneś sam się zabić, staruchu. Powinieneś zabić siebie.

– A dlaczego myślisz, że tego nie robię? – spytał głucho Burnowski.

Patrzyli sobie w oczy, aż Bug Man nie mógł już tego wytrzymać.

– No dobrze. Zdaje się, że miałeś się stawić na odprawie, Anthony.

19

Na ekranie widniała tabela. Jej górną krawędź tworzyło pięć krutek z nazwiskami: Morales, Tśai, Hayashi, Bowen i Chauksey.

Bug Man wiedział, że to kolejno przywódcy Stanów Zjednoczonych, Chin, Japonii, Wielkiej Brytanii i Indii.

Jego pierwsza myśl: Bliźniacy trochę spuścili z tonu. Brakowało Niemiec, Francji i Korei Południowej. To trochę go zaniepokoiło, bo pierwotny plan zakładał, że opanują głowy wszystkich państw, które mają rozwiniętą nanotechnologię. To był krok wstecz. Krok wstecz oznaczał brak pewności siebie, a brak pewności siebie u innych budził niepewność w Bug Manie.

Helen Falkenhym Morales. Prezydent Stanów Zjednoczonych.

Pod kratką z jej nazwiskiem widniała rozpisana linia ataku. Ścieżka. Trudność zawsze polegała na tym, żeby dojść z punktu A do punktu Z. Na szczęście liter nie było aż tak dużo. Punkt A to wicedyrektor FBI – sam z siebie cenny nabytek. Litera B: agent Secret Service, co prawda nie należał do ochrony prezydenckiej, ale przyjaźnił się z tym gościem z FBI.

Raz na tydzień grali w squasha.

Łatwy transfer.

Z kolei B prowadził do C, jego mentorki z Secret Service, która już z całą pewnością była członkiem ochrony prezydenckiej i miała być z panią prezydent w Nowym Jorku.

Sama C mogła wystarczyć. Niewykluczone, że w jakiejś chwili wejdzie w fizyczny kontakt z PeEsZet. Ale pewniejsza ścieżka prowadziła od C do D.

D – osobista asystentka pani prezydent. Nazywała się Liz Law, i samo to nazwisko powinno z niej zrobić jakąś superbohaterkę. Ona pierwsza widziała się z Morales każdego ranka i ostatnia żegnała ją wieczorem.

Dosięgnąć Liz Law oznaczało dosięgnąć prezydent. Kropka.

A, B, C, D.

E.

Cztery skoki.

Niektórzy mieli trudniej. Ścieżka do przewodniczącego ChRL składała się z siedmiu etapów. Niektórzy mieli łatwiej.

Ścieżka do brytyjskiego premiera to tylko trzy. Ktoś szybko zastąpił na tej ścieżce nieżyjącą Liselotte Osborne.

Bug Man zamrugnął, oderwał oczy od tabeli i rozejrzał się po sali. Szczegóły omówi Jindal. Teraz stał w gotowości i nerwowo kręcił w dłoni laserowy

wskaźnik.

Wokół stołu siedzieli główni tikerzy.

Kim. Klasyczny przypadek zespołu Aspergera. Chudy Koreańczyk, na oko dwanaście lat, w rzeczywistości pewnie z siedemnaście. Zwykle unikał kontaktu wzrokowego.

I wszelkiego kontaktu fizycznego. I od czasu do czasu przerywał rozmowę jakąś uwagą totalnie od czapy. Dobry tiker, metodyczny, ostrożny.

Dietrich. Może ze dwadzieścia pięć lat – Niemiec z włosami tak cienkimi i lekkimi, że fruwały mu przy najmniejszym

ruchu i tworzyły wokół głowy rzadniejącą, jasną aureolę. Za plecami ludzie nazywali go Riff-Raff na cześć lokaja z *Rocky Horror Picture Show*. Prawdziwy wyznawca Bliźniaków Armstrongów. Wypił do dna przesłodzoną ideologię Nexus Humanus i wylizał dno szklanki. Jako tiker zaledwie dostateczny i Bug Man wolałby nie korzystać z pomocy Dietricha, gdyby ktoś musiał go osłaniać w bebeczach.

Alferdo. Ten miał potencjał. Pochodził z jakiejś maciupkiej wyspy na środku oceanu. Z jakichś Azorów, gdziekolwiek to jest. Jego rodzina hodowała byki do ulicznych gonitw, które tam urządzano. Wyrobił sobie markę w grach online, gdzie przeważnie osiągał najwyższy poziom w czasie o połowę krótszym niż wszyscy inni. Całkiem niezły

tiker, ale wybuchowy, potrafił totalnie stracić panowanie nad sobą, kiedy ktoś go wkurzył.

No i One-Up. Biała szesnastolatka z przedmieścia w Oklahomie. Mogła być piękna, ale amfa zniszczyła jej zęby. A jak dziewczyna przeszła już odwyk, sprawiła sobie fatalne licówki. Miała przez nie uderzający, zbyt biały uśmiech rekina.

One-Up – twarda, nieustraszona i niebezpieczna. Całą miłość i energię, jaką poświęcała kiedyś na zdobywanie metamfetaminy do palenia i na handel, teraz poświęcała grze. Była dziwna, z tendencją do obsesji, chuda jak szkolny kościotrup i prawdopodobnie klinicznie niepoczytalna. Ale Bug Man walczył raz u jej boku przeciwko Keruacowi i jeszcze komuś, kogo nie znali, i co? A to, że dziewczyna umiała grać. Teraz, po nowym rozdaniu, kiedy Burnowskiemu zabrano PeEsZet, przejęła Bowena.

209

W pokoju była jeszcze jedna osoba. Siedziała w kącie, ubrana w spodnie khaki i różową bawełnianą bluzkę. Miała jasne włosy – trochę sztywne – nogę założoną na nogę, ręce na poręczach krzesła. Biała kobieta z małym, zadartym nosem i orlimi brwiami. Sugar Lebowski, dyrektor wykonawcza AmericaStrong, filii AFGC zatrudniającej bandziorów. Niektórzy nazywali ją Big Lebowski, ale jaki tam z niej luzak.

Nie była przy tym, jak Bug Man dostawał łomot. Ale to ona wydała rozkaz i wybrała ludzi, i uśmiechała się tymi swoimi pełnymi, uszmińkowanymi ustami, kiedy składali jej raport, jak poszło.

Bug Man kiwnął głową One-Up, pozostałych zignorował.

Skrepowany usiadł u szczytu stołu; Burnowski zajął drugi szczyt (albo sam dół).

Kim miał Hinduskę, Alfredo Japończyka, Burnowskiemu przypadł w udziale Chińczyk, a Dietrich, któremu wcześniej przydzielono Niemca, teraz przygotowywał się do roli zapchajdziury za każdego, kto by się rozchorował czy zawiódł.

Siedzenie bolało niemiłosiernie. Siniaki piekły i paliły.

Mięśnie drgały.

Jindał zaczął omawiać akcję, używając swojego laserowego wskaźnika. Bug Man słuchał połową mózgu, i zaczął się coraz bardziej wkurzać. Sprawy nie przedstawiały się całkiem tak, jak wyglądały na początku. Owszem, PeEsZet wydawała się trochę ważniejszym celem niż przewodniczący ChRL, ale ścieżka do tego Chińczyka miała siedem etapów. Więc choć Bliźniacy dali Bug Manowi zaszczyt opanowania głównego celu, Burnowskiemu powierzyli trudniejsze zadanie, przynajmniej pod względem nawigowania po ścieżce dostępu.

Jindal rozpoczął odprawę. Wszystko brzmiało bardzo oficjalnie, bardzo w stylu Departamentu Obrony. Ale wśród słuchaczy nie zasiadali pułkownicy i generałowie. One-Up tłukła w jakąś grę w telefonie. Dietrich był o wiele za bardzo napalony. Alfredo chyba sprawdzał wiadomości na Facebooku.

Burnowski wyglądał, jakby miał zaraz zasnąć – co chwilę drzemał, otrząsał się.

Bug Man grał swoją rolę. Z wielkim skupieniem wpatrywał się w Jindalą. Ale myślał o bólu nóg. I o tym, co powiedział mu Burnowski. Czy to było ostrzeżenie? Tak. Ale jakie ostrzeżenie? Burnowski próbował nim manipulować, ale po co?

Czego właściwie chce ten facet? Żeby Bug Man zabawił się w buntownika i skończył martwy jak jego córka?

Pod tymi wszystkimi rozważaniami kryły się zranione uczucia. Upokorzenie. Bug Man zastanawiał się, ile osób przy tym stole wie, że Bliźniacy spuścili mu lanie.

Czy to całe towarzystwo potajemnie uśmiechało się drwiąco, wyobrażając sobie, jak płakał? Pierwsze, które krzywo na niego spojrzy...

Pora pokazać, gdzie ich miejsce. Pora przypomnieć, z kim mają do czynienia.

– Skończyłeś gadać, Jindal?

Jindal przerwał w pół zdania, zawahał się i ostatecznie postanowił powiedzieć:

– Skończyłem.

– No dobrze – podjął Bug Man. – Wszyscy już słyszeli, że niewiele brakowało, żebym załatwił Vincenta. Nie udało mi się wyłącznie z powodu zamieszania w makro. – Spojrzał na ich groźnie, wyzywająco: niech no który ośmieli się zaprzeczyć. One-Up może odrobinę się uśmiechnęła. Może. W końcu, z wysiłkiem, Bug Man zmusił się, by spojrzeć w oczy Sugar Lebowski. – No właśnie. Zgadza się, Sugar, ktoś spieprzył sprawę w makro. – Buntowniczo wypluł w nią te słowa.

Popatrzyła na niego, jakby miała przed sobą któregoś ze swoich trzech eksmężów (przynajmniej plotka głosiła, że było ich trzech).

– Wygląda na to, że żaden z chłopców Sugar nie potrafi sobie dać rady Człowiekowi w Cylindrze, likwidatorowi z BZRK.

Zacznie się kłócić?

Nie. Nie kłóciła się. Bo w ostatecznym rozrachunku ona była do zastąpienia. A ludzie w tej sali – szczególnie Bug Man – byli niezastąpieni. Na świecie jest pełno zabijaków. Ale świetnych tikerów?

– Rzecz w tym – dodał łaskawie Bug Man – że pewnie i tak zdołałbym zabić Vincenta. Dorwałem go. Ale nie byłem skoncentrowany. Nie panowałem nad grą, jasne?

Tak, patrzyli na niego z szacunkiem. O tak. Wszyscy z wyjątkiem Burnowskiego, bo ten

wiedział, co się zdarzyło naprawdę. I Sugar, której twarz ciemniała coraz bardziej, przybierając barwę gniewnej czerwieni.

No cóż, starego załatwi czas; czas i opium albo woda.

A może któregoś dnia Bug Man zniszczy go osobiście. A Sugar? Któregoś pięknego dnia dostanie się do jej głowy i ją okabluje. Może każe jej myśleć, że wszystko ją swędzi w dzień i w nocy. Każe jej podrzeć własną skórę na strzępy.

Bug Man stał, bo nogi bolały go tak bardzo, że nie mógł już dłużej siedzieć na tym krześle z marną tapicerką. Zgromadzeni patrzyli na niego, nawet Burnowski, który wydawał się sennie ubawiony.

– Wszyscy wyrosliśmy na grach, prawda? Na wszelkich możliwych rodzajach. Aż w końcu dano nam możliwość zagrania w najlepszą grę. Czy ktoś z obecnych grał w coś choć w połowie tak fajnego jak tiking? Pamiętacie jakieś środowisko choć w połowie tak zajebiste jak bebechy?

Zaprzeczenia ruchem głowy, trochę osłabione przez obojętność i brak skupienia – ale większej uwagi nie można było się spodziewać po tej publiczności.

– Ktoś mi powiedział, że muszę przestać myśleć o tym, co widzimy na tej tablicy, jako o grze. Ze teraz to poważna sprawa, ciężki kaliber. Real. – Spojrzał wprost na Burnowskiego, nie pozostawiając

wątpliwości, o kim mówi. – No więc, to bzdura. Wyrośliśmy na grach. I wygrywamy, bo pamiętamy, że to gra. Co się dzieje w makro? A kogo to obchodzi, dopóki nie przeszkadza nam w grze? – Wskazał tablicę. – Widzicie to?

To plan gry. Gry, bracia i siostry. To tylko gra. – Zrobił teatralną pauzę dla efektu. – Ale cholernie trudna gra. I my ją wygramy.

Plath myła się bardzo starannie. Myjką i kostką mydła.

Stała przy umywalce w wąskiej, nieprzyjemnej łazience – taką przydzielono jej i Keatsowi.

Oczy patrzące na nią w lustrze roiły się od robactwa.

Kule roślinnych pyłków, kolorowych jak skittles, i upiornie zielone grzyby oblepiały włosy, które wyrastały z poszycia pełnego opadłych liści – martwego naskórka.

Wiedziała, bo widziała to wszystko na nim. Na jego twarzy, na jego ustach, w jego oczach. Widziała go takim, jaki jest naprawdę, i wiedziała, że on widzi ją tak samo.

W makro mógł sobie mieć twardą, gładką klatę i mocne barki. W makro mogła sobie wyobrazić, że dotyka go w tych miejscach. W makro mogła sobie wyobrazić, że całuje te usta, które w nano wyglądały jak zbrązowiały ze starości pergamin, jak ściana pożółkłego...

Zadrżała i zamknęła oczy, mocno zacisnęła powieki. Och, super, czas odwiedzin dla nużeńców.

– Aaaaacch! – krzyknęła i zaczęła się trzeć myjką. Tarła rzęsy, tarła twarz. Wolała nawet nie myśleć o całej reszcie siebie, bo Bóg jeden wie, jakie potwory pełzają i płasają po pozostałych hektarach jej ciała pokrytego martwą ściółką.

Myśl o sobie jak o ekosystemie.

Jesteś lasem deszczowym.

Jesteś środowiskiem. Światem. Planetą zamieszkaną przez formy życia bardziej obce niż cokolwiek stworzonego przez science fiction.

Rzuciła myjkę i musiała siłą powstrzymać impuls, który kazał jej obdrapać paznokciami każdy centymetr skóry.

To by nie pomogło. To zrodziłoby tylko jakiś nowy koszmar, powyrywałoby drzewa z korzeniami, zrolowało martwą skórę w kluski, odsłoniłoby krwawą tkankę pod naskórkiem, sprowokowałoby napływ limfocytów. Nadciągałyby, żeby odciąć strefę skażenia, w której mnożyłyby się bakterie i wirusy – te ostatnie na szczęście były zbyt małe, żeby dostrzec je nawet w nano – i pędziłyby, żeby wcisnąć się do jej wnętrza, rozleźć po krwiobiegu i zezreć ją żywcem.

Dyszała. Trzymała się obiema dłońmi umywalki, aż zaczęła się zastanawiać, co, do diabła, żyje w tej łazienkowej misie.

Jak wyglądałaby z bliska ta popękana porcelana?

Ewakuowali jej biota i umieścili z powrotem w chłodziarce. Ale wciąż go czuła. Wciąż czuła obydwu. W jej polu widzenia otwierały się maleńkie okna i widziała zaspane bioty.

Ledwie się poruszały, spowolnione przez zimno, na różowej równinie sterylnej pożywki.

Zwymiotowałyby, ale na myśl o tym, co wyszłoby z jej ust...

Wyszła z łazienki, roztrzęsiona, z mętlikiem w głowie, wciągana we wspomnienia, w rzeczywistość, od której nie mogła uciec.

Otworzyła drzwi swojego pokoju. Swojej celi.

Usiadła na brzegu łóżka i wtedy nadciągnęły łzy. Chciałaby móc płakać i nie myśleć o gigantycznych wodospadach zalewających nużeńce, o kroplach, co na moment odświeżają martwą skórę, zmywają grzyby i pyłki, i bakterie, i...

– Po prostu płacz, co cholery! – nakazała sobie.

Chciała płakać nad tym żalnym pokojem.

Płakać nad pułapką, w którą wdepnęła.

Płakać nad utratą prostoty, utratą prostej myśli, że oczy chłopaka są niebieskie, bo odbija się w nich niebo, a nie bezbarwne i głębokie na milion kilometrów, z czarnym tunelem okolonym kurczącymi się włóknami i...

– Przestań! – Nagle dała sobie w twarz. Mocno. Fakt, że zabolalo, niemal ją zaskoczył. Gigantyczna

dłoń z jej orną ziemią i przejrzystymi koralikami potu przeleciała przez powietrze i wylądowała na policzku, i efektem było pieczenie.

Wrażenia zmysłowe śmigają przez zakończenia nerwów, błysk-błysk-błysk, i nagle – halo, mózg mówi, że ktoś dał nam w twarz.

Pukanie. Do drzwi.

Wiedziała, że to on. Nie chciała go widzieć. Ale nie mogła powiedzieć „nie”. Jak można powiedzieć „nie” komuś, kto cały dzień łaził po fałdach twojego mózgu?

Otworzyła drzwi. Nie próbowała ukryć tego, że płakała.

A on nie próbował ukryć tego, że widział rzeczy, których już nigdy nie zdoła wyrzucić z pamięci. Oczywiście miał zbyt szeroko otwarte, usta zbyt zszokowane. Minęły godziny, a on wciąż wyglądał jak bohater horroru, który ledwie uszedł z życiem.

Przez chwilę oboje jakby nie pamiętali, że potrafią się posługiwać mową. Dzielili się swoją traumą spojrzeniem.

I nagle w Plath wstąpiło coś, czemu po prostu nie potrafiła się oprzeć: chwyciła jego głowę i przyciągnęła go do siebie.

Pergaminowe usta na pergaminowych ustach. Zaciśnięte powieki. Z całej siły. Oddychanie sobie w twarz. Kto wie, jakie maskary siedziały na językach, które odnalazły się w jaskini ust –

ogromnej, ciemnej pieczarze strzeżonej zębami jak nagrobki.

I na chwilę, mierzoną zaledwie sekundami, oboje zapomnieli.

Ich serca przyspieszyły. Krew gwałtownie popłynęła arteriami, docierając w miejsca, które mogły jej potrzebować. Naprężyły się przepony. Wezbrały hormony. Palce zanurzyły się we włosach i wcale nie zważały na roztocza z lasów doktora Seussa.

Na tych kilka sekund zapomnieli.

I nagle, wstrząśnięci, oderwali się od siebie.

Stali teraz o krok jedno od drugiego. Dyszeli. Gapili się na siebie. Zdumieni. Ciała wciąż mówiły im, żeby zrobić ten krok, znów zamknąć lukę, oplatać się ramionami, dotykać, głaskać, smakować, sztywnieć i się otwierać.

Wciąż nie odezwali się słowem. Sytuacja przerastała słowa; one tylko zaciemniłyby to, co w tej chwili oboje wiedzieli.

Znaleźli sposób, żeby oderwać się od horroru, przynajmniej na jakiś czas. Na kilka sekund. A może dałoby się je rozciągnąć w minuty?

Wreszcie Plath pierwsza przerwała milczenie, kiedy jej serce wróciło do z grubsza normalnego, ludzkiego rytmu.

– Jak mamy to zrobić?

Mógł rzucić jakiś świński żart, ale to nie w stylu

Keatsa.

Nie, on nie z takich. On nie przegapiłby gigantycznej, przerażającej prawdy, ani nie ukrywałby jej za unikami.

– Byłem w twoim mózgu – powiedział. – Ale ciągle cię nie znam. I nagle jesteśmy tu, we dwoje.

– Nagle jesteś wszystkim, co mam – dodała Plath. – Moją rodziną. Całym życiem. I jesteśmy tutaj.

– Kim jesteśmy dla siebie?

Wzruszyła ramionami. Pokręciła głową i tym gestem zerwała kontakt wzrokowy. Usiadła z powrotem na łóżku. Keats nadal stał.

– Pewnie nie powinnam ci tego mówić, ale teraz mam to gdzieś. Moja cała rodzina nie żyje. Mama umarła zwyczajnie, na raka. Ale tata i starszy brat zostali zamordowani. Przez nich. Przez drugą stronę.

Skinął głową.

– Domyśliłem się. Domyśliłem się, kim jesteś. I chyba nawet znam twoje prawdziwe imię, słyszałem w telewizji. Ale i tak będę cię nazywał Plath. Żeby tamto mi się nie wymknęło niechcący.

Popatrzyła na niego. Oczy miała suche. Koniec lekcji pływania dla nużeńców. Łzy wsiąkały w suche ciało i parowały w suchym powietrzu.

– To reakcja na traumę – stwierdziła. – To, co przed chwilą zaszło między nami.

– Zostaliśmy wyrwani z rzeczywistości. Z

domów... ta przemoc... wszędzie krew, totalne przerażenie. I jeszcze to.

Te robaki w mojej głowie, ciągle je czuję, nawet kiedy niby śpią, wiem, że tam są.

Skinęła głową.

– A Jin mówi, że już tak zostanie, że od tej pory zawsze będą w naszych myślach.

– Nasze małe sześciorogie dzieci – zakpiła gorzko Plath.

To wyrwało z jego gardła zupełnie niespodziewany śmiech.

Odpowiedziała uśmiechem.

– Jeśli umrą, zwariujemy – powiedział. – Może... Może nie powinienem ci mówić, ale ja też mam to gdzieś. Mój starszy brat siedzi w tej chwili na oddziale zamkniętym. Skuty. I szaleje.

Plath zmrużyła oczy.

– Brał w tym udział?

– Podobno był bardzo dobry. Wyobrażam sobie. On był tym silnym. Tym odważnym. A ja... – Urwał, westchnął i usiadł obok niej.

Ich ramiona się dotykały. Nic poza tym, ale tak strasznie chciała oprzeć o niego głowę. O tego chłopaka, którego właściwie nie zna.

– Nie jestem wrażliwa – wyznała Plath.

– Każdy jest wrażliwy. Widziałem to z bliska.

– Rzadko się zaprzyjaźniam – ciągnęła. – Chyba trochę jestem suką.

Uśmiechnął się i spuścił głowę. Bezskutecznie próbował ukryć przed nią ten uśmiech.

– Może to nie takie złe, kiedy tkwisz wśród tych ludzi.

W tej sytuacji.

– Posłuchaj. – Patrzyła wprost na niego, aż odwzajemnił jej spojrzenie. Centymetry dzieliły ich usta. – Ja się nie zakochuję. Więc się tego nie spodziewaj.

– A ja się zakochuję. Mam to w sobie, znaczy, zdolność do zakochania się. Nigdy nie byłem zakochany. Ale czuję to w sobie. Więc raczej się tego spodziewaj.

Przypomniała sobie jego usta na swoich i nie wydawały się tylko mokrym od łez pergaminem. Tamto wspomnienie ciągle istniało, ale jakby gdzieś indziej; teraz pojawiło się nowe i bardziej rzeczywiste.

Przysunął się bliżej, a ona mu pozwoliła. Zaskoczył ją, bo jego pocałunek nie był taki jak tamten – niecierpliwy, nabuzowany, tylko czuły i nieskończenie łagodny. Keats odsunął się, choć jeszcze pragnęła go zatrzymać.

Wstał.

– Tu chodzi o to, żeby nie mieć nadziei. Oni chcą, żebyśmy byli skoncentrowani. Pod kontrolą. Może Jin i Vincent i cała reszta to dobrzy ludzie. Może starają się robić to, co słuszne. Ale nie są mną

ani tobą. I nawet jeśli są w stanie wtłoczyć nas w tę swoją wojnę, nie mogą nam mówić, co mamy czuć.

Spojrzała mu w oczy. Kiwnęli głowami, jakby zawierali jakieś święte przymierze, uśmiechnęli się z zażenowaniem i Keats wyszedł.

ARTEFAKT Właśnie zhakowałem komputery szwedzkiego wywiadu. Spodziewane dane ukryte pod blondynkami w saunach, ha. Większość wygląda jak niezaszyfrowane śmieci. Ale było też coś dziwnego. Znalazłem post z zeszłego tygodnia niejakiego TinyTIMP02

na temat nanotechnologii i pomyślałem, że to może być interesujące.

Więc zamieszczam fragment. Został zapisany jako niezaszyfrowany, potem chyba zauważyli i go zaszyfrowali, i usunęli oryginał. Ten fragment przetrwał. Przepuściłem to przez angielsko-szwedzki translator. Źródło to z całą pewnością MUST, Militära underrättelse-och sakerhetstjänsten, i z całą pewnością jest wewnętrzne lufo.

... scenariusz po raz pierwszy przewidziany przez Erica Drexlera, pioniera nanotechnologii. Nanoboty zdolne do samoreplikacji z powodu prostego błędu programowania teoretycznie byłyby w stanie zniszczyć wszelkie życie na Ziemi.

Nanotechnologiczne urządzenia można by programować do usuwania skażeń chemicznych, w tym również organicznych związków takich jak

benzen. Ale benzen zawiera węgiel. Podobnie jak wszystkie żywe istoty. Nawet minimalny błąd programowania

spowodowałby, że nanoboty zaczęły konsumować wszelkie związki węgla.

Problem staje się naprawdę poważny, gdy nanoboty dostają zdolność samoreplikacji. Adam i Ewa nanobotów zreplikowałyby się w ciągu minuty, ich potomstwo zrobiłoby to samo w kolejnej minucie, i tak dalej. W ten sposób populacja nanobotów rosłaby w postępie geometrycznym w oszałamiającym tempie. W ciągu paru godzin byłyby ich miliardy. W ciągu paru dni, biliony – wystarczająco dużo, by pochłonąć cały węgiel na obszarze Szwecji i zabić wszystko co żywe.

W tydzień nanoboty unicestwiłyby wszelkie życie na Ziemi.

Dexler nazywa to zjawisko „gray goo” – „szarą mazią”. Po szwedzku brzmi to równie nieelegancko jak po angielsku. Oczywiście to mało prawdopodobny scenariusz, ale biorąc pod uwagę nasze ostatnie...

Ktoś zainteresowany?

ArmandtheGimp

20

Dla Plath i Keatsa zaczęły się całe dni szkolenia. Dni, kiedy się nie całowali, ale myśleli o tym, i kiedy się nie kochali, ale o tym też myśleli.

Nikogo zbytnio nie zaskoczyło, że chłopak szybciej uczy się posługiwać biotami. Vincent, korzystając ze swoich dwóch nieuszkodzonych biotów, zabierał go w bebechy, by rozgrywać udawane bitwy. Pokazał mu, że grawitacja nie ma znaczenia;

nauczył go, jak unikać reakcji immunologicznej, jak myśleć w trzech wymiarach zamiast dwóch, jak skakać, dźgać, ciąć, nosić broń, a kiedy wszystko inne zawodziło, jak uciekać.

A gdy Vincent już skończył, Keatsa przejęła Ofelia. Zobaczył, na czym polega mozolne zanoszenie teflonowych włókien na miejsce i wplatania ich w kosz otaczający pulsujący tętniak Plath.

Plath nie była cudownym dzieckiem, ale Niżyński przyznał, że jest całkiem niezła, naprawdę całkiem niezła. I w jednej dziedzinie biła Keatsa na głowę* Okazała się urodzoną tkaczką. Z łatwością nauczyła się czytać trójwymiarowe holograficzne mapy mózgu, wbijać sondę i aktywować oddalone od

siebie połączenia pamięciowe. Rozumieć to, co widzi.

Wspomnienia wyświetlały się w jej umyśle jak w kółko odtwarzane filmy albo jak stop-klatki. Czasami jako coś zarazem więcej i mniej niż to: nie obrazowały niczego rzeczywistego, ale jakiegoś potwora albo świętego; pojawiały się w formie świetlistych postaci stworzonych przez sam mózg jako reprezentacja uczuć.

Był też ogólny szablon mózgu, coś w rodzaju mapy przeglądowej, i ona pokazywała, które części pełnią określone funkcje. Plath szybko zapoznała się z ośrodkami wzroku, słuchu, zapachu, dotyku. Wiedziała, gdzie znaleźć punkty zawiadujące dłońmi i stopami, palcami rąk i nóg, ośrodki mowy.

Znajdowały się mniej więcej w tych samych miejscach w każdym ludzkim mózgu.

Ale główne zadanie tkacza polegało na tworzeniu połączeń między częściami mózgu normalnie niepołączonymi.

Tkacz musiał umieć odnaleźć obraz, zapach albo dźwięk, i podłączyć to do wspomnienia, które budzi określone emocje.

Przyjemność. Ból. Strach. Nienawiść. One wszystkie miały swoje lokalizacje w mózgu. Przewód – tak naprawdę włókno o wiele bardziej złożone niż zwykły kabel – wydzielany był, jak u pająka, z pseudotrąbki biota. Impulsy elektryczne, które może

kiedyś powoli znalazłyby drogę od A do B, wędrując po neuronach, przeskakując przez synapsy, teraz śmigały superautostradą przewodu.

– I niby co się stanie, jeśli poczuję gniew za każdym razem, kiedy zobaczę czyjąś twarz? – spytała Plath Niżyńskiego.

– Za pierwszym razem? Niewiele. Ale mózg się adaptuje, dodaje nowe warstwy. Więc jeśli stworzysz połączenie między twarzą a, dajmy na to, pożądanym, mózg zacznie to absorbować. Pierwsze skojarzenie biegnie przewodem, i może sto kolejnych. Ale już po krótkim czasie mózg zbuduje struktury wzmacniające. Zapasowe ścieżki. I niedługo, widząc daną twarz, będziesz też odczuwać pożądanie.

– Umiecie sprawić, żeby ktoś kogoś pragnał.

Niżyński przytaknął.

– Umiemy sprawić, żeby ktoś kogoś pragnał.

– To jest... Nieważne.

– Uważasz, że to jest złe.

– Bo jest.

Skinął głową.

– Owszem. To jest złe. Robimy bardzo złe rzeczy w sprawie, którą uważamy za bardzo dobrą.

– A druga strona?

Skrzywił się, uznając jej logikę.

– Tak, oni myślą dokładnie tak samo. Że czynią zło w dobrej sprawie. A przynajmniej wielu z nich

tak uważa.

– A da się cofnąć to, co robimy?

Zastanawiał się chwilę. Stał z założonymi rękami, doskonale czysty i wyprasowany jak zawsze – jedyny idealnie schludny element w tym żalonym budynku.

– Da się cofnąć część. Właściwie większość, jeśli przystąpi się do działania od razu. Z czasem to wszystko staje się praktycznie nie do odkręcenia. Choć możemy stworzyć całkowicie nowe połączenie i zmienić ścieżkę w mózgu.

– Co robicie Anyi Violet?

Na to pytanie nie był przygotowany, i o to jej chodziło.

Uśmiechnął się do niej z aprobatą. •

– Nie wiem. Anya jest... Hm, Vincent jest za nią odpowiedzialny.

– On pierwszy do niej dotarł, zgadza się? Ale jakimś cudem tamci przewidzieli jego ruch i czekali na niego.

– Nie wydaje nam się, żeby ją okablowali, jeśli o to pytasz. Tylko zainfekowali. Vincent... my wszyscy... staliśmy się nieostrożni.

– W tej chwili ją kabluje, prawda?

– Wracajmy do twojego treningu.

Trenowała więc. Posłała wiadomość Sternowi, szefowi ochrony McLure Industries, że jest bezpieczna, że siedzi w Szwajcarii w ośrodku dla

osób po przejściach, gdzie otrzymuje pomoc psychologiczną w przeżywaniu żałoby.

Czy w to uwierzył? Pewnie nie. Ale ona jest McLure, a Stern powiedział przecież, że zrobi wszystko, o co go poprosi McLure, nawet jeśli to oznaczało udawanie, że wierzy w kłamstwo.

Wiedziała, że przyjdzie dzień, kiedy będzie musiała się spotkać z prawnikami, wysłuchać testamentu i przekonać się, co ojciec zaplanował na tak nieprawdopodobną ewentualność, że Plath... nie, Sadie... zostanie sama na świecie.

Ale oczywiście Vincent miał już plan, jak to załatwić.

– Teraz nie czas się o to martwić – powiedział jej. – Czeka nas najważniejsza bitwa w tej wojnie. Tamtej nocy się wywinęliśmy, dzięki Kaliguli i Wilkes. I wiemy, co zamierza druga strona. Trzeba temu stawić czoło. Trzeba ich powstrzymać.

Potem zajmiemy się twoją przyszłością.

– Nie podoba mi się, że traktujecie mnie jak kawałek jakiejś wielkiej układanki, której nawet nie wolno mi zobaczyć w całości – oburzyła się Plath. – Nie jestem głupią laską, którą lepiej trzymać w nieświadomości.

– Nikt nie uważa cię za głupią laskę – odparł Vincent z powagą i szczerością, jak to on. – Ale każde z nas ma tylko część informacji. Stawiamy blokady, żeby ograniczyć straty, w razie gdyby

porwali, złamali czy zdołali przekabacić kogoś z nas.

– Wyjaśnij mi tylko jedno. My to nie wszyscy, prawda?

BZRK to nie tylko ty i Jin, Ofelia, Wilkes, ja i Keats. To nie sześć osób, tak? No, siedem, jeśli liczyć Kaligulę. Bo jeśli tak, to naprawdę jestem idiotką.

Vincent skinął głową. Potraktował to pytanie poważnie.

– Nie, to nie tylko my. Są ludzie nad nami. Lear. I są inne komórki. W różnych miejscach. Niektóre zjawią się niedługo, żeby pomóc nam w tej bitwie.

To dodało Plath otuchy. Przynajmniej trochę. I tej nocy spała lepiej. Okej, powiedziała sobie, zanim zasnęła, nie tkwimy w tym sami. Nie jestem jedną z siódemki wariatów. Jestem jedną z być może setek wariatów.

Żałowała, że nie ma z nią Keatsa; mogłaby go tym rozśmieszyć. I przez chwilę leżała w łóżku i wyobrażała go sobie, oddzielonego jedynie cienką ścianą. Zastanawiała się, co on robi. Co sobie myśli. Ciekawe, czy kiedy widzi ją w duchu, widzi też pulsujący tętniak głęboko w jej mózgu i czuje litość i obrzydzenie.

Czy może myśli o jej ustach, takich jak w makro, o różowych, miękkich wargach, a nie o mikrowizji herbacianego pergaminu.

Ciekawe, czy zapamiętał kolor jej oczu. Ona

wiedziała, jakie są jego. Nawet kiedy już poznała prawdę w nano, widziała jego oczy jako niebieskie, niebieskie, niebieskie.

W całym swoim życiu Sadie nigdy nie myślała tyle o żadnym chłopaku. Właściwie nawet gdyby zsumować wszystkich chłopaków, o których kiedykolwiek myślała, i tak wyszłoby tego mniej niż jeden wieczór myślenia o Keatsie.

Kiedy to zanalizowała, wydało jej się trochę bez sensu.

Keats absolutnie nie był najprzystojniejszy. Chodziła z paroma niesamowicie atrakcyjnymi chłopakami. A mimo to, kiedy ich wspominała, kiedy przewijała ich w myślach jak na playliście w iTunes, nie chciała żadnego z nich tu i teraz. Nie chciała, żeby któryś z nich zapukał do drzwi. Chciała, żeby zapukał Keats, teraz, w tej chwili.

225

Masz sieczkę w głowie, powiedziała do siebie. Przeszłaś piekło. Straciłaś ojca i brata i sama o mało nie umarłaś. Patrzyłaś, jak palą się ludzie. Byłaś ranna. Grzebali ci w mózgu. Zostałaś podłączona do swoich obrzydliwych, śmiercionośnych owadzich dzieci.

Strzeliłaś do człowieka i przyglądałaś się, jak krwawi.

I byłaś w miejscach, do których dotarła zaledwie garstka ludzi. Widziałaś rzeczy nieprzeznaczone do

oglądania.

Siedziałaś w bebeczach.

Chłopak z sąsiedniego pokoju spędził część dnia w twoim mózgu i plótł koszyk z teflonu, żebyś nie umarła.

Takie przeżycia nie prowadzą do mądrych, przemyślanych decyzji. Prowadzą do pochopnych i głupich decyzji wynikających z rozpaczliwej potrzeby. Cały ten ból i śmierć, i strach, to wszystko sprawia, że potrzebujesz, żeby cię ktoś przytulił, wyrwał z koszmaru. Dlatego fantazjujesz o Keatsie i jego dłoniach, i ustach, i ciele.

Czy on myśli to samo o niej? Teraz, w tej minucie?

Potrafiła sobie wyobrazić obrazy, wizje w jego głowie.

Przecież jest chłopakiem, więc tak, na pewno o niej myśli.

W bardzo konkretny sposób, bez wątpienia. Co jej nie przeszkadzało, pod warunkiem że to, co sobie wyobrażał, to, co robiła i jak wyglądała w jego myślach, nie miało nic wspólnego z niebezpiecznym, ludzkookim, zmutowanym owadem w...

Kroki. Głośne, ktoś nie przejmował się nocną porą.

Ostre pukanie – wręcz łomotanie – do jej drzwi.

– Wstawaj. Już. Wstawaj i ubieraj się.

Rozpoznała ten głos. Kaligula.

Sturlała się z łóżka. Potykając się, znalazła ciuchy, włożyła je na siebie drżącymi dłońmi i wyszła na korytarz. Keats już tam był.

– Co się dzieje?

Pokręcił głową równie zdezorientowany. W świetlicy zastali Vincenta i Wilkes. Anya Violet siedziała w kącie potulna, nieufna, jakby pomniejszona.

– To wszyscy? – spytał Kaligula.

– Ofelia odwiedza krewnych – odpowiedział Vincent. Jin wyszedł na miasto.

Kaligula uśmiechnął się złośliwie.

– Taak, imprezowy chłopak z niego, co?

– O co chodzi? – spytał niecierpliwie Vincent.

Plath zauważyła, że Vincent unika patrzenia na Anyę. Zauważyła też, że pani doktor ma trochę rozmazaną szminkę i że odrobina tej czerwieni, ledwie dostrzegalny ślad, jest na policzku Vincenta.

– Właśnie została zaatakowana komórka w Pekinie oznajmił Kaligula. – Dwoje uciekło, reszta nie żyje. Komórka z Delhi ledwie wymknęła się ekipie, która urządziła na nią zasadzkę. Tam zginęły trzy osoby. Armstrongowie przeszli do ofensywy. Próbują nas wyeliminować przed główną akcją.

– A znają tę lokalizację? – spytał Vincent. Stał, nie siedział. Wcielenie profesjonalizmu.

– Nie czekajmy, żeby się przekonać – odparł Kaligula. Łapcie swoje robale, wszystko inne

zostawcie. Macie dwie minuty.

– Brać swoje bioty – rozkazał Vincent.

Plath, Keats i Wilkes pobiegli do laboratorium na górze.

– Weźcie wszystkie żłobki – krzyknął za nimi.

Minęło więcej niż dwie minuty – bliżej pięciu – zanim byli gotowi. Zaspiane bioty Plath wpełzały do jej bezpiecznego ucha, omijając pyłki, kurz i maleńkie włoski wielkości bambusów.

W kieszeni miała żłobek – dwa uśpione bioty Ofelii.

– No, to byto tak jakby dwie minuty – rzucił sucho Kaligula. – Dobra. Nie wiemy, kto jest na zewnątrz. Mam tam samochód. Ale nie wiemy. Więc trzymaj. – Wcisnął Plath w rękę pistolet. – Ostatnio nieźle sobie z tym radziłaś.

– Ja nie chcę...

– A ja to pieprzę, czego chcesz – odparł Kaligula. Zauważył pistolet w dłoni Vincenta. – Zasada numer jeden: nikt nie strzela przypadkiem we mnie. Bo oddam.

Ostatecznie okazało się, że w mroku nowojorskiej nocy nie czekają na nich żadni TZD z AmericaStrong. Wszyscy wpakowali się do długiej czarnej limuzyny i ruszyli przez miasto w stronę Long Island.

Kaligula siedział z przodu, obok kierowcy. Vincent zastukał w szybę oddzielającą szoferkę.

– Skontaktowałem się z Ofelią. Chcesz po nią podjechać?

Kaligula zastanawiał się chwilę. Na czas jazdy zdjął kapelusz i Plath zorientowała się, że jego długie włosy to tylko wianek okalający łysinę, którą przecinała sina, poszarpana blizna biegnąca od czoła do potylicy.

– Ma samochód? – spytał Kaligula.

– Tak.

– Każ jej jechać na najbliższą autostradę. Nieważne, w którym kierunku. Byle tylko była w ruchu, dopóki do niej nie dotrzemy.

– Nie masz kogo po nią posłać? – zdziwił się Vincent.

Kaligula odwrócił się na siedzeniu. Jego uśmiech wyrażał niedowierzanie.

– Nie jestem szeryfem, stary. Nie poślę po prostu zastępcy w radiowozie. Jakież wieści od naszego pięknia?

Vincent krótko pokręcił głową. Szyba z powrotem podjechała do góry.

– I co, dobrze się bawisz? – zagadnęła Wilkes Keatsa.

Zdobył się na blady uśmiech. Potem zaczął wyglądać przez okno. Jechali przez ciemny Brooklyn.

Jakoś nikt nie palił się do rozmowy, z wyjątkiem Wilkes.

– Ktoś oprócz mnie jest głodny? Cukiernie z donutami są otwarte. Moglibyśmy kupić kilkanaście różnych.

Cisza.

– Na drożdżach, nie na proszku do pieczenia – ciągnęła. Nie lubię tych na proszku, chociaż zjem, z braku laku. Ale po pierwsze, w tych na proszku dziurka jest cała pomarszczona.

A jak dla mnie donut powinien mieć dziurę jak trzeba. – Pozwoliła, by to stwierdzenie trochę dojrzało; przez cały czas uśmiechała się do Keatsa. W końcu dodała: – Lubię wtykać język w dziurkę.

Keats zrobił lekko spanikowaną minę.

– A ty, niebieskooki? – spytała niewinnie. – Lubisz wtykać język w dziurkę?

– Nie jestem głodny – rzucił trochę agresywnie.

Zamrugła teatralnie, jakby nie wierzyła własnym uszom.

– To prawda, Plath? Chyba znasz go już dość dobrze, żeby wiedzieć, czy lubi wtykać...

– Wilkes – wtrącił się ze znużeniem Vincent.

– Co? Jeśli nie lubi, to chętnie go nauczę. – I zaśmiała się tym swoim he-he-he, ubawiona po pachy. W końcu wyjrzała za okno i zaczęła wbijać ostry paznokieć kciuka w przedramię. Przesuwała go i wbijała znowu. I znowu.

Plath spojrzała w oczy Keatsa. On też zauważył, co robi Wilkes.

Każde z nich radziło sobie ze strachem na swój sposób.

Anya Violet dosłownie wytwarzała prywatną przestrzeń wokół siebie, uparcie udając, że nawet nie dostrzega całego towarzystwa. A Vincent stukał w telefon, z twarzą bez wyrazu, z błyszczącymi oczami, z kącikami ust ściągniętymi w dół niżej niż zwykle.

– Daleko jeszcze? – spyta! Keats.

– Przynajmniej godzina jazdy – odparł Vincent.
– Jeśli możesz spać, to śpij.

Chłopak kiwnął głową i zamknął oczy.

Plath nie dała się nabrać. A przynajmniej sądziła, że Keats ściemnia, dopóki nie zaczął cicho chrapać. W pierwszej chwili się oburzyła, że ten koleś potrafi spać w takiej chwili.

– Podoba mi się twój chłopak – powiedziała Wilkes.

– On nie jest... nieważne – mruknęła Plath. – A ty masz?

Chłopaka, znaczy?

– Nie chłopaka. Był taki jeden, z którym od czasu do czasu lubiałam się trochę spocić. To był tylko seks. Pociecha. Nie miłość. Ale już po wszystkim.

– Co się stało?

– Zastrzelili go. Chyba się, ehm... – Ze złością pokręciła głową, kiedy słowa uwięzły jej w gardle. – Chyba się wykrwawił. Bo jakaś głupia suka wsypała go przed Bliźniakami Armstrongami.

Gapiła się z czystą nienawiścią na Anyę. A Plath cofnęła się zszokowana, bo zrozumiała. Renfield i Wilkes? W życiu. Arogancki młody arystokrata i wytatuowana twardzielka z ulicy?

Pociecha. Ktoś, kogo można dotknąć, kiedy noc i strach zamykają się wokół ciebie.

Wilkes znów wbiła paznokiec w skórę, tym razem do krwi.

Ofelia jechała między stanówką nr 84 między Waterbury i Hartford. Na siedzeniu obok położyła pistolet. Dwa ze swoich biotów wiozła w mózgu – siedziały beczynnienie. Mogła tylko mieć nadzieję, że ktoś zaopiekował się pozostałą dwójką jej „dzieci”.

Musiała mieć nadzieję, że jej dziadek, od którego właśnie wyjechała, ku jego zaskoczeniu i konsternacji, jest bezpieczny w swoim domu.

Musiała mieć nadzieję, że Vincent i reszta są cali i zdrowi.

Musiała mieć nadzieję, że samochód, który dogania ją sąsiednim pasem, to nie problem. Nie wierzyła, że ze strzelaniny z TZD jakimś cudem wyszłaby cała.

– *Na hanyate hanyamane sarire* – powiedziała na głos.

W wolnym przekładzie: świadomość jest wieczna i nie pokona jej śmierć ciała.

To z pewnością było ogromną pociechą dla bardzo oświeconych ludzi. Ofelia nie czuła się

szczególnie oświecona. Czuła tylko lodowaty strach.

Niżyński tańczył i pił do upadłego, i teraz zastanawiał się nad wyborem jednego z trzech facetów, którzy bardzo intensywnie go podrywali. Jednego z tych trzech, którzy w ogóle mieli szansę. Przystawiało się więcej – przeróżne gwiazdunie, miśki, chłopcy z siłowni. Ale żaden nie był w jego typie.

On lubił chłopaków z pazurem. Z czymś niebezpiecznym w sobie. Punków. Anarchistów. Homo-gangsta.

Sprawdził blackberry i przypomniał sobie, że padła mu bateria. Przydałoby się ją wymienić, nie trzymała już tak długo jak powinna. Ale co tam, BZRK przeżyje jedną noc bez niego.

No więc, możliwości. Jeden siedział przy barze. Jeden tańczył. Jeden upadł, bo ugięły się pod nim nogi. Właśnie siedział na podłodze, w tłumie kolan i stóp, i kurczowo ścisnął swoją pierś; sterczały z niej dwie elektrody paralizatora, które przed sekundą śmignęły obok Niżyńskiego.

Muzyka grała aż zbyt głośno, żeby zagłuszyć bzycający odgłos. Co się dzieje, do cholery? Niżyński kucnął odruchowo i obrócił się jak facet, który nieporadnie udaje ninję.

Coś uderzyło go w tył głowy. Na tyle mocno, że poleciał do przodu. Kobieta, niewysoka – po prostu typ podmiejskiej mamuśki – szła pewnym krokiem

między tancerzami. Cofali się błyskawicznie na widok pistoletu w jej dłoni.

Niżyńskiemu zrobiło się słabo. Jeszcze nie czuł bólu, tylko coś jakby echo potężnego ciosu. Zadanego pałką trzymaną w wielkiej dłoni. Był ogłuszony. Nie potrafił tego wszystkiego ogarnąć.

Oparł się plecami o bar, przewracając po drodze stołek.

Para bardzo hardych motocyklistów chciała osaczyć blondynkę. Babka zwróciła pistolet w ich stronę z miną: „na waszym miejscu odpuściłabym sobie”.

Muzyka ucichła. Teraz Niżyński słyszał krzyki i wrzaski, i nerwowe głosy, żeby wezwać policję.

– Mam na imię Sugar – przedstawiła się kobieta Niżyńskiemu. Przycisnęła lufę pistoletu prosto do jego skroni. – Jeśli choć spróbujesz mnie dotknąć, odstrzelę ci łeb. Nie życzę sobie twoich robali w mózgu. A teraz idź.

Więc poszedł. Zataczając się. Przez tylne drzwi. Na dworze znów dostał pałką w kark. Mocny cios, powinien pozbawić go przytomności. Nie pozbawił, ale Niżyński dostrzegł okazję i osunął się bezwładnie, z zamkniętymi oczami i wiotką szyją.

Brutalne ręce chwyciły go pod pachy i wrzuciły na tylną kanapę samochodu. Został skuty.

– Na pewno możemy go dotykać?

– Dopóki jest nieprzytomny, nic nie zrobi ze

swoimi biotami. – To Sugar, na przednim siedzeniu.

Niżyński trzymał oczy zamknięte. Głowę zwieszoną na pierś. Wyrównał oddech. Żadnych oznak przytomności.

– Już gdzieś widziałem tego gościa – stwierdził jeden z mężczyzn.

– Na billboardach – odparła Sugar. – To model z reklamy Mountain Dew Extra.

– Hej, rzeczywiście. A niech mnie. Facet od MDE. Ha.

Bioty Niżyńskiego już działały – wyłoniły się z oka i pędziły po policzku. Częścią mózgu myślał: ten puder, którego używam, ma bardzo interesujące i zróżnicowane kształty.

Prawdopodobnie to głównie talk, ale bardzo drogiej marki.

Dziwne, jak bardzo przypomina połupane kamienie. Poszarpane i nieregularne. Bioty przedzierały się przez krajobraz zasypyany dziwnymi ostrymi głazami.

Może następnym razem daruje sobie puder.

Samochód gnał w ciemną noc. Bioty gnały po skórze w stronę warg Niżyńskiego. Gdy tam dotrą, zaczną się schody.

Zakręciło mu się w głowie, kiedy ból karku i czaszki dopadł go z całą mocą. Miał uszkodzoną skórę, mięśnie i kości.

O tak, ból. O tak, o kurde. Nie okazuj go, Shane,

nie zdradzaj, że jesteś przytomny.

Bioty schodziły po górnej wardze. I znów pożałował, że pomalował usta. Lepki błyszczący spowalniał jego chłopców.

Ale teraz dopędziły już do granicy między skórą i śluzówką.

Pora na język. Kiedyś, raz, widział już język w nano. To nie było jego ulubione wspomnienie. Ostrożnie, powoli wysunął koniuszek, żeby dotknąć wargi.

Oczami biotów zobaczył ciemną masę lądującą z nieba.

Wyobraźcie sobie armię ludzi w kapturach, jak stoją ramię w ramię. Tak blisko, że dolne części kapturów niemal się dotykają. A kaptury są różowe. Z ostrym czubkiem. Stożki woskowatego, różowego ciała.

Wyobraźcie sobie, że pomiędzy tymi ciasno upakowanymi, szorstkimi, woskowymi stożkami jest coś, co wygląda jak małe piankowe kluski, coś w rodzaju pływaków używanych na basenie. A obok tych rurek leżą krótkie sznurki paciorków.

Wszystko razem, jakby armii różowych członków Ku-Klux-Klanu pozrywały się korale.

A te kluski i paciorki to bakterie mieszkające na języku.

Posłanie biotów w ten obcy pejzaż wymagało niemałego wysiłku woli.

Szpila bólu. Niżyński nie zdołał powstrzymać jęku.

Szybko schował język i bioty zalała fala opalizującej śliny.

Język podwinął się na bokach, wyginając krajobraz.

– Ocknął się!

– Nie pozwól mu się dotknąć!

Niżyński złapał oddech i splunął. Potężne uderzenie huraganu porwało ślinę i bioty.

Ślina przeleciała niecały metr dzielący stulone usta Niżyńskiego i sztywne, jasne włosy Sugar.

Poczuł lądowanie biotów, jakby to własne nogi zamortyzowały uderzenie.

– Nie! – krzyknęła Sugar. Zaczęła tłuc dłonią tył głowy.

Te ciosy pomogły Niżyńskiemu. Dociskały wysokie, szorstkie pnie drzew-włosów do skóry.

– Coś ty zrobił? – spytała wściekle, odwracając się do niego.

– Wylądowało na tobie? – krzyknął jeden z osiłków.

Niżyński wiedział, że najmądrzejszym, najskuteczniejszym posunięciem z ich strony byłoby zastrzelić go na miejscu. Nie zrobili tego. A zatem coś ich powstrzymywało.

Nie chcieli jego śmierci; mieli inne plany, i ta wiedza dawała mu przewagę.

Bioty pędziły po suchych liściach skalpu kobiety, mknęły jak wśród brzozowego lasu.

Uszy, oczy, nos. Którędy? Nos to najkrótsza, najbardziej bezpośrednia trasa, ale i najbardziej niebezpieczna; kichnięcie mogło go kosztować życie. I rzeczywiście Sugar próbowała zmusić się do kichania, gorączkowo wydmuchiwała nosem powietrze.

– Zjedź na bok. Zjedź na bok! – ryknęła. Wskazała sklep całodobowy. – Sklep. Ty. Idź tam. Kup mi... eem, sprej na owady. I sprej do nosa. I patyczki do uszu. Szybko!

Ciągle klepała się po głowie, przez co w lesie panowała niezwykła pogoda – drzewa gięły się, przylegały do podłoża, odskakiwały jak sprężyny. Potem zaczęła drapać skórę paznokciami.

To było niebezpieczne.

Niżyński trzymał bioty blisko jeden przy drugim. Wolał mieć tylko jedno pole widzenia do ogarnięcia.

Drzewa rozstały się i nagle pojawił się paznokieć – pędził z nieprawdopodobną prędkością. Sugar miała je w miarę długie, więc tylko paznokieć, a nie czubek palca, orał gąbczastą skórę.

Wyglądał jak rowkowana ściana martwych komórek, płatków trzymanyh razem przez szorstki klej keratyny, pokrytych przejrzystą warstwą bezbarwnego lakieru, który z jego perspektywy przypominał grubą krę lodową.

Krawędź paznokcia działała jak monstrualny pług. Zrywała martwe komórki skóry, sunąc w stronę biotów. Skok w prawo!

Gigantyczny pług z rykiem przemknął obok. Ale teraz Sugar drapała się jak obłąkana. Paznokcie były wszędzie, zostawiały za sobą sączącą się krew, płytki wylewały się z podłoża i gromadziły w bruzdach wrytych przez ogromne pazury.

Niżyński zobaczył przed sobą prześwit: linię włosów. Sugar nie zaczęła drapać się po twarzy, przynajmniej na razie, więc NI i N2 wypadły pomiędzy włosów na czoło.

I nagle fart!

Ogromna kropla potu, dziesięć razy wyższa od nich, istne tsunami, szalony bąbel cieczy, który zawierał tyle wody co

basen – wysączyła się ze skóry, zabłysła w światłach deski rozdzielczej, gotowa ruszyć, miękka jak winogrono.

Niżyński wiedział, że kropla zacznie płynąć. A wtedy będzie się poruszać szybciej niż najszybszy biot.

Pogonił bioty w jej stronę i nagle dostrzegł drugą kroplę, już w ruchu! Zaraz uderzy w tę pierwszą, połączy się z nią, a wtedy... ledwie zdążył!

NI i N2 skoczyły, uderzyły w ścianę tej wodnej masy dokładnie w chwili, kiedy puściło napięcie powierzchniowe i pot popłynął niczym górską rzeką

ku gałce ocznej Sugar.

Bioty kręciły się jak skarpetki w pralce nastawionej na wirowanie.

– Ogłusz go! – wrzasnęła Sugar. Dopiero teraz się zorientowała, że to jej jedyna szansa.

Kolba pistoletu grzmotnęła Nizyńskiego w głowę i w ostatniej sekundzie uciekającej przytomności ujrzał, jak fala przenosi jego bioty przez barierę rzes i spływa do starego, dobrego oka.

Jedno mrugnięcie i był zarazem nieprzytomny i bezpieczny.

21

Docierali już na miejsce, kiedy Plath zaskoczyła. Spojrzała na Vincenta.

– Jedziemy tam, gdzie myślę?

Ledwie raczył poświęcić jej sekundę, odrywając się od pisania SMS-ów i czytania stron internetowych, czy co tam robił.

– Tak.

Montauk już opustoszało po sezonie. Dzieciaki wróciły do szkoły. O tej porze roku kręciła się tu tylko garść staruszków szukających przecen, a dla nich nie opłacało się trzymać restauracji otwartych do późna w nocy.

Sam dom stał kawałek za centrum. Na końcu krętej prywatnej drogi. Szare gonty z czarnym wykończeniem, okna z kwaterkami, parter i pełne piętro, a do tego pokoje pod bardzo stromym dachem. Siedziba bogacza – bez wątpienia.

Najbliżsi sąsiedzi mieszkali poza zasięgiem wzroku, za urwiskiem. Ocean był o rzut kamieniem, wystarczyło przejść ścieżką przez wydmy porośnięte kępkami trawy. Fale wzdychały i szumiały. Powietrze przesyciała sól.

Plath знаła ten dom. W dzieciństwie spędzała tu całe tygodnie. Nie wszystkie wakacje, ale większość.

I czasem jakiś

wiosenny czy jesienny weekend, żeby skorzystać z ładnej pogody.

Vincent miał klucz, ale jakieś poczucie przyzwoitości kazało mu oddać go Plath. Otworzyła drzwi.

– Znasz kod alarmu? – spytał.

Wstukala go w klawiaturę.

To wszystko obserwowali oczywiście Keats i Wilkes.

– Teraz możemy już mówić do niej Sadie? – chciała wiedzieć Wilkes.

– Nie – warknął Vincent. Nie podobało mu się to. Nie podobało mu się, co ta cała sytuacja robi z jego starannie utrzymywaną konspiracją. – Wchodźcie. To bezpieczna kryjówka.

Pomieszkamy tutaj, aż zorientujemy się, czy możemy wrócić do miasta.

– Zamknijcie za mną. Dwie osoby mają zawsze czuć poleciał Kaligula i nie brzmiało to jak grzeczna sugestia. Wyszedł do samochodu i wrócił z dwiema strzelbami przewieszonymi przez ramiona. Jedną rzucił Vincentowi. Drugą podał Wilkes.

– A ja? – spytał Keats.

Kaligula uśmiechnął się kwaśno.

– Mam tylko dwie. I wiem, że Vincent pociągnie za spust. – Zerknął na niego z ukosa i dodał: – To prawdziwy Scypion. I wiem, że ta mała suczka –

wskazał Wilkes – jest szurnięta. A co do ciebie, synku, jeszcze się przekonamy.

Vincent odciągnął Kaligulę na bok; dosłownie go szarpnął. Zapadła cisza, kiedy coś bardzo niebezpiecznego – miękkiego, powolnego i zabójczego jak mruczący tygrys – przesunęło się między tymi dwoma. Vincent puścił ramię Kaliguli.

– Słyszałem komunikat policji o porwaniu w klubie w Tribeca, gdzie chodzi czasami Nizyński – powiedział.

Kaligula skinął głową.

– A on zna to miejsce tutaj?

– Nie. Dom jest tylko na mojej liście, na jego nie.

– To dobrze.

– Co teraz zrobisz?

– Jadę ściągnąć tu tę laskę z kropką na czole. Nizyński się nie zjawi.

– Nie zostawimy Jina.

– Owszem, zostawimy – odparł Kaligula i wyszedł.

– Pieprz się! – krzyknęła za nim Wilkes. Ale drzwi się zamknęły i już go nie było. Odwróciła się do Vincenta. – Nie zostawimy Jina tym ludziom.

– Zrobimy, to co...

– Nie zostawimy Jina tylko dlatego, że tak powiedział jakiś morderca w cholernym aksamitnym kapeluszu!

Sadie zastanawiała się, czy teraz wreszcie Vincent straci to swoje opanowanie. Nie.

– Wiesz, gdzie go trzymają, Wilkes? Bo ja nie. Może gdybym wiedział. Ale nie wiem.

– Skontaktuj się z Learem i powiedz mu...

– Lear wie. – Vincent czekał, czy dziewczyna ma jeszcze coś do dodania. Ale najwyraźniej zużyła już całe swoje oburzenie. – Znajdźcie sobie pokoje. Wilkes, ty i ja bierzemy pierwszą wartę. Keats, w piwnicy jest mały pokój. Zabierz tam doktor Violet. Zamknij drzwi. I przynieś mi klucz.

Plath bez problemu wybrała pokój: zajęła własny. Trudniej było dotrzeć do niego, bo musiała minąć główną sypialnię, w której dawno, dawno temu mieszkali jej rodzice.

A obok – pokój Stone’a.

Plath nie pozwoliła sobie choćby uchylić drzwi, żeby zobaczyć i usłyszeć pustkę sypialni rodziców. Ale otworzyła drzwi pokoju Stone’a i stała w nich przez chwilę, lekko przechylona do środka, nie przekraczając progu.

Pokój urządził projektant. Ozdobi! go odpowiednimi dla Montauk motywami żaglówek, wydm i latawców. Osobisty wkład Stone’a, ślad jego obecności, by! ledwie wyczuwalny:

frisbee na biurku, wielki, biały, pluszowy królik w koszulce woot!, jedno, jedyne zdjęcie w ramce. Przedstawiało Stone’a i... Sadie, z całą pewnością nie

Plath, kiedy on miał może z dziewięć lat, a ona była żalowaną, kujonowaną siedmiolatką.

To zdjęcie zrobiono tu, na plaży. Na ścianie wisiała oprawiona replika staromodnej złotej płyty: *Beast of Burden* Rolling Stonesów. To taki rodzinny żarcik; bawiło ich, że Stone jako dziedzic fortuny jest potwornym ciężarem.

– Nie wiem, do którego pokoju iść. – Keats, ledwie o krok od niej. Podszedł niezauważony.

Jak długo tu stał? A jak długo ona stała?

– Do mojego. Nie mogę tam spać sama.

Przeszła na drugą stronę korytarza. Pstryknęła światło i nie zobaczyła tego, czego się spodziewała. Pokój wyglądał dokładnie tak, jak go zostawiła. Dwa lata temu? Nie, nie aż tak dawno. I jakimś cudem wygląda! identycznie. Ale skoro ona się zmieniła, jak jej pokój mógł być ciągle taki sam?

Łóżko zaścielone. Za otwartymi żaluzjami w oknach morze. Na ścianach plakaty *Against Me* i *The Methadones*.

Na kilku małych półkach książki – prawdziwe, stare, namacalne. Bibeloty – maksimum plażowego kiczu, podkreślającego ironię losu. Kosz z kilkoma kostiumami kąpielowymi, górami i dołami do zestawiania w dowolne komplety. Oprawione zdjęcie z autografem Christophera Hitchensa obok oprawionego zdjęcia z autografem Tima Armstronga. Plażowy ręcznik z *Ramones*. Uśmiechnęła się na

widok tego gadżetu.

Keats wszedł i rozejrzał się uważnie. Wyłapywał szczegóły i od czasu do czasu kiwał do siebie głową.

– No i? – spytała.

– Kiedyś byłaś Wilkes.

Zaskakująca uwaga. Plath dosłownie opadła szczęką. Rozejrzała się, zobaczyła otoczenie jego oczami i się roześmiała.

– Ha. Właśnie się zastanawiałam, dlaczego to tutaj wydaje mi się takie obce.

– Tak. Sporo się zmieniło, co? Całe to szaleństwo jak gdyby popycha wszystko w innym kierunku. Może zanim to się zaczęło, Wilkes chodziła do jakiejś katolickiej szkoły, w kraciastym fartuszkach i warkoczach.

– Jakoś w to wątpię.

– Duże łóżko.

– Rzucam się przez sen.

– Zauważyłem. Przedwczoraj w nocy. Ale na tamtej wąskiej pryczy miałaś ograniczone możliwości. Na tym łóżku to można się porzucać.

– Czy my rozmawiamy o seksie?

– Nie wiem – przyznał Keats ze znużeniem.

– Chcesz tego – powiedziała tonem bez wyrazu.

– Myślałem, że się dobrze ukrywam.

– Są pewne oznaki...

– Dziwne, gdybym nie chciał. Seksu, znaczy. Byłem w twoim mózgu. Ty byłaś w moim. No i nikt

nie krzyknie na nas, że to wstyd.

– To prawda. Jedyne, co mnie powstrzymuje... –
Umilkła, bo nie bardzo wiedziała, jak to wyjaśnić.

– Nie chcesz tego robić tylko dlatego, że się boisz i przypadkiem wylądowaliśmy w łóżku razem. Nie chcesz, żeby twój pierwszy raz...

– Skąd wiesz, że to byłby mój pierwszy raz? –
wypaliła.

Wzruszył ramionami.

– Przeczucie.

Powtórzyła jego gest.

– Tak, cóż... chyba miałam nadzieję na coś więcej niż rozpaczliwe obłapianie się ze strachu. Rozumiesz, ten pierwszy raz.

– Więc jesteś romantyczką – odparł z kamienną miną.

Uśmiechnęła się i w tym momencie polubiła go o wiele bardziej.

– Tak, to właśnie ja. Romantyczka. – Podeszła do półek z książkami i przechyliła głowę, żeby przeczytać tytuły. Po chwili, kiedy dotarło do niej, że on nie kupuje jej rzekomej obojętności, oparła się o małe biurko i powiedziała: – Szczerze mówiąc, Keats, jestem mocno poharatana. Chyba tego nie pokazuję. Nie pozwalam sobie tego czuć. Jakoś tak duszę to w sobie. Ale to nie jest przyjemne. Czuję się, jakbym ignorowała raka czy coś w tym rodzaju. Jakbym tylko udawała i odwracała oczy. I... –

Skończyły jej się słowa.

Keats powoli kiwał głową, niespiesznie zapisując sobie to wyznanie w pamięci.

– No cóż, teraz już na pewno mnie nie namówisz, żebym się z tobą kochał.

– Kiedy indziej? – spytała.

– Chodźmy spać.

Zgasili światło i znów położyli się razem. W tak szerokim łóżku nie musieli się dotykać. Ale ich ręce sięgnęły ku sobie, palce się splotły.

– Keats?

– Tak.

– Jesteś we mnie?

– Hm, to nie jest pytanie, które chłopak chciałby usłyszeć od dziewczyny.

– Keats.

Milczał przez moment.

– Tak – odpowiedział w końcu. – Mały K2 właśnie sprawdza swoją plecionkę.

– Okej. Dzięki. Ale wyłącz go i śpij. – A potem, długą chwilę później: – Ale mogę się nie bać? Nigdy byś... No wiesz.

Pamiętasz, co mówił Vincent. Nie kładziesz przewodów. To nie dlatego tak się czuję, prawda?

– Na życie wszystkich, których kocham: nie.

Po tym jednak ich dłonie już się nie dotykały.

Kiedy Niżyński się ocknął, nie jechał już limuzyną. Obudził się w dwóch miejscach naraz.

Jednym był garaż. Nie taki wielki podziemny. Po prostu zwykły na dwa auta, typowy w bogatym podmiejskim domu. Właściwie zmieściłby się tu tylko jeden samochód, bo drugą połowę zawałały dziecięce rowerki, pudła świątecznych ozdób, elektryczne narzędzia.

Drugie miejsce, w którym Niżyński się obudził, było tuż pod powieką. Rozpoznał okolicę. Nie pierwszy raz siedział wciśnięty między oko i powiekę.

Siedział. Nie miał wyboru. Związali go; ręce za plecami przymocowali do oparcia drewnianego krzesła, kostki do drewnianych nóg.

Sugar Leowski stała przed nim, ociekająca wodą, w innym ubraniu niż przedtem. Zrozumiał, że to jej dom, gdzieś na Long Island albo w Jersey. To oznaczało, że nie wyjdzie stąd żywy. A nawet jeśli, to z okablowanym mózgiem.

Była tu też konsola tikera. Bardziej prymitywna, niżby oczekiwał. Nie cud techniki, jakiego członkowie BZRK spodziewali się po AFGC; wyglądało to raczej jak biurowe krzesło i kłocowaty komputer obok niego, kable, para rękawic przyczepionych do krzesła spiralnymi przewodami i czterdziestodwucalowy monitor ustawiony na chwiejnym, byle jakim stole.

Ewidentnie awaryjny, przenośny model.

Dwa osiłki zniknęły. Był za to młody mężczyzna

z fruującymi, jasnymi włosami. Na oko tuż po dwudziestce. Europejczyk, skonkludował Niżyński na podstawie marek i doboru ubrań.

Sugar nie marnowała czasu. Złapała zardzewiały kij golfowy, żelazną dziewiątkę, i machnęła nim poziomo, prosto w Niżyńskiego. Bark zabolął jak diabli. Niemal pozwolił zapomnieć o pulsującym bólu karku i wielkim guzie rosnącym pod włosami.

Ciekawy wybór. Taki cios w bark.

Niżyński ruszył swoje bioty.

– Jak się nazywasz? – spytała Lebowski. Zanim zdążył odpowiedzieć, zamachnęła się z góry na dół i trzasnęła go kijem w udo.

O mało nie zemdlął z bólu.

Ale to też interesujący wybór.

– Gadaj, jak się nazywasz!

– Santino Corleone – odpowiedział.

– Urocze. I dziwne, bo nie wyglądasz na Włocha.

– Bardzo pani spostrzegawcza.

Znów grzmotnęła go kijem w bark. Zabolało, ale to miejsce zaczęło już drętwieć od poprzedniego ciosu.

– Ostrożnie, nie chce pani uderzyć mnie w twarz – sapnął. – Ma pani bardzo ściśle instrukcje, żeby nie pokiereszować mi twarzy.

Lebowski roześmiała się i to nie był ładny dźwięk.

– No, przyznaję, szybki jesteś. Bardzo szybki. Chińczyk?

Koreańczyk?

– Myślałem, że jestem Włochem.

– Wiesz, co nie popsuje twojej ładnej buźki?

Przyciągnęła wózek ogrodowy z prostownikiem do ładowania akumulatora i ustawiła przed Niżyńskim. Ostentacyjnie podłączyła wtyczkę do gniazdka. Tarczka się zapaliła, wskazówka woltomierza drgnęła.

Z urządzenia wychodziły dwa kable z zaciskami. Podniosła je delikatnie. Była gotowa, o tak. Gotowa i chyba trochę napalona.

W tej chwili odezwał się blondyn. Miał niemiecki akcent, niemal na pewno.

– To niekonieczne. Mogę...

– Chyba żartujesz. Szkop ze słabym żołądkiem?

– wypaliła Sugar.

Niemiec zamachał ręką i do niej, i do Niżyńskiego.

– Po co mnie tu pani ściągnęła w środku nocy? Żebym patrzył, jak się pani zabawia? Proszę mi pozwolić go dotknąć, żebym mógł zacząć pracę. – Wskazał konsolę.

Więc to naprawdę tiker. Został wezwany, żeby okablować Niżyńskiego, przekabacić go i użyć jako konia trojańskiego.

Niżyński przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

Starszy niż większość tikerów. Ciekawe, ile przytargał ze sobą robali.

Zresztą, nieważne. Niżyński wiedział, że i tak nic nie zrobi, jeśli tamten go zainfekuje. Miał w sobie już tylko jednego biota. Pozostałe dwa zbliżały się do *musculus rectus medialis*, jednego z ważniejszych mięśni kontrolujących ruchy oka Sugar Lebowski.

Stąd, gdzie się znajdował, mięsień trochę przypominał potężną stalową linę, jakie utrzymują mosty wiszące. Miejsce przyczepu do gałki ocznej wyglądało, jakby ktoś usiłował nieudolnie przyspawać stalowe druty do krwawego lodu.

– Widzę, że bardzo starannie się pani umyła – powiedział Niżyński.

– Mów mi Sugar. – Dźgnęła go w pierś kłaniami prostownika.

Ciało Niżyńskiego podskoczyło na tyle, na ile mogło bez zrywania sznurów.

Zwiśł bezwładnie i potrzebował ładnych paru sekund, zanim jego mózg znów zaczął odbierać otaczający świat.

– Okej, Sugar. To mnie wkurzyło. Wypuszczę trochę kwasu siarkowego na mięsień, który utrzymuje twoje oko w poziomie. Wiesz, ten z boku...

– Co? – Z przerażeniem spojrzała na Niemca. – To blef. Nie było to do końca stwierdzenie i nie do końca pytanie.

Tiker wzruszył ramionami.

– Niektóre bioty są wyposażone w...

Wyciągnęła pistolet i przystawiła go do głowy Niżyńskiego.

– Przestań, kurwa, w tej chwili.

– Za późno. Niedługo pewnie zaczniesz ci się mącić wzrok.

– Czuję to! – krzyknęła i przycisnęła wolną dłoń do twarzy.

– Proszę pozwolić, żebym go stamtąd wyciągnął.

– Tiker ruszył w jej stronę.

– Chcesz wsadzić we mnie te swoje brudne robale? – syknęła ze złością.

– Zez to nie taka znów tragedia – podsunął Niżyński.

Widział, jak kwas robi swoje. Nie potrzeba było dużo czasu, żeby przepalił pierwszych kilka włókien napiętego mięśnia. Z gruczołu na odwłoku biota wycisnął jeszcze kilka kropel. Biot za jakiś czas wydzielili więcej żrącej substancji, ale dość mały pęcherz kwasowy w danej chwili dostarczał tylko odrobiny.

Oczywiście Lebowski tego nie wiedziała. Tiker też mógł nie wiedzieć.

– Czuję to. Piecze!

– Głupia babo, przestań mi przeszkadzać. – Niemiec wsunął dłoń w rękawicę prowizorycznej konsoli, drugą ręką pociągnął Sugar do siebie i choć

wykręciła mu się, przeklinając, musnęła wolną dłonią jej twarz.

Potem założył drugą rękawicę, usiadł i zaczął uważnie wpatrywać się w monitor.

– Wyłaź ze mnie albo zastrzelę cię na miejscu – warknęła Sugar do Niżyńskiego. Jak mogła, starała się go zastraszyć.

Nie miał wątpliwości, że ona mówi poważnie. To go zasmuciło.

Zaskakujące. Właściwie nigdy nie oczekiwał, że przeżyje tę wojnę. I zawsze wyobrażał sobie swoje ostatnie chwile jako pełne przerażenia i buntu. Ale smutek? Właśnie to teraz czuł.

Tyle rzeczy go ominie.

Niewidzialny rój nanobotów Niemca najprawdopodobniej zmierzał w stronę prawego oka Sugar. Wcześniej czy później obejdą gałkę oczną.

I nagle lina pękła. W jednej sekundzie mięsień rozciągał się nad biotami, a w następnej już go nie było, i został tylko nadtopiony kwasem ogryzek.

W makro Niżyński widział, jak oko Sugar ucieka w stronę nosa.

Lewe oko.

Tiker też to zobaczył.

– Ty idiotko, on jest w drugim oku!

– Ale ja to czułam!

Niżyński wzruszył ramionami, na ile pozwalały mu więzy.

– Siła sugestii. A tak dla twoje informacji: tego, co teraz zrobię, w ogóle nie poczujesz, bo o dziwo sam mózg nie odczuwa bólu.

– Co ty mi robisz? – Lodowate przerażenie.

I dobrze. Cieszył się, że może ją przynajmniej nastraszyć.

To wydawało się sprawiedliwe, skoro ona niemal na pewno zaraz go uśmierci.

– Zależy. Jeśli odwołasz swoich chłopaków na zewnątrz i mnie stąd wypuścisz, to nic. Inaczej cały kwas wyleję w twoim mózgu. Będzie się przez niego przeżerał, aż...

Wbiła mu lufę pistoletu w pierś.

– Masz mnie nie zabijać, prawda? – Grał na czas. Tak, na pewno dostała rozkaz, żeby dostarczyć go okablowanego. Ale zawsze mogła powiedzieć, że nie dał jej wyboru. I nie wyglądała w tej chwili jak ktoś, kto racjonalnie myśli.

Spróbowała obsłużyć kable prostownika wolną ręką, ale wywołała tylko fontannę iskier, więc odłożyła pistolet na wózek.

Cóż, pomyślał Niżyński, lepsze to niż kula.

Przyłożyła klamry do jego gołej szyi.

Ból był straszny. Ale krótki. Rozległo się głośne pyk i w garażu zapadła ciemność.

Instalacja elektryczna typowych podmiejskich domów raczej nie jest przystosowana do elektrycznych tortur. Wywaliło bezpiecznik.

Niżyński uwolnił jedną nogę z więzów. Kopnął nią wprost przed siebie. Z całej siły. I poczuł satysfakcjonujący kontakt z kolanem Lebowski.

Padła na niego. Otoczył ją wolną nogą, przytrzymał mocno i zmusił się, by przysunąć twarz do jej twarzy na tyle blisko, żeby odzyskać bioty. Były już bardzo daleko od jej mózgu i nie zostawiły za sobą żadnego kwasu; biegły teraz do...

Zapaliło się światło.

I Niżyński zobaczył coś o wiele gorszego niż wściekła Sugar Lebowski. Tuż poza dolną powieką czekały cierpliwie, jakby przewidziały każdy jego ruch, dwa tuziny nanobotów.

Niemiec rozszyfrował jego blef.

Okazja minęła bezpowrotnie. Lebowski mu się wyrwała.

Bioty stały i patrzyły, jak nanoboty je okrążają.

– No dobrze. Zdaje się, że teraz zrobimy to, co ja mówię, zgadza się? – powiedział Niemiec. – Nasz przyjaciel z Berserk nie wyrządzi już pani żadnej krzywdy Fraulein Lebowski.

– Jak to wygląda? – spytała tikera i palcami rozszerzyła powieki, żeby pokazać mu oko, które spoglądało na chirurgicznie udoskonalony nos.

– Nie jest tak źle. Da się naprawić – uspokoił ją.

Kiedy się odwróciła, szybko, po cichu wysunął się z krzesła, uwolnił dłonie, chwycił kij golfowy i uderzył ją w kark.

Osunęła się jak wór mokrego piachu.

Niżyński poczuł ten cios swoimi białkami. Gapił się. Na Niemca. Na nanoboty otaczające jego białki na twarzy nieprzytomnej kobiety.

– Nazywam się Dietrich – rzucił jasnowłosey nagłym szeptem, z o wiele słabszym akcentem. – I dodam, że uratowanie ciebie to nie był rozkaz Leara. Więc niedługo może mnie odwiedzić Kaligula, chyba że wymyślisz jakąś historyjkę i nie wypaplasz, że zniszczyłem swój kamuflaż, ratując ci życie.

Bug Man musiał polecieć do Waszyngtonu, żeby umieścić część swoich oddziałów na wicedyrektorze FBI. Łatwizna.

Gość z FBI był ich od dawna.

Już wcześniej zainstalował Jessicę w Sofitelu, gdzie siedziała sobie, ślicznie odrywała usta, zamawiała room service i oglądała filmy. Towarzyszył mu TZD jako „opiekun”. Bug Man mógł sobie rządzić w nanoświecie, ale to nie zmieniało faktu, że szesnastoletni czarny dzieciak (nawet z brytyjskim akcentem) w towarzystwie oszałamiająco pięknej młodej damy nie mógł się zameldować w hotelu bez odpowiedzialnego za niego dorosłego.

Następnym transfer też poszedł całkiem gładko. W końcu ten gość z FBI – może miał na imię Patrick, Bug Man nigdy nie mógł zapamiętać – wypełniał przecież polecenia. Transfer odbył się podczas gry w squasha w klubie uniwersyteckim.

Przypadkowe zderzenie, wywrotka na błyszczącą podłogę, kostki palców „niechący” trafiają w ucho, przytrzymać trzy sekundy i ta-da.

Bug Man zdecydował się wejść przez ucho, kiedy dowiedział się, że cel, agent Secret Service –

który, choć to nieprawdopodobne, nazywał się John Smith – nosi miękkie soczewki kontaktowe. Nie chodziło o same szkła – to znów nie jakaś wielka przeszkoda – ale o fakt, że ludzie, którzy je noszą, wiecznie wkrapiają do oczu całe wodospady soli fizjologicznej albo muszą zniecka wyjąć zagiętą soczewkę. Bug Man nie chciał, żeby jego chłopcy wylądowali w ciemnym pojemniku na soczewki.

A więc przez ucho.

Z tym zawsze wiąże się pewne ryzyko. Jeśli ktoś wcześniej pływał, brał prysznic lub co gorsza, miał infekcję ucha wewnętrznego, nie da się przejść. Ale jeśli zna się trasę i kanał słuchowy jest drożny, może się udać.

Kanał słuchowy wygląda jak jaskinia pełna stalaktytów i stalagmitów, i czegoś bez nazwy, co rośnie poziomo. Włosy sterczą z każdej strony: z góry, z dołu i ze wszystkich pośrednich kierunków. Są maleńkie w porównaniu z rzęsami.

Jaskinia w nano wydaje się całkiem duża. Woskowina zawsze stanowi problem, jej grudki zaścielają podłogę, kawałki zwisają z góry. I cała jaskinia jest podziurawiona studniami, które przypominają małe, działające w zwolnionym tempie gejzery. Jak te w Yellowstone, co wyrzucają paćki gorącego błota. Tyle że w tym przypadku zamiast błota wychlapuje się woskowina.

W makro Bug Man siedział w furgonetce

zaparkowanej zaraz za rogiem, przy ulicy M. Nie potrzebował wzmacniaka, sygnał był bezpośredni.

Pchnął dwudziestu czterech żołnierzy i czterech tkaczy do kanału słuchowego, pokonał woskowinę i dotarł do bębenka.

Bębenek w nano to naprawdę niezły widok. Trochę jak membrana basowego bębna, gdyby ten miał pięć pięter wysokości i był zamocowany nie przez dopasowany pierścień, ale przez maleńką kość z tyłu.

Bug Man odczekał, aż skończy się mecz squasha, bo odgłos piłki uderzającej z impetem w ścianę – to charakterystyczne plask! – wstrząsało bębenkiem, jakby grzmocił w niego rockowy perkusista.

Całe to cholerstwo, ten wysoki na pięć pięter dysk z czegoś, co wygląda jak wybielona, półprzezroczysta skóra, w nano wpadało w potężne wibracje.

Więc odczekał, aż John Smith – czy naprawdę mógł się tak nazywać? – skończy walić w gumowe piłki. Ale potem facet brał prysznic i to było potencjalnie niebezpieczne. Bug Man wybrał sobie trochę spokojniejszy moment i szybko przeprowadził swoje nanoboty pod teraz umiarkowanie wibrującą membraną.

Tu nareszcie nic im nie groziło.

Następny etap wędrówki polegał na wspinaczce

po tylnej stronie bębenka, a to najlepiej zrobić, kiedy koleś położy się spać.

Bug Man ustawi furgonetkę tuż pod domem Smitha w Fairfax. I tej nocy wejdzie do mózgu faceta i pogoni swoich tkaczy do roboty.

Gdzieś w zwojach mózgowych tego człowieka znajdował się obraz jego mentorki i przyjaciółki, Francine Petrash, przydzielonej do prezydenckiej ochrony. Bug Man wiedział, że czeka go ciężka praca – musi przekonać Johna Smitha, żeby dotknął twarzy agentki Petrash. Miał już parę pomysłów, jak to zrobić. Ale to oznaczało całą noc kładzenia przewodów.

Więc na razie Bug Man wrócił do Sofitelu, żeby się przespać.

Mniej więcej pięćset kilometrów od niego doktor Anya Violet spojrzała na Vincenta i powiedziała:

– Wiem, że coś mi robisz.

Vincent siedział ze stopami opartymi o parapet i patrzył na szary, posępny Atlantyk. Na plaży w dole dwójka jego nowych rekrutów spacerowała i rozmawiała. Najwyraźniej dobrze się czuli w swoim towarzystwie. Zostawiali ślady w nietkniętym wilgotnym piasku.

– Tylko patrzę na fale – odparł.

– A ja czuję coś innego – powiedziała Anya.

– Tak?

– Do diabła, Vincent. Nie zdradziłam cię.

Posłużyli się mną. Wrobili mnie. Musieli się domyślić, że nawiążesz ze mną kontakt. Wiedzieli, że będziesz potrzebował dostępu do laboratorium.

– Zgadza się – przytaknął. Słuchał jednym uchem. Obserwował Plath i Keatsa na plaży. Myślał o tym, że Niżyński nie powiedział mu całej prawdy, że mu nie ufał albo nie chciał go obarczać tą prawdą.

Vincent, Wilkes i Ofelia, cała trójka, rzucili wszystkie siły do mózgu Jina. Nie znaleźli ani śladu infekcji nanobotami.

Sprawdzili oczy, uszy, nawet nos. Bioty obeszły każdy centymetr jego skóry, zajrzały głęboko do mózgu i nie znalazły nic.

Był czysty.

Ale nie mówił wszystkiego o swoim spotkaniu z Sugar Leowski. Mówił tylko to, co musiał. Ukrywał coś.

Dwa ranne bioty Vincenta ciągle kładły przewody głęboko w mózgu Violet. Potrzebowały jeszcze trochę czasu, zanim będą zdolne do bitwy. Dwa zdrowe bioty siedziały w jego głowie. Czekały.

– Wiem, że mnie kablujesz – powiedziała Anya. Dźwięk jej głosu był jak nóż w sercu, bo to jej głos, ale już nie całkiem jej ton i emocje. Mówiła jak do ukochanego. Brzmiała w tym uraza. Słysząc było poczucie zdrady. Mówiła jak do kogoś bliskiego jej sercu, kto źle ją traktuje.

Przewody. Ciągnęły się od wspomnień

związanych z Vincentem do wspomnień tego, na czym jej zależało, w co wierzyła, co podziwiała. Co kochała. Vincent był już spleciony z obrazem jej matki, siostry, ulubionej restauracji sushi, nauczycielki z dzieciństwa, która powiedziała jej, że ma wyjątkowe zdolności, z ulubionymi zapachami.

Programował ją, żeby mu ufała.

Może nawet więcej niż ufała.

Ale wciąż miała wątpliwości, pewne podejrzenia. Bo była bardzo inteligentną kobietą, bardzo świadomą siebie. I to mu się w niej podobało. A wiedział, że niedługo wymaże z niej tę podejrzliwość.

– Robię to, co robię, bo nie mam wyboru – szepnął.

Nie jestem Scypionem, pomyślał. Nie wyzynam kobiet i dzieci, żeby pysznić się tym przed rzymskim senatem.

Uratuję ci życie, Anyu. Ty nie rozumiesz. Lear wyśle polecenie Kartagina, chyba że uczynię cię jedną z nas.

Uratuję ci życie, Anyu, niszcząc twoją osobowość.

– Chcę, żebyś się ze mną kochał. – Jej głos ociekał pragnieniem.

– To nie jest odpowiednia pora na...

Wstała, podeszła do niego, uklękła, zdjęła jego nogi z parapetu i dotknęła go.

Odepchnął ją łagodnie, ale stanowczo.

– Nie. Zrobię, co trzeba, żeby uratować ci życie. Ale nie pozwolę ci się ponizać.

Wiedział o Bug Manie i Jessice, pięknej dziewczynie, którą chłopak zmienił w niewolnicę. On nie jest Bug Manem.

Oczy Anyi błysnęły złością.

– Sprawiasz, że cię pragnę, a potem nic mi nie dajesz? To twoje miłosierdzie, Vincent? Zaprogramować głód, a potem pozwolić mi głodować?

– Muszę jakoś z tym żyć. – Wstał.

Violet podniosła się razem z nim. Wciąż była bardzo blisko, tak blisko, że dotykali się miejscami, a tam, gdzie się nie dotykali, chcieli tego.

– Pragniesz mnie – ciągnęła. – Może nie czerpiesz z tego przyjemności, ale mnie pragniesz. Ciało cię zdradza. A czy to prawdziwe, czy nie, Vincent, czy to moje rzeczywiste pragnienia czy coś, co wpisałeś mi w głowę, ostatecznie nie ma żadnej różnicy.

– Dla mnie jest. – Przepchnął się obok niej ze ściśniętym gardłem. Krew łomotała mu w żyłach.

Nie jestem Scypionem. I nie jestem Bug Manem.

Tak wiele tych „nie jestem”, pomyślał z goryczą. I tak niewiele „jestem”.

Jakiś czas później Keats i Plath gotowali spaghetti. Żaden tam stary rodzinny przepis, po

prostu sos ze słoika. Plath użyła wielkiego gara, w którym jej matka kiedyś gotowała kraby, tutaj, absolutnie tutaj, w tej kuchni, w całkiem innym świecie.

I zjedli kolację, wspólnie: Vincent i Anya, Niżyński, Ofelia, Wilkes, Keats i Plath. Pili niezłe barolo. Podawali sobie świeżo starty parmezan. I było normalnie, jeśli za normalność uznać koszmarną parodię normalności.

Niżyński jakimś cudem wygrzebał dość ubrań ojca Plath, żeby znów wyglądać jak model. A Wilkes trzymała swoje agresywne zapędy pod kontrolą. A Anya patrzyła na jedzącego mechanicznie Vincenta oczami pełnymi miłości. A Ofelia znów odnalazła swój repertuar uśmiechów, które wszystkim poprawiły samopoczucie.

A jednak to był najbardziej rozpaczliwy i smutny posiłek, jaki Plath jadła w życiu.

Keats pierwszy złamał znowu milczenie.

– Kiedy to się zacznie?

– Jutro – odparł Vincent. – Nasi brytyjscy kuzyni są w mieście. Przejmą... będą bronić... swojego premiera. My mamy naszą prezydent. I... – Spojrzał na Anyę, jakby do końca nie był pewien, czy może swobodnie przy niej mówić.

Gdy już się przekonał, Plath odniosła wrażenie, że coś w nim zmiękło, drgnęło. – I przygotowaliśmy małą niespodziankę dla Bliźniaków Armstrongów.

Wszystkie widelce z wyjątkiem widelca Wilkes znieruchomiały.

– Nie będę ściemniał, ich atak dał nam nieźle w kość. Teraz, o ile wiemy, AFGC wzięła na cel prezydent Stanów, brytyjskiego premiera, przewodniczącego ChRL i premierów Japonii i Indii. Pięć osób. Ale Bliźniacy praktycznie unicestwili nasze komórki w Chinach i Indiach. Więc tę dwójkę raczej musimy oddać. A to bardzo źle. Z kolei japońska komórka jest bardzo dobrze zorganizowana i chyba nie padła ofiarą ataku.

Więc japońskiego premiera zostawimy im. To samo dotyczy naszych brytyjskich kuzynów.

– Boże chroń króla, co? – powiedziała Wilkes do Keatsa.

– A przynajmniej premiera. Nawet jeśli to torys – odparł.

– Niżyński i ja jesteśmy główną ekipą w prezydent Morales. Wilkes i Ofelia są ekipą dywersyjną – ciągnął Vincent.

– Co to ekipa dywersyjna? – spytała Plath.

– Istnieją trzy sposoby, żeby powstrzymać tikera – zaczęła wyjaśniać Ofelia. – Możesz go pobić w nano. Możesz go unieszkodliwić w makro, czyli po prostu zabić. Albo możesz go okablować. Wilkes i ja będziemy szukać tikerów. Na pewno skorzystają z paru lokalizacji w pobliżu siedziby ONZ, bo wtedy nie musieliby używać wzmacniaków sygnału.

– Ich wzmacniaki to złom – wtrącił Niżyński.
– Mamy wiadomość od Leara, prawdopodobnie od szpiega wewnątrz AFGC, że jedna z tych baz będzie w samym budynku.

– W budynku? W siedzibie ONZ? – zdziwiła się Plath.

– To Armstrong Fancy Gifts Corporation – przypomniała Ofelia. – Prowadzą ponad czterysta sklepów z upominkami na lotniskach, na dworcach kolejowych w Europie, w muzeach.

I w podziemiach siedziby ONZ.

– Chyba żartujesz – powiedział Keats.

– Takie dostaliśmy informacje – potwierdził Vincent. Więc Ofelia i Wilkes sprawdzą, czy nie uda im się przeszkodzić chociaż tam. Może zdołają ujawnić ich obecność, żeby musieli się wycofać.

– A Keats i ja? – spytała Plath.

Vincent spojrzał na Niżyńskiego wzrokiem winowajcy.

Niżyński zmarszczył brwi. Wyczuwał, że zaraz usłyszy coś złego.

– Oni nie są gotowi na... – zaczął.

Ale Vincent mu przerwał.

– Lear rozkazał... i ja się z nim zgadzam... no cóż, potrzebujemy kontrataku. Czegoś, co ich zajmie. To musi być coś poważnego, z autentycznymi widokami na powodzenie. Oni nie są głupi, nie możemy po prostu zamachać rękami i odwrócić ich

uwagi.

Niżyński odstawił kieliszek z winem z trochę większym impetem niż to konieczne.

– W co ty ich pakujesz? – Siedział dokładnie naprzeciwko Vincenta.

Vincent wypił łyk wina. Zwlekał. W końcu, zupełnie bez emocji, jakby stwierdzał, że jutro będzie padać, oznajmił:

– Zaatakujemy samych Bliźniaków.

– Mogę z tobą porozmawiać na osobności? – wycedził Niżyński przez zęby.

– Mój przyjaciel Jin uważa, że posyłam was na samobójczą misję. – Vincent wbił twarde spojrzenie w Niżyńskiego, który nie pozostał mu dłużny.

– A tak jest? – spytała Plath.

Vincent lekko skinął głową.

– Prawdopodobnie.

– A jeśli odmówimy? – rzuciła Plath.

Vincent odwrócił się od Niżyńskiego i spojrzał jej w oczy.

– Nie odmówicie.

– Skąd ta pewność? Zrobiłeś mi coś? O to chodzi?

– Powiedziałem ci, że nigdy bym...

– W takim razie, skąd jesteś taki cholernie pewny, że zgodzimy się na samobójczą misję?

– Bo oni zamordowali ci ojca i brata. I o mało nie zabili ciebie. I kiedy o tym przypominam, oczy ci

błyszczą i zaczynasz szczerzyć zęby, bo osoba taka jak ty nie pozwala bezkarnie zmieść z powierzchni Ziemi swojej rodziny.

– Tak się odpłacimy jej ojcu? – spytał ze złością Niżyński. – Posyłając ją na pewną śmierć?

Vincent uderzył pięścią w stół. Wszystkie naczynia podskoczyły. Wszyscy wstrzymali oddech.

– Myślisz, że sprawia mi to przyjemność, Shane?

Niemal równie szokujący jak przejaw emocji u Vincenta był fakt, że użył imienia „Shane” zamiast Niżyński.

– Tobie nic nie sprawia przyjemności. Dlatego Lear po(

stawił cię na czele tej komórki. Człowiek, który nie odczuwa przyjemności, nie ma żadnego pojęcia, co się liczy w życiu. Niżyński wskazał Plath. – Ona ma szesnaście lat, na litość boską. Jest ledwie przedszkolona. A on, nasz młody Mister Hormon, już się w niej zabujał. Jeśli ona pójdzie, on polecą za nią.

Niżyński aż się trząsał. Vincent zdążył już opanować swoje emocje.

– Tak. Właśnie tak sądziłem – przyznał. Wstał ostrożnie, odsunął krzesło. – Mam dość. Smacznego – rzucił i zaniósł swój talerz do kuchni.

23

Może raczysz mnie wreszcie oświecić, jak to, do cholery, zrobimy? – warknął Niżyński.

– Lear bardzo wyraźnie dał do zrozumienia, że mam nie zdradzać planu, dopóki nie zajdzie taka potrzeba – odparł Vincent.

Szli we dwóch Trzecią Aleją i właśnie mijali budynek, którego jedynym ciekawym elementem były powiewające obok siebie flagi Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

– Ambasada brytyjska? – Niżyński uniósł brwi.

– Idziemy na Lex. Do hotelu W. Spotykamy się tam z kimś.

– Pewnie nie powinienem pytać z kim?

– Raczej i tak ją rozpoznasz. Tatiana Featherstonehaugh.

Niżyński spojrział na niego z pobłażaniem.

– To się wymawia „Fanshaw”.

Vincent zmarszczył brwi.

– Naprawdę? Tyle liter i wychodzi Fanshaw?

– Anglicy. – Niżyński wzruszył ramionami, jakby to wiele wyjaśniało. – To lwica salonowa. Co ona w tym wszystkim robi?

– Nie nam oceniać. Zaraz po spotkaniu z nami wybiera się na bankiet w Hiltonie w budynku ONZ.

Tam mieszka PeEsZet. To tylko krótkie towarzyskie spotkanie Morales i Bowena z grupką anglofilów. Potem oboje idą na Zgromadzenie Generalne, gdzie wygłoszą mowy. Tatiana pomaga nam dzięki naszym londyńskim przyjaciołom.

– A prezydent na pewno tam będzie?

– Na to nigdy nie ma gwarancji. Przy ochronie prezydenckiej wszelkie inne ochrony wyglądają jak banda leni. Jeśli Secret Service cokolwiek zwęszy... Ale jeżeli ona tam będzie, to jesteśmy w domu.

– A tymczasem? – spytał Niżyński.

Vincent zatrzymał się i cofnął pod gzyms, bo zaczął padać drobny deszcz.

– Istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że nikt z nas nie wyjdzie z tego żywy, Jin. Takie są fakty.

– Ale ta dwójka dzieciaków... – Właściwie nie wiedział, jak zakończyć to zdanie.

– Nie tylko oni. Wilkes i Ofelia też. Oni wszyscy. My wszyscy. Jeśli poprawi ci to samopoczucie, to kłóciłem się z Learem.

– Naprawdę? – Niżyński mu wierzył; zastanawiał się tylko, jak można się kłócić przez SMS-y.

– Przypomniałem Learowi, ile są warci. Keats jako tiker, a Plath jako dojście do pieniędzy i technologii McLure Industries. Może gdyby Armstrongowie nie zadali nam takiego ciosu w

Chinach i Indiach... może wtedy udałoby się coś odwołać. Ale to decydujący moment. To bitwa, której nie wolno nam przegrać, a mimo to AFGC prawdopodobnie zdoła okablować przywódców najbardziej ludnych państw na świecie.

Zaczynamy ten dzień od katastrofy, Jin. Rozumiesz? Już przegraliśmy w połowie. Nie możemy przegrać do końca.

Ciągle padało, ale Vincent ruszył dalej. Niżyński poszedł za nim, zmartwiony, ale milczący.

Przeszli przez obrotowe drzwi do foyer hotelu W. Niżyński był tu już kiedyś, Vincent nie.

– Gdzie mamy się z nią spotkać?

– W penthousie. – Vincent wyjął kartę magnetyczną i pojechali windą na najwyższe piętro. Drzwi otworzył im mężczyzna o wyglądzie kompetentnego twardziela, z izraelskim akcentem.

Wprowadził ich korytarzem do pięknie urządzonego apartamentu.

Tatiana Featherstonehaugh – taką kobietę starsze pokolenie pewnie nazwałoby „zniewalającą”. Brytyjskie nazwisko miała po mężu, ale jej skóra była o parę tonów za ciemna, usta zbyt szerokie i zbyt pełne, by pochodziła z zimnego, ponurego kraju. Jej życie zaczęło się w niezbyt atrakcyjnych dzielnicach hiszpańskiej Sewilli, ale wczesne dzieciństwo spędziła w nieustannej podróży z owdowiałym ojcem, Rumunem z pochodzenia, który

jeździł za marnymi posadami po Argentynie, Urugwaju i Panamie.

Tatiana nosiła swobodny, elegancki strój – spodobał się Niżyńskiemu. Bizuteria stonowana, ale bardzo droga. Platyna, diamenty i peruwiańskie opale podkreślały jej oczy. I nie uświadczyłbyś w tej kolekcji ani jednej cyrkonii.

Na pierwszy rzut oka wydawała się drogim trofeum bogacza – jej mąż rzeczywiście był starszy i bardzo bogaty – ale linie twarzy opowiadały o bólu, zarys zuchwy o determinacji i patrzyła na człowieka z takim skupieniem i uwagą, jakby rozbierała go na części pierwsze.

Pewnie zdarzały jej się w życiu trywialne myśli, ale na pewno nieczęsto.

– Pan Vincent, jak sądzę – wyciągnęła rękę.

– A to Niżyński – dodał Vincent.

Uśmiechnęła się.

– Interesujące nazwisko.

– Dziękuję – odparł Niżyński.

– Właśnie piłam herbatę. Przejęłam kilka nawyków od męża. Picie herbaty z mlekiem i miłość do koni.

Podawała im parujący napój w eleganckich filiżankach z zastawy, która na sto procent nie została dostarczona przez hotel; musiała być przywieziona.

– Wolałabym, żebyście nie buszowali mi po oczach i mózgu – powiedziała.

– To... zrozumiałe – zapewnił ją Vincent.
– Nie chcę wsadzać sobie palca do oka, zanim uścisknę dłoń pani prezydent.

– Oczywiście – zgodził się Niżyński.
– Więc wymyśliłam alternatywny sposób. Zrobiono mi już manicure. Moje paznokcie są bardzo czyste. Dam wam sygnał, że już czas, dotykając paznokciem nadgarstka pani prezydent, kiedy podamy sobie ręce.

Vincent i Niżyński wypili po łyczku herbaty i wymienili spojrzenia.

– To się może udać – ocenił Vincent. – Jeśli będziemy szybcy.

– Noszę na tym palcu paru naszych brytyjskich przyjaciół. – Uniosła palec wskazujący prawej dłoni.
– Pomyślałam, że wy zajęlibyście środkowy.

– To nasz ulubiony – odparł z kamienną miną Niżyński.

Tatiana się uśmiechnęła.

– Mogę wam zadać jedno pytanie?

– Oczywiście, szanowna pani – odparł Vincent. – Dlaczego to robimy?

– Naprawdę? Jestem „szanowną panią”? – zagadnęła bez złośliwości, przedrzeźniając Yincenta. W końcu machnęła na to ręką. – Nie, doskonale rozumiem dlaczego. Miałam... okazję... poznać Bliźniaków Armstrongów. – Z całą pewnością kryło się za tym jakieś wspomnienie, które sprawiało, że jej

śpiewny akcent lekko się wyostrzył. – Nie, chciałam zapytać, jak tam jest. W nano. Bardzo strasznie?

Vincent oddał to pytanie koledze.

Niżyński zastanawiał się chwilę, szukał odpowiednich słów.

– Nie. Nie jest strasznie. To znaczy, z początku, owszem.

I niektórzy rzeczywiście nie potrafią tego... pokochać.

– Ale pan kocha?

– To jest... Widziałem spory kawał naszej planety. Dużo podróżowałem. I czasem człowiek niemal zaczyna się nudzić.

Zaczyna myśleć: to naprawdę już wszystko? A potem wchodzi w bebechy.

– Tak to nazywacie?

Skinął głową, trochę zażenowany.

– I nagle świat robi się o wiele większy.

– Nie mniejszy?

– Nie. Kiedy już się wejdzie i zobaczy, co tam jest, człowiek ma wrażenie, że całe życie patrzył tylko na powierzchnie.

Jakby oglądał jedynie okładki książek i nigdy nie widział słów w środku. Ta ogromna rzeczywistość. Cały wszechświat. Więcej wszechświatów, niż można sobie wyobrazić. Bo ja widziałem ledwie parę części *Homo sapiens* w nano. A ile milionów innych istot jest jeszcze do poobserwowania? Jak wygląda

skóra żaby? Jakie są bebechy meduzy? Kaktusa? Stalaktytu?

Grzechotnika? To jest... nigdy nie zabraknie rzeczy do obejrzenia. – Napił się herbaty, która już prawie całkiem wystygła.

– Hm, pewnie można się tym cieszyć – odparła z powątpiewaniem Tatiana.

– Niektórzy się uzależniają – stwierdził ponuro Vincent bez cienia entuzjazmu Niżyńskiego. – Inni tracą od tego zmysły. Nie są w stanie sobie poradzić. To ich przerasta. A nie mogą już zapomnieć.

Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu. Przetrawiali wzajemnie swoje słowa i skubali herbatniki.

– Wiem, co się stało w Szanghaju i Bombaju – powiedziała Tatiana. – To bardzo ważne, żebyście nie zawiedli ani wy, ani moi brytyjscy przyjaciele. Najprawdopodobniej stracimy Tśaia i Chauksey. Wiecie, co to będzie oznaczać? – Żaden z nich nie odpowiedział, więc ich wyręczyła. – Armstrongowie zaczną swobodnie działać w Chinach i Indiach. O wiele łatwiej rozpropagują w tych krajach Nexus Humanus, co pozwoli im namieszać i rekrutować talenty. Zyskają dostęp do zasobów, technologii i pieniędzy. Niezmiernie urosną w siłę.

– Tak – przyznał Vincent i z ciekawością zmrużył oczy.

Spodziewał się kontaktu. Nie wykładu. Zdał

sobie sprawę, że ta kobieta miała kontakt z Learem.

Może nawet sama była Learem. Tylko ślepy nie dostrzegłby ostrego jak brzytwa intelektu w tych oczach królowej piękności.

Ta myśl wytrąciła go z równowagi. Wszedł do tego apartamentu pewien, że to on jest panem sytuacji. Już się tak nie czuł, kiedy słuchał, jak Tatiana Featherstonehaugh wyłuszcza im strategiczny obraz całości w taki sposób, w jaki nigdy nie zrobił tego Lear.

– Jeśli uda się wam zapewnić bezpieczeństwo prezydent Morales i jeśli pan Bowen i pan Hayashi też pozostaną bezpieczni, to przynajmniej będziemy mieli szansę ostrzec agencje w Chinach i Indiach. I zdołamy utracić wszelkie próby zwerbowania samego ONZ dla sprawy Armstrongów.

– Tak jest, szanowna pani – powiedział Niżyński.

– Nie zawiedźcie – dodała Tatiana Featherstonehaugh tonem nie lwicy salonowej czy żywego trofeum bogatego męża; przemawiał do nich czysty, pewny siebie autorytet. To był rozkaz.

– Nie zawiedziemy, szanowna pani – odparli obaj, choć wyraziła niechęć do tego zwrotu.

– Więc jak to zrobimy? – spytała. Nagle poweselała, jakby podekscytowana.

– Najpierw ja dotknę palcem pani palca. A

potem Niżyński – wyjaśnił Vincent.

Tatiana wyciągnęła rękę wnętrzem dłoni do góry.

– Nie dajcie się zabić. Kiedyś, jak już będzie po wszystkim, z przyjemnością zaprosiłabym pana Niżyńskiego na bankiet.

Pan, Vincent, przypuszczam, nie przepada za bankietami.

– To prawda – przyznał, ale widać było po nim, że trochę mu żal.

Psia sierść w nano nie wygląda jak pnie palm; bardziej przypomina zwiędłe szparagi. To pierwsza obserwacja Plath.

Chciała skupić się na tej sierści: gęstym lesie grubych włosów przygiętych do skóry, przez co tu na dole było ciemno – tu, czyli pod niesamowitym sklepieniem futra na pysku owczarka niemieckiego. Chciała się skupić na czymkolwiek, byle nie na własnych biotach z rozmazanymi oczami Sadie i złożonymi oczami owada, z ciekącym kądziółkiem na pysku, z pajęczymi nogami i szczypcami modliszki, i...

Szła obok Keatsa, sto metrów od swoich biotów na psie.

Udawali zakochanych, bo to niezły kamuflaż: dwójka nastolatków trzyma się za ręce, od czasu do czasu wpada na siebie celowo i się uśmiecha, i może podszczypuje się to tu, to tam, jak mogłaby to robić

zakochana parka idąca przez Central Park w zimny, ale pogodny jesienny poranek.

Ale jechała też na pysku tego psa, prowadzonego przez dziewczynę z dziwnym tatuażem czarnych płomieni pod okiem.

Owczarek miał kolczatkę, a mimo to Wilkes ledwie mogła go utrzymać. Został uratowany z hodowli psów do walk.

Jeszcze się nie zresocjalizował. Był dziki i zły i szukał ofiary.

Plath i Keats, po dwa bioty każde, siedzieli jedno przy drugim w gąszczu tuż nad górną wargą zwierzęcia.

Celem był beagle wyprowadzany przez dwójkę TZD;

dwóch innych TZD spoglądało groźnie na przechodniów. Jeden niósł na dłoni plastikowy worek, żeby zebrać beaglową kupę, gdyby beagle postanowił się wykupić.

Tworzyli luźny trójkąt: Wilkes z ciągnącym, charczącym owczarkiem; TZD z AmericaStrong z beagle'em i dwójka młodych zakochanych, którzy cieszą się niespodziewanym słońcem.

Zobaczyli to i poczuli jednocześnie. Zobaczyli, jak Wilkes niechętnie puszcza smycz psa. I poczuli nagłe szarpnięcie w nogach biotów, kiedy bestia pognęła po trawie.

I nagle.

– Ja pierdziele! – wrzasnęła Plath, ale nie z powodu czegokolwiek w normalnym świecie.

Z nieba spadł ogromny, okuty w zbroję potwór, wielki jak słoń.

– Jezu! – zawtórował jej Keats.

Monstrum stało na czterech członowatych nogach, choć mogło mieć ich więcej. Istny dinozaur, stwór z science fiction, koszmar senny. Tylne nogi wibrowały od zmagazynowanej energii.

Wąski, jak gdyby go ktoś lekko zgniótł. Taka piłka futbolowa, z której prawie całkiem zeszło powietrze. Ciało jakby obudowane w płytową zbroję; włosy jak rapiery sterczały w stronę tylnej części. Ale najstraszniejsza była głowa: hełm z parą pustych oczu – nie poruszały się i chyba nawet nie zauważały biotów, które musiały być nie większe od psów z perspektywy tej ogromnej, potężnej, niezniszczalnej pchły.

Od tego prehistorycznego potwora buchała wręcz niewiarygodna energia. Bioty aż się od niej trzęsły.

Wcielenie zła – pod każdym względem.

– Nic nam nie zrobi – powiedział Keats. – Tylko... tylko...

O Boże!

Owczarek niemiecki pędził w stronę niespodziewającego się niczego beagle'a.

Pchła uklękała jak w jakiejś pogańskiej

modlitwie, aż jej gęba dotknęła skóry psa. A potem wysunęła coś jak dwie powykrzywiane, zniekształcone szable, i zaczęła ciąć – nie kłuć, a ciąć – psie ciało.

– Nie patrz na to – poradziła Plath, ale sama siebie nie posłuchała, bo trudno gruchać jak dwa gołąbki w makro, kiedy ich bioty stoją w cieniu tego groteskowego, drgającego stwora.

– Musimy się przyszykować. Będziemy mieć tylko kilka sekund – wyprzedził Keats.

Popłynęła krew. Maleńkie krople wysączyły się z dziury wyciętej przez pchłę. Leniwy gejzer czerwonych tarczek, czerwonych frisbee; ta czerwień powinna być płynem, ale przypominała raczej mokry żwir, a pchła go wsysała. I niemal nie dało się oderwać od tego spojrzenia i przygotować na...

Uderzenie!

Owczarek staranował beagle'a jak tona cegieł.

– Teraz! Teraz! Teraz! – krzyknęła Plath i pewnie usłyszeliby ją i zobaczyli TZD, tylko że nagle pochłonęła ich psia bójka.

Wielki pysk owczarka zatrzęsął się na przeciwniku.

Przerażony beagle zwijał się i piszczał. A Plath i Keats niemal zapomnieli o insekcje, kiedy impet zderzenia rzucił czterema biotami.

– Ruchy, ruchy, ruchy! – ponaglała Plath i jej dwa bioty, z biotami Keatsa tuż za nią, pobiegly w

stronę wargi. Popielaty grzbiet górski tuż za linią futrzanego lasu teraz wyglądał wręcz apokaliptycznie. Falował szaleńczo jak pole magmy bujane potężnym trzęsieniem ziemi.

W tej chwili ten rąbek ciała był wciśnięty w całkiem nową sierścianą planetę, rozedrganą halucynację pełną ciasno upakowanych włosów i komet śliny. I nagle, bez żadnego powodu, pchła dała susa! Poleciała w górę i zniknęła im z pola widzenia z tak niewiarygodną prędkością, jakby wystrzelono ją z armaty.

– Skacz! – rzuciła nagle Plath.

Skoczyli.

Z przerażeniem jednak stwierdzili, że grawitacja nie ciągnie ich tam, gdzie powinna. Owczarek przeturlał beagle'a.

Ziemia kręciła się wokół biotów, szalona wirówka śliny, psich pysków i futra. Wreszcie zaczęli lądować. Rozpaczliwie chwyтали się czego popadnie, spadając między włosami, jakby rzucili się bez spadochronów w dżunglę.

Wilkes drałowała, żeby odciągnąć psa.

Zwierzaki rozdzieliły się na ułamek sekundy i Bam!

Strzał był głośny, za głośny – w końcu to publiczny park;

owczarek zapiszczał i potknął się, beagle skulił się ze strachu, a Wilkes wrzasnęła, jak dobra

właścicielka, której właśnie ktoś zastrzelił pupila.

– Co wyście zrobili? Co wyście zrobili?! – krzyczała, biegnąc do umierającego stworzenia.

Jeden z TZD wyjął portfel, wysupłał z niego parę banknotów i rzucił je n, a martwego psa. Drugi wziął beagle'a na ręce i wszyscy razem dokonali pospiesznego odwrotu.

Dopiero wtedy Plath i Keats nabrali pewności, że są na właściwym psie.

Jak dwójka zwykłych zatroskanych przechodniów podbiegli truchtem do Wilkes, a jednocześnie z lękiem prowadzili bioty przez sierść.

– Jesteś cała? – spytał Keats Wilkes.

Podniosła dwie studolarówki.

– Ja tak. Ale Heil Hitler chyba jest trochę nieżywy.

– Heil Hitler?

Wzruszyła ramionami.

– Uznałam, że to dla niego dobre imię. Żal mi go, ale do diabła, to był porąbany pies. Próbował mnie ugryźć. A frankliny zawsze są mile widziane.

Plath skrzywiła się z niesmakiem.

– Tak, starczy ci na nowy tatuaż.

– Wal się, skarbie. – Wilkus popatrzyła na nią drwiąco. Tak się składa, że ja nie jestem miliarderką. A wy popylajcie w kierunku wieżowca AFGC. Lepiej nie znaleźć się poza zasięgiem.

Zostawili Wilkes, żeby zajęła się martwym psem

i przeszli półtora kwartału do Starbucksa w pobliżu siedziby AFGC.

– Popatrz – powiedziała Plath, kiedy usiedli z kawą i muffinkami.

– Co?

– Ugryzienie. Miejsce, gdzie ten drugi pies... Chyba stoisz za daleko, nie widzę cię, ale to... wstrząsające. Ciało jest jakby podwinięte. Wygląda jak brzeg krateru po meteorze, czy coś w tym stylu. Włosy są powykręcane. Całe jeziorka śliny...

A w tej ślinie pływają jakieś rzeczy. A krew... jest... ja...

Patrzyła wprost na niego, ale i przez niego; on też patrzył przez nią na wylot i dostrzegał nie ranę, ale coś, co wyglądało jak odległa góra; miał nadzieję, że to nos beagle'a.

– Chyba nie powinniśmy o tym rozmawiać. Wyjdziemy na wariatów.

– To Nowy Jork. Nikt nie zwraca uwagi na wariatów. Muszę się odsunąć od tej rany. Zaleją ją środkiem dezynfekującym.

Napiła się kawy.

– A co, jeśli cię nie znajdę? To jak szukanie kogoś w stuhektarowym lesie.

– Pamiętaj, że włosy są przygięte w stronę tyłu psa. My chcemy być z przodu.

Keats wysłał jednego z biotów w górę; biot wspinał się jak małpa, aż przedostał się przez

przyplaszczoną sierść na światło.

Wzrok biotów nie sięgał daleko. A przynajmniej niedaleko w makro. Wychwytywały odległe plamy światła i ciemności i trochę koloru, ale żeby jakieś szczegóły – nic z tego.

Keats ze swojej grzędy na czubku włosa widział nieskończone, falujące morze sierści; bezpośrednio wokół każdy włos był wyraźnie widoczny, ale odległość zmieniała leżące kłaki w jedną wielką plamę brązu i bieli. Obracając biota dookoła, dzięki ludzkim i owadziom oczom, uzyskał obraz jakby cypla, półwyspu zakończonego potężną czarną skałą wielkości góry Rushmore.

Nos.

Ich cel.

– Siedzę na głowie – powiedział do niej przez stół. – O, jest rana. Wygląda, jakby coś przeorało sierść. Skoro też to widzisz, to musisz być gdzieś blisko. Po prostu idź pod włos. Spojrzał w górę, w to, co z jego perspektywy było niebem. Zobaczył bladozieloną chmurę, większą niż cokolwiek, z czym potrafiłby ją porównać. Owijała się wokół futrzanego lasu, ale w pewnym miejscu zieleń zmieniała się w brąz. Ogarniała cały horyzont. – Zdaje się, że niesie nas ten czarny. Ten TZD w zielonej koszuli. Nie widzę zbyt dobrze. Tylko zarysy i kolory. Nic z tego nie rozumiem.

Dźwięki też były jakby za wielkie, by je

zrozumieć. Jak pomruki trzęsienia ziemi, zbyt pomieszane, żeby je odszyfrować.

Nagle pojedynczy odgłos, który usłyszeli oboje. Jakby ktoś uderzył w gong daleko na orbicie.

– Winda? – spytała Plath.

– Może.

Odległe grzmoty. Głosy? Chyba nie. Bioty bez odpowiedniego wyposażenia ich nie odbierały. Z ludzkich gardeł wydobywały się zbyt długie fale dźwiękowe.

– Wasze cztery bioty to podstawowe modele – wyjaśnił im Vincent. – W pełni zdolne do bitwy, w pełni zdolne do układania przewodów. Ale są ulepszenia i dodatki, biologiczne i techniczne, na które przyjdzie czas później. Za każdym razem, kiedy dodajemy poziom sprawności, wzrasta poziom komplikacji. Na początku lepiej, jak wszystko jest proste.

I byli za to wdzięczni, bo ledwo sobie radzili z tym „prostym”.

A jednak teraz oboje żałowali, że nie mają pełnego zestawu opcji.

Bez nich muszą polegać na instynkcie. Muszą zgadywać, która gigantyczna dłoń należy do Bliźniaków Armstrongów.

Jeśli się pomylą, mogą wylądować gdziekolwiek.

– Jak odzyskamy bioty? – spytał Keats.

– Tym się teraz martwisz? – zdziwiła się Plath i

zakręciła kubkiem, żeby wymieszać kawę i piankę.

- Jeśli ich nie odzyskamy...
- Nie wiem – odparła.
- Już za późno, żeby się zatrzymać.
- Czujesz to? Te wibracje?
- Może macha ogonem – zasugerował Keats.
- Naprawdę myślisz, że zwariujemy, jeśli...
- Ja to widziałem.
- Jakiś nowy kształt – zauważyła Plath.
- Tak.
- To on? Oni?
- Równie dobrze może być weterynarz. – Keats zamknął oczy, próbując się skupić. – Widzę palce.
- Ktoś się na nas gapi.

Keats potrzebował chwili, żeby się zorientować, o której rzeczywistości mówi Plath. Otworzył oczy.

- Kto?
- Dziewczyna przy barze. Właśnie odbiera kawę. Ta koszmarna, ze sztucznymi zębami. Ta podobna do rekina.

- Po prostu ją, ojej, pewnie tylko...
- Nie. – Plath siedziała ze zmrużonymi oczami. Wyglądało to tak, jakby promień laserowy łączył ją z dziewczyną. – Pisz SMS. Wynośmy się stąd. – Wstała.

Keats zerwał się, żeby pójść za nią.

Wtedy dziewczyna-rekin odwróciła się w ich stronę. Zbyt szybka, zbyt drapieżna. Zbyt świadoma.

Zbyt zdeterminowana.
Wyciągnęła rękę do Plath.
One-Up chciała ich tylko dotknąć.

24

Wilkes docierała już pod budynek ONZ. Bilet dla zwiedzających kupiła wcześniej – i bardzo dobrze, bo pod kasą czekał tłum. Głównie uczniowie, wesoła i hałaśliwa banda gimnazjalistów z jakiejś szkoły w Harlemie, która preferowała kasztanowate mundurki. Byli też turyści i, chwała Bogu, była Ofelia.

– Jak poszło?

– Zarobiłam dwieście dolców – powiedziała Wilkes. Spróbowała się przepchnąć, ale się nie dało.

– To ostatnia grupa, zanim ochrona zamknie budynek.

Ledwie zdążyłaś – ochrzaniła ją Ofelia.

– Nie panikuj. Vincent wszystko zaplanował.

– Mam wielkie zaufanie do Vincenta. Ale nie jest nieomylny.

Wilkes się roześmiała.

– Jak to się dzieje, że tylko mnie pokazujesz tę ponurą stronę swojej osobowości?

Ofelia nie odpowiedziała; tylko zrobiła hm przez nos i posłała Wilkes jeden ze swoich zrezygnowanych uśmiechów.

Przeszły przez główny hol jak posłuszne turystyczne owce. Minęły wystawę dziecięcych

rysunków – przedstawiały jakiś krwawy konflikt zbrojny. Wilkes nie była na bieżąco z krwawymi konfliktami na świecie, bo zbyt mocno pochłaniały ją te na własnym podwórku. Ale obrazki nie dodawały otuchy. Wręcz przeciwnie, podsycaly w niej poczucie nieuchronnej klęski.

Spojrzała w górę, na strzeliste okna i na stary sputnik – wisiał pod sufitem jak zawieszona bombka choinkowa. Dawno temu przygotowywała pracę o sputniku. Kiedy?

W czwartej klasie?

Zobaczyła w pamięci samą siebie, jak wnosi do klasy i ustawia tekturowy tryptyk z ilustracjami; nawet wtedy udawała luzaczkę. Ale czuła też, że fajnie byłoby dostać piątkę.

Jak to możliwe, że to było to samo życie? Czy naprawdę mogła być tą dziewczynką?

– Podrywałaś kiedyś Vincenta? – spytała.

– Ja nie podrywam chłopaków – odparła Ofelia z nutą dezaprobaty.

W kolejce do kontroli wyłożyły zawartość kieszeni na tacki i przesunęły torebki przez skaner. Urządzenie nie wykrywało biotów.

Numer polegał na tym, żeby wyglądać całkiem zwyczajnie i przeciętnie; dla Ofelii to o wiele łatwiejsze niż dla Wilkes.

Zobaczyły słynny witraż Chagalla, piękny błękit pełny latających wcieleń pokoju. Aniołów czy czegoś

tam.

Zobaczyły aulę Zgromadzenia Generalnego, zaskakująco zaciszne miejsce, choć przecież to sala zebrań całego świata.

Przypominała Wilkes planetarium, w którym była na wycieczce szkolnej... kiedy, w ósmej klasie? To tam pozwoliła, żeby Arkady dotknął jej cycka?

Potulnie szły z grupą, kiedy przyszła pora zejść do łazienek, do specjalnej oenzetowskiej poczty, bistro i sklepu z upominkami.

Wtedy oderwały się od stada. Teraz mogły to bezpiecznie zrobić.

Usiadły razem, żeby zjeść wegetariańskie burrito w stylu ONZ – tak naprawdę niezbyt smaczne – wypić kawę i zebrać się na odwagę.

Sklep z upominkami znajdował się obok. Nie nazywał się Armstrong Fancy Gifts – w odróżnieniu od tych na lotniskach.

Po prostu: Pamiątki z ONZ. Bardzo wymyślnie. Ale sprzedawali tu typowe rzeczy AFGC: pseudodomowe ciastka w celofanowych opakowaniach i książki, wśród których królował pięknie wyeksponowany bestseller *Nexus Humanus: następny krok ludzkiej ewolucji*. I sprytne jednorazowe konsole do gier za trzy dolary, z akceleratorami, z możliwością gry w kilka osób i najnowszymi wersjami gier, co sprawiało, że chętnie je kupowano jako tani ekwiwalent drogich

kieszonkowych konsoli.

– A więc paskudne burrito jest moim ostatnim posiłkiem – mruknęła Wilkes.

Ofelia popatrzyła na nią z powagą. Rzadko ze sobą rozmawiały. Wilkes była w zasadzie absolutnym przeciwieństwem pełnej wdzięku i rezerwy Ofelii.

– Boisz się?

– Kurna, jasne, że się boję – odparła Wilkes z ustami pełnymi stopionego sera i czarnej fasoli. – Ale wiesz, co? Boję się tego, że już nigdy nie wejdę w bebechy. Dziwne, nie?

– Podoba ci się tam?

– Czasami bardziej niż tutaj. Czy my teraz zacieśniamy więź jak prawdziwe siostry BZRK?

Ofelia odłożyła widelec i odsunęła jedzenie.

– Chyba nie mam apetytu.

– Hm, skazaniec powinien móc wybrać sobie posiłek.

Zgadza się? Jak ci goście w celi śmierci? Zawsze zamawiają stek.

– Tu chyba nie podają steków.

Światło: to przez nie ta scena wydawała się tak rozpaczliwa. Jaskrawy blask jarzeniówek nadawał ich skórze barwę czegoś pomiędzy fugą do kafelków i masą papierową. I chwiejne okrągłe stoliki, i śmiertelnie znudzeni pracownicy bistro.

Świetne miejsce, żeby zebrać się na odwagę

przed samobójczą misją.

– Zawsze chciałam pójść do eleganckiej restauracji ze stekami – wyznała Wilkes. – Nie chodzi o to, że jakoś szczególnie lubię steki. Tylko człowiek patrzy na takie knajpy w filmach i myśli sobie: rany, ale fajnie być jedną z tych osób, których właściwie nie obchodzi nic poza grubym, soczystym stekiem.

Może nawet zamówiłabym sobie martini. Albo to drugie. Zapomniałam, jak się nazywa?

– Margarita?

– Nie, margaritę znam – odparła Wilkes, nagle dziwnie wkurzona.

Ofelia uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Ja nie jem mięsa. Ale chętnie wypiłabym z tobą margaritę.

– Jesteś wegetarianką? Też byłam. Przez chwilę. Nie przyjęło się. To ma związek z hinduizmem, nie?

Ofelia wzruszyła ramionami.

– Dla niektórych. Mnie chodzi raczej o zdrowie. A poza tym moi rodzice są wegetarianami. Nie chcę ich rozczarować.

– Ja się martwię, że rozczaruję Vincenta. Głupie, co? Dlaczego mnie to w ogóle rusza? Przecież nie oferuje mi nieba pełnego seksownych prawiczków. Wy, zdaje się, to dostajecie w niebie, tak?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Pamiętałabym. Ale my się tylko rodzimy na nowo. Chociaż twój pomysł podoba mi się bardziej.

– Parę dziewczyn też by mogło być, bo życie jest krótkie i trzeba spróbować wszystkiego, prawda?

Ofelia postanowiła na to nie odpowiadać.

– Vincent rzeczywiście potrafi zapewnić sobie lojalność stwierdziła.

Wilkes spojrzała na nią bardzo poważnie tym swoim okiem ze ściekającym tuszem do tatuażu.

– Umarłabym dla niego. On chyba nawet mnie nie lubi, a ja bym, kurde, dla niego umarła.

– A ja umrę dlatego, że Charles i Benjamin Armstrongowie są jak zaraza.

W jej słowach był jad. Zero uśmiechu. Tylko gniew, szybko zamaskowany, ale Wilkes go wychwyciła i wyszczerzyła się radośnie.

– Czegoś mi nie mówisz – rzuciła.

– Nie ma czasu. I to nie jest odpowiednie miejsce – odparła Ofelia surowo.

– To jeśli z tego wyjdziemy?

Ofelia kiwnęła głową i posłała Wilkes uśmiech, który mógł być jednym z jej ostatnich; tęskny, zabarwiony żalem.

– Jeśli przeżyjemy, zagramy w dwadzieścia pytań.

– To co, pora iść? – Wilkes zirytowała się, słysząc drzenie we własnym głosie.

Ofelia nie odpowiedziała. Sięgnęła do czoła,

odldeiała bindi znad nosa i schowała do małej kieszonki džinsów. Wreszcie wstała, wyszła z bistro i przestąpiła próg sklepu z upominkami.

Plath złapała z lady świeżo podane potrójne odtłuszczone cappuccino i chlusnęła nim w twarz One-Up.

– Aaaaach!

– Wiejemy! – syknęła.

Wybiegli ze Starbucksa. Ze Starbucksa, który był najbliżej budynku AFGC.

Głupi błąd. Teraz Plath to rozumiała. Głupi! To oczywiste, że ludzie z AFGC tutaj przychodzą. Oczywiste. I jasne, że inny tiker – osoba, która wie, jak to jest być w dwóch miejscach naraz – zauważy oczy wbite w przestrzeń, spojrzenia wpatrzone w rzeczy niewidzialne w makro, i się domyśli.

A oni patrzyli na siebie błędnym wzrokiem, strzelali oczami na wszystkie strony i nie widzieli się nawzajem, chociaż siedzieli twarzą w twarz. Dziewczyna-rekin wyczuła, kim są.

Wypadli na ulicę, rozglądając się dziko.

– Za mną! – zawołała Plath.

– To twoje miasto – wysapał Keats.

Ale One-Up już pędziła za nimi, w kurtce ociekającej kawą i pianką. Była młoda, sprawna i szybka, ale nie dość szybka, żeby łatwo ich dogonić, tym bardziej że w biegu wybierała numer w komórce.

– Ostrzeże ich! – krzyknął Keats.

Gnali, przepychali się między obojętnymi przechodniami, ślizgali się na upuszczonych hot dogach, biegli na oślep, choć Plath zachowywała się, jakby miała plan. Jednocześnie widzieli, jak ogromne paluchy dotykają dalekich ran na grzbiecie beagle'a.

– To nie weterynarz! – wydyszał Keats. – Głaszczcie, a nie bada.

– To oni.

Skierowali bioty w stronę rany i tych palców Boga, które sięgały z mglistego nieba pełnego zamazanych kształtów.

Galopowali po sierści. Nie schodzili na skórę, ale przeskakiwali z włosa na włos – z jednego poziomego szparaga na drugi. Chwyтали się kłaków i dawali susy. I rany, to by była naprawdę niezła zabawa, gdyby nie fakt, że w makro masa ludzi korkowała skrzyżowanie przed nimi.

Wystarczyło, żeby One-Up ich dotknęła. Żadne z nich nie miało biotów przy sobie. Nie mogli się bronić. Jedno dotknięcie i rój nanobotów znalazłby się na nich, w nich.

Wyścig z pnia na pień!

Obiegli tłum z boku i przez minutę zdawało im się, że zyskali trochę przewagi, ale nagle pokazała się rozpedzona One-Up. Zmniejszyła dystans do połowy. Próbowali przejść przez ulicę, ale jezdnią płynął nieprzerwany strumień żółtych taksówek. Pozostało im tylko wyeliminować dziewczynę.

To przypominało berka. Wystarczyło, żeby dotknęła ich dłonią.

– Dajcie tiker na moją częstotliwość! Już, już, już! wrzeszczała do telefonu.

Plath słyszała ją wyraźnie. Ich oczy się spotkały. Jedno dotknięcie i tiker, który z pewnością już nadciągał, żeby przejąć nanoboty One-Up, wyśle śmiercionośne maszynki w głąb ciała Plath albo Keatsa. Nanoboty wbiegną do jej oczu albo uszu, do mózgu, i zniszczą zabezpieczenie tętniaka, a może po prostu zaczną kablować jej zwoje.

Dobra, pieprzyć to.

Plath złapała jakąś babkę, obróciła ją i pchnęła pod nogi One-Up. Kobieta runęła jak długa, ale dziewczyna przeskoczyła nad nią jak olimpijka. Ale potem wylądowała na czymś mokrym i się poślizgnęła.

Światło się zmieniło, taksówki zahamowały z piskiem i Keats z Plath znaleźli się w środku gęstej grupy przechodzącej przez ulicę; ludzie spieszyli się, popychali, a te przekłete boskie palce nadał głąskały sierść; dłoń przesłoniła słońce, cały front burzowy z pobrużdżonych pól, które wisiały nieprawdopodobnie do góry nogami.

– Skacz! – wrzasnęła Plath i Keats w pierwszej chwili źle ją zrozumiał; podskoczył na przejściu dla pieszych.

Bioty Plath wystrzeliły w górę, obróciły się w

powietrzu jak koty albo muchy, i chwyciły się pola upstrzonego perełkami potu.

Dłoń przemknęła dalej i Keats został zmieciony na dół, czy w niebo, czy jaki to był kierunek, do cholery.

– Keats!

Jego bioty wybiły się, chybiły i spadły z powrotem na beagle'a. Plath krzyknęła. Dostrzegła mężczyznę opartego na lasce. Nie wyglądał na takiego, co koniecznie potrzebuje laski, więc mu ją wyrwała, zawróciła i ruszyła prosto na rozpędzoną tikerkę.

Nie machnęła łaską; dźgnęła nią. Gumowy koniec trafił One-Up w pierś i dziewczyna powiedziała „uuf” jak w komiksie; niemal widać było dymek z napisem.

Plath uderzyła jeszcze raz – kolejne pchnięcie. Potem chwyciła łaskę – porządną drewnianą lagę – i spuściła ją z całej siły na uniesione w obronie ramię rekinowatej.

One-Up zawyła z bólu, a Plath tłukła ją bez opamiętania, cały czas wrzeszcząc:

– Wal się, suko!

W końcu, kiedy tikerka leżała już zakrwawiona, Plath wykopała jej z dłoni telefon. Poleciał na drugą stronę chodnika.

Keats i Plath znów zaczęli uciekać, bo Nowy Jork to nie miejsce, gdzie można pobić kogoś i

spodziewać się, że nie przyjadą gliny.

Wcześniej czy później.

Więc Keats chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

– Rozdzielili nas – rzucił bez tchu.

– Wiem. Wiem.

Bioty Plath gnały na oślep po dłoni, nie mając pojęcia, dokąd się kierować i co robić. A w makro nie było lepiej.

– Ten żakiet jest za ciężki. Chyba włożę letnią sukienkę.

Coś bez rękawów. – Nierozpoznawalne brzmienie nawet przez sensory dwóch nanobotów specjalnie zmodyfikowanych do odbierania długich fal dźwiękowych. Nawet najlepszy sprzęt, zwany „wielkie uszy”, zmieniał każdy głos w piskliwe zawodzenie.

Ale dziwaczne poczucie humoru było typowe dla prezydent Stanów Zjednoczonych.

– To z pewnością ściągnie uwagę mediów, pani prezydent. – Drugi głos należał do Liz Law, prezydenckiej osobistej asystentki, która w tej chwili zupełnie nieświadomie przenosiła małą, ale potężną armię.

– W kwietniu miałam zaszczyt spotkać się z Jej Wysokością Królową. – Prezydent ćwiczyła toast. – Jej Wysokością. Jej Wysokością Królową.

Zadanie Bug Mana ostatecznie okazało się łatwe.

Wykonał wszystkie pośrednie skoki. W Waszyngtonie, a potem znów w Nowym Jorku. Jak pasażerski samolot z kilkoma międzylądowaniami albo jak pchła przeskakująca z psa na psa. Teraz wszyscy jego chłopcy – dwa tuziny żołnierzy, czterech tkaczy – byli gotowi i w szczytowej formie czekali niecierpliwie na palcu Liz Law.

Optyka nanobota miała mocne i słabe strony. Bioty widziały z większą rozdzielczością, to jeden z ich atutów. Poza tym niesamowicie szybko wykrywały ruch i bezpośrednio łączyły oko, umysł i działanie, więc w walce jeden na jeden miały zyskiwały przewagę nad nanożołnierzami.

Ale nanoboty były maszynami i miały wszystkie zalety maszyny. Po pierwsze, ich wizualne dane dało się scalić i uzyskać obraz makro. Wystarczyło ustawić kilkanaście nanobotów w szeregu, wycelować ich sensory w tym samym kierunku, a komputer konsoli zlepił z tych dwunastu maleńkich obrazków jeden większy. Nanoboty przesyłały dane cyfrowe, a z tymi można zrobić wszystko.

Używanie optyki w ten sposób to skomplikowana sprawa i trzeba było utrzymywać sporą część oddziału w miejscu, czego Bug Man bardzo nie lubił. Żaden tiker tego nie lubił. Ale czasami się opłacało.

I teraz też się opłacało, bo zobaczył twarz: znajomy obwisły podbródek, z którego żartowali

komicy, senno-bystre oczy, sztywną, brązową fryzurę, trochę zbyt modne kolczyki wszystko. Bodaj najbardziej rozpoznawalną twarz na świecie.

To był tylko przebłysk, bo Liz Law krzątała się wokół pani prezydent. Więc Bug Man ujrzał talerz i biurko, i rękaw, i szmatkę użytą do starcia czegoś z tego rękawa, i znów prezydencką twarz, potem okno...

– W kwietniu miałam zaszczyt spotkać się z Jej Wysokością Królową. Kiedy mój dobry przyjaciel, premier Bowen, dołączył do nas, jej wysokość wytknęła mu... O co chodzi, Tom?

Nowy głos, męski, zbyt daleki, żeby zrozumieć słowa. Powiedział coś krótko.

– Świetna wiadomość – odpowiedziała prezydent. – Dobra robota, Tom. Przekaż przewodniczącemu, że siedem procent wystarczy.

Bug Man siedział w gabinecie dentystycznym przy Pierwszej Alei, dokładnie na wprost siedziby ONZ. Z zewnątrz gabinet bardzo przypominał bar. W środku bardzo przypominał bar po dzikich zawodach w picie, bo dentysta, recepcjonistka, higienistka i dwójka pechowych pacjentów leżeli poukładani jak drewniane kłody pod tylną ścianą, nafaszerowani wstrzykniętym narkotykiem, który zapewniał miły, długi sen.

Tabliczka na frontowych drzwiach głosiła: „Nieczynne z powodu choroby”. Poniżej prośba do

pacjentów o telefon w celu przełożenia wizyty.

Technicy AmericaStrong przenieśli sprzęt do dwóch gabinetów zabiegowych i teraz monitory wisiały na sprężynowych kablach nad fotelami dentystycznymi, a kable pospinane rzepami w pęczki wiły się po sterylnych podłogach. Bug Man siedział na fotelu w gabinecie A, a Burnowski w gabinecie B.

Ku lekkiej irytacji Bug Mana stary też pokonał swoją ścieżkę dostępu. I ulokował się na pokładzie asystentki vel dziewczyny chińskiego przywódcy.

Prezydent nadal przebywała w hotelu Hilton Manhattan East, zaledwie kwartał od gabinetu. Bug Man wiedział, że będzie miał bezpośrednią łączność przez cały czas, od bankietu w Hiltonie po Zgromadzenie Ogólne ONZ.

Spodziewał się, że kiedy Morales wejdzie na podium, żeby przemówić, on będzie już pracowicie kładł przewody w jej mózgu.

Chińska placówka ONZ znajdowała się trochę dalej, przy Czterdziestej ulicy, w nowym, eleganckim wieżowcu zbudowanym przez Chińczyków. Ambitnie chcieli, żeby ich kraj postrzegano jako drugie supermocarstwo na świecie. Burnowski musiał używać wzmacniaków. Bug Man życzył mu samych zakłóceń.

Chłopakowi nie wystarczał własny sukces; pragnął też porażki tego starego capa. Wtedy sam stanąłby na szczycie świata tikerów.

PeEsZet przeszła do mniejszego pokoju. Obraz zawirował jak szalony, kiedy palec Liz Law sfrunął na dół, a potem znów wystrzelił do góry, by coś wziąć.

Bug Man zobaczył niebo z włókien grubych jak liny wiszącego mostu.

Ubranie.

Czy to ciuch pani prezydent? Czy już czas?

Ale nagle włókna odleciały w przestrzeń i spoczęły na prezydenckich barkach.

– Chwileczkę, pani prezydent, ja to poprawię – powiedziała Liz Law.

Bug Man wyraźnie widział twarz Morales przez optykę zwartego szeregu nanobotów. Czyżby przegapił właściwy moment? Ogarnął go strach. Co zrobią Bliźniacy, jeśli...

Ale nie, dłoń pędziła już w stronę prezydent, dotykała, przyglądała, i teraz, teraz, teraz!

Armia Bug Mana pognała po opuszcze palca i skoczyła.

Dwanaście nanobotów spadało jak owadzi pluton desantowy po stoku z samolotu.

Ziemia – te same włókna – zbliżała się błyskawicznie.

Bug Man poczuł dwadzieścia osiem leciutkich zderzeń, kiedy jego armia wylądowała na klapie żakietu prezydent Stanów Zjednoczonych.

25

Ofelia ruszyła prosto do ekspedientki.

– Przyjmujecie karty MasterCard? Znaczący, wiem, że na pewno przyjmujecie Visę, prawda? Bo to ONZ? Visa? Rozumie pani?

Kiedy Ofelia zajmowała sklepową, Wilkes podeszła do stojaka z książkami, zmięła kartki kilku miękkich wydań, wyjęła zapalniczkę i podpaliła tyle, ile zdążyła, zanim kobieta zareagowała.

– Hej, co ty robisz! Co robisz?

Wilkes uśmiechnęła się, a Ofelia podreptała szybko do półki z pluszakami i książeczkami dla dzieci i zrobiła użytek z własnej zapalniczki.

– O Boże, co wy wyprawiacie? – Ekspedientka wymachiwała rękami, jakby trzepoczące palce mogły rozwiązać problem.

Garść klientów w sklepie musiała zdecydować: krzyczeć, uciekać, krzyczeć i uciekać czy próbować osaczyć te dwie wariatki.

Wilkes sięgnęła pod spódnice, aż do gumy legginsów, i wyjęła coś, co wyglądało jak prawdziwy pistolet. Tak naprawdę był z plastiku, dlatego spokojnie wniosła go przez bramkę ochrony. I gdyby klienci – którzy teraz cofali się, podnosili ręce i mówili: „Chwila, chwila, spokojnie” – przyjrzeni mu

się uważniej, zauważyliby, że to podróbka.

Ale kiedy wariatka wywija ci spluwą przed nosem, raczej nie szukasz numerów seryjnych.

Ofelia podpaliła kupkę błyszczących albumów pamiątkowych i porządny czarny dym unosił się do sufitu.

Rozdzwonił się alarm.

Zraszacze zaczęły pluć i parskać, aż wreszcie zalały wodą cały tandetny towar.

Ekspedientka – trzeba jej oddać sprawiedliwość – nie uciekła, więc Ofelia niechętnie trzasnęła ją w tył głowy szklaną śnieżną kulą, po czym obie z Wilkes wpadły za ladę, na zaplecze, potem przez drzwi, do magazynu. Było to dość ciasne pomieszczenie pełne cienkich tekturowych pudełek, w większości z chińskimi napisami obok angielskich.

Niczym niezamaskowane tylne drzwi prowadziły na pusty oświetlony korytarz. Na końcu pewnie znajdowała się jakaś rampa ładunkowa albo winda towarowa.

– To nie tu – rzuciła Ofelia.

– To musi być tu. Musi – warknęła Wilkes. – Inaczej pójdziemy siedzieć za podpalenie.

– I napaść – dodała Ofelia, która wciąż trzymała w dłoni szklaną kulę.

Biegały wzdłuż ścian małego magazynku. Odpychały pudła, przewracały wszystko, co im tarasowało drogę. Ze sklepu wciąż dochodziły

krzyki.

– Co tu się dzieje? – spytał ktoś władcym tonem.

– Dwie wariatki!

– Dokąd poszły?

A potem trzask walkie-talkie. Głos strażnika wzywał wsparcie i nakazywał zamknąć hale rozładunkowe.

– Tutaj! – szepnęła Ofelia. Na ścianie znalazła jedno miejsce niezastawione pudłami; mur był zasłonięty zaskakująco dużym plakatem z wizerunkiem dawnego szefa ONZ, Ban Ki-moona.

– Fakt, nikt nie jest aż takim fanem Ban Ki-moona zgodziła się Wilkes. Zdarła plakat i odsłoniła bardzo zwykłe drzwi, chronione bardzo niezwykłym czytnikiem kart magnetycznych.

Dostały wyraźne zalecenia. Miały tylko wzniecić pożar, ściągnąć gliny i strażaków; że to prawdopodobnie wystarczy.

– To zadanie na trójkę z plusem – powiedział im Vincent.

Ale teraz, kiedy obie czuły bużującą adrenalinę, żadna nie chciała poprzestać na trójce z plusem.

Wilkes załomotała w drzwi.

Nic.

Kopnęła w nie butem, a do sklepu przyszedł chyba drugi strażnik, bo dała się słyszeć niespokojna, przyciszona rozmowa.

Zostały im sekundy.

Nagle stłumiony głos zza drzwi.

– Kto tam?

Ofelia spojrzała na Wilkes, która zniżyła głos i wypaliła:

– Bug Man. Otwierać.

– On jest Anglikiem – syknęła Ofelia.

– To ja, Bug Man, kurna mać, odmykaj te pieprzone drzwi, muszę do kibla – wrzasnęła Wilkes w „brytyjskim” slangu.

– Użyj karty magnetycznej – odparł.

– Zgubiłem to diabelstwo, co nie? Otwieraj, kapcane! Całkiem nieźle naśladowała Ruperta Grinta. A przynajmniej amerykańską wersję Rona Weasleya.

Ku ich osłupieniu drzwi otworzyły się, a tam TZD w charakterystycznej koszulce polo i spodniach khaki.

Wilkes wbiła mu plastikowy pistolet pod brodę i pchnęła go do tyłu.

Ofelia weszła za nią i zatrzasnęła drzwi. Kiedy TZD zaczął się orientować, że broń nie jest tak twarda, jak powinna, huknęła go w nos swoją kulą, która pękła i rzygnęła mu na koszulkę sztucznym śniegiem i kawałkami plastikowej makiety siedziby ONZ.

TZD nie stracił przytomności; szybko dochodził do siebie i załapał, że ma kłopoty, że pistolet nie jest

prawdziwy i że może właśnie sam pozbawił się życia, więc odwzajemnił się dzikim, na wpół ślepy m ciosem.

Wilkes przefasonowała mu jaja za pomocą martensa, rąbnęła go pięścią w twarz, Ofelia poprawiła, i zrobił się młyn.

TZD padł na plecy, ale trzymał Ofelię za gardło, więc Wilkes zaczęła kopać go w skroń. Trach! Trach! Trach! I jeszcze.

I jeszcze.

Ofelia zdołała oderwać jego dłonie od swojej szyi, ale Wilkes nie przestawała, dopóki bok głowy mężczyzny nie zrobił się czerwony i nie pokazały się kawałki kości.

– Dość, dość – wysapała Ofelia.

Wilkes jeszcze raz pociągnęła go z buta, jakby chciała powiedzieć: I ani się rusz, ścierwo.

Ofelia uznała, że ta dziewczyna ma poważne problemy osobowościowe.

Przeszukała półprzytomnego TZD, który z pewnością nigdzie się nie wybierał. Znalazła paralizator, walkie-talkie i pistolet.

Spluwę podała Wilkes, która wyrzuciła swoją zabawkę.

Ten raczej jest prawdziwy – oceniła i dodała: – Chyba złamałam sobie duży palec u nogi. Rozejrzały się. W pomieszczeniu zobaczyły tylko krzesło i

dwoje kolejnych drzwi. Jedne otworzyły się z łatwością – do łazienki. Drugie chronił czytnik, więc musiały znów przeszukać strażnika, żeby dostać się do karty.

– Cóż – mruknęła Ofelia. – Chyba dotarliśmy dalej, niż powinnyśmy.

– Mhm, Vincent raczej tego nie oczekiwał. Zdaje się, że zamiast trójki z plusem zarobiłyśmy już na solidną czwórkę.

– Moim zdaniem miałyśmy farta, ale teraz naprawdę tkwimy w tym po uszy.

– Dywersja i sabotaż, zgadza się?

Ofelia wzięła drżący wdech.

– Jeśli za tymi drzwiami siedzą tikerzy, to oni są naszym celem. Zastrzelimy ich albo zainfekujemy i wynosimy się stąd.

– Może po trochu jednego i drugiego? – spytała Wilkes.

– Pif-paf, palec w oko i wiejemy gdzie pieprz rośnie.

– To do dzieła, siostró.

Keats został sam w sierści beagle'a. Dłoń zniknęła, a bioty Plath razem z nią.

– Nie martw się o mnie – rzucił nagłaco. – Biegnij!

Plath pogoniła swoje bioty po polu dłoni. Kiedy odnoże biota musnęło pączek potu, pękł jak balon z wodą.

– Nie wiem, czy to on. Oni.

Stali zasapani w zimnym, brudnym zaułku; Keats trzymał Plath za ramiona. Oparła się plecami o pobazgraną ceglana ścianę. Wdychali parę ze swoich ust.

– Nie zatrzymuj się. Leć w stronę światła. To cię pewnie zaprowadzi do głowy. Do celu.

– A ty?

– Znajdę inną drogę – odparł Keats.

Syreny. Może wcale nie chodziło o nich. Przecież to Nowy Jork i syreny często tu wyją.

– Nie możemy odejść za daleko, ale nie możemy też zostać tutaj. Na ulicach zaraz zjawią się ludzie Armstrongów i gliny – powiedział Keats zdesperowany, bo tak się czuł. Dokąd możemy pójść?

– Tam. – Plath wskazała żółty szyld wypożyczalni samochodów po drugiej stronie ulicy – Co?

– Wynajmiemy samochód. I będziemy jeździć wokół kwartału.

– Niezłe – przyznał. – Okej. Okej. Zaraz. Jesteśmy za młodzi.

– Cholera jasna – krzyknęła Plath, kiedy jej bioty zbiegły z linii papilarnych na teren poprzecinany głębokimi dolinami, który zaczął się wznosić, wyginać, wypaczać. Dłoń się zamykała i jej „dzieci” znalazły się w ciemności, biegły po ścianie

zwiniętego krajobrazu, dokąd? Dokąd?

– Tam. – Keats machnął w stronę śmietnika i pociągnął Plath za sobą. Uniósł ją, trzymając za biodra. Jej siedzenie znalazło się tuż przy jego twarzy. Stanowczo zbyt bliski kontakt i w bardzo nieodpowiednim momencie, uznał. Włazł do pojemnika za nią.

W środku przynajmniej było sucho, bo większość wyrzuconej chińszczyzny zamarzała na kość w czasie mroźnej nocy. Wiedzieli, że to się zmieni, kiedy ciepło ich ciał rozmrozi najgorsze świństwa. Ale nie cuchnęło tak okropnie, jak by mogło.

Keats zaciągnął za nimi pokrywę i przylgnęli do siebie w śmieciach.

– Może on znowu pogłaszcze psa – odezwała się Plath.

– Może.

Leżeli w tym fajansie przytuleni na łyżeczkę. Od biotów dzielił ich niecały kilometr, a zarazem cały wszechświat.

Z nieba opadły ręce. Keats znów zobaczył palce. Wyciągały się w stronę przeoranego lasu, gdzie znajdowała się rana.

Palce. Potem z nieba spłynęła rura – ogromna jak największy wąż strażacki świata. Jak kolektor ściekowy pod ulicą.

Z otworu rzygnęła krystaliczna maź i zaczęła

krętymi zawijasami lądować na ranie.

– Opatrują psa. Teraz widzę gazik. Jak biały koc wielkości kwartału – relacjonował Keats.

– Zeszłam już z dłoni. Idę po przedramieniu – zaraportowała Plath.

– Chciałbym cię dogonić – przyznał Keats. – Wolałbym, żebyś nie robiła tego sama.

– Tylko uważaj na siebie – powiedziała Plath. Otaczały ją ramiona Keatsa i czuła jego ciepło, i bała się, i gardło miała tak zaschnięte, że ledwie przełykała. Jak to możliwe, że potrzebuje go nie tylko tu, ale i tam, potrzebuje go nie tylko w makro, ale i w bebeciach?

Jej bioty śmigają przez rzadki las włosków na ręce. Wpadły pod rękaw – niebo ze splecionych lin. Czy to chociaż właściwa ręka? Czy to któryś z nich, czy może drałuje po ramieniu jakiegoś pionka albo asystenta?

– Podłączę się do oka psa. – Keats posłał biegiem swoje bioty po koronie tego kosmicznego lasu.

– Nie chcę zwariować w śmietniku, Keats.

– Nie mam na imię Keats.

– Nie zdradzaj mi prawdziwego imienia – szepnęła.

– Ja znam twoje.

– Mam na imię Plath – powiedziała bardziej zdeterminowana, niż się czuła.

– Mijam gazik. Jest jak namiot cyrkowy! Plaster ciągnie za włosy. To jest...

– Myślisz, że polubilibyśmy się, gdyby nie ta cała akcja? spytała.

– W ogóle byśmy się nie spotkali – odparł.

Wiekó śmietnika się otworzyło. Serca podeszły im do gardeł.

Do środka wpadła torba z McDonalda i wieko znów się zamknęło.

Słyszeli odgłosy ulicy, szmery zaułka. Rozmowy, krzyki i śmiechy, normalność... i zupełnie im to nie pomagało, bo byli milion kilometrów od normalności.

– Dotarłem do głowy. Krótsza sierść – zameldował Keats. Oby ten pies nie miał pcheł ani wszy, ani... Powieka. Już jestem. Nużeniec. Nie cierpię nużeńców. Ale te są inne. Jezu.

Trzymał twarz tuż przy jej szyi. Pachniała frytkami. I nie mógł się oprzeć pokusie, by pocałować tę szyję, kiedy tak gnał w stronę powoli mrugającej powieki i czarnego jeziora oka bez białka.

Plath poczuła jego wargi na szyi i westchnęła, i nie opierała się, pędząc z maksymalną prędkością – dwa bioty, dwa okienka otwarte w jej głowie, jeden widział drugiego, jak ten prze naprzód, robaka, który jakimś cudem był nią. Siedziała tam, w tych stworzeniach, a jednocześnie drżała od dotyku Keatsa.

– Nie pozwolę ci zwariować, Keats.

– Za późno. Już zwariowaliśmy.

Odwróciła się i go pocałowała. W tej samej chwili zorientowała się, że cienkie, rzadkie włosy na ciele przeszły w nierówną, poszarpaną porębę ogolonej twarzy.

Czy to twarz Bliźniaków Armstrongów?

A jeśli tak, to co?

Całowała Keatsa. Czowała, jak jej ciało reaguje, i zastanawiała się, czy popełni morderstwo.

I nagle bingo. Pokój, słabo oświetlony, z dwiema konsolami i dwoma tikerami – półleżącymi, w rękawicach, w hełmach, z podwieszonymi monitorami, a na ekranach dwie maszerujące armie nanobotów.

Sześć twarzy odwróciło się i spojrzało na Wilkes i Ofelię. Tikerzy z początku ich nie zauważyli, ale inni owszem, i zareagowali szybko. Jednak nie tak szybko jak Wilkes, która pociągnęła serię z pistoletu Bam! Bam! Bam!

– Zdychać, kurwa! – wrzeszczała. Strzelała do kobiet i mężczyzn, ekranów i ścian.

Ofelia pobiegła do najbliższego tikera, chłopaka czy młodego mężczyzny – nie widziała jego twarzy. Wpakowała dłoń pod maskę i dwa jej bioty zeskoczyły na pryszcz jak Wezuwiusz, na wściekle czerwoną górę.

Tiker zerwał hełm i poraził Ofelię paralizatorem;

padła na kolana, a czyjś but kopniakiem przewrócił ją na plecy.

– Ofelia! – krzyknęła Wilkes i strzelała, i strzelała, aż wyczerpały się naboje. Wtedy rzuciła pistoletem w najbliższy monitor.

Ktoś bardzo duży pchnął ją na ścianę.

No, pomyślała, to była przynajmniej piątka z minusem.

Paznokiec Tatiany, ogromna krzywizna łuskowatej keratyny, dotknął skóry pani prezydent, przypominającej spękaną ziemię porośniętą lasem bambusowym.

– Kontakt – powiedział Niżyński.

– Naprzód – rzucił Yincen.

Byli w tłumie na placu przed budynkiem ONZ. Wśród ludzi, którzy przybyli tu z płonną nadzieją, że zobaczą kogoś ważnego. Albo przyszli zebrać, albo wykrzykiwać jakieś slogany i machać transparentem.

Spora część zgromadzonych wydawała się bardzo wzburzona czymś, co się dzieje w Gabonie – kraju, który Niżyński z grubsza potrafił umiejscowić w Afryce. Tak czy inaczej, skandowali z wielkim entuzjazmem i w skomplikowanym, chwytliwym rytmie.

Mniejsza grupa złościła się z powodu globalnego ocieplenia, a trzecia banda była w imprezowym nastroju i ewidentnie mocno podpita. Kontestowali zamykanie plaż nudystów we Francji.

Niżyński nie miał wyrobionego zdania na temat Gabonu i nie bardzo obchodziło go globalne ocieplenie, ale widział kilka plaż nudystów. Wiedział, jaki typ ludzi najchętniej się na nich rozbiera, więc pomyślał, że w tej sprawie chyba popiera francuski rząd.

Tłum zapewniał anonimowość. I odpowiednią odległość zarówno od Hiltona przy tej samej ulicy, jak i od budynku ONZ.

Minusem było to, że – aby tutaj stać – obydwaj musieli przejść przez bramki ochrony i w efekcie zostali bez broni.

Choć to prawdopodobnie nie miało znaczenia, skoro ich broń zeskakiwała właśnie na dłoń pani prezydent.

I cztery bioty pędziły teraz po bardzo sławnym przedramieniu, między rzadkimi włoskami, przeskakiwały przez martwe komórki naskórka. Niżyńskiemu stanęła nagle przed oczami wizja, jak włoką go przed komisję kongresową, żeby się wytłumaczył, co sobie wyobrażał, do diabła, że zachciało mu się buszować po ciele prezydent Stanów Zjednoczonych.

Dla nowojorskich policjantów pilnujących tej hałastry demonstracje to chleb powszedni; stali sobie dookoła w pozie „spocznij”, uważni, jednak nie nadgorliwi. Ale i Vincent, i Niżyński zakładali, że sam tłum mniej więcej w połowie składa się z

najróżniejszych tajniaków: Secret Service i agencji wywiadowczych wszystkich krajów świata, które mogą sobie pozwolić na szpiegów. Nawet całkiem możliwe, że w tej gromadzie nie było ani jednego cywila.

Więc ostrożnie, ostrzegł Vincent. Nie myśl, że nikt nas nie podsłuchuje. To, że facet obok ma na sobie batikową koszulę albo zwiewną suknię, albo siatkowe stringi, a na gołej kłacie wytatuowane anarchistyczne A, nie znaczy jeszcze, że nie jest z MI6, rosyjskiego SVR czy z Mossadu.

– Słyszę syreny – powiedział Vincent.

Niżyński, wyższy, widział nad głowami. Wozy strażackie.

Sporo ich. I z całą pewnością skręcały pod ONZ.

– Pożar – zakomunikował. Zauważył krótkie skinienie głowy Vincenta. Dobrze wiedzieli, dlaczego wozy strażackie jadą na sygnale do siedziby ONZ.

– Obie są twarde – stwierdził Vincent.

Niżyński nie powiedział nic, ale pożałował, że nie wierzy w kogoś, kto słuchałby modlitw. Ofelia była niezastąpiona. A Wilkes? To wariatka. Nawet według standardów BZRRK.

Ale ich wariatka.

– Wolisz prawe czy lewe? – spytał Vincenta.

– Lewe.

– Jak sądzisz, co to jest? Bark?

Vincent spojrział na kobietę, która przyglądała mu się trochę zbyt uważnie. Skandowała to czy tamto – głos zaangażowany, ale oczy nie.

– Tak. Bark – odparł. – Jin, weź mnie za rękę.

– Och, jak długo czekałem na tę chwilę – zadrwił Niżyński. Ale zrozumiał. Ujął dłoń Vincenta i uśmiechnęli się do siebie bardzo przyjaźnie. Oczy podejrzliwej agentki wreszcie przesunęły się na jakiś bardziej podejrzany obiekt. – Roztocze – poinformował Niżyński, patrząc Vincentowi w oczy.

– Widzę. Czuję, że to pionowa powierzchnia. Szyja.

– Tak.

Kilkaset metrów dalej cztery bioty być może odmieniały los ludzkości. A tu, w makro, do Niżyńskiego zaczęło docierać, że potrzebuje łazienki.

Kolejne wozy strażackie. Alarm najwyższego stopnia.

Zjeżdżały się mobilne drabiny i karetki. W tłumie wyczuwało się napięcie. Najwyraźniej coś się stało i demonstranci, turyści i szpiedzy zastanawiali się, co takiego.

Wśród zgromadzonych zaczęła się rozchodzić plotka. Pożar. Jakiś pożar.

– Terrorysty?

– Na razie sami strażacy.

Policjanci z nowojorskiego departamentu zdecydowanie się ożywili, a ich kapitan rozmawiał

przez walkie-talkie.

Niżyński widział niepokój w jego oczach. I przysięgłby, że zobaczył, jak wargi mężczyzny wypowiadają słowa: „Padły strzały”.

Fala informacji rozeszła się wśród gliniarzy; Ich łatwa zmiana przy pilnowaniu demonstrantów zmieniła się nagle w poważniejsze zadanie. Zaczynali się orientować, że dzieje się coś złego.

– Żuchwa – rzucił Vincent.

Ekran jego komórki rozświetlił się, pojawiła się wiadomość. Vincent pozwolił Niżyńskiemu przeczytać ją przez ramię: „Prawdopodobny incydent terrorystyczny w księgarni ONZ”.

No to po prezydenckim przemówieniu na Zgromadzeniu Generalnym, pomyślał Niżyński. Teraz Secret Service na pewno nie dopuści PeEsZet w pobliże siedziby ONZ. Nie miał pojęcia, co udało się zrobić Wilkes i Ofelii, ale na pewno coś bardziej spektakularnego niż tylko ściągnięcie ochrony do ukrytego pokoju tikerów w podziemiach budynku.

Spojrzał na Vincenta i zobaczył spięty półuśmiech.

– Ucho. Pora się rozdzielić.

– Nie zaszkodziłoby jej trochę elektrolizy – stwierdził Niżyński.

Nawet w najlepszych chwilach Vincent nie miał zbyt wielkiego poczucia humoru. W tej chwili zerowe. Nie odpowiedział.

Obydwaj skierowali bioty w górę i ruszyli do prezydenckich oczu.

ARTEFAKT Niepełny tekst wykładu Greya McLure'a, przygotowanego na seminarium MIT, na temat zagrożeń, jakie niesie ze sobą nanotechnologia. Choroba żony zmusiła McLure'a do odwołania wyjazdu i już nigdy nie wypowiedział się publicznie w tej kwestii.

Zacznijmy od kwadratowego plastra tofu, z czterdzieści pięć na czterdzieści pięć centymetrów. Teraz ostrożnie unosimy tę delikatną galaretowatą masę i zaczynamy ją zgniatać. Po chwili mamy garść pomarszczonego tofu, nierówną, oślizgłą kulę. Oto kresomózgowie. Część mózgu, która czyni człowieka człowiekiem.

Spoczywa na czymś w rodzaju odwróconego pora. To pień mózgu. A pod kulą z tofu, za pniem mózgu jest mózdzek. Wygląda trochę jak zwitek rozgotowanego spaghetti ściśniętego w jedną masę.

Ale taka mapa to nic, to nawet nie jest początek. To tak, jakby mieć mapę świata, ale tylko z nazwami kontynentów. Nie znajdziecie drogi na mapie, na której napisano jedynie „Azja”.

Nie, w głębi są jeszcze kraje. Są bariery i granice, oddzielne państwa. W mózgowiu to na przykład ośrodek Wernickego, wzgórze czy pole Broki. Są ich setki, a każdy ma wyjątkowy charakter.

Ale wciąż nie wiecie, jak się po tym poruszać.

Wasza mapa pokazuje Meksyk, Francję i Azerbejdżan. I to już lepsze, niż znać nazwy samych kontynentów, nie doprowadzi was jednak do konkretnego miasta lub domu.

Stopień złożoności mózgu jest równie wielki jak samej Ziemi.

Niecałe półtora kilo pački upchniętej w eliptyczną klatkę z kości.

W tej masie są tętnice dostarczające tlen – o wiele więcej tlenu niż do jakiegokolwiek innego organu. I potężne wiązki nerwów biegnące od nosa i uszu, palców rąk i nóg, z żołądka i serca, a przede wszystkim z oczu.

Te nerwy to magistrale danych. Przenoszą miliony bitów. I to wszystko spływa do zlepku może nawet dziewięćdziesięciu miliardów synaps. Te nerwy to oceany, porty i przestrzeń kosmiczna mózgu. A każda synapsa jest jak jedynka albo zero w komputerze binarnym. To drogi, ulice, aleje naszej mapy.

Ale ciągle jeszcze nie widzimy całej złożoności. Bo miliardy synaps tworzą nawet biliard połączeń.

Teraz widzicie, że przeszliśmy od kontynentów, poprzez kraje, oceany i rzeki, do dróg i zaułków, i dopiero tam, dopiero wtedy, kiedy zobaczycie mapę z najdrobniejszymi szczegółami, ujrzycie planetę zamieszkaną przez biliard – tysiąc bilionów – ludzi.

Wyobraźcie sobie dużą plażę. Huntington albo

Waikiki. Wyobraźcie sobie na niej ziarenka piasku. Może otrzymacie ilość zbliżoną do biliarda ziarenek piasku.

Więc jak mamy sobie wyobrażać, że zdołamy zmapować ludzki mózg z dokładnością, która wystarczy do manipulacji na poziomie psychicznym?

Otóż nie potrzebujemy biliarda. Nie potrzebujemy nawet miliardów. Nie musimy widzieć tych wszystkich szczegółów. Mózg sam odnajdzie to, czego potrzebujemy. Pokaże nam synaptyczną sieć.

Pamięć jest ulotna, bo opiera się na reakcjach chemicznych zachodzących w neuronach, rozproszonych po niemal całym mózgu. Wróćmy do tego plastra tofu. Wbijmy w niego osiem szpilek. Połączmy je liniami. Oto wspomnienie twarzy waszej matki, a każda szpilka to jego fragment.

Ale kiedy popatrzyście na ten wzór, coś zauważycie. Wszystkie te połączenia przeszły przez hipokamp. To taki router. Wystarczy podłączyć się do routera i można podświetlić siatkę wspomnienia.

Hipokamp na oko nie jest imponujący. Niektórzy twierdzą, że wygląda jak skrzyżowanie ślimaka i konika morskiego. Ledwie trzy, cztery centymetry długości, po jednym w obu półkulach mózgu.

Ale z punktu widzenia sieci połączeń w ludzkim mózgu jest jak interfejs użytkownika. To zdrajca. Judasz mózgu.

Teoretycznie można więc, za pomocą

nanotechnologii, włamać się do hipokampu i, nazwijmy to, „podświetlić” miejsce przechowywania konkretnego wspomnienia. Idąc dalej, teoretycznie można również, za pomocą wspomnianej nanotechnologii, wyłączyć całe wspomnienie. Czy też wzmocnić je albo zmienić jego wagę.

Można sobie wyobrazić świat, w którym nanorobot zdoła przeciągnąć sztuczne włókno nerwowe i połączyć dwa różne wspomnienia lub też wspomnienie z obszarami mózgu odpowiedzialnymi za konkretne emocje.

Oczywiście coś takiego byłoby zbrodniczym nadużyciem obiecującej technologii i moim zdaniem mieści się raczej w kategorii strasznych opowieści niż rzeczywistości zagrożeń.

26

Wilkes i Ofelia leżały na podłodze pod warstwą dymu wydobywającego się ze sklepu z upominkami, w którym pożar rozszalał się mimo zraszaczy.

Były ranne, ale bioty Ofelii nie wypadły jeszcze z gry, o nie – biegły przed siebie, szukając schronienia w bebeczach jednego z tikerów.

W pokoju królowała panika. Dwaj tikerzy – młody Azjata i pryszczaty biały dzieciak z masą kręconych kasztanowych włosów – zerwali hełmy. TZD wrzeszczeli: „Leżeć, leżeć”, choć mało prawdopodobne, żeby któraś z poturbowanych intruzek zdołała się podnieść.

W następnej chwili rozległy się krzyki: „Rzucić broń, już!”, i to nie byli TZD, to ochrona ONZ, i nie byle jaka, ale prawdziwi twardziele w kamizelkach kuloodpornych i hełmach, uzbrojeni w karabinki automatyczne.

Jakaś część mózgu Ofelii orientowała się, co będzie dalej.

Działania AFGC w budynku zostały ujawnione. Tego nie dało się w żaden sposób zatuszować. Bliźniacy Armstrongowie popełnili potworny błąd i teraz wszystko się wyda.

Nie mogli do tego dopuścić. A to oznaczało...

– Wysadzą nas! – krzyknął jakiś męski głos.

– Nie!

Tikerzy wyskoczyli z foteli; TZD zaczęli uciekać, odpychając ich na bok. Ochroniarze, sądząc, że to atak, zaczęli strzelać.

Ofelia złapała Wilkes za kołnierz i powlokła ją do drzwi, chociaż goście z ochrony krzyczeli, że ma się nie ruszać. Ale wiedziała, że lada sekunda ktoś naciśnie spust i...

– Oni chcą... ! – ryknęła.

I nagle eksplozja.

Ładunek wybuchowy znajdował się w walizce. Zdetonowała go zdalnie Sugar Lebowski, która widziała wszystko na ekranie na swoim stanowisku dowodzenia na pięćdziesiątym siódmym piętrze.

Jindal zszedł z pięćdziesiątego ósmego; czuł się lepiej tu, z ochroną, niż na pustym piętrze tikerów. Twarz miał koloru popiołu z papierosa. Spojrzał na Sugar przerażonymi oczami.

– Nie było wyjścia – szepnęła.

Musiała to zrobić, bo cała operacja została wykryta. To jedyna opcja – zniszczyć wszelkie ślady. Zniweczyć możliwość prowadzenia śledztwa. Ograniczyć straty.

Najpierw straciła Niżyńskiego. Teraz to.

Jezu.

Katastrofa.

Na monitorze zobaczyła błysk bieli, a potem nic.

Stała tak i zaklinała sprzęt, żeby przywrócił obraz, ale nie, to przecież niemożliwe.

Wiedziała, że po wybuchu pojawi się duszący dym i ogień o tak wysokiej temperaturze, że w pokoju nie zostanie nic.

Żaden kabel, żaden odcisk palca, nawet metalowe wypełnienia zębów. I z pewnością nie przetrwa żaden nanobot.

Trzęsa się. Ręce jej drżały.

Nie miała wyboru. Najmniejszego. To stało się jasne w chwili, kiedy na miejscu zjawiała się straż pożarna i oenzetowska ochrona; zaraz za nimi przyjechałyby oddziały SWAT i FBI, i cała reszta alfabetu agencji wywiadowczych. Namierzyliby wszystko.

Teraz znajdują tylko parę kości i niewiele więcej.

A to mogło oznaczać, że i z Sugar Leowski zostanie niewiele więcej. W ustach czuła smak wymiocin. Serce łomotało jej tak mocno, że prawie nie słyszała Jindala.

– Czy oni nie żyją? – Mówił głosem małego chłopca pytającego mamusię.

– Został z nich węgiel, do cholery – odpowiedziała szorstko.

Na ścianie pokoju dowodzenia AFGC wisiała kamera. Nawet nie była ukryta. Sugar oczywiście zdawała sobie sprawę, że Bliźniacy mają też inne kamery. Tam, na górze, trzydzieści metrów nad nią,

oglądają całą akcję. Czują to.

I dotarło do niej bardzo jasno, że będzie miała wielkie szczęście, jeśli przeżyje ten dzień. Już sama ucieczka Nizyńskiego wystarczyła, żeby rozwścieczyć Armstrongów. Owszem, Sugar została zaatakowana, zaskoczona, i owszem, Dietrich ponosił część winy, ale ci dwaj nie należeli do wyrozumiałych, łaskawych ludzi. Tak czy inaczej, wszystko bladło w porównaniu z tym.

Czy była na tyle cenna dla firmy, dla Charlesa i Benjamina, że zachowają ją przy życiu? Czy w ogóle dotrze do domu i zobaczy się z córką?

Odwróciła się przodem do kamery.

– To tylko dwaj tikerzy – powiedziała. – Ciągłe mamy Bug Mana, Burnowskiego, One-Up i Dietricha. One-Up się spóźnia, ale można na niej polegać. Kiedy dołączy do Dietricha na

stanowisku w hotelu, przekierowalibyśmy do niego nanoboty Kima albo Alfreda. Jeśli panowie wolicie, moglibyśmy też zdjąć One-Up z jej obecnego celu.

Oczywiście zero odpowiedzi.

Sugar skrzyły się wnętrzości. Spojrzała na monitor łączący ją ze stanowiskiem w hotelu. Ekran ukazywał Dietricha – jako rezerwowany tiker zakładał na siebie już sprzęt. Spojrzała dalej. Kamera była pod złym kątem. Fotel One-Up stał po drugiej stronie łóżka, które tam przesunięto, żeby nie przeszkadzało;

na dodatek światło wpadające przez okno lekko oślepiało kamerę.

Ale kiedy Sugar dobrze się przyjrzała, zobaczyła, że dalszy fotel wciąż jest pusty. Właśnie zapewniła Dwugłowca, że na One-Up można polegać. Dziewczyna zachowywała się jak primadonna, ale zawsze się zjawiała. Ale to nie czas na jej fochy.

– Cholera, gdzie One-Up?! – krzyknęła Sugar. Powoli traciła spokój, gdy w oczy zaglądał jej własny prawdopodobny zgon.

Jindal podskoczył. Inni w pokoju też podskoczyli. Wszyscy patrzyli na nią oskarżycielskim wzrokiem, bo zdetonowała bombę.

– Ona... – zaczął Jindal. – Przecież wiesz, że zawsze musi się napić kawy ze Starbucksa. Wyszła i... – Wzruszył ramionami, rozejrzał się bezradnie. – Cała One-Up. To taki przesąd.

Przecież wiesz! Połowa z tych tikerów ma natręctwa. Wszyscy są szurnięci.

Zadzwoił telefon Sugar. Tym razem sama podskoczyła.

To na pewno oni. Bliźniacy.

Z żołądkiem ściśniętym ze strachu spojrzała na numer.

Spoza listy. Wcisnęła guzik i przysunęła telefon do ucha.

– Kto tam? – warknęła.

– To ja, to ja, próbuję się dodzwonić!

One-Up.

– Powoli – powiedziała Sugar z całym autorytetem, jaki zdołała z siebie wykrzesać. – Wytlumacz się.

Słuchała przez chwilę. I zerkała na kamerę, i wyobrażała sobie te wynaturzone twarze, wyobrażała sobie te straszne oczy, które się w nią wwiercają.

Teraz już miała niemal całkowitą pewność, że nie przeżyje tego dnia. Oczami duszy zobaczyła swój dom. Swoją córkę.

Męża. Nie przepadała za nim, ale był niezłą przykrywką.

Bliźniacy każą ją zabić. Zrobi to któryś z jej ludzi. Rozejrzała się szybko po gniewnych twarzach dookoła. Jeden z was, pomyślała. Jeden z was.

Chciałaby się rozplakać. Ale jeśli jakimś cudem miałyby uniknąć śmierci, to tylko stawiając czoło temu nowemu zagrożeniu.

To dawało jej szansę – desperacką szansę.

Odwróciła się od monitora do swojego zastępcy – zwalistego, ale bystrego ekspliniarza Paula Johntza.

– Paul. Oni przeniknęli do budynku. Jest co najmniej dwójka tikerów BZRK. Żeby obsługiwać bioty, muszą się trzymać w zasięgu. Zbierz wszystkich ludzi, jakich mamy, i za mną.

– Podpinam się do nerwu wzrokowego – poinformowała Plath. Pokazano jej, jak to zrobić. Ale

tylko raz.

Wbiła sondę – sztywną, małą włócznie przyczepioną do kawałka nanoprzewodu. Musiała posługiwać się szczypcami modliszki, a to niezbyt wygodne. To jakby rzucać harpunem, mając szczypce homara.

Sonda zanurzyła się i... I nic.

Plath ją wycofała. Wkłuła głębiej w nerw. I nagle:

– Aach!

– Ćśś – rzucił Keats. – Ludzie.

W pobliżu śmietnika coś się poruszało. Plath zamilkła.

Otworzył jej się nowy obraz. Dziwaczny. Jak gdyby okno w oknie. Jak obraz w obrazie w telewizorze, tyle że ten był czarno-biały i ziarnisty, z pikselami po dwa centymetry.

Nagle sobie przypomniała: nieobrobiony obraz z nerwu wzrokowego jest do góry nogami. Odwróciła go w głowie, na ile mogła, ale i tak nic z tego nie rozumiała.

Wyciągnęła sondę. Wkłuła ją jeszcze dwa razy... i wreszcie coś uchwyciła. Obraz był nieostry, wciąż ziarnisty, ale pole widzenia się poszerzyło; nie miała już wrażenia, że patrzy na świat przez słomkę.

Widziała oko. To samo, którym patrzyła.

Widziała lustro. Bingo.

Żołądek zawiązał jej się w supeł. Tak, to lustro

lub też jego elektroniczny odpowiednik; teraz oko przesunęło się po tej gładzi i nie spoglądało już samo na siebie. Patrzyło na twarz.

Twarz niepodobną do żadnej innej.

– To oni – szepnęła bezgłośnie.

Keats przytulił ją mocniej.

Bug Man i Burnowski jednocześnie odczytali na monitorach tę samą wiadomość.

One-Up zaginęła. Kim i Alfredo nie żyją. ONZ zamknięte.

Musicie przejąć wasze cele.

CBA.

CBA. Charles i Benjamin Armstrongowie.

Bug Man i Burnowski.

Obydwaj dotarli do swoich celów.

Dwie armie nanobotów były na miejscu. Jedna w przywódcy Chin. Druga w przywódcy Stanów Zjednoczonych.

Nanoboty Kima też stały na pozycji, w premier Indii, Chauksey. Małej armii Alfreda wciąż brakowało dwóch skoków do premiera Hayashiego. Te siły chwilowo pozostaną unieruchomione, dopóki nie przełączy się ich pod kontrolę innego tikera. A to potrwa.

W ocenie Bug Mana Dietrich nie był dość dobry, żeby dotrzeć do Japończyka. Ale zakładając, że One-Up zrobi swoje, ciągle mieli szansę opanować Amerykankę, Brytyjczyka i Chińczyka.

Bug Man postanowił zaryzykować. Pora jasno pokazać, że jest kimś więcej niż tylko tikerem. Mógł rozszerzyć swoją grę na makro. Wystukał SMS do Dwugłowca.

„Sugestia: zdjąć Dietricha z Japońca, dać mu Hinduskę”.

Żadnej odpowiedzi. Nie szkodzi.

Zwycięstwo wciąż było w zasięgu ręki. Nie wiedział jedynie, czy którykolwiek z celów jest broniony. W razie walki One-Up poradzi sobie, Burnowski też.

Nawet gdyby tylko on i Burnowski dopięli swego, dwa największe mocarstwa świata subtelnie, ale skutecznie zostałyby podporządkowane woli Charlesa i Benjamina Armstrongów. Nieważne, co się stało lub co się stanie z pozostałymi.

Ważne, żeby on i stary odnieśli sukces.

Oczywiście w idealnym świecie Burnowski i cała reszta zawiedliby, a triumfowałbym tylko ja, pomyślał Bug Man.

Ale to ambitne marzenie.

Pora zacząć kłaść przewody w mózgu prezydent USA.

Roześmiał się głośno na tę wizję.

Tym razem Bliźniacy będą go całować po tyłku. Będą mu się kłaniać.

I nagle zobaczył.

Za jego armią pędzącą po chiasmie –

skrzyżowaniu nerwów wzrokowych – biegły dwa bioty.

O tak.

Och, tak, do diabła.

To ty, Vincent? Błagam, Boże, niech to będzie Vincent.

Tym razem nic nie może mu przeszkodzić w makro. Najważniejsza bitwa o najważniejszą nagrodę.

– Mam nadzieję, że patrzycie, panie Charles i panie Benjamin. Bo to... przejdzie do historii.

Gliniarze zaczęli wyganiać tłum z placu przed ONZ.

Zrobiło się bardzo poważnie. Stało się coś złego i kwiat nowojorskiej policji nie miał nastroju wysłuchiwać czyjegokolwiek pyskowania.

Nad budynkiem latały śmigłowce. Syreny wciąż wyły, coraz więcej i więcej sił bezpieczeństwa zalewało kwartały wokół siedziby ONZ.

Jedno nie ulegało wątpliwości: Wilkes i Ofelia przeprowadziły cholernie dobrą dywersję.

Nagle Vincent zobaczył. Dotarł już głęboko, do skrzyżowania nerwów wzrokowych, kiedy zauważył rozpędzoną armię nanobotów.

– Bug Man – powiedział.

– Już idę! – odparł Niżyński.

Nanoboty przestały uciekać. Sześć zastępów odwróciło się, jeden za drugim, przodem do biotów.

Logo z wybuchającą głową było maleńkie, ale doskonale widoczne w fosforycznym świetle.

Vincent uśmiechnął się do Niżyńskiego. Tak naprawdę.

– Zanim tu dotrzesz, będzie po wszystkim, Jin.

Bliźniacy wpatrywali się w okna pootwierane na stole.

Widzieli pusty ekran, który przedtem ukazywał stanowisko w budynku ONZ. Teraz był tylko złowrogim prostokątem zakłóceń.

Widzieli scenę przed budynkiem ONZ – karnawał błyskających świateł chyba wszystkich policyjnych i strażackich wozów w Nowym Jorku.

Widzieli, jak Dietrich przejmuje kontrolę nad nanobotami Kima, chwilowo ukrytymi w czarnych włosach premier Indii.

Sugestia Bug Mana była niezła, choć oczywiście Benjamin wpadł na to pierwszy.

Zdziwili się widokiem One-Up pobitej i zakrwawionej, którą ktoś pospiesznie usadził na fotelu za Dietrichem. Nie mieli dźwięku, ale widzieli, że dziewczyna szaleje. Po drodze kopnęła kosz na śmieci, uderzyła pięścią powietrze. Totalna wściekłość.

Widzieli też to, co widział Burnowski w mózgu premiera Chin.

I to, co zobaczył Bug Man, kiedy odwrócił się ku swojej nemezis.

Pręciki i czopki na siatkówkach Armstrongów wysyłały drobne elektryczne impulsy wzdłuż nerwów wzrokowych.

A w tylnej części ich mózgow kora wzrokowa przekładała te sygnały na obrazy.

Ale ani oko Charlesa, ani Benjamina, ani to wytrzeszczone pomiędzy nimi, nie mogło zwrócić się do wewnątrz i dostrzec dwóch biotów, które nareszcie dotarły do hipokampu.

Żaden z nich nawet nie przypuszczał, że Sadie McLure teraz Plath – leży skulona w ramionach młodego mężczyzny i zastanawia się, czy ich zabić.

TZD mieli do sprawdzenia obszar dwunastu kwartałów, w których mogli się ukrywać tikerzy BZRK. Każdy kwartał nabity wysokimi budynkami, w każdym setki biur. I tak naprawdę nawet ten obszar był wyznaczony tylko w przybliżeniu, zwykła zgadywanka. Bo nikt nie znał dokładnego zasięgu tikerów BZRK. Ale ograniczyli się do tych dwunastu kwartałów ze względów praktycznych; gdyby rozszerzyli teren poszukiwań jeszcze trochę, objąłby dworzec Grand Central, nie wspominając już o stacjach metra.

Na poziomie gruntu znajdowało się tu z tuzin kawiarni, dwa razy tyle restauracji, do tego bary, pizzerie, punkty ksero, pralnie chemiczne, sklepy papiernicze, sklepy z butami, sklepy ze śmieciem dla turystów, kwaciarnie...

Te poszukiwania to czysta abstrakcja. Sugar Leowski miała jedenastu ludzi. Ale przynajmniej wiedziała, kogo szuka. Sadie McLure. I jakiegoś chłopaka, ale lepiej szukać Sadie.

Mogli siedzieć w samochodzie. Na parkingu. Jeździć w kółko taksówką. Być w tysiącu biur. Milion możliwości.

A ona musiała ich znaleźć. Z jedenastoma ludźmi.

Dwaj bezdomni kłócili się głośno, który ma prawa do puszek w koszu. Sugar podeszła do nich.

– Zamknijcie się, dupki. – Wyciągnęła studolarówkę i to przykuło ich uwagę, choć byli zamroczeni alkoholem i obłądem. – Sto dolców, jeśli mi namierzycie tę dziewczynę. – Wyjęła telefon i dała im popatrzeć na zdjęcie przez pięć sekund. – Znajdźcie ją w dziesięć minut, a będziecie mogli pić przez tydzień. Ruchy! – Zwróciła się do swoich ludzi. One-Up powiedziała, że siedzieli w kawiarni, więc prawdopodobnie ciągle są na poziomie ulicy. Gdyby mieli biuro, nie wyłaziliby stamtąd. Więc rozmawiajcie z każdym włóczęgą, gońcem rowerowym, ulicznym sprzedawcą, taksówkarzem, odzwiernym i ochroniarzem budynku. Obiecujcie stówkę. Jeśli to nie zadziała, obiecujcie tysiąc. Dajcie mi tę małą dziwkę.

Wilkes wyfrunęła ze sklepu wyrzucona eksplozją. Walnęła w stojak z koszulkami. Palila się;

legginsy się zwijały, włosy zwęglały, bluza dymiła. Dłońmi zgasiła ogień na nogach.

– Ofelia! Ofelia!

Wszędzie leżały ciała, niektóre się poruszały, inne nie.

Duszący, tłusty, czarny dym wypełniał sklep, tysiąc razy gęstszy i bardziej jadowity niż ten, który powstał po jej zabawie w piromankę. Ten był jak osuwający się sufit – napierał w dół, ścisnął powietrze do czterdziestocentymetrowej warstwy nad podłogą.

Położyła się płasko, przeturlała, żeby zgasić resztę płomieni na ciele, i poczołgała się jak nużeniec po podłodze. Przepęłała po szczątkach, po ciałach, krzycząc: „Ofelia!”, choć miała coraz mniej i mniej powietrza. Dławiła się, kaszłała. Kaszel rozrywał jej gardło i szarpał spazmami klatkę piersiową.

Znalazła dwa kikuty płonące jak pochodnie i wiedziała, po prostu wiedziała, że to Ofelia. Brakowało stóp. Nogi były jak knoty świec.

Dławiła się dymem, wymiotowała, płakała, ale chwyciła garść pamiątkowych koszulek i przycisnęła do płonącego ciała – wydzielało zapach jak kebab na rożnie.

Podczołgała się do głowy Ofelii. Otwarte oczy, źrenice szerokie, obojętne na dym, wpatrzone w nicość. To spojrzenie, te wytrzeszczone, przerażone oczy były gorsze niż płonące nogi.

– Nie żyją – zawyła Ofelia. Dym wisiał tak nisko nad jej twarzą, że wydech krzyku zwijał go w spirale i wiry.

– Rusz... – wykrztusiła Wilkes, ale to był szczyt jej możliwości, gardło puchło, żołądkiem znów szarpały torsje.

– Nie żyją! Bogowie, nie. Nie! Neeeee! – zawodziła Ofelia.

Wilkes wiedziała, że jej partnerka nie mówi o ludziach, którzy przed chwilą zginęli.

– Ach! Uh-uh! – szalała Ofelia. Zaszczekała jak foka.

Chwilę później zaczęła się miotać, machać rękami, wierzgać okaleczonymi nogami, wrzeszczeć i wrzeszczeć, aż wreszcie dym zakneblował ją i zostały tylko gardłowe, zduszone stęknienia.

Wilkes się poddała.

Dość.

Ogarnął ją potworny smutek. Niech to szlag, Ofelia zasługiwała, żeby żyć.

Nagle przez załzawione szparki oczu zobaczyła czubki butów, czarno-żółte gumowe nogi, i z warstwy dymu, jak jakiś demoniczny bóg, wyłoniła się postać. Miała okrągłe owadzie oczy i czarny hełm z błogosławionym czerwonym emblematem Nowojorskiej Straży Pożarnej.

Keats głośno i wyraźnie słyszał, jak Vincent tłumaczy, że najgłupszą i najbardziej bezsensowną decyzją jest posłać bioty przed siebie na oślep.

Bioty nie były wystarczająco szybkie i nie posiadały odpowiednich zmysłów, żeby same wykonywały zwroty. Musiały mieć wyznaczoną ścieżkę.

Siedział na psim nosie. W pomieszczeniu, gdzie z całą pewnością znajdowali się Bliźniacy Armstrongowie, ale nie tylko oni. Nie widział niczego prócz kształtów ogromnych i odległych jak chmury.

Głosy dochodziły do niego jak dalekie grzmoty.

I nie miał nic więcej. Chmury i grzmoty, kiedy tak jeździł na psim nosie, który wyglądał jak jakieś kosmiczne wyschnięte jezioro popękanego błota.

Nie mógł zrobić niczego użytecznego. Nie mógł ratować ani siebie, ani Sadie.

Aż nagle zobaczył pchłę. Tego uzbrojonego potwora z oczami transformersa. Nie było czasu na zastanowienie.

Pogonił w jej stronę oba bioty po psim nosie całą parą, tak szybko, jak tylko zdołały biec. Pchła go nie zauważyła. Pchła miała go gdzieś. Pchła nie obawiała

się żadnych wrogów, nie licząc jakiejś tam psiej obroży. Obchodziły ją tylko te czerwone kulki, krew. Tylko krew. A bioty nie były jej źródłem.

Podbiegł z boku, kiedy insekt podłączył się akurat do leniwego źródelka czerwonych krwinek i zaczął je wsysać do narządów gębowych. Bioty skoczyły.

Wylądowały na szczeciniastych odnóżach i zaczęły się wspinać jak szalone po ogromnym, sprężynowym zadzie i nagle: trach!

Nogi pchły wystrzeliły: potężne szarpnięcie wyrwało jedno z odnóży KI i nadziało K2 na pchłą szczecinę.

Keats krzyknął z bólu; odczuł to niemal równie mocno, jak jego biot.

– Co jest? – szepnęła Plath.

– Skurcz – skłamał, i rany, ledwie to wydusił, bo impet tego skoku był wręcz niewyobrażalny.

Pchła miała przyspieszenie kuli z karabinu. Przekoziołkowała w locie, wywinęła salto z prędkością myśliwca, ale niemal natychmiast przyhamował ją opór powietrza silny niczym tornado. Wylądowała w lesie włosów i objając się o pnie, znów zsunęła się na szorstką psią skórę.

Cały skok trwał może z sekundę. Trudno byłoby go prześledzić.

Keats wiedział, że musi wydostać się z psa. Wiedział też, że pchła popędzi w stronę zapachu

krwi. Chyba że znajdzie się sposób, by sprowokować ją do przypadkowych skoków, do ucieczki.

Kluczem do sukcesu musiały być ostro zakończone włoski czuciowe.

Każdy z biotów złapał po dwa włoski i szarpnął.

Kolejna eksplozja i owad pomknął w górę. Koziółkował, kręcił się i tym razem po wylądowaniu nie przykląkł, żeby się pożywić. Lekko drżał. Denerwowała go stymulacja włosków.

Keats czuł wibracje; pchła już zbierała siły do kolejnego susa.

Szarpnął wściekle za włoski; poleciała do góry jak przedtem, ale teraz przy lądowaniu nie zdołała się złapać; sturlała się po boku psa jak małeńki głaz.

Wirowała obłądnie, bioty raz po raz w coś uderzały sierść, powietrze, sierść, powietrze – aż wreszcie... tylko powietrze i pchła spadła z psa.

Uderzyła o podłogę i odbiła się lekko; nie zdechła, ale podnosiła się dość powoli. Keats zeskoczył z monstrum i wylądował na nieskończonej równinie szwajcarskiego sera, który zdawał się uwięziony pod półmetrową warstwą pofalowanego, przezroczystego szkła.

Dopiero po chwili zorientował się, że jest na drewnianej podłodze. Samo drewno – pod lakierem ochronnym wyglądało jak plaster miodu z milionami małych, z grubsza prostokątnych dziurek; gdzieś tam otwory były większe, jak przecięte

żyły. W nano przypominało to zbezczeszczonego cmentarz – coś żywego, co brutalnie rozcięto i nakryto poliuretanem. Nie sposób było pozbyć się wrażenia, że przezroczysta pokrywa rozstąpi się i bioty wpadną w te dziury.

Pchła stała już na nogach, tuż za im. Jakiś ogromny kształt oddalał się niczym chwiejna góra. Pewnie pies. Może.

Plath mówiła do niego. W makro. Przez moment stracił kontakt z tą rzeczywistością. Zapomniał o dziewczynie w ramionach.

– Idą jacyś ludzie – szepnęła.

I nagle tuż obok śmietnika rozległy się głosy, czyjeś ręce zaczęły się szamotać z wiekiem.

– Jak ją znajdziemy, to się podzielimy, nie? – odezwał się szorstki głos.

Keats natychmiast zrozumiał, co musi zrobić.

– Ani słowa – powiedział; szybko wturłał się na Plath, bez ceregieli wepchnął ją w śmieci, wygiął plecy i uniósł się jak jakiś żądny krwi bagienny potwór dokładnie w tej sekundzie, kiedy kłapa fajansu poleciała do tyłu.

– Aaaaaarrch! – wrzasnął.

Dwie przestraszone twarze, brodate, brudne, zachłysnęły się, kiedy Keats dał susa, odepchnął się od brzegu śmietnika i bardziej spadł niż skoczył na dwóch mężczyzn. Cała trójka runęła na ziemię. Keats podniósł się pierwszy.

Dyszał zgięty w pół; ta nagła szamotanina pozbawiła go tchu. Dwaj włóczędzy gapili się na niego w osłupieniu.

– Mnie szukacie? – wysapał.

– Nie, takiej jednej suki.

– Uciekła – oznajmił Keats.

– Tamta kobieta mówiła coś, że było ich dwoje – rozważał głośno pierwszy bezdomny.

Drugi najwyraźniej nie lubił gadać po próżnicy.

– Bierz go!

Keats rzucił się biegiem. Nie nadszedł jeszcze ten dzień, kiedy nie mógłby prześcignąć dwóch schorowanych staruchów w niedopasowanych tenisówkach.

Popędził zaułkiem w stronę ulicy. Jeden z lumpów, ten rozmowny, pchał przed sobą wózek z supermarketu wyładowany puszkami i innymi śmieciami.

Keats bez problemu trzymał się przed nimi; musiał tylko się postarać, żeby nie zrezygnowali i nie wrócili sprawdzić śmietnika. Jednocześnie rozglądał się po serowatej podłodze i nagle zauważył na horyzoncie coś absurdalnie wysokiego.

Ogromny ciemny kształt sięgał do nieba.

Wypadł na ulicę, a jego dwa bioty poszpulowały w stronę tego odległego wysokiego obiektu. Kiedy tylko znalazł się na chodniku, zrozumiał, że popełnił błąd. Dwaj mężczyźni w spodniach khaki i

puchowych kurtkach zauważyli go natychmiast, obrócili się i ruszyli w pogoń. I byli w o wiele lepszej formie niż tamci dwaj włóczędzy.

Biegł po dwóch nawierzchniach. Po betonie, rozpychając się wśród ludzi. I po falistym szkłe na plastrze miodu. Czuł się, jakby latał. Czuł się, jakby ścigał się sam ze sobą. Pokonywał metry i mikrometry, a z przodu widział drapacze chmur:

jeden miał setki metrów, drugi pewnie nie więcej niż metr.

Przegalopował między dwoma facetami, którzy szli ramię w ramię i gapili się w smartfony. Przewrócił tablicę z menu chińskiej restauracji. Słyszał, jak jego prześladowcy sapią w zestawy słuchawkowe:

– To ten chłopak, to ten chłopak! Biegnie na zachód Czterdziestą Trzecią!

Niedobrze, bo najwyraźniej i inni bawili się w „złapać Keatsa”.

Człowiek z prawej – przebiegał przez jezdnię, niemal przeskakując rozpędzone taksówki.

To test, skojarzył zszokowany Keats. Test doktora Pounda. Tyle że nie ma broni.

Łup!

Z całym impetem wpadł na ścianę, odbił się, grzmotnął przodem na chodnik, zdarł sobie dłonie, kolana i policzki, a oni gruchnęli na niego, wbili mu kolana w plecy, wykręcili ręce, skuli nadgarstki

plastikowymi kajdankami.

Pisk hamujących opon i suv wskoczył na krawężnik. Koło zatrzymało się centymetry od twarzy Keatsa.

– Puszczajcie mnie! Puszczajcie! Złazcie ze mnie! Policja! Policja! – wrzeszczał, ale ktoś wepchnął mu do ust gumową piłkę. Taśma hydrauliczna okręciła głowę, przytrzymując knebel.

Podnieśli go i brutalnie wrzucili na tylne siedzenie.

Tłum przed budynkiem ONZ miał przejść kontrolę – to jedno było jasne. Incydent wyglądał na poważny atak terrorystyczny na ONZ, a więc wszyscy zgromadzeni zostaną wylegitymowani i uważnie obejrzeni przez podejrzliwych gliniarzy.

Już teraz Niżyński słyszał, jak ludzie mamroczą coś o jedenastym września.

Zjeżdżała się konna policja, gotowa ścigać uciekinierów.

Konie stukały kopytami i parskały. Mężczyźni w siodłach spoglądali spod daszków hełmów na Vincenta, Niżyńskiego i demonstrantów – i na tajniaków udających demonstrantów.

Kiepska sprawa, obydwaj członkowie BZRK mieli fałszywe dokumenty – całkiem dobre, mogły przejść kontrolę wizualną, a nawet pobieżne sprawdzenie komputerem. Jednak dokładniejsza kontrola wykazałaby, że są fałszywe. A to oznaczało

kłopoty.

Ale to i tak nic w porównaniu z kłopotami w nano.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Helen Falkenhym Morales stała się polem bitwy.

Secret Service poinformowana o sytuacji w ONZ przeniosła ją z przyjęcia do bezpiecznego pokoju w tym samym hotelu. Całe skrzydło na tym piętrze, jak również pokoje nad i pod prezydencką „kryjówką” zostały opróżnione.

Do agentów w cywilnych ubraniach, z pistoletami, dołączyli agenci w bojowym rynsztunku, z karabinami, nerwami napiętymi jak struny, i Boże dopomóż pokojówce, która niechętnie zapuściłaby się w ich zasięg.

Nieważne.

Banda nanożołnierzy zgrupowanych w zastępy stała tuż przed Vincentem. Bug Man przemieścił swoich tkaczy we względnie bezpieczne miejsce. Jeśli je straci, to straci, trudno.

– *Banzai* – powiedział Vincent na tyle głośno, żeby usłyszał go Niżyński, i zaczął szarżę.

Nanoboty rozciągały szeregi na prawo i lewo w wielkiej komorze chiazmy. Płynne środowisko trochę spowalniało V1 i V2, jakby biegły pod wiatr. Ale za to Bug Man nie mógł wysunąć kół i rozwinąć pełnej prędkości, dzięki czemu bioty mimo wszystko były szybsze od przeciwników.

Bug Man spróbuje manewru zwanego kleszczami. Zaraz cofnie się środkiem, żeby bokami oskrzydlić nanoboty, jakby chwycił je w szczypce kraba.

Vincent nie da się na to nabrać. Popędził do punktu dokładnie między skrzydłami, zauważył, że nanoboty po prawej ślizgają się, tracą przyczepność na twardym, śliskim terenie, i obrócił się w ich stronę.

V1 i V2 dźgnęły dwóch wrogów w łącze komunikacyjne.

To lepsze niż je rozpruwać; działa szybciej, a Bug Man na pewno zmarnuje trochę czasu, starając się odzyskać obraz.

Bioty wlażyły na dwa oślepione nanoboty i usiadły na nich.

Były dłuższe, więc ich ogony i głowy zwisały z tyłu i z przodu, ale i tak to użyteczny manewr: Bug Man musiał się wspinać po nogach własnych ślepych nanożołnierzy, żeby dobrać się do Vincenta – a to bardzo trudne, zwłaszcza że bioty były zgrupowane w zastępy.

Poza tym taka sztuczka dezorientowała nanoboty. Ledwo mogły się połapać w tej wysokiej kupie odnóży i torsów.

Ale to nie spowalniało Bug Mana. On też znał różne sztuczki. Dwa nanoboty podbiegły i zatrzymały się tuż poza zasięgiem tnących i kłujących ramion

Vincenta. Po czym dwa inne użyły tamtych, jak gimnastyk używa odskoczni.

Dwaj przeciwnicy spadli na Vincenta z góry, z nastawionymi lancami.

– He – powiedział Vincent do nikogo szczególnego. Niezłe.

Policja utworzyła kordon i teraz przepuszczała ludzi przez małą lukę. Pora wyjąć dokumenty. I sensownie się wytłumaczyć.

No oczywiście, trzech rzekomi demonstranci machnęli legitymacjami policyjnymi czy FBI, zostali przepuszczeni i stanęli razem z funkcjonariuszami, żeby wyławiać podejrzone osoby.

Jeden z nich wskazał Niżyńskiego.

– Cholera – zaklął Niżyński.

Vincent złożył odnóża z prawej strony V1 i z lewej strony V2. Sturlał swoje bioty po nogach niewidomych nanobotów.

Powietrzny atak Bug Mana chybił; desantowcy gruchnęli na oślepienie nanoboty i przebili własnych towarzyszy.

Wynik: dwóch chłopaków Bug Mana zabitych, ale zmarnowany czas. A czas nie był sprzymierzeńcem Vincenta.

Pora popływać.

Odepchnął się w przejrzystą ciecz. Bioty kiepsko pływały odnóża mogły służyć za napęd, ale efektem było raczej bicie piany niż pływanie. Jeśli

przekręcało się szczypcie przy każdym ruchu, to dodawało trochę prędkości, ale niewiele. Jedyna pociecha w tym, że nanoboty radziły sobie jeszcze gorzej.

Bioty unosiły się tuż nad skupioną w miejscu armią przeciwnika.

– Wygląda pan znajomo – powiedziała policjantka.

I w ostatniej chwili palce Niżyńskiego prześlizgnęły się z fałszywego paszportu w wewnętrznej kieszeni marynarki na ten prawdziwy.

No cóż, zajmuję się trochę modelingiem – odparł niskiej, potężnie zbudowanej funkcjonariuszce.

Jej koledzy płci męskiej spojrzeli na niego spode łba.

– Gdzie pana widziałam?

Wzruszył ramionami. Pędził biotami, by dołączyć do bitwy szalejącej głęboko w prezydenckim mózgu. Nie był Vincentem – doświadczenia na różnych poziomach jednocześnie trochę go spowalniały i rozpraszały.

– Znaczy... – zaciął się, kiedy jego bioty obiegały kleistą kupkę makrofagów.

– Pytam, gdzie pan pozował. – Policjantka z każdą sekundą stawała się mniej przyjazna. Otworzyła jego paszport;

Vincent czekał za jego plecami, pozornie

spokojny i trochę zdziwiony. – Proste pytanie, panie Hwang. Gdzie pan pozuje?

– A. No cóż, większość ludzi rozpoznaje mnie z billboardów Mountain Dew.

Pokręciła głową.

– Nie, to nie to.

– Bielizna Armaniego?

Popatrzyła na niego ze zmarszczonym czołem, porównując twarz ze zdjęciem.

– Może grał pan kiedyś w filmie?

Owszem, grał. Ale nie lubił się tym chwalić. A policjantka zwyczajnie nabijała się z niego, bo już radośnie szczyrzyła zęby, i nie mogła się doczekać, żeby oświecić kolegów.

– Tak, pani władzo. Rzeczywiście...

– Pani sierżant – sprostowała i wskazała paski na rękawie.

– Pani sierżant – poprawił się lakonicznie. – Grałem w ostatniej *Pile*.

– Co się panu stało w tym filmie? – Teraz już i inni gliniarze się szczyrzyli, wiedząc, że zbliża się zabawna pointa.

Niżyński westchnął.

– Zostałem wykastrowany piłą łańcuchową.

– Auć – rzucił jeden z mężczyzn.

– Ale to chyba po tych reklamach bielizny, co? – Kobieta bawiła się doskonale, choć trzeba jej przyznać, że powstrzymała się od głośnego rechotu.

– Tak się cieszę, że mogę pani poprawić humor. Pani sierżant. – Bioty właśnie przekopywały się przez oponę i wciskały do mózgu Morales.

– Widział pan coś podejrzanego, panie Hwang? Wzruszył ramionami.

– Wyły syreny, rozejrzeliśmy się i ktoś krzyknął, że wybuchł pożar.

– A dlaczego przyszedł pan dzisiaj pod budynek ONZ?

Nadarzyła się okazja, żeby wyciągnąć Vincenta ze sobą.

– Jestem na randce. Mój przyjaciel – wskazał Vincenta to wielki fan prezydent Morales. Mówiłem mu, że pewnie nic nie zobaczymy. Ale... – Bezradna mina.

Vincent starannie ustawił pływającego biota i wystrzelił z pistoletu na strzałki. Płyn natychmiast spowolnił pociski, ale przy dużym szczęściu mogły rozwalić nanobotowi staw.

Gliniarze sprawdzili dokumenty Vincenta i zadali mu to samo pytanie, ale w końcu sierżant powiedziała:

– Proszę iść, panie Hwang. Już dość pan wycierpiał.

– Auć – powtórzył inny funkcjonariusz.

Vincent rozciął fatalnie ustawionego nanobota i uśmiechnął się szeroko, jakby razem z policjantami bawił się dyskomfortem Niżyńskiego.

Plath leżała w śmieciach.

A jednocześnie wędrowała między fałdami mózgu. Do hipokampu była długa droga. Tkwił głęboko w zmiętym tofu.

Wilkes nauczyła ją trasy – daleko w dół i w głąb; pokazała, jak odnaleźć pień mózgu, tę łodygę sto razy grubszą od najgrubszej sekwoi.

– A potem po prostu idź na północ – powiedziała.

– Na północ?

– W górę.

– jak poznać, gdzie jest góra?

– Wypuść bańkę i zobacz, w którą stronę polecą – odparła Wilkes, po czym dodała: – Oczywiście bioty nie umieją puszczać baniek. – W końcu zmiękła. – Jeśli odniesiesz wrażenie, że pień robi się cieńszy, to znaczy, że idziesz na południe. Jeśli trafisz na spaghetti grubości pociągu metra, to znaczy, że idziesz na północ.

Plath znalazła mózdzek, tę miskę ze spaghetti. Przecisnęła się pod nią, zgubiła się, albo nie, i ruszyła we właściwym kierunku, albo nie. Może kiedyś się wynurzy. A jeśli nie, to przyjdzie jej zostawić własny rozsądek tu, w bebeczach.

Może Keats uciekł. Na pewno. Może był wolny, ale może go złapali. Żałowała, że nie jest już podpięta do oka, bo wtedy widziałyby, gdyby nagle przywlekli go przed Bliźniaków Armstrongów. A poza tym wtedy znajdowałyby się o krok od światła, powietrza i ucieczki.

Czy w mózgu, po którym wędrują jej bioty, jest coś niezwykłego?

To mózg, który zlecał porwania, pobicia i morderstwa.

To mózg, który przekształcił głupią sektę w narzędzie do rekrutacji armii.

To mózg, który odważył się zawiązać spisek, aby odwrócić bieg ewolucji. Który pragnie końca ludzkiej wolności. Który celowo lub przez pomyłkę może zafundować światu katastrofę w postaci samoreplikujących się nanobotów.

Ten mózg, te błyskające neurony, te iskrzące synapsy, ten zlepek różowych komórek pływający w organicznej zupie, ma ambicje, przy których zapędy największych potworów w historii są niczym.

Ten mózg zamordował jej rodzinę.

A jednak, gdy patrzyła na niego tu, w środku, niczym się nie różnił od mózgu Keatsa. Niczym się nie różnił od jej własnego.

Gdzie w tym narzędziu mieści się zło?

Wiedziała, że właśnie to zło trzeba zabić.

I kiedy tylko to zrozumiała, kiedy zdecydowała,

że musi zmienić ten mózg, pozbawić go wolnej woli, jej mózg z pozoru zupełnie się nie zmienił – nikt by nie poznał, że zapadła w nim decyzja celowego zniszczenia.

Czy wreszcie znalazła cel? Czy była na hipokampie?

W słabym świetle organów fosforescencyjnych biota wyglądał jak hipokamp Keatsa. Pasowała do niego mapa wspomnień z jej mózgu.

Nie było czasu na staranne, ostrożne przekierowywanie połączeń. Nie było nawet czasu upewnić się, że jest we właściwym miejscu.

Był czas tylko na okaleczenie.

Obydwa bioty zaczęły wydzielać przewody. Przyczepiła jeden koniec do lekko wystającego wyrostka neuronów i pognała przyczepić drugi koniec do... cóż, gdzie popadnie.

Charles i Benjamin Armstrongowie obserwowali z żywą, obsesyjną uwagą bitwę w prezydenckim mózgu.

Wyglądało na to, że Bug Man stracił trzy nanoboty.

Wyglądało też na to, że jeden z biotów Vincenta stracił dwa odnóża po jednej stronie.

Wszystko działo się tu, teraz, na ich oczach. Jeśli Bug Man wygra, zwyciężą, mimo wszystko. Śmierć Kima i Alfreda nie będzie miała żadnego znaczenia.

Nastąpiło drobne opóźnienie, kiedy Dietrich

przejmował kontrolę nad nanobotami Kima. Czoło premier Indii Madhuri Chauksey wypełniło monitor, gdy Niemiec posłał nanoboty w stronę powieki.

– Jeśli opanujemy Morales, Tśaia, Chauksey, Bowena... wycedził Benjamin przez zęby.

– To ostatecznie będziemy stratni tylko Japończyka.

– Brytyjczyk...

– Patrz. Przecież wiesz, że One-Up jest bardzo dobra.

Brak jej dyscypliny, ale tiku je świetnie.

Jedna ręka, potem druga, pukała w paski menu. Kolejne ekrany otwierały się, zamykały, przesuwały, łapały ostrość, oddalały. Bliźniacy grali własną grę, która polegała właśnie na tym: na kompilacji danych wejściowych z niezliczonych źródeł.

– Jeśli dostaniemy prezydent...

– Tak naprawdę więcej nam nie potrzeba – zapewnił brata Benjamin. – Morales. Weźmiemy ją, mamy zwycięstwo.

– Weźmiemy wszystkich – oznajmił głośno Charles.

Na jednym z ekranów bioty szamotały się w płynie mózgowym, a dwanaście nanobotów leniwie płynęło w ich kierunku. Wszystko wyglądało jak balet w zwolnionym tempie.

Pociski przelatywały obok celów, chybiały. Pistolety laserowe były bezużyteczne.

Nagle ukazał się frontalny widok na jednego z biotów.

Zdawało się, że niesamowite, na wpół ludzkie brązowe oczy patrzą na Bliźniaków. Oczy Vincenta. Jakby widział, jak go obserwują.

Cofnęli się odrobinę.

– Arabella – powiedział ni stąd, ni zowąd Benjamin.

– Co?

– No... tak miał na imię koń. Klacz dziadka.

Charles spojrział z ciekawością na brata i czekał, aż ten wyjaśni swoją uwagę. Ale oko Benjamina patrzyło jakby na rzeczy gdzieś poza tu i teraz.

Stres, ekscytacja, pomyślał Charles.

Biot Vincenta zwarł się z nanobotem. Próbował dźgnąć jego sensory optyczne, nie dał rady. Drugi nanobot chciał się podczepić, ale ześlizgnął się i odpłynął kawałek dalej, pozbawiony nogi.

Charles zerknął na ekran Burnowskiego.

Stary dotarł już do mózgu przywódcy Chin. Jego nanoboty w równym szyku parły przed siebie i były już głęboko;

niedługo zaczną powolne, staranne kablowanie drugiego najważniejszego przywódcy na Ziemi.

A One-Up? Dzielna dziewczyna, szybko doszła do siebie po tym, co wcześniej ją tak rozwścieczyło.

– Ha-ha! – wyrzucił z siebie Charles.

– Zmuszali nas do przeczytania *Opowieści o*

dwóch miastach. Pamiętasz?

– Co ona ma z tym wspólnego? – rzucił zirytowany Charles. Jedyne z bratem mógł świętować to zwycięstwo, a ten był jakiś obojętny i rozproszony.

– Co? – spytał Benjamin.

– *Opowieść o dwóch miastach*.

– Niby co z nią? – spytał ze złością Benjamin. – „Niepowściągliwy”. Piszę się przez „w” w środku. Jak „niepowstrzymany”. Nie jak „brytfanna”.

Charles zapatrzył się na lustrzany monitor, na odbicie oka brata. I nagle Hardy biegł do nich – człowiek, który nigdy się nie spieszył, którego Bliźniacy uważali za niezdolnego do pośpiechu.

– Panowie! – zawołał, ale przyczyna tego wtargnięcia stała się już jasna.

Armstrongowie odwrócili się i zobaczyli Sugar Lebowski;

jej czterech ludzi niosło zakneblowanego chłopaka. Szamotał się i wierzgał.

Rzucili go na orientalny dywan.

– Co jest, do diabła? – huknął Charles. Nikt nie wchodził do Tulipana bez specjalnego zaproszenia. Mogli być niedysponowani! Mogli być nieprzygotowani!

To oburzające. Nie: świętokradcze.

Ale w tej chwili Sugar Lebowski najwyraźniej się tym nie przejmowała. Bliźniacy widzieli już tę

kobietę wściekłą, przestraszona, złośliwą. Oglądali ją, jak gotuje z córką, goli pachy i kocha się z mężem. Ale nigdy nie widzieli czegoś takiego na jej twarzy malował się wyraz obłędnej paniki.

Przyklepała wzburzone włosy. Była cała czerwona, jej zezowate oko wpatrywało się w mostek nosa. Sapała.

Bała się.

Ich. Charlesa i Benjamina.

– Co jest? – powtórzył wściekły Benjamin.

Pies przyczłapał, żeby obwąchać chłopaka.

– Doszło do... do... naruszenia bezpieczeństwa – wydusiła z siebie Sugar.

– Do czego? – warknął Charles, patrząc na zabitego, rozprutego nanobota, który kręcił się powoli w prezydenckim mózgu.

Sugar pozbierała się trochę, wzięła uspokajający wdech.

– One-Up wdała się w szamotaninę w kawiarni. Tej naprzeciwno. Zobaczyła dwie osoby. Jej zdaniem tikerów BZRK.

Tamci zaatakowali ją i uciekli.

– To dlatego się spóźniła? – spytał ze złością Charles. Myślałem, że przez korki na mieście po katastrofie w budynku ONZ.

– Nie, proszę pana. Ale nie mogła się dodzwonić, bo przez incydent w ONZ linie były przeciążone. A ja zajmowałam się sytuacją w ONZ...

Jak tylko One-Up się do mnie dodzwoniła...

– Smutno mi – westchnął Benjamin. – Chcę pojeździć na Arabelli.

To przerwało rozmowę na ładnych kilka sekund.

– Sądzymy, że jedną z tych osób była Sadie McLure – powiedziała Sugar. – A to jej towarzysz. – Kopnęła Keatsa w nogę, bez większego przekonania.

Charles spróbował wstać, jednak Benjamin się nie przyłączył i wysiłek spełził na niczym. W następnej chwili Benjamin wstał, ale wtedy Charles nie zdążył złapać równowagi.

To im się nigdy nie zdarzało. Nigdy, od kiedy przestali być dziećmi.

– Co się z tobą dzieje, do diabła? – spytał ostro Charles.

– Pamiętasz bliźniaczki Morgenstern? – zagadnął Benjamin.

Po twarzy Charlesa przemknął wyraz paniki. Armstrongowie już dawno nauczyli się poruszać synchronicznie. Taki brak zgrania... to upokarzające. A rozkojarzenie Benjaminu było po prostu dziwne.

Spowolniona bitwa w mózgu pani prezydent zmieniła się w zażartą bójkę trzech na jednego, gdy nanoboty rozerwały rannego przeciwnika. Kawałki biota leciały na boki – odnóża, fragmenty tułowia odpływały powoli, wirując, i dołączały do strzępów pociętego nanobota.

Charles zagapił się na Sugar Lebowski.

– Dopuszcza pani... Czy pani sugeruje... – Jego twarz mogła poczerwienić niezależnie od twarzy brata. Ale ich wspólne serce biło mocniej i szybciej, dlatego oczy Benjamina otworzyły się szeroko, zdezorientowane.

– Oni mogą być tutaj – wykrztusiła Sugar rwącym się półszepem. – Tutaj, w tym pokoju.

– Pamiętasz te GI Joe, które dostaliśmy na Gwiazdkę? To znów Benjamin.

Przewód wytwarzały kądziółki zaczerpnięte z pajęczego DNA. Kępka maleńkich, wysuwanych kraników wydzielala pasma włókien, które później skręcały się w sznurek.

Oczywiście nie wychodziła z tego pajęcza nić, ale bardziej złożona struktura. Lepka jak pajęczy jedwab przewodziła drobne ładunki elektryczne mózgu dzięki zawartości nadprzewodnika.

Przewód można było po prostu przykleić do powierzchni mózgu albo przyszpilić. Bo właśnie tak to wyglądało.

Szpilkę – jeden biot mógł ich przenieść tuzin – z licznymi zadziorkami wbijało się w mózg jak hak alpinisty w skałę.

Szpilki wchodziły w kontakt z neuronami lub zlepkami neuronów.

Przy uważnym, dokładnym kablowaniu każda szpilka była próbkowana, a to pozwalało się zorientować, do jakiego wspomnienia czy funkcji

została podłączona.

Plath nie miała na to czasu. Nie miała czasu na próbkowanie, na zagłądanie w mapy mózgu czy poddawanie danych analizie komputerowej.

Po prostu wbijała szpilkę, pędziła kawałek dalej z przewodem i wbijała kolejną. Jak na razie umieściła ich czternaście i przeciągnęła siedem przewodów.

Rozmieściła transpondery. Przykleiła też parę przewodów w przypadkowych miejscach. Nie dało się ocenić, jaki to przynosi efekt, i czy w ogóle; poza tym absolutnie nie należało tak robić, jeśli ofiara miała się nie zorientować, co jest grane. Nie było w tym żadnej subtelności czy sztuki. To nie kablowanie w stylu Vincenta czy Bug Mana; to amatorska partanina. Robota wykonywana w panice i przerażeniu. Bioty biegały bez wyraźnego celu, bez planu.

P1 głęboko wbił szpilkę i rozłożył wszystkie zadziorki.

Przypiął przewód i pobiegł gdzie indziej tak szybko, jak kądziółki dały radę produkować nić. Zatrzymał się i wbił kolejną szpilkę.

Nagle Plath coś przyszło do głowy: dlaczego ciągnąć je tylko z punktu A do B? Dlaczego nie połączyć wszystkich szpilek jak w grze w kocia kołyskę?

Więc leżąc w swojej aromatycznej śmieciowej kryjówce, jak szalona wbijała szpilki i krzyżowała

przewody; biotom niemal wyczerpała się już wydzielina. Wiedziała, że niedługo musi przerwać i poczekać, aż gruczoły znów się napełnią.

Ale na razie biegała, skakała, kłuła, nasłuchiwała krzyków i tupotu stóp w zaułku. Szukało jej stanowczo za dużo ludzi.

– V2 jest w kiepskim stanie – powiedział Vincent.

– Już się zbliżam, wycofaj się, jeśli możesz. – Niżyński szybko prowadził ich ulicą, by jak najbardziej oddalić się od kordonu wokół ONZ.

– Na pewno nas zapamiętali. Musisz zadbać o bezpieczeństwo w makro, Jin. Znajdą cię.

– Do diabła, stary, skup się i utrzymuj bioty przy życiu.

Vincent zadrżał. Niżyński zobaczył to – skurcz, który wykrzywił obojętne rysy w ludzki wyraz strachu.

Czuł mdłości. Jego bioty gnały na łeb, na szyję; groziło mu, że się zgubi. Organy fosforescencyjne nie świeciły wystarczająco daleko. To było jak jazda sto pięćdziesiąt na godzinę po ciemnej wiejskiej drodze na światłach pozycyjnych.

Vincent znieruchomiał.

– Jezu Chryste! – krzyknął. – Och, och, och.

Pusty wyraz twarzy partnera powiedział Niżyńskiemu wszystko, co musiał wiedzieć.

– Nie, nie, nie! – krzyknął i opiekuńczo objął

Vincenta, którego oczy napęłniły się łzami, a z jego gardła wydobyło się ciche, miękkie zawodzenie.

O tak! Wal się! Wal się! Wal się! – wrzeszczał Bug Man.

Martwy biot – całkiem martwy, rozcięty na dwie ledwo połączone części, martwy, unoszący się bez nóg, martwy w płynie mózgowym – był cudem.

Bug Man stracił połowę armii, żeby tego dokonać, komorę chiazmy wypełniały pourywane odnóża, sensory, koła, nierozpoznawalne części obwodów i metalowej skóry. Logo Bug Mana pływało na jednym z ekranów, ale to wszystko nieważne: zabił Vincentowi biota.

Ta myśl unieruchomiła go na moment.

Nikt nigdy nie zabił biota Vincenta.

Nikt! tylko on. Tylko Bug Man.

– Och, tak, kurwa.

Teraz mógł już zwolnić, zminimalizować ryzyko, bo jeśli Vincent nie jest Clarkiem Kentem, to w tej chwili gryzie piach i na pewno nie da rady się skupić.

Dokonał szybkiej inwentaryzacji. Miał jedenaście działających żołnierzy. Wszyscy tkacze bezpieczni.

Jedenastu na jednego, a tiker, potężny Vincent, gdzieś rozpaczliwie łapie powietrze i rzezi, jakby

dostał kulkę w brzuch.

Drugi biot Vincenta zdołał przemieścić się w górę. Wisiał teraz na wiązce nerwowej i gapił się w dół na jedenaście nanobotów, które powoli wydostawały się z mazi.

– Będę delikatny, fincie – wykrzyknął Bug Man.
– Ha, ha!

Postanowił, że najpierw sformuje krąg na powierzchni tkanki. Cztery nanoboty zostawi w płynie, na wypadek gdyby Vincentowi znów zachciało się pływać.

Osaczył go. o tak, osaczył Vincenta. A biot wydawał się niemal bezradny. Wytrzeszczał te swoje owadzie i ludzkie oczy i nie robił nic, absolutnie nic, kiedy nanoboty zamykały krąg.

Bioty Keatsa gnały po sitowatej podłodze w stronę ogromnego, ciemnego kształtu.

Tak się składało, że sam Keats leżał twarzą w dół na tej samej podłodze, choć dla niego to było gładkie, polerowane drewno – w makro bardzo różniło się od tego, co widział w nano. i krwawił na tę podłogę. Krew płynęła mu z nosa i powoli tworzyła kałużę wokół jego policzka. Z każdym oddechem przez usta puszczał czerwoną bańkę. W tym ciemnym jezioru dostrzegał odbicie swojego oka. Patrzyło przerażone.

– Mój brat jest... nie czuje się dobrze – powiedział Charles.

Keats oczywiście nie widział swoich biotów. Ale rozglądał się na wszystkie strony, próbując dopasować obraz przed oczami do tego, co dzieje się w mózgu.

Nic.

No, niezupełnie nic. Pod biurkiem stały trzy nogi. W identycznych butach. Jedna prawa, jedna lewa i jedna... ani taka, ani taka. Ta w środku była cieńsza, miała jednak nie tylko identyczny but w mniejszym rozmiarze, ale też identyczną skarpetkę i identyczną nogawkę spodni.

Nie widział niczego powyżej kolana. I chyba nie chciał widzieć.

– Jajecznicza ladacznica! – wrzasnął nagle Benjamin. Co... co ja właśnie zrobiłem?

W mózgu Benjamina buszują bioty Plath – to stało się nagle jasne dla Keatsa. I za sekundę czy dwie Bliźniacy zorientują się, o co chodzi. Kilka sekund później zaczną go torturować, żeby się dowiedzieć, gdzie Plath.

A może go zabiją, jeśli stwierdzą, że to on jest tikerem.

I ściągną własnego tikera z nanobotami i napuszczą je na bioty Plath.

Musi do niej dotrzeć. Musi. Ale jego bioty pędziły w stronę czegoś, co równie dobrze mogło być nogą stołu.

Schodziło się coraz więcej ludzi. Słyszał ich w

makro.

A co ważniejsze, czuł wibracje w nano. Wibracje. Dochodziły z prawej, od drzwi.

A więc... a więc jego bioty są w pobliżu Bliźniaków. Albo Sugar. Albo którejkolwiek z lasu nóg, które teraz przebiegały obok, nad nim – ochroniarze z pistoletami w dłoniach.

– Nie potrzebujemy więcej twoich osiłków, Sugar, potrzebujemy tikera, do diabła! – huknął Charles. Trzy stopy zaparły się o podłogę. Krzesło się odsunęło. Tym razem Armstrongom udało się wstać.

Bioty były już blisko... trzydziestometrowej ściany...

z długą, poziomą jaskinią pod spodem.

But. Albo stołowa noga. Nie, but.

– Mamy w budynku Army Pete’a – rzuciła zdesperowana Lebowski. – Jest na dole. Musimy wziąć go tutaj, umieścić jego nanoboty, a potem...

– To stara chabeta – warknął Benjamin.

– Nasi najlepsi ludzie są...

– Dawać go tu! – ryknął Charles.

– Ty, ty i ty, idźcie po Army Pete’a. Ściągnijcie go tu i przypnijcie do sprzętu. – Sugar ulżyło, że znów może wyszczekiwać rozkazy.

– W tamtych czasach w armii roiło się od komunistów! pieklił się Benjamin.

Bioty dotarły już do jaskini utworzonej przez but. To musi być to. To musi być but, prawda?

Sklepienie nad KI i K2 było przerażająco zwyczajne. Wyglądało jak ogromna kołdra – plastikowe włókna splecione ze sobą jakby przez milion maleńkich szwaczek. Przypominało to plecionkę kosza, niemal idealną, dziwaczną przez swoją nienaturalną regularność.

Ale nagle ten sufit zaczął się błyskawicznie zniżać. Keats zmusił bioty do skoku; obróciły się w powietrzu. Ich odnóża chwyciły pasma neoprenu i do góry nogami popędziły w stronę światła na przodzie podeszwy.

But spłaszczyl się – Bliźniacy zaczęli chodzić. Wydawało się pewne, że bioty zostaną zgniecione, ale podeszwa miała bieżnik i Keats kazał zanurkować swoim dzieciom w długi, prosty kanał, a potem znów pogonił je do przodu.

Nie mógł się nie gapić na chodzących Bliźniaków. Prawa.

Lewa. I szur tą niemal bezwładną środkową kończyną. Prawa.

Lewa. Szur.

Środkowa noga miała jakąś tam możliwość ruchu, ale sprawiała wrażenie zdrętwiałej. Przesuwała się całkiem niezależnie, niesynchronizowana z resztą, i dlatego ciągnęła się za ciałem, drapiąc podłogę czubkiem buta.

Szli do Keatsa.

Lewa stopa wdepnęła w jego krew. Krwinki

rozkołysały się wokół biotów i odnalazły je nawet w kanale bieznika. Bioty brodziły we krwi własnego stwórcy, czerwone frisbee kleiły się do kolczastych odnóży i zbierały pod brzuchami małych żołnierzy.

– Posadźcie go – rozkazał Charles. – Wyjmijcie knebel.

Brutalne ręce natychmiast chwyciły Keatsa i podniosły niemal do pionu, zanim rzuciły go na tyłek.

Trzy stopy stały nieruchomo. Bioty przedarły się przez krew do końca tunelu i skręciły na czubek buta.

– Nie czuję się dobrze, bracie – powiedział Benjamin.

Keats patrzył na twarze Bliźniaków.

Nie był aż tak głupi, żeby przerazić się byle deformacją.

Miał kiedyś nauczyciela z płetwami zamiast rąk, nie dłuższymi niż trzydzieści centymetrów – jakiś wrodzony defekt – więc wiedział, że nie wolno się gapić, z całą pewnością nie może się wzdrygać i szarpać do tyłu, i tracić tchu.

Ale to przypominało jakiś koszmar. To nie była byle deformacja. To była zabawa szatana z DNA.

Oko Charlesa wbijało się w niego pełne czystej nienawiści. Oko Benjaminu wypełniało się łzami. A to trzecie, bezduszne, martwe, pozbawione iskry, błądziło przez chwilę, zanim wreszcie skupiło się na nim. Zobaczył, jak kurczy się brązowa tęczęwka.

– Mów teraz, gdzie dziewczyna – syknął cicho Charles.

Keats powinien się zdobyć na jakąś zwięzłą, bezczelną odpowiedź. Nie zdobył się. Usta odmówiły mu posłuszeństwa.

– Przystojniak z ciebie, co? – ciągnął Charles. – Mnie i bratu życie poskapiło tej zalety. Powiedz mi, chłopcze: jak to jest mieć taką twarz? Jak to jest, kiedy kobiety patrzą na ciebie i cię podziwiają?

³³⁷

Gadaj! – rzuciła Sugar. Jej głos zdradzał strach.

Ktoś, Keats nie wiedział kto, wbił mu czubek buta w nerkę, prowokując go do bolesnego krzyku.

– Ma pani nóż, pani Lebowski? – spytał Charles.

– Nóż? Ja... nie, proszę pana.

– Ja mam – wtrącił jakiś facet. Rozległ się metaliczny dźwięk otwieranego scyzoryka.

– Proszę go awansować, lubię ludzi, którzy są przygotowani – zwrócił się Charles do Sugar. – Niech pan da nóż szefowej. Pani Lebowski, która część męskiej twarzy panią pociąga?

– Z... znaczy... oczy – wydukała.

Bioty wydostały się już na wierzch buta. Za daleko. Nie zdążą się wspiąć na to ogromne ciało, żeby cokolwiek zdziałać.

– Nie, nie wydłubiemy mu oczu. Bo jak mógłby docenić to, co zrobimy z jego twarzą? – Ich twarze, ich oczy przyjrzały się twarzy Keatsa i w końcu

skupiły się na nosie. – Czy dziewczyny będą uważały, że jest przystojny, jeśli utniemy mu nos, pani Lebowski?

– Jezu... ja... – wyjąkała.

– Niech poczuje ostrze – wychrypiał Charles.

Sugar przycisnęła ostrze do boku nosa Keatsa. Widział je.

Czuł je. Serce łomotało mu z przerażenia. Próbował się odsunąć, ale silne ręce więziły jego czaszkę.

– Nie, nie, niech pani tego nie robi – błagał.

– Więc powiedz mi, gdzie szukać McLure. – Charles zgrzytnął zębami.

Nóż przetnie ciało. Werznie się w nos i zawaha się na chrząstce, ale będzie ciął i ciął dalej, i nos spadnie na podłogę, bezużyteczny kawałek martwego mięsa, i Keats już na zawsze...

– No! – huknął Charles. – No mów, już!

– Nie wiem, gdzie...

– Utnij mu nos! Tnij! Zrób to!

– Ale... – stęknęła Sugar.

– Utnij mu nos albo stracisz własny!

– To jeszcze dziecko! – wymamrotała Sugar.

– Nie wiem, gdzie ona jest! – zaklinał się Keats.

– Nie bij mnie, dziadziu! – zawołał Benjamin.

– Zamknij się, bracie! Tnij, w tej chwili!

Ale w tym samym momencie ciało Charlesa zostało szarpnięte w bok. Bliźniacy gibnęli do tyłu i

Keats przez łzy zalewające oczy zobaczył, że Benjamin wymachuje ręką jak szaleniec, tłucze coś, czego nie widział nikt prócz niego.

– Bracie! – krzyknął Charles.

To był lunatyczny taniec; dwie połowy złączonego ciała szamotały się, zataczały, ślizgały na krwi.

Armstrongowie polecili na biurko, które pojechało po podłodze, więc padli twardo na siedzenie. Keats poczuł wstrząs przez bioty. Ostrze odsunęło się od jego nosa.

– Komuniści! – zawodził w kółko Benjamin dzieciennym głosem.

Charles ryknął z wściekłości. Chciał zdzielić brata w głowę, ale nie dał rady; trzepał ręką zbyt krótką, by mogła sięgnąć przez szerokość ciała.

– Opanuj się! Opanuj! – wrzeszczał, choć sam stracił resztki panowania nad sobą i miotał się dziko. Próbując się podnieść, w końcu przewrócił biurko.

Pióra, telefon, psie przysmaki i butelka z napojem runęły na podłogę. Stół z dotykowym ekranem leżał na boku. Wciąż wyświetlał bitwę w pani prezydent.

Charles chwycił na oślep butelkę i trzymając ją niezgrabnie za grubszy koniec, dźgnął nią twarz brata. Krew połała się z ust Benjamina, a ten wciąż krzyczał:

– Komuniści! Komuniści!

– Zamknij się! Zamknij się! Zamknij się!

Charles tłukł w usta brata. Ząb odgiął się do wewnątrz, trysnęła krew. Wargi były rozharatane i czerwone.

– On zrobi krzywdę Benjaminowi – powiedziała Sugar. Musimy to powstrzymać.

Podbiegła szybko, wyciągnęła plastikowe więzy, takie same jak te, które krępowały Keatsa, chwyciła młócającą rękę Charlesa i przycisnęła ją do podłogi całym ciężarem ciała.

– Złaź ze mnie, krowo!

– Mam stały rozkaz, proszę pana: przerwać bójkę między wami. Pańskie polecenie.

– On pozwolił, żeby go opanowali. Są w nim i on im na to pozwala. Jest słaby! Zawsze był słaby!

Sugar docisnęła rękę kolanem, przyciągnęła krzesło i przykuła nadgarstek Charlesa do poprzeczki.

– Wypełniam tylko pańskie rozkazy – tłumaczyła błagalnym tonem, ale chyba sama w to nie wierzyła. Zerknęła do wyjścia, jakby liczyła kroki, jakby oddalone o trzydzieści metrów drzwi windy były bramą do raju.

Benjamin płakał, beczał jak dziecko.

– Już jest! – krzyknął jeden z TZD i Army Pete, nastolatek w za dużej kurtce z demobilu został dosłownie wywleczony z windy.

– Do diabła, czemu tak długo? – wysapała Sugar.

– iy, tiker. Bierzesz się do roboty.

Army Pete był średnim tikerem i pierwszorzędnym cwaniakiem. Ale kiedy ogarnął wzrokiem sytuację – zakrwawionego chłopaka na podłodze, a co gorsza przerażający popis przykutego do krzesła Charlesa, który wciąż próbował bić szalejącego Benjamina – uznał, że lepiej nie wychylać się ze swoim ciętym dowcipem.

– Macie konsolę? Nic nie zrobię bez sprzętu.

– Cholera! – krzyknęła Sugar. – Przynieście tu konsolę!

Już!

Army Pete zaczął protestować, ale nikt go nie usłyszał w tupocie nóg TZD, którzy popędzili wykonać rozkaz. A może wynieść się w diabły z Tulipana.

30

Jestem z tobą, Vincent – powiedział Niżyński.

Był z nim na ulicy – podtrzymywał przyjaciela, opierał go o ścianę.

I był z nim w bebechach, bo jego dwa świeżutki, nieuszkodzone bioty wreszcie przyszły z odsieczą.

– Za późno – szepnął Vincent.

Niżyński wpatrywał się z centymetrowej odległości, która wydawała się duża jak miejski kwartał, w armię Bug Mana.

Dwa nanoboty powoli, ze złośliwą satysfakcją rozczłonkowały biota.

Niżyński czuł każdą odrywaną kończynę w drzeniu ciała Vincenta.

Jedenaście nanobotów Bug Mana.

Dwa bioty Niżyńskiego.

Może. Może. Ale on to nie Vincent. Niemal na pewno przegra, a wtedy stanie się tym, czym jest Vincent w tej chwili: człowiekiem zniszczonym, bezradnym i bezbronnym.

Bug Man nie zaatakował. Nie chciał też tej bitwy. Nie potrzebował jej. Jego tkacze działali już głęboko w prezydenckim mózgu.

Stali i patrzyli na siebie oczami istot z innej

planety: Bug Man i Niżyński.

Niżyński kazał dowodzącemu biotowi błagalnie rozłożyć ramiona.

Nanoboty Bug Mana stały nieruchomo przez długą minutę. Nie robiły absolutnie nic.

W końcu uniosły ciało drugiego biota i pchnęły je przez płyn mózgowy. Popłynęło z prądem i Niżyński zdołał chwycić szczątki.

Dźwigając beznogiego, bezokiego, okaleczonego trupa odwrócił się i uciekł.

– Jin... Jin... – odezwał się Vincent w świetle ulic i drapaczy chmur.

– Tak?

– Zabierz mnie do Anyi.

Kiedy ją znaleźli, Plath miała jeszcze tylko dwie szpilki i ostatnie długie pasmo przewodu.

Uplotła kocią kołyskę ze szpilek i przewodów w mózgu Benjamina. Płatanina obejmowała mniej więcej centymetr kwadratowy hipokampu. Doświadczony tiker nanobotów namierzyłby ją w mgnieniu oka, ale żeby dotrzeć w to miejsce, potrzebował sporo czasu.

W makro jednak jej czas się skończył. Ktoś wreszcie poszedł po rozum do głowy i przepytał dwóch włóczęgów, którzy wypłoszyli Keatsa z kryjówki. I jakiś bystry zbir z AmericaStrong doszedł do wniosku, że należy dokładniej przegrzebać śmietnik.

Wieko poleciało do tyłu i silne ręce zaczęły szperać w odpadkach, aż jedna z nich chwyciła kostkę. Potem były głośne ostrzegawcze krzyki. Ktoś podciągnął Plath, wywłókł z pojemnika, rzucił na ziemię i raz, bardzo mocno, kopnął w brzuch.

W windzie jadącej do Tulipana tamci uznali, że trzeba ją trochę sponiewierać. Dostała cios z bekhendu w twarz, aż pękła jej warga. TZD nie chcieli, by szefowie pomyśleli sobie, że została potraktowana zbyt łagodnie.

Drzwi windy otworzyły się, ukazując scenerię dzikich kontrastów. Na niebotycznej wysokości Tulipana Bliźniacy stworzyli cały świat. Nad głowami wisiały przeciwstawnie rozmieszczone warstwy antresoli – sypialnie, łazienki, galerie – połączone krótkimi ruchomymi schodami podwójnej szerokości. Dolny poziom miał trzy tysiące metrów kwadratowych; jego większa część tonęła w ciemnościach. Ale w tych nieoświetlonych głębinach Plath dostrzegała przebłyski niesamowitych rzeczy: czołg, całą karuzelę, samolot bezzałogowy powieszony na stalowych linach, wielkie klatki ze zwierzętami, strzelnicę.

Ale najbardziej fascynujące było miejsce bezpośrednio na wprost, narożnik tego przepastnego pomieszczenia. Sześciu TZD. Kobieta, która wyglądała, jakby właśnie wyszła z żurnala, a po drodze wpadła jeszcze do spa. Ogromne biurko

przewrócone na bok tak, że widziała monitory wbudowane w blat, a na nich bitwę w nano i całą feerię policyjnych i strażackich kogutów pod ONZ, i inne rzeczy, których nie rozpoznawała.

Zobaczyła też ich – Bliźniaków Armstrongów – szerokich jak dwóch ludzi, wysokich, potężnie zbudowanych, ale zlepionych ze sobą w taki sposób, że mózg się buntował.

TZD dźwigali masywne foteliszcze – przypominało największy na świecie, wyposażony w technologiczne zabawki fotel do oglądania telewizji. Inni targali monitory, ciągnęli kable, szukali gniazdka.

Keats siedział na podłodze. Beagle obwąchiwał kałużę jego krwi.

TZD rzucili ją obok towarzysza niedoli.

– Nie musieliście tachać tutaj fotela – protestował chłopak w wojskowej kurtce. – Mogłem to robić z dołu.

– Co? – spytała ze złością kobieta z żurnala.

Army Pete wzruszył ramionami.

– Kurde, potrzebowalem tylko kogoś jako ścieżki dostępu. Wystarczyło, żeby któryś z pani ludzi przyszedł na dół, a ja umieściłbym na nim bioty, tak? A potem... – Umilkł w obliczu wściekłej furii Sugar.

– Mogłeś mi to powiedzieć.

– Myślałem, że rozumiecie, jak...

– Komuniści – szlochał Benjamin, jakby to było najsmutniejsze słowo na świecie.

Keats, siedział ledwie kilkanaście centymetrów od Plath, popatrzył jej w oczy, potem przez swoje ramię. Plath pobiegła wzrokiem za spojrzeniem przyjaciela. Zobaczyła jego dłonie, związane tak jak i jej plastikową taśmą.

Nadgarstki miał czerwone od krwi. I korzystał z tego makabrycznego nawilżacza, żeby oswobodzić ręce. Plath zauważyła skaleczenia. Na jednym z kciuków widniała głęboka rana.

Ale jego dłonie były niemal wolne.

Charles szarpnął spętaną ręką i o mało nie uderzył się krzesłem.

– Może mnie pani już puścić, pani Lebowski – powiedział. – Panuję nad sobą. Nie zrobię krzywdy bratu.

Sugar Lebowski, dotarło do Plath. Niżyński zapoznał ich z tą postacią. Teraz niemal uśmiechnęła się na wspomnienie jego opisu: „tleniona, zabortoksowana, silikonowa podmiejska mamuśka z kijem w tyłku i pistoletem w torebce”.

– Tak, proszę pana – odparła Sugar.

Plath usłyszała w jej głosie wahanie.

Keats patrzył na swoją partnerkę. Starał się nic po sobie nie pokazać, ale nie miał twarzy pokerzysty. Bał się o tę dziewczynę. I było mu smutno, że zawiódł mimo dzielnych wysiłków, żeby ją ratować.

Chciała mu powiedzieć, że woli być tutaj z nim niż sama.

Chciała mu powiedzieć, że chętnie podzieli jego los. Że wcale nie boi się bardziej niż on.

Ale tak naprawdę mdliło ją ze strachu. Ręce i nogi jej zeszywniały. Nie mogła przestać mrugać. Jej płuca nie były w stanie wciągnąć dość powietrza, jakby ścisnęło ją imadło.

Kąciki jej ust ciążyły w dół, język czuła jak obce ciało, ręce jej drżały.

W tej chwili dostrzegła posiniaczoną twarz i stłuczone wargi prawej połowy Armstrongów. Benjamina. Pamiętała to.

On był prawą połówką.

Cały dygotał. Szarpał wspólną głową. Oko miał dzikie, ale nie z wściekłości, a od jakichś niezrozumiałych emocji.

Charles robił, co mógł, żeby wyglądać grzecznie, normalnie. Przywodzili na myśl maskę Janusa i podobnie jak ten mityczny rzymski bóg o dwóch twarzach usiłowali patrzeć w przeciwne strony. Twarz mieli skierowaną przed siebie, ale widzieli zupełnie różne rzeczy.

A więc siedziała w mózgu Benjamina.

Udało jej się przekierować dość obwodów, żeby spowodować awarię. Wykoleiła go z szyn. Jej bioty były jak wirus komputerowy, rozrabiały i siały zamęt, posyłały synaptyczne sygnały w

nieodpowiednie miejsca.

Ta świadomość nie zmniejszyła jej strachu.

Charles spojrzął za plecy niepewnej Sugar i zobaczył Plath.

– Ty pewnie jesteś Sadie – zamruczał.

Wszystkie oczy skierowały się na nią. Z wyjątkiem oka Benjamina.

– To będzie ogromna przyjemność, zaprosić cię do współtworzenia naszego wielkiego dzieła – ciągnął Armstrong.

– Nigdy – zdołała wyszeptać Sadie. Po czym odzyskała głos i powtórzyła z większą mocą: – Nigdy.

Charles się uśmiechnął.

– Już wkrótce wielu najpotężniejszych przywódców światowych przyłączy się do naszej sprawy. Wyobrażasz sobie, że ty się oprzesz? Nie, nie, dziewczynko, zdołamy zmienić twój sposób myślenia.

Niemal niedostrzegalne skinienie głowy Keatsa.

W mózgu Benjamina P1 i P2 trzymały ostatnie szpilki.

Plath głęboko wbiła pierwszą.

Całe ciało Benjamina zadrżało.

– Nie, Charles! Nie! Nie! Przestań! – krzyknął.

Charles miał taką minę, jakby to jego dźgnęła. Oko otworzyło się szerzej, brew podjechała do góry.

Na ekranie było widać rozczłonkowywanego

biota.

Plath umocowała ostatni przewód, pobiegła z nim i z ostatnią szpilką. Jej bioty przeskakiwały przez już istniejące obwody i przy każdym skoku nowe włókno dotykało tych już położonych, płynęły nowe impulsy.

– Trzymam tak mocno jak mogę, tak mocno jak mogę, on ciągle oddycha! – wołał Benjamin.

– Niech ktoś go uciszy – zażądał Charles. – Pani Lebowski, proszę uciszyć mojego brata!

Przewód się skończył. Kądziołki wyschły. Plath owinęła postrzępiony koniec wokół ostatniej szpilki.

– Zdychaj, staruchu! Zdychaj! – szalał Benjamin.

Plath wbiła ostatnią szpilkę.

Ciało Benjaminą wygięło się wyprężone tak potężnym skurczem, że noga roztrzaskała spód biurka. Ekrany zgasły.

Ręka Armstronga wystrzeliła w powietrze, dłoń zmieniła się w szpon.

Plath usłyszała trzask pękającej kości.

Wyciągnęła szpilkę.

– Wychodzimy stąd – rzuciła.

Paul Johntz stanął za jej plecami i przycisnął lufę pistoletu do czubka jej głowy.

– Jeszcze jeden skurcz i zarobisz kulkę.

– Ja to robię – powiedział Keats. – Zostaw ją. – To było heroiczne, ale nieprzekonujące.

Zdyszany Benjamin szlochał jak dziecko.

Charles przerażony wpatrywał się w Plath ze zgrozą.

– Co jest szybsze? – spytała. – Kula czy biot?

– Panie Johntz, proszę posłuchać – wychrypiął Armstrong. Mianuję pana szefem AmericaStrong. I oto, co pan robi: rozkaże swoim ludziom aresztować Sugar Lebowski. Potem...

Plath wbiła szpilkę w mózg Benjaminu i kolejny skurcz zdusił słowa Charlesa, kiedy wspólna twarz rozciągnęła się, wspólna szyja wykręciła, a pojedynczy kręgosłup wygiął niemal w literę C.

Benjaminowi zaczęły pękać zęby.

– Mogę was stąd wyciągnąć! – zawołała Lebowski. – Ale to was będzie kosztować.

– Milion? – spytała Plath.

– Dwadzieścia – odparła Sugar. – Mam dzieci. A zniknięcie nie jest tanie.

– Załatwione – zgodziła się Plath.

– Nikt nigdzie nie pójdzie – warknął Johntz.

Keats wierzgnął spętanymi nogami tak mocno, jak mógł.

Jego stopy trafiły nowego szefa AmericaStrong w kostkę. Facet nie upadł od razu; potknął się i poleciał na bok. W tym momencie Sugar Lebowski skoczyła jak kot. Wyszarpnęła pasek ze spódnicy i owinęła nim od tyłu szyję Johntza.

– Wszyscy do tyłu, wszyscy do tyłu, nie wtrącać się! wrzeszczała do pozostałych TZD.

Ale Johntz był zbyt wielki, żeby poddać się tak łatwo. Usiłował się obrócić i wycelować pistolet w Sugar, która stękała jak zwierzę, bo całą siłę drobnego ciała wkładała w duszenie.

Keats dźwignął się na nogi. Podskakując, plaskając we własnej krwi, chwycił dłoń Johntza i wykręcił ją tak, że wycelował mu pistoletem w głowę.

Przez kilka strasznych sekund walczyli. Sugar powoli wyduszała energię ze swojego byłego zastępcy, Keats wił się, usiłując utrzymać się na złączonych nogach. Nagle głośny huk.

Na trzech czwartych twarzy Johntza odmalowało się zdziwienie; zamiast reszty ziała dziura. Zwiotczał natychmiast.

Pozostali TZD stali z boku sparaliżowani. Nie wiedzieli, kto rządzi.

– Kurde. – Army Pete uniósł ręce, jakby chciał powiedzieć „to nie ja”, i zaczął się cofać do drzwi.

Keats przechwycił pistolet, kiedy TZD padł.

Sugar Lebowski miała część mózgu Johntza w swojej blond fryzurze. Odwinęła pasek z szyi martwego mężczyzny i drżącymi palcami wsunęła go z powrotem w szlufki spódnicy.

– Musimy odzyskać bioty – powiedział Keats. Wciąż trzymał pistolet. Dotyk broni był przyjemny, nie nieprzyjemny.

Dawał poczucie bezpieczeństwa.

– Potrzebuję dziesięciu minut, żeby z nich wyjść
– oznajmiła Plath. – Mam ich tak zostawić?

„Tak”, czyli zlanych potem, wciąż wyprężonych skurczem Benjamina. Nikt długo by nie pożył w takim stanie.

Plath pytała Keatsa, czy powinna zabić Benjamina Armstronga – i najprawdopodobniej również jego brata, bo nie sposób było sobie wyobrazić, że jeden umrze, a drugi nie.

– Nie jesteśmy jak oni – odparł Keats. Po czym, wątpiąc we własne słowa, dodał: – Prawda?

Plath stanęła nad bezradnymi potworami. Potworami?

A jakiego innego słowa można by użyć?

Urodzili się potworami. Nienawidził ich i bał się każdy, kto ich zobaczył.

Ona też teraz bała się ich i nienawidziła, i miała powody.

Skóra między dwiema twarzami, miejsce, gdzie dwa ciała skleiły się w macicy, była czerwona i popękana. Siła skurczu sprawiła, że Benjamin niemal oderwał głowę od głowy brata.

Plath wyciągnęła szpilkę.

ARTEFAKT Do: Lear Od: Niżyński Wilkes żyje i jest z nami.

Ofelia żyje, choć straciła obie nogi poniżej kolan.

Keats i Plath są cali i zdrowi, i wspaniale się

spisali.

Vincent cierpi na głęboką depresję po stracie jednego z biotów.

Drugi biot został mocno poturbowany, ale zdrowieje. Vincent jest pod opieką, wynik bardzo niepewny.

Nie wykonaliśmy głównego zadania.

Czekamy na instrukcje.